

zwierciadło

AŁBENA GRABOWSKA

ALICJA
W KRAINIE CZASÓW

TOM III

CZAS ODZYSKANY
∞

zwierciadło

AŁBENA GRABOWSKA

ALICJA
W KRAINIE CZASÓW

TOM III SAGI

CZAS ODZYSKANY
∞

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

CZĘŚĆ VI

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

CZĘŚĆ VI

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Epilog

*Mojej córce Alinie
z miłością*



CZĘŚĆ V





ROZDZIAŁ I

Między teraz a nigdy wiele może się wydarzyć. Alicja strzepnęła niewidzialny pyłek ze złotej sukienki i uśmiechnęła się do stojącego obok ambasadora zaanektowanej republiki Czechosłowacji. Mężczyzna był niskiego wzrostu i nadmiernie się pocił. Jego żona miała podobną przypadłość, co Alicja zanotowała w swojej pojemnej pamięci. Na sali przemawiał sam namiestnik Trzeciej Rzeszy w Paryżu, a większość zebranych w ambasadzie wpatrywała się w niego z wielką uwagą i zachwytem. Szczególnie kobietom zdawały się nie przeszkadzać jego skłonności do nadmiernego jedzenia i picia, żółte zęby obnażane w agresywnym uśmiechu oraz nos i policzki pokryte pajęczyną pękniętych naczynek. Wystarczył blask władzy, jaki bił od niego, aby ambasador stał się atrakcyjny, co więcej – pożądany.

Przy odrobinie szczęścia dostanie zawału serca albo udaru mózgu, pomyślała Alicja i wymieniła uśmiech z attaché kulturalnym bodajże Austrii. Nie trzeba będzie go likwidować.

– Na zdrowie. – Ambasador uniósł kieliszek.

Alicja upiła mały łyk wina musującego, które w niczym nie przypominało szampana.

– Jestem zaszczycony, że mogę spędzić wieczór w tak znakomitym towarzystwie. – Mężczyzna otarł pot z czoła. Jego żona uśmiechnęła się nerwowo. Na sukience wykwitły jej plamy potu, które nieporadnie zakrywała szalem.

– Myślę, że to my powinniśmy czuć się zaszczytzeni pana obecnością – powiedziała Alicja.

– Och, nie oszukujmy się, że zaproszono by nas tutaj, gdyby nie mój drogi szwagier, profesor Němec...

– Profesor Němec jest pańskim szwagrem? – spytała Alicja, zdumiona.

– To mój brat – oznajmiła z dumą żona ambasadora. – Jeśli pani sobie życzy, przedstawię panią.

– Byłabym wniebowzięta. – Alicja położyła dłoń na sercu. – Uwielbiam uczonych.

Kobieta poprowadziła ją przez tłum gości prosto do grupki mężczyzn.

– Panowie pozwolą, że przedstawię... – zaczęła ambasadorowa. – Madame...

– Charme. – Alicja utkwiała wzrok w profesorze Němcu. – Alina Charme... Jest mi niezmiernie miło, że mogę pana poznać, profesorze... Podobnie jak i pańskiego znakomitego kolegę...

Podążyła ręką najpierw bratu ambasadorowej, który omiół ją nieuważnym spojrzeniem, następnie wysokiemu, młodemu mężczyźnie, który zatrzymał na niej wzrok z wyraźnym zainteresowaniem.

– Wyobrażałam sobie, że jest pan starszy – powiedziała. – Profesorze Bernstorff...

– My, fizycy – uśmiechnął się Ludvig Bernstorff – bardzo szybko osiągamy nasz najwyższy potencjał intelektualny. Podobnie jak matematycy; po trzydziestym roku życia albo kończą nam się możliwości, albo zaczynamy się zajmować filozofią fizyki... Oczywiście nie dotyczy to chemików. – Uśmiechnął się do Němca i skłonił z szacunkiem, po czym utkwiał wzrok w Alicji.

– Niech pan nie będzie taki skromny. O pana zasługach dla Rzeszy mówi się nie tylko w kuluarach... – Odwzajemniła uśmiech.

Popatrzyła na niego odrobinę za długo, starając się jednocześnie, aby jej spojrzenie nie było figlarne i aby Ludvig nie miał wrażenia, że z nim flirtuje.

– Bardzo tu gorąco – poskarżyła się Kira Němcowa, rozkładając chiński wachlarz i potrząsając nim nerwowo koło swojej twarzy. – Czy i państwo to odczuwają?

Alicja przytaknęła grzecznie, chociaż było jej raczej chłodno w jedwabnej sukni z odsłoniętymi ramionami.

– Państwo wybaczą – powiedział profesor Němec. – Chodź, moja droga, usiądziesz, a ja przyniosę ci szklankę wody.

Kiedy profesor z żoną odeszli, Bernstorff wyjął błyszczącą papierośnicę i podsunął Alicji.

– Zapali pani?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, dziękuję. Pan jednak może to zrobić – powiedziała, widząc, że chowa papierośnicę. – Nie przeszkadza mi, kiedy inni palą.

– Alina to piękne imię. – Nie odrywał wzroku od jej twarzy. – Kojarzy mi się z kolorem zachodzącego słońca albo maku...

– To dwa różne kolory, nawet nie odcienie – zauważyła. – Jako fizyk powinien pan lepiej się na tym znać. Chociaż mężczyźni z kolorami zwykle mają kłopoty...

Odchylił się do tyłu i zasłonił dłonią jak przed ciosem.

– Nie zajmuję się kolorymetrią, moją specjalnością jest dynamika. Czyżby pani znała się na fizyce?

Roześmiała się i pokręciła przecząco głową.

– Bardziej na chemii. Pracuję jako pielęgniarka – odparła.

Popatrzył zaskoczony. Zanim jednak odpowiedział, odszedł do nich Pierre Albroon, jeden z attaché francuskich, którzy starali się być blisko Niemców. Alicja nie lubiła go, bo sprzedałby własną matkę, gdyby mu się to opłacało, ale pozostała czujna, znając jego inteligencję.

– Zazdroszczę panu. – Pochylił się w stronę fizyka. – Zresztą prawie wszyscy zgromadzeni tu panowie chętnie zajęliby pana miejsce przy boku madame... Charme.

Alicja nawet okiem nie mrugnęła, kiedy wymienił jej panięńskie nazwisko. Jako mężatka przedstawiała się nazwiskiem Daniela. Kiedy wybuchła wojna, na potrzeby swojej działalności oficjalnie odzegnała się od związku z Żydem, czym zyskała przychylność niemieckich władz. Wiedziała, że ludzie potępiają ją za to, ale było jej to obojętne, dopóki pomagało w wypełnianiu misji. Ludvig nie mógł tego wiedzieć, ale zauważył kompletny brak zainteresowania Alicji Pierre'em i obojętność, z jaką przyjęła komplement. Wymamrotał kilka grzecznościowych słów, a potem demonstracyjnie zamilkł, aż Pierre zobaczył albo udał, że widzi kogoś za ich plecami, i odszedł.

– W pani jest tajemnica – powiedział. – Wyjawi mi ją pani?

– Gdybym to zrobiła, nie miałabym już nic do zaoferowania... – Uśmiech nie schodził z jej twarzy.

– W takim razie będę cierpliwy... – Nachylił się ku niej i ponownie pocałował końce rękawiczki.

Podobne przyjęcia należały do codzienności wojennego Paryża i jej stałych obowiązków. Francja wypowiedziała wprawdzie wojnę Niemcom już trzeciego września, czyli w dwa dni po wtargnięciu

wojsk Hitlera do Polski, ale nie spowodowało to żadnych działań wymierzonych przeciwko nazistom. To Niemcy w końcu zlitowały się, jak złośliwie komentował Franek, i zaatakowały Francję w maju 1940 roku. Wielu zaskoczonych paryżan zostało zmuszonych do ucieczki. Alicja nie brała udziału w masowym exodusie, czekała w Paryżu na rozkazy, mając nadzieję, że zostanie przetrzucona do Polski, o co starała się od czerwca 1939 roku. Niestety jej dowództwo było przekonane, że tak uzdolniona agentka przyda się na miejscu, a nie w dalekim kraju, który miał bezskutecznie czekać na litość Europy Zachodniej. Patrzyła więc bezradnie, jak rząd przenosi się do Bordeaux, marszałek Pétain prosił fałszywie o zawieszenie broni, a de Gaulle o pomoc i wsparcie dla ruchu oporu, za co zresztą rząd Vichy skazał go na śmierć. Podpisano rozejm z Niemcami, rozwiązano Trzecią Republikę i Pétain został głową wstydliwego, pozornie wolnego państwa z siedzibą w Vichy. Miał więcej władzy niż Bonaparte, co stwierdzała z goryczą, i szła na kolejne przyjęcie, podczas którego rozpoznawała wroga, odbywała podróż w celu wymiany informacji lub przekazania fałszywych danych albo w taki czy inny sposób służyła swoim umysłem aliantom.

– Zwycięstwo Rzeszy – kontynuował tymczasem namiestnik, chociaż wydawać by się mogło, że skończył pompacyjną przemowę – otworzy drogę Francji do nowych technologii, które z powodzeniem może wykorzystywać na chwałę zjednoczonej, nowej Europy... Kolonie, dawniej francuskie, teraz znajdujące się we władaniu albo już pod protektoratem...

A więc jednak, pomyślała Alicja z niechęcią. Żaden z tych germańców nie wie, do czego służy język. Kiedy trzeba, nie wystawiają go z ust, a kiedy powinni trzymać go za zębami, mielą ozorami niczym baby na targu.

– Dziwne to... – Ludvig Bernstorff uśmiechnął się szelmowsko. Był przy tym podobny do Clarka Gable'a. – Prowadzimy wojnę, pilnie ściągają mnie do Paryża, po drodze zmieniamy trzy pociągi i samolot, bez przerwy powtarzają, jaka to tajemnica... A tu nagle...

– A tu nagle wydają przyjęcie na pana cześć i publicznie mówią, że będzie pan pracował z wybitnym chemikiem profesorem Niemcem na chwałę Rzeszy...

– Nie wymienili naszych nazwisk – parsknął śmiechem. – Pani musi być wybitnie inteligentna.

– Kobieca intuicja – Alicja lekko skinęła mu głową – oraz znajomość prawie wszystkich tu obecnych.

Koło nich stanął André Poulte, stary znajomy Daniela, który zaczął współpracować z Niemcami, kiedy tylko wkroczyli do Paryża. Alicja wiedziała, że ze względu na małżeństwo z Danielem André wolałby myć deski pod szafotem niż przyznać się, że kiedyś często bywał w ich domu.

– Alina – skinął głową w jej stronę – muszę porwać Ludviga. Zresztą uprzedzam cię, on nie pomoże ci w tym twoim szpitalu. A tobie, mój drogi, radzę na nią uważać – zwrócił się do Bernstorffa. – Wszyscy tracimy dla niej głowę i zaczynamy wpłacać hojne datki na rzecz chorych dzieciątek...

– W takim razie jeszcze się spotkamy. – Bernstorff ponownie się uklonił. – Jeśli pani pozwoli... Chciałbym rozwikłać pani tajemnicę i niewykluczone, że stracić dla pani głowę...

Odprowadziła go wzrokiem, skonstatowawszy z ulgą, że André prowadzi Ludviga w drugą stronę sali. Nadeszła pora, aby wykonała zadanie, które ją przywiodło na owo przyjęcie. Wzięła lampkę szampana z tacy i kołyszącym krokiem podeszła do mężczyzny patrzącego na nią wzrokiem pełnym pożądania i nienawiści.

– Nudzisz się? – spytała.

– Nie ma tu nikogo interesującego dla mnie... – mruknął i upił potężny łyk szampana. – Ty jednak, widzę, nie zasypiasz gruszek w popiele.

– Ależ skąd – zaprzeczyła. – Nie mogłam odmówić zaproszenia... I tak się tu męczę, wyobraź sobie... Zastanawiałam się właśnie, dlaczego w jednym z najważniejszych miejsc w Paryżu podaje się zamiast szampana skrzyżowanie cydru z sokiem z winogron...

– No cóż. – Hrabia von Ekhem wydał mięsiste usta. – Jest kryzys, madame... Ci okropni Francuzi wolą zniszczyć swoje zapasy szampana, zamiast sprzedać go nam.

– Sądzę, że raczej chowają najlepsze zapasy w głębokich piwnicach, a wam dają... – uniosła kieliszek do góry – ...to...

Albert von Ekhem chrząknął, chcąc zatuszować swój nietakt. Alicja patrzyła na niego kpiąco. Mężczyzna odstawił kieliszek na tacę, którą podsunął mu kelner. Chciała zrobić to samo, ale kelner nie zauważył jej gestu, w rezultacie czego zawartość wylała się hrabiemu prosto na białą, krochmaloną koszulę.

– Tak mi przykro, mój drogi – szepnęła głosem pełnym skruchy. – Doprawdy ogromnie cię przepraszam...

Przystojną twarz wykrzywiła źle maskowana wściekłość. Alicja spokojnie wzięła z rąk kelnera białą serwetkę i delikatnie, ale z wprawą suszyła frak hrabiego. W tle pobrzmiwało nowe przemówienie ambasadora.

– Panie hrabio, proszę wybaczyć – wyjąkał kelner.

– Precz mi z oczu... – wycedził Albert, a Alicja, nie przerywając swojej pracy, skinęła głową struchlałemu chłopakowi. – Ach! – krzyknął nagle.

– Co się stało, kochanie? – Tleniona Evie Gruber uwiesiła się ramienia kochanka i otaksowała mokrą koszulę Alberta. – Zmarnowaliście tyle pysznego szampana...

Albert machał rękoma, jakby opędzał się od uprzykrzonej muchy.

– Osa! – Evie zamachała pulchnymi rękoma.

– Ugryzła mnie! – Albert trzymał się za kark.

Alicja nie przerywała pracy, obdarzając Alberta karcącym spojrzeniem.

– Jesteś już dużym chłopcem, mój drogi. – Pogroziła mu palcem. – A duzi niemieccy chłopcy nie boją się os.

– Trzeba wyjąć żądło – gorączkowała się Evie, wskazując małą plamkę krwi na szyi narzeczonego. – I tyle szampana się zmarnowało!

– Nic takiego, moja droga – uspokoiła ją Alicja. – Żądła żadnego tu nie ma... A szampana nie brakuje.

Zwinęła w rulon mokrą serwetkę i położyła ją na najbliższym stole.

– Wybaczcie, moi drodzy. – Uniosła dłonie ku górze. – Muszę zdjąć te przesiąknięte szampanem rękawiczki.

Pozostawiła Alberta i Evie, czując na sobie ich wzrok. Uśmiechnęła się w duchu, kiedy dosłyszała słowa Niemca skierowane pod jej adresem, „francuska dziwka”, oraz następujący po nich nerwowy chichot Evie.

W łazience nie było nikogo. Szybko zdjęła złote cienutkie rękawiczki, wyjęła małą karteczkę i odczytała przekazaną jej wiadomość. Następnie wyjęła z torebki dobrze zaostrzony ołówek i napisała kilka słów na czystym skrawku papieru. Zwinęła go w rulon i umieściła w szmince, po czym uważnie włożyła kolec z kurarą, którą właśnie uśmierciła niemieckiego agenta Alberta von Ekhemą, i wyrzuciła przez okienko w toalecie, które następnie starannie zamknęła. Cała operacja trwała krócej niż minutę. Krzyki z sali dobiegły chwilę później. Wyrzała ostrożnie. Tak jak przypuszczała, pracownicy ambasady biegali beładnie, nie wiedząc, komu najpierw nieść pomoc, krzyczącej Evie czy leżącemu nieruchomo Albertowi. Przemknęła pod ścianą i szybko wbiegła po schodach na pierwsze piętro, gdzie w końcu korytarza zgodnie z dostarczonym jej przez Franka meldunkiem znajdowały się pokoje profesorów Němca i Bernstorffa. Następnego dnia obaj mieli być przekwaterowani do prywatnych willi; tam dostęp mógł być trudniejszy. Wyjęła wsuwkę z włosów i sprawnie otworzyła pierwsze drzwi. Porządek w pokoju i krój marynarki wiszącej na oparciu krzesła wskazywały, że znajduje się w pokoju profesora Němca. Otworzyła walizkę leżącą na podłodze, ale nie znalazła żadnej teczki z papierami i wzorami. Zakłęła w duchu. Może genialny naukowiec wzory chemiczne przechowuje w głowie, pomyślała. Sprawdziła wierzch i dno walizki, bez powodzenia. Sięgnęła do kieszeni marynarki i po wewnętrznej stronie wymacała spory plik.

– *Et voilà...* – Wyjęła z torebki aparat fotograficzny i sfotografowała każdą stronę.

Odłożyła papiery na swoje miejsce i opuściła pokój. Ktoś szedł korytarzem. Ukryła się za dużą donicą fuksji, czując się podobnie jak w Kodorowie, kiedy jako dziewczynka chciała odkryć tajemnice mieszkańców dworku. Korytarzem przemknął Ludvig Bernstorff, otworzył swój pokój i wszedł do środka. Alicja usłyszała zgrzyt klucza w zamku. A więc chowasz tam sekret, którego nie zdołałam dziś poznać, westchnęła. Już blisko pięćdziesiąt lat starała się odkrywać tajemnice innych, ale teraz robiła to jako Luna – agentka wywiadu francuskiego. Nie mogła ryzykować i czekać, aż profesor wyjdzie z pokoju. Nabrała jedynie pewności, że coś albo ktoś kazał mu zabezpieczyć to, co znajdowało się w jego apartamencie. Inaczej nie ryzykowałby powrotu w czasie bałaganu i paniki, jaką spowodowało morderstwo znanego bon vivanta. Wyszła zza donicy i skierowała się ku schodom, ale musiała znaleźć inną drogę, gdyż dostrzegła skradającą się nieporadnie profesorową Němcovą. Modląc się, żeby Ludvig nie wyszedł z pokoju wprost na nią, otworzyła wytrychem drzwi z drugiej strony korytarza. Znalazła się w przestronnym pokoju, którego gospodarz placówki używał jako gabinetu i w którym przyjmował mniej oficjalnych gości. Alicja była tu kilka razy z wizytą i nie umknęło jej, że w pokoju zainstalowano małą windę do przesyłania posiłków. Zażartowała nawet na ten temat, ale ambasador wyjaśnił jej, że zdarza mu się pracować wiele godzin i nie lubi, kiedy mu się przeszkadza, a dotyczy to także osób, które przynosiłyby mu kolację. Zamknęła drzwi od środka i odsunęła drzwiczki windy. Trochę mało miejsca, pomyślała, ale ponieważ była bardzo szczupła i gibka, szybko weszła do środka i nacisnęła guzik. Winda szarpnęła boleśnie jej żołądkiem i powoli zjechała na dół. W kuchni nie było nikogo. Widać wszyscy zostali już wezwani na salę ogólną. Rozprostowała nogi i włożyła szpilki. Wyjęła z torebki aparat i ukryła go w słoju z napisem „ryż”, potem pchnęła drzwi i szybkim krokiem, okrążając foyer, weszła do salonu. Ludzie zbili się w kilka grup. Jedna skupiała się wokół martwego Alberta. Evie uspokajali profesor Němec, dwóch attaché kulturalnych oraz ich żony. Ona sama szlochała histerycznie i Alicja pomyślała złośliwie, że Albert szybko by z nią zerwał na rzecz jakiejś Marie, Sylvie czy Therese, a tak zostanie zapamiętana jako miłość życia jednego z najprzystojniejszych kawalerów Paryża. W drugim

kącie stała grupa kucharzy i kelnerów, wśród nich nie było już Franka. Środek sali okupowali mężczyźni nerwowo palący cygara. Nie zauważyła Bernstorffa. Musiał wciąż przebywać w swoim pokoju na górze. Alicja zastanawiała się, w jaki sposób zamierza niepostrzeżenie dołączyć do zebranych. Oprócz niego i profesorowej na dole byli wszyscy pozostali.

– Straszna tragedia. – Usłyszała głos za sobą.

– Tak cicho pan zszedł ze schodów – powiedziała, nie oglądając się za siebie. – Nie słyszałam pana, a mam wyczulone ucho...

– A pani gdzie była? – spytał Ludvig.

– W toalecie – wyjaśniła, nadając swojemu głosowi nutę zażenowania. Odwróciła się. Przy uśmiechu robił mu się dołek w prawym policzku.

– Tak długo? – Jego mina wyrażała niedowierzenie.

– Proszę odejść. – Dotknęła szyi otwartą dłonią. – Jest pan wulgarny...

Spojrzała mu w oczy, ale nie dostrzegła w nich odpowiedzi na swoje nieme pytanie, czy zdołał ukryć co trzeba.



– Pani imię i nazwisko – rzucił oficer SS, który przedstawił się jako Obersturmbannführer Gerard von Bauch.

– Alina Charme – powiedziała cicho i wyjęła z torebki papiery.

– Co pani robiła na przyjęciu? – pytał, stojąc za jej plecami. Przypomniał się jej Freud i seanse, podczas których profesor siedział z tyłu, a ona nie mogła spojrzeć mu w oczy. Odpowiadając oficerowi, odwróciła głowę, szukając kontaktu wzrokowego. Wiedziała, że to dobrze usposabia pytającego.

– Zostałam zaproszona – powiedziała głosem pełnym zdumienia. – Pan ambasador zawsze zaprasza mnie na...

– Dobrze – przerwał jej. – Jak dobrze znała pani zamordowanego?

– Zamordowanego? – Zasłoniła usta dłonią. – To nie był atak serca? O Boże, Boże...

Bauch zrobił kilka kroków. Alicji trzęsły się ramiona, zasłaniała rękoma twarz, udając szloch.

– No dobrze, dobrze... – złagodniał oficer. – Proszę odpowiedzieć na pytanie: Jak dobrze znała pani Alberta von Ekhema?

– To był mój stary znajomy... – odrzekła słabo. – Jeszcze przed wojną jego rodzina bywała u nas... Alberta znam dobrze, ale ostatnio nie utrzymywałam z nim bliskich kontaktów...

– Dlaczego? Skoro znała pani nie tylko denata, ale także jego rodzinę?

– No cóż. – Zaczęła wyłamywać nerwowo palce. – To mężczyzna, który lubi rozrywki, nocny Paryż, a ja... jestem wdową...

Oficer znieruchomiał.

– Zechce mi pani wybaczyć – powiedział. – Nie miałem pojęcia.

– To już trzy lata, odkąd Daniel nie żyje. – Oczy jej same zwilgotniały jak zwykle, kiedy wspominała ukochaną. – Zginął w katastrofie lotniczej... Proszę pytać... Rozmawiałam z Albertem na

przyjęciu, może mogłabym w czymś pomóc.

– Właśnie. – Rozchmurzył się Obersturmbannführer. – Powiedziano mi, że pani rozmawiała z zamor... z denatem krótko przed śmiercią. O czym rozmawialiście?

– Właściwie o niczym. – Jej twarz przybrała wyraz skupienia. – Pytał, jak się bawię na przyjęciu i czy smakuje mi szampan... Jemu nie smakował...

– Czy powiedział dlaczego? – kapitan zadał swoje pytanie tonem tak poważnym, jakby chodziło o zbiega w masce umykającego przez okno.

– Tak – odrzekła Alicja gorliwie. – Albert nie pije... to znaczy, nie pił wina musującego, zawsze był to oryginalny szampan. Dostrzegł oczywiście różnicę i odpowiednio to skomentował. Bo widzi pan, Albert jest... to znaczy był strasznym snobem...

– I dlatego wylała mu pani szampana na koszulę?

– Ależ skąd! – zaprzeczyła gwałtownie. – To był wypadek... Ja chciałam odstawić kieliszek, aby móc bez przeszkód bić brawo podczas przemówienia, a kelner nie zrozumiał i dlatego... Ale nic się nie stało... To było białe wino... Nie zrobiło nawet plamy...

– Czemu osobiście wycierała pani denata?

Alicja przełknęła ślinę i spróbowała się uśmiechnąć.

– Wtedy jeszcze żył... Krzyczał na kelnera, a to była moja wina, więc pomyślałam, że tyle mogę zrobić dla tego biednego chłopaka, którego zaraz wyrzucą z pracy, a być może ma na utrzymaniu rodzinę...

Oficer SS nagle zaczął się przechadzać za jej plecami od ściany do ściany. Odwróciła się i śledziła jego kroki. Gerard von Bauch miał na twarzy wypisaną gwałtowność i konsekwencję w działaniu. Alicja nie zdziwiła się, kiedy do ambasady przysłano grupę SS zamiast policji kryminalnej. Niemcy musieli zdawać sobie sprawę z tego, że śmierć niemieckiego szpiega na przyjęciu w strzeżonej placówce raczej nie może być przypadkiem. Chociaż Alicja spodziewała się raczej abwery, a nie esesmanów, których metody były mało finezyjne i raczej nieskuteczne, nie okazała przed kapitanem zdumienia.

– A co pani powie o osie? – spytał z westchnieniem w głosie. – Kilka osób zeznało, że w sali była osa, a panna Gruber stwierdziła, że ta właśnie osa użądliła hrabiego.

– Tak, Evie... to znaczy panna Gruber – poprawiła się Alicja – i biedny Albert opędzali się od osy. Potem on zaczął krzyczeć, że go użądliła. To już było po tym, jak wylałam szampana.

– Jest pani pewna?

Alicja pokiwała kilka razy głową.

– Absolutnie, panie kapitanie – dodała. – Jestem tego najzupełniej pewna.

– Jeszcze jedno... – Oficer pochylił się w jej kierunku. – Czy poznałaby pani tego kelnera, który obsługiwał panią oraz denata?

– Wydaje mi się, że tak – powiedziała powoli. – To był młody człowiek z niewielkim znamieniem na twarzy, taką brodawką na czole, i pieprzykami...

– Czy takim znamieniem jak na pani dłoni? – spytał nieoczekiwanie, pokazując na jej rękę.

Alicja wpatrywała się chwilę w ciemną plamkę w kształcie listka na prawej ręce. Ten kapitan był spostrzegawczy i nietaktowny.

– To rodzinne znamię. – Potarła palcem skórę. – Miały je moja mama i babcia... U tego kelnera to była zwykła brodawka i pieprzyki...

– To wszystko, proszę pani. – Bauch się uklonił. – Zechce pani przy wyjściu zostawić adres, na wypadek gdybym miał jeszcze jakieś pytania. Mój człowiek zaprowadzi panią do kelnerów. Wprawdzie nie ma wśród nich żadnego z pieprzykami, ale może znajdzie go pani. Goede – rzucił do młodego oficera odzianego w czarny mundur – idź z panią...

Alicja pożegnała się z szacunkiem z esesmanem i poszła za wskazanym oficerem. Podeszli do grupki mężczyzn w białych marynarkach. Alicja spojrzała na każdego uważnie.

– Nie – powiedziała stanowczo – tego mężczyzny tu nie ma.

Grubo po północy pozwolono jej wreszcie pójść do domu. Wchodząc do mieszkania, zapaliła małe boczne światło. Quasimodo, kot, którego przygarnęła, zabierając go ze śmietnika w pierwszą rocznicę śmierci Daniela, otarł się o jej łydkę.

– Który z dżentelmenów użyczył ci samochodu? – spytał Franek, ubrany już w strój domowy. – Niedobrze to wygląda, kiedy wracasz do domu samochodem gestapo.

– Miałam iść nocą przez Paryż sama? Po godzinie policyjnej? – mruknęła i wzięła Quasimoda na rękę. – Masz to?

– Mam – potwierdził. – Dobra robota...

Pokręciła głową.

– Starzeję się, mój drogi – westchnęła i przytuliła twarz do miękkiego futerka. – Nie sprawdziłam pokoju profesora fizyki.

– Miałaś za mało czasu. – Franek podszedł do stolika i nalał sobie whisky. – Ledwie zdążyłem odkleić pieprzyki i brodawkę, wyjąć sprzęt z ryżu i prysnąć.

Uśmiechnęła się do niego. Franek uwielbiał takie przebieranki. Wkładał peruki o nietypowych kolorach włosów, doczepiał niepasującą do jego urody brodę albo przyklejał bliznę lub znamiona. Ludzie zwykle nie przyglądali się rysom twarzy, tylko pamiętali bardzo jasne, prawie białe włosy, bliznę biegnącą przez cały policzek albo gęstą, skołtunioną brodę.

– Miałabym czas, gdyby nie to, że wrócił do pokoju... – Wyciągnęła rękę po szklankę z alkoholem. Quasimodo skorzystał z okazji i skoczył na fotel.

Franek podszedł i objął ją. Przytuliła się do jego ramienia. Jej syn, brat i najlepszy przyjaciel miał już ponad czterdzieści lat, był wysoki i przystojny. Ona mimo sześćdziesiątki na karku wciąż wyglądała świeżo i młodo.

– To po co mówisz o wieku? To raczej ja nie przypominam młodego kelnera... Najważniejsze, że ta szumowina nie żyje...

– To prawda – potwierdziła. – Albert von Ekhem to był zwykły szczur. Już tam w piekle czekają na niego i podgrzewają kocioł.

Pokiwał głową. Wiedział, jak cierpiała, kiedy zmuszano ją do eliminowania wrogów, choćby były to takie kreatury jak hrabia, który miał na sumieniu niejedno życie. Przed wojną nigdy nikogo nie osądzała, a teraz, mimo że robili to za nią inni, to ona miała „kule nosić” za Pana Boga.

– Dasz sobie radę? – Pocałował ją w czoło.

– Tak, tak kochany... – Poglaskała go po głowie. – Położę się. Coś czuję, że ten oficer nie do końca kupił historię z osą i ma wątpliwości, jeśli chodzi o moją obecność na przyjęciu. Pewnie jutro zechce wysłuchać moich zeznań ponownie.

– Może będzie szukał kelnera... – Uśmiechnął się szelmowsko. – Może też nie jest wrażliwy na urodę kobiet jak wielu esesmanów...

– Jego obawiam się mniej. – Zasepiła się. – Niepokoi mnie Ludvig Bernstorff...



Szeptała bajkę wprost do ucha gorączkującemu dziecku. Nie była pewna, czy mała Lily rozumie, co do niej mówi, ale sam jej głos uspokajał chorą dziewczynkę. Ktoś położył Alicji rękę na ramieniu.

– Odpocznij trochę – powiedziała Catie.

Alicja pokręciła przecząco głową.

– Nie potrzebuję odpoczynku, Cat. Dziękuję... Poczekam, aż penicylina zacznie działać... Oby nie było za późno.

Catie dotknęła ręką czoła dziecka.

– Musi pomóc – powiedziała z naciskiem. – Gdyby nie ty...

– Daj spokój – przerwała jej Alicja. – Mogłabym robić więcej.

Catie zabrała nietkniętą przez dziecko zupę.

– Jeszcze więcej? – szepnęła. – Skupujesz cały zapas penicyliny na czarnym rynku. Leki i opatrunki mamy już tylko dzięki tobie. Zostaniesz bez pieniędzy...

Alicja wzięła od Catie świeże kompresy i położyła dziewczynce na głowie i po obu stronach szyi.

– Daniel zostawił mi dość. A do grobu pieniędzy nie zabiorę. – Wzruszyła ramionami.

Do sali ktoś wszedł. Obejrzały się obie. W drzwiach stała młoda pielęgniarka Pauline. Była przestraszona.

– Ktoś pytał o panią, siostró Aline... – powiedziała cicho. – Czeka w gabinecie...

Spojrzały na siebie z Catie porozumiewawczo.

– Idź. – Cat odprawiła ją gestem dłoni. – Ja posiedzę z dzieckiem, potem rozdram leki. Tylko szybko wracaj!

To było ich niepisane powiedzonko, które miało rozpraszać obawy. Nigdy nie rozmawiała z Catie o swojej działalności na rzecz wywiadu. Oczywiście stara przyjaciółka nie była głupia i domyślała się, że oprócz ratowania życia dzieciakom Alicja wykonuje jeszcze inne zadania. Nie zadawała jednak żadnych pytań. Alicja nie organizowała osobiście transportu leków. Ktoś mógł ją zauważyć i zapamiętać. Taka kobieta jak ona rzucała się w oczy. Nawet w szpitalnym uniformie i czepku odkrywającym jedynie twarz była olśniewająco piękna. Catie podziwiała ją i wiernie przy niej trwała. Alicja była matką chrzestną jej starszej córki i przyjaciółką domu. Wiedziała o tym, że Cat w razie wpadki zaryzykuje życie swoje i własnej rodziny, żeby ocalić większą sprawę. Od lat pracowały razem, śmiały się i razem płakały. Od czasu wybuchu wojny i klęski Polski, a potem Francji, śmiechu miały niewiele, za to powodów do płaczu nie brakowało. „Wracaj szybko” – mówiły, kiedy groziło im niebezpieczeństwo, kiedy ktoś niepowołany interesował się ich działalnością w szpitalu. Kiedy pytano, czemu taka osoba jak

Alina Charme pracuje w miejskim szpitalu jako pielęgniarka zamiast zajmować się wyłącznie własną osobą albo kiedy interesowano się liczbą wyleczeń czy zgonów na oddziałach dziecięcych.

Alicja ostrożnie podeszła do swojego gabinetu i zajrzała przez szybkę. Potem szybko weszła do środka.

– Niech cię diabli, Julian – powiedziała, siadając. – Wystraszyłeś mnie...

– Wybacz, Aline, nie chciałem. – Zaciągnął się papierosem. – To biedne stworzenie, które mnie tu przyprowadziło, boi się własnego cienia. Uważajcie na nią.

Alicja wzdrygnęła się. Naprawdę nie znosiła dymu papierosowego. Paliła jedynie wtedy, kiedy wymagała tego od niej sytuacja. Mężczyzna podał jej kartkę, na której były wypisane dwa adresy w różnych dzielnicach Paryża.

– Pewne? – spytała.

Pokiwał głową.

– Sprawdziłem oba. Na ten pierwszy możesz wysłać nawet dwójkę. Bogaci ludzie. Ten drugi też pewny, ale tylko jedno dziecko; najlepiej około trzyletnie, dobrze byłoby, żeby to była dziewczynka. Stracili córkę...

Włożyła kartkę do wewnętrznej kieszeni fartucha.

– Dziękuję. Coś jeszcze? Zgaś, proszę, papierosa...

Jeszcze raz mocno się zaciągnął i zgniótł go w popielniczkę. Alicja opróżniła ją i starannie umyła.

– Aresztowali jednego z kelnerów. Ponoć ktoś z gości zeznał, że podejrzanie się kręcił.

– Kto to jest? – zaniepokoiła się.

– Autentyczny kelner z prawdziwym pieprzykiem na twarzy – westchnął Julian. – Przed wojną pracował w Ritzu... Zwolniono go, kiedy hotel zajęli Niemcy, i okazało się, że pradziadek tego chłopaka był Żydem.

Zrobiło się jej gorąco.

– Mógł poznać Franka? – spytała, tracąc oddech.

– Z moich informacji wynika, że pracowali razem jedynie miesiąc. On na sali, a Franek obsługiwał gości w recepcji...

Przez głowę przebiegały jej myśli, jedna za drugą.

– Mogli się spotkać w hotelu, a ten kelner mógł go zapamiętać – stwierdziła. – Musisz natychmiast przetrzymać Franka do Szwajcarii.

– Oficjalnie nie ma go na terenie Francji – przypomniał jej Julian. – Jeśli jednak tamten coś powie, dodadzą dwa do dwóch... Będą wiedzieli, że twoja obecność na terenie ambasady nie była przypadkowa. Przyjdą nie po Franka, ale po ciebie...

– O siebie się nie boję. – Zmarszczyła brwi. – Franek musi być bezpieczny. Załatw to.

Potarł skronie. Od wielu lat jego włosy były przyprószone siwizną. Wokół oczu miał siateczkę zmarszczek.

– Załatwię – obiecał. – Ty się tymczasem specjalnie nie pokazuj. Nie szukaj Bernstorffa, bo jest sprytniejszy, niż myśleliśmy.

– Muszę iść na pogrzeb Alberta – stwierdziła. – Był w końcu moim... przyjacielem.

– Też tak myślę, ale uważaj. Organizacja jest zdania, że byłoby najlepiej, gdybyś na jakiś czas zaprzestała swojej szpitalnej działalności.

– Wykluczone, mój drogi – prychnęła niezadowolona. – Kiedy dałam ci się zwerbować, postawiłam warunek, że będę mogła pracować w szpitalu.

– Owszem, a organizacja uznała to za doskonałą przykrywkę. Bycie przykrywką dla twojej przykrywki to praca, która zajmuje mi najwięcej czasu, energii i jest najbardziej niebezpieczna.

Skrzyżowała ręce na piersi, bo wiedziała, jak bardzo nie lubił tego gestu.

– Przecież masz siatkę chłopaków, którzy kupują leki. Nie robisz tego sam.

– ...i siatkę kobiet hodujących kury, które ty rozdajesz biednym rodzinom. W sam raz robota dla starego agenta, nadzorowanie hodowli kur – stwierdził z przekąsem.

Roześmiała się, widząc jego nieszczęśliwą minę. Skrzywił się i dodał:

– Nie na taką „pracę” się umawialiśmy. To, co robisz, jest stokroć bardziej niebezpieczne niż działalność dla organizacji. Twoja praca jako pielęgniarki miała dać ci alibi, pokazać cię jako ekscentryczną wdowę, która lubi dzieci, bo... – przerwał.

Wstała i spojrzała na niego z góry. Kiedyś go kochała, a on złamał jej serce. Na szczęście na jej drodze stanął Daniel i precyzyjnie je posklejał.

– Bo nie mogę mieć własnych – dokończyła. – To chciałeś powiedzieć?

Wziął ją za rękę zaciśniętą w pięść. Nie zwolniła uścisku, ale jak zwykle jego bliskość ją osłabiła.

– Wybacz... – poprosił. – Wciąż cię...

– Idź już – rzuciła, nie patrząc na niego.

Objął ją i pocałował w czoło. Mimowolnie zamknęła oczy i skarciła się za ten gest słabości.

– Leki i opatrunki znajdziesz za dużą szafą w kostnicy – powiedział na odchodnym. – I jeszcze jedno. Mikrofilm dotarł, a organizacja...

– Jest mi wdzięczna, wiem – powiedziała zniecierpliwionym tonem. – Podobnie jak za zasługi, które dopiero im oddam.



ROZDZIAŁ II

Pogrzeb hrabiego nie zgromadził tłumów. Alicja w stonowanej czerni, ale bez woalki zakrywającej twarz – ostatecznie nie była blisko związana ze zmarłym – dyskretnie obserwowała wchodzących do kościoła. Evie spowita od stóp do głów w czerń szlochała w pierwszym rzędzie, tuż za trumną. Zdumiała ją obecność licznie zgromadzonych przedstawicieli SS, wermachtu i abwery. Sądziła, że nieco mniej ostentacyjnie będą podkreślali swoje związki z zamordowanym, choćby dla dobra śledztwa. Obok Evie siedziała starsza kobieta, również ubrana na czarno, z surowym wyrazem twarzy. A więc takie kanalie jak Albert von Ekhem mają matki, pomyślała Alicja. A może przede wszystkim tacy jak on... Dostrzegła wśród żałobników Ludviga i siłą powstrzymała uśmiech. Przez cały czas trwania mszy żałobnej czuła na karku jego wzrok, toteż nie zdziwiła się, kiedy po wyjściu z kościoła podszedł do niej.

– Spodziewałem się tu panią zobaczyć – powiedział.

– A ja się pana nie spodziewałam... – odparła. – Czemu pan przyszedł?

– No wie pani co? – Aż przystanął. – Chciałem okazać szacunek.

Ona nie zwolniła kroku. Dogonił ją nieco zdyszany.

– To był pani przyjaciel, wiem... – rzekł pojednawczym tonem. – Niech pani tak nie biegnie.

Podziwiam was, kobiety... Takie wysokie obcasy, a tempo... Nie mogę nadążyć.

– Słabą ma pan kondycję – stwierdziła kwaśno. – Albert nie był moim przyjacielem, to tylko znajomy.

– To czemu pani przyszła na pogrzeb? – zainteresował się.

– Tak wypadło – ucięła.

– Wy, Francuzi, jesteście niesamowici... – westchnął i podał jej ramię, którego nie przyjęła.

– Wy, Niemcy, nie – odparowała.

Wyszedł krok przed nią i stanął tak, że musiała się zatrzymać.

– Jestem Austriakiem – szepnął. – Z Wiednia.

Drgnęła, usłyszawszy nazwę miasta, które było jej domem przez długie lata. Opanowała się jednak natychmiast.

– Jak Führer... – skomentowała. – Będzie pan za mną szedł? Nie wypada...

– Chciałem panią zaprosić na kawę, ale pani tak biegnie...

Alicja przystanąła i przyjrzała się Ludwigowi z uwagą. Nadarzała się dobra okazja do zbliżenia się do tego człowieka, w końcu nie wypełniła do końca powierzonego jej zadania. Skinęła głową z namysłem.

– Dobrze. – Wzięła go pod ramię. – Zgadzam się tylko dlatego, że stawia mnie pan publicznie w niezręcznej sytuacji. Możemy iść na kawę, chociaż uprzedzam, że takiej kawy jak w Wiedniu to się pan nie napije – dodała nieopatrznie.

Poprowadziła go nieco okrężną drogą, chciała przejść koło miejsca, którego nie odwiedzała od wybuchu wojny. Przed butikiem Coco przy rue Cambon stała jak zwykle kolejka żołnierzy wermachtu.

Każdy chciał kupić flakon perfum Chanel nr 5 i podarować swojej żonie albo dziewczynie. Owiane legendą dzieło Coco było najbardziej pożądaną pamiątką z Paryża.

– Proszę kiedyś stanąć w tej kolejce i kupić dziewczynie perfumy mojej znajomej Coco Chanel – doradziła, wskazując palcem rząd mężczyzn.

– Przyjaźni się pani z mademoiselle Chanel? – spytał i spojrzał na nią z uwagą, a potem dodał: – Nie mam dziewczyny...

– To narzeczonej – odpowiedziała swobodnie.

– Też nie mam... – wyznał. – Nie musiała się pani uciekać do pokazywania mi tego tłumku. Wystarczyło spytać o mój stan cywilny...

– Przejrzał mnie pan – westchnęła.

Usiedli w pierwszej napotkanej kawiarni o prostej nazwie Cafe au Premier Étage, która istotnie mieściła się na pierwszym piętrze szarej kamienicy na Champs-Élysées.

– Skąd pani wie, jak smakuje kawa w Wiedniu? – spytał, kiedy usiedli. – Była tam pani? Kiedy?

Zdjęła powoli rękawiczki i odłożyła je na stolik.

– Niech mnie pan z łaski swojej nie przesłuchuje – powiedziała cicho.

Wyraźnie się speszył.

– Ależ nie... – Wycofał się. – Byłem tylko bardzo, ale to bardzo ciekawy. Skoro to jednak tajemnica... Mówiłem, że chcę odkryć pani tajemnicę...

– Żadna – odparła lekkim tonem. – Byłam w Wiedniu kilka razy, głównie przed ślubem. Lubiliśmy z mężem tamtejszą operę...

– Czyż teatry w Paryżu nie są lepsze? – roześmiał się nieco zbyt głośno.

Jakaś francuska para spojrzała na nich z dezaprobatą. Ludvig uniósł dłonie w geście przeprosin.

– Kwestia gustu – odparła. – Można chadzać na spektakle w Paryżu i w Wiedniu...

Podeszła kelnerka. Alicja zamówiła herbatę, Ludvig poprosił o kawę i ciastko.

– Myśli pani, że otrzymam szarlotkę czy raczej lody? – zwrócił się do niej po niemiecku.

Była przygotowana na taką ewentualność.

– Jestem zdumiona, że wobec kryzysu, jaki przyniosła ze sobą wojna, w kawiarniach jeszcze podawane są ciastka – odpowiedziała po francusku. – Pan wybaczy, ale moja niemczyzna jest nieco... kulawa, a pana francuski znakomity.

Kelnerka przyniosła filiżankę herbaty, kawę oraz kawałek ciasta drożdżowego. Bernstorff spojrzał na ciastko i się skrzywił.

– No dobrze. – Alicja upiła łyk zaskakująco dobrej herbaty. – Proszę powiedzieć, o co panu chodzi.

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– Mnie? O nic, doprawdy. Czy nie można być zainteresowanym piękną kobietą?

Szmery w kawiarni ucichły. Alicja przypuszczała, że niemiecka mowa uciszyła francuską parę siedzącą za nimi. Dziewczyna niespokojnie zerkała na Alicję, a chłopakowi drżała ręka, kiedy podnosił do ust filiżankę z kawą. Zrobiło się jej żal młodych ludzi i rozżłościła się na Ludwiga.

– Jestem wdową – powiedziała cicho.

– Tak, wiem. – Zawiesił głos. – Nie przestała pani być piękną kobietą. Ponawiam pytanie, czy nie mogę okazać jawnie, jak bardzo intryguje mnie pani uroda?

– Może pan, chociaż nie jestem przyzwyczajona do tak jawnej uwagi... – Znów podniosła filiżankę do ust. – I w czasie wojny jest to zawsze podejrzane. Zwłaszcza w obliczu naszego nieoczekiwanego spotkania oraz morderstwa.

– A skąd pani wie, że to było morderstwo? – spytał. Upił łyk kawy i przełknął z wyraźnym wysiłkiem.

– Uprzedzałam pana, że to nie wiedeńska kawiarnia – uśmiechnęła się. – Powiedział mi to przesłuchujący mnie oficer SS. Panu zapewne też, więc proszę nie udawać...

– Nie zdziwiło to pani? – dociekał. – Ludzie giną na wojnie, dosięgają ich skrytobójcze kule, ale morderstwo? To do wojny zupełnie nie pasuje...

Alicja patrzyła na niego na pozór obojętnie. Jeśli udawał, a była pewna, że tak jest, robił to bardzo nieumiejętnie. A może to z siebie chciał zrobić idiotę, żeby Alicja zdradziła się z czymś, czego nie powinna wiedzieć? Zwrócił się do niej po niemiecku, bo chwilę wcześniej powiedziała, że była w jego rodzinnym mieście. Ale z faktu, że było się w Wiedniu, nie wynika jednak znajomość niemieckiego. A więc o co mu chodziło, zastanawiała się. Może naprawdę mu się podobam?

– Mnie się wydaje, że wszystko pasuje do wojny. To czas, w którym reguły nie obowiązują – odpowiedziała. – Albert nie mógłby zginąć na wojnie, ponieważ nigdy by się nie zaciągnął do wojska. Nie należał do najodważniejszych. A jeśli pan chce bawić się w detektywa, to do czego ja jestem panu potrzebna? Proszę współpracować z SS. Powiedziałam im wszystko, co wiedziałam.

– Właśnie – kontynuował, jakby nie słyszał tego, co powiedziała. – Dlaczego śledztwo prowadzi SS, a nie policja kryminalna?

– Mogę tylko przypuszczać. – Zbliżyła nieznacznie twarz do jego twarzy i kontynuowała konfidencjonalnym tonem: – Albo SS nie wierzy w skuteczność policji kryminalnej, albo Albert zginął przez pomyłkę, albo też miał jakieś interesy z gestapo.

Odsunął z ulgą niedopitą kawę i uniósł palec.

– Pani jest genialna! To musi być rozwiązanie.

Dopiła swoją herbatę.

– Powinniśmy chyba... – Przywołała kelnerkę.

– Tak, tak... pani się zapewne spieszy... – powiedział nieuważnie i utkwiał w niej wzrok. – Chciałem spytać, dokąd pani poszła po wyjściu z łazienki?

– Nie rozumiem...

– Bo widzi pani, ja, kiedy tylko ten biedny człowiek upadł i zaczął się bałagan, pobiegłem na górę do swojego pokoju. Podejrzewałem, że to pozorowane działania mające na celu odwrócenie uwagi i dotarcie do materiałów, które przywiozłem.

Podeszła kelnerka, a Ludvig wręczył jej banknot znacznie przekraczający rachunek i z czarującym uśmiechem stwierdził, że „reszty nie trzeba”. Wstali i Ludvig pełnym galanterii gestem podał jej płaszcz oraz rękawiczki. Naciągnęła je na dłonie. Wychodząc, uśmiechnęła się do młodej pary, która odprowadzała ich wzrokiem z wyraźną ulgą.

– I co? – spytała już na ulicy. – Materiały były na miejscu?

– Tak, tak... Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby... – Złapał się za głowę.

Ten człowiek wykonuje zbyt dużo teatralnych gestów, zauważyła. Niczym południowiec, a nie chłodny Austriak.

– ...wpadły w niepowołane ręce – dokończyła ze znużeniem.

– No właśnie... Myliłem się jednak. Ktoś chciał zabić tego nieszczęśnika, kiedy pani była w łazience. Ponoć jakiś kelner niczym Indianin strzelił do niego strzałką nasączoną kurarą... Wcześniej dla niepoznaki wypuścił osę.

Przystanęła i uniosła brwi ze zdumieniem. Stali tak chwilę i wpatrywali się w siebie. Ludvig pierwszy odwrócił wzrok.

– Przeraza mnie pan swoimi opowieściami – powiedziała w końcu. – Straszny z pana kompan...

– A pani jest najbardziej intrygującą kobietą, jaką poznałem w Paryżu. Może nawet nie tylko w Paryżu.

– Uśmiechnął się. – Czy mogę spytać, gdzie pani mieszka? Pójdziemy piechotą czy mam wezwać taksówkę?

– Pójdę sama – uśmiechnęła się krzepiąco. – Pan pozwoli, że się pożegnám. Muszę wstąpić gdzieś na chwilę. Do domu wrócę później. Dziękuję panu za towarzysztwo, Ludvigu...

Uklonił się z galanterią i ucałował końce jej palców.

– A wie pani, że w Wiedniu mieszkam przy Spitalgasse? – powiedział, kiedy już odchodziła.

Nie zdołała powstrzymać drgnienia ust. Opanowała się jednak natychmiast.

– Czy to jakaś szczególna ulica? – spytała obojętnie.

– Nie, zupełnie zwyczajna – mruknął. – Jest tam zakład fotograficzny, a w nim zdjęcia. Przysięgłbym, że uwieczniono panią na jednym z nich...

– To niemożliwe. – Pokręciła głową.

Odeszła pogrążona w myślach. Nie pamiętała, aby od początku swojej działalności czuła się równie niepewnie. Przy najbliższym kontakcie musi poprosić Juliana, aby dowiedział się jak najwięcej o Ludvigu Bernstorffie.



Krążyła po Paryżu ze świadomością, że jest śledzona. Gdyby tylko chciała, z łatwością zgubiłaby ślad, ale tym razem zależało jej, aby ci, co ją śledzą, podążyli za nią. Postanowiła jednak nieco im to utrudnić. Kluczyła już dobre pół godziny. Teraz skręcała w lewo w rue de Vaugirard, potem obeszła cały plac Saint-Sulpice. Przy rue Mazarine weszła do małego sklepiku i kupiła mydło, gawędząc ze sprzedawczynią. Wojna poniżyła Francuzów, ale nie zdołała odebrać im podstawowych przyzwyczajęń. Mademoiselle za kontuarem była ubrana z paryską dyskretną elegancją, odpowiednio do swego stanowiska. Kawałek mydła starannie zawinęła w papier i przewiązała sznurkiem, robiąc z niego wstążkę. Cena nie była zbyt wygórowana, ale przed wojną Alicja mogłaby za te same pieniądze kupić perfumowane mydło w drogerii na Saint-Denis. Następnie skierowała się nad rzekę. Widok Sekwany zawsze ją uspokajał. Minęli ją dwaj oficerowie wermachtu, nie zwracając na nią uwagi. Usiadła na ławce i położyła obok siatkę z zakupem. Sięgnęła ręką pod ławkę, jakby czegoś szukała, potem siedziała jeszcze kilka minut mimo przenikliwego zimna, jakie było od rzeki. Nie rozglądała się na boki, ale po

chwili ich dostrzegła. Dziewczyna i chłopak nieco zbyt pochłonięci rozmową, teatralnie objęci, przystanęli kilka metrów od jej ławki. Słyszała strzępki konwersacji o urodzie rzeki, zupełnie bez znaczenia. Co im powiedziano? Że śledzą potencjalnego szpiega? Na pewno nikt nie posunąłby się do wyjaśniania im takich kwestii. Dziwiła się młodym ludziom, którzy tak chętnie przyczyniali się do klęski swojej ojczyzny. Co nimi kierowało? Chęć niewielkiego zarobku i bezmyślność. Nie interesowało ich, jakie mogą być konsekwencje takiego postępowania. Prawdopodobnie usłyszeli, że ona jest wrogiem i należy ustalić, z kim się spotka. Wstała i skierowała się ponownie w lewo, do Cité, okrążyła katedrę Notre Dame i poszła w stronę Wyspy św. Ludwika. Para usiadła na chwilę na ławce, poszukała pod skrajną deską czegoś, czego tam nie było, po czym wstała i w podskokach podążyła za nią. Alicja skręciła w rue Saint-Louis-en-l'Île i przez most weszła na prawy brzeg. Znow przysiadła na ławce, czekając na parę, i wpatrzyła się w rzekę od drugiej strony. Lubiła jednakowo prawy i lewy brzeg. Kochała spacerować po Paryżu, późne powroty z Danielem z opery czy kabaretów, kiedy bezceremonialnie zrzucała buty i szła na bosaka. Para kręciła się wokół niej w odpowiedniej odległości. Wreszcie zdecydowała, że skróci ich męki. Wstała z ławki i udała się do pobliskiej biblioteki. Zanim weszła do budynku, zauważyła, że para rozdzieliła się i tylko dziewczyna weszła za nią, ale została na parterze, wnikliwie studiując drobne ogłoszenia.

Wiadomość czekała na nią w bibliotece. Pożyczała książki regularnie, jeden raz w tygodniu. Zachowała ten zwyczaj jeszcze z czasów, kiedy przyszła tutaj wycieńczona i brudna z Franiem przy boku. Książki pozwalały jej poczuć się jak u siebie w domu. Po wybuchu wojny część księgozbiorów bibliotecznych została spalona na dziedzińcu, co w Alicji wywołało bunt tak wielki, że gotowa była gołymi rękoma zamordować Niemców, którzy polewali stopy bezcennych woluminów benzyną. Uważała ich za zbrodniarzy wojennych i postanowiła, że kiedyś ich wytropi i każe zapłacić za zniszczenie bezcennego dziedzictwa kultury. W bibliotekach zostały książki, które nowa władza uważała za bezpieczne, głównie francuskie tłumaczenia niemieckich dzieł. Wypożyczała zatem klasykę, którą znała i kochała, tłumacząc sobie, że Goethe i Schiller nie są winni temu, że są Niemcami. Dla Wagnera nie była już taka łaskawa. Popełniał typowy dla artystów grzech pychy, tyle że w skali światowej. Ceniła w nim jedynie wegetarianizm, bo jego monumentalne dzieła męczyły ją i drażniły swoim patosem. Kiedyś wpadły jej w ręce jego polemiczne pisma, w których odmawiał Żydom uzdolnień i tym samym krytyki jego utworów. Szalonego Ludwika Bawarskiego wykorzystał bez skrępowań, a żonę ukradł Hansowi von Bülowowi. Tak, Alicja nie lubiła Wagnera i odmawiała mu prawa do bytowania w jej domu do tego stopnia, że oddała wszystkie jego partytury, które gromadził Daniel, oraz pozbyła się zarejestrowanego na płytach *Pierścienia Nibelunga*. Ile razy myślała o Wagnerze i o zasługach, jakie oddał Hitlerowi i Trzeciej Rzeszy, gotowała się w niej krew.

– Dziś poproszę *Czarodziejską górę* – powiedziała do mademoiselle Lupert, która pracowała w bibliotece ponad czterdzieści lat.

Jean Lupert skinęła głową i wyjęła żadaną przez Alicję książkę z szuflady biurka. Alicja zmarszczyła brwi. Mademoiselle miała ojca, który walczył w czasie pierwszej wojny światowej i poległ od zbłąkanej kuli podczas powrotu do domu. Alicja nigdy nie pytała o szczegóły jej życia prywatnego, wiedziała tylko, że Jean jest patriotką, głęboko pogardza Niemcami i nie ma rodziny. To ona wskazała ją Julianowi jako potencjalne źródło kontaktów, a ten natychmiast zaproponował współpracę, którą kobieta przyjęła z godnością, odrzucając wszelkie sugestie gratyfikacji. Alicja wzięła książkę i rozejrzała się dookoła.

– Nikogo nie ma oprócz nas – powiedziała Jean, usprawiedliwiając tym samym fakt, że wyjmując Manna z szuflady zamiast, jak zwykle, z półki na zapleczu.

– Bardzo dziękuję – odparła Alicja, pokazując palcem, że podążająca za nią dziewczyna czeka piętro niżej. Musi powiedzieć Julianowi, że ta droga przekazywania informacji nie jest już bezpieczna. Kto wie, co opowie śledząca ją swojemu szefowi.

– Proszę zwrócić książkę, nie później jak za dwa tygodnie – napomniała ją surowo kobieta. – Jest wielu chętnych na tę pozycję, a poprzednią książkę przetrzymała pani o jeden dzień.

– Przepraszam bardzo – głos Alicji był pełen skruchy. – Pani wie, jak kocham Stefana Zweiga...

Bibliotekarka nie mogła powstrzymać uśmiechu. Stefan Zweig był austriackim Żydem, antyfaszystą i pacyfistą. W proteście przeciwko wojnie wyemigrował najpierw do Wielkiej Brytanii, następnie do Stanów Zjednoczonych. Obecnie przebywał w Ameryce Południowej, gdzie całym swoim życiem świadczył przeciwko Hitlerowi. Dziewczyna na dole mogła słyszeć tę rozmowę, ale pewnie nie wiedziała, kim był poznany osobiście przez Alicję Zweig. Nie miała także pojęcia o tym, że Alicja wymienia zakazanego przez Niemców autora.

– Proszę na siebie uważać – bezgłośnie powiedziała do Jean, a ta kiwnęła głową i uspokajającym gestem położyła jej rękę na ramieniu.

Alicja po złożeniu podpisu i opuszczeniu biblioteki udała się jeszcze na pobliski targ, gdzie kupiła trochę warzyw. Wracała do domu szybkim krokiem, nie troszcząc się o to, czy śledzi ją nadal ta sama para, czy już tylko chłopak, a dziewczyna zdaje raport na gestapo. Nie zdziwiła się zatem, kiedy pod domem zauważyła grupę esesmanów. Przechodnie mijali ich z daleka, opuszczając głowy. Nie mogła się zawahać. Podeszła i przywitała się z Gerardem von Bauchem.

– Zakładam, że panowie już byli u mnie w domu i mnie nie zastali... – powiedziała spokojnie, ale z lekką trwogą w głosie. – Czy jakiś postęp w sprawie śledztwa dotyczącego śmierci biednego Alberta?

– Istotnie, zamierzam zadać pani kilka pytań dotyczących prowadzonego przeze mnie śledztwa, a nie chciałem stawiać pani w niezręcznej sytuacji i wzywać do naszej siedziby – powiedział sztywno.

– Przychodząc tutaj, również stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji – zauważyła i otuliła się mocniej płaszczem. – No cóż, zapraszam do mnie...

Weszli za nią do środka i natychmiast udali się do salonu. Usiedli na szeszlunku Daniela, nie czekając na zaproszenie.

– Ależ proszę, niech panowie usiądą. – Nie mogła się powstrzymać, żeby nie wytknąć im braku ogłady.

Młodszy chrząknął i wstał. Ona sama nie usiadła, tylko zaniósła siatkę do kuchni i wyjęła z niej warzywa.

– Czy może nas pani poczęstować kawą? – spytał Bauch.

– Niestety nie – powiedziała lekkim tonem. – Nie ma u mnie takich luksusowych towarów.

– A co pani posiada? – spytał młodszy i zabrał siatkę. Wyjął z niej Manna i przekartkował.

– Pani czyta? – spytał.

– Wyłącznie książki, które nie są zakazane – odrzekła.

– Pani pozwoli, że najpierw my przeczytamy tę... książkę – powiedział.

Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy.

– Książka jest własnością biblioteki. Proszę mi ją oddać i to natychmiast.

Pchnął ją tak mocno, że uderzyła o ścianę. Zasłoniła się rękoma przed kolejnym ciosem i natychmiast zaczęła płakać.

– Wystarczy! – powstrzymał kolegę Bauch i zwrócił się w jej stronę. – Niech nas pani nie prowokuje.

– Czego ode mnie chcecie? – załkała, próbując sięgnąć po Manna.

Młodszy oficer SS zabrał jednak książkę i schował do teczki. Potem strącił warzywa ze stołu tak, że rozsypały się po całej kuchni. Przyłgnęła do ściany, skuliła się i zamknęła oczy.

– Błagam panów... – powiedziała cicho.

Bauch podszedł do niej.

– Już inaczej śpiewasz, prawda? Mamy do ciebie, ślicznotko, kilka pytań...

Złapał ją za ramię i zaciągnął do pokoju, a potem siłą posadził na fotelu. Nie przestawała trząść się i płakać.

– Dlaczego nie powiedziałaś podczas przesłuchania, że miałaś męża Żyda?

– Pan nie pytał... Ja... Mój mąż zmarł przed wojną... Ja... Odżegnałam się od niego i wróciłam do panińskiego nazwiska... – Próbowwała wstać, ale udała, że zakręciło się jej w głowie, i ponownie opadła na fotel.

Bauch stanął za nią.

– Aresztowaliśmy jednego z kelnerów na przyjęciu... – powiedział. – Nie przyznał się wprawdzie do zabójstwa hrabiego von Ekhema, nie zdążył się przyznać... Ale powiedział nam ciekawe rzeczy o pani, pani Charme...

– Ależ to niemożliwe – wyszeptwała. – Ja tego kelnera widziałam pierwszy raz w życiu. Mówiłam panu, że było mi go tak żal, że wylał...

– Nie o tym kelnerze jest mowa... – rzucił krótko Bauch. – Tamten był złodziejaszkiem, który uciekł. Panna Gruber miała na sobie cenne perły, prezent od hrabiego, które zostały skradzione...

Alicja zamyśliła się na chwilę. Owszem, Evie miała na szyi perły, ale raczej daleko im było do prawdziwości.

– Ja nie mam nic wspólnego z kradzieżą – mówiła, próbując nadażyć wzrokiem za krążącym wokół niej oficerem.

– Aresztowaliśmy człowieka, który powiedział nam, że zna panią. Ponoć przed wojną bywała pani w hotelu Ritz, gdzie pracował...

– Tak. – Kilkakrotnie pokiwała głową. – To prawda. Bywaliśmy tam z mężem i przyjaciółmi... To prawda...

Zagryzła wargi.

– Dlaczego pani nie bywa tam teraz? – spytał. – Pani przyjaciółka mademoiselle Chanel jest gościem hotelu...

– Nie bywam, bo teraz... – przerwała i zasłoniła usta rękoma. Potem skuliła się, czekając na cios, który jednak nie nastąpił. – Spytajcie, panowie, tego kelnera – wyszeptwała. – Niech wam powie. Od wybuchu

wojny nie byłam w hotelu Ritz.

– Już go nie spytamy – krótko odpowiedział Bauch. – Książkę jednak sobie pożyczymy. A jeśli to coś więcej niż książka...

Uniósł wolumen do góry jedną ręką, a drugą dotknął kabury pistoletu. Zamknęła oczy i wcisnęła głowę w ramiona.

Kiedy zamknęła za nimi drzwi, poprawiła włosy, patrząc w lustro, i wytarła rozmazany własną ręką tusz do rzęs. Zawołała „kici, kici”, a Quasimodo wyszedł ze swojej kryjówki pod łóżkiem i się przeciągnął. Potem poszła do kuchni i pozbierała warzywa. Obrała je, pokroiła na kawałki i wrzuciła na patelnię. Usiadła nad parującym daniem w kuchni i jedząc, zastanawiała się, czemu miała zawdzięczać ten pokaz siły. Skoro nic na nią nie mieli, czemu przychodzili do domu i zabierali książkę? Żywiła nadzieję, że nie zechcą złożyć wizyty Jean Lupert. Starsza dama wyglądała na niezłomną, ale Alicja doskonale wiedziała, że gestapowcy nie są czuli i potrafią uderzyć kobietę czy dziecko. Wierzyła, że okazała wystarczająco dużo „strachu” podczas rozmowy i pozostawia ją na razie w spokoju.

Udała się do części bibliotecznej i wzięła z półki własny egzemplarz *Czarodziejskiej góry*, po czym otworzyła go na setnej stronie. Ze skrytki w ścianie wyjęła książkę szyfrów i zaczęła odczytywać wiadomość.

Spotkanie arcy mistrzów w Stambule. Właściwy musi otrzymać plany, drugi ma wyjechać bezpiecznie z fałszywymi badaniami. Pojedziesz na zlecenie tutejszej władzy. To Albert miał przekazać plany. Zaproponuj ci to sami.

Ludvig Bernstorff rzeczywiście jest naukowcem i znanym w Wiedniu bon vivantem. Liczne kochanki. Wpadłaś mu w oko. Wciąż cię kocham.

Zmięła kartkę w rękę. Nie wiedziała, co rozzłościło ją bardziej. Ostatnie zdanie, które kończyło każdą wiadomość od Juliana, czy brak konkretów na temat Ludviga. Nie mogła jechać do Stambułu. Gestapo odwiedzało ją w domu, musiała wypełniać swoją misję w szpitalu. Za duże ryzyko... Czemu Julian narażał ją na tak niebezpieczną misję? Myśli przelatywały jej przez głowę. Czy Julian jest pewien, że Niemcy zgodzą się, ba, sami zechcą wysłać ją do Stambułu? Czy to przypadkiem nie jest pułapka?

Odsunęła pusty talerz i zatopiła się w lekturze *Czarodziejskiej góry*, z kotem drzemiącym u jej boku. To była jedna z jej ulubionych książek.



ROZDZIAŁ III

Zgodnie z zapowiedziami Juliana poproszono ją o przewiezienie „pewnych materiałów” do Stambułu. Uczynił to generał abwery von Stein, poznany na przyjęciu kilka miesięcy wcześniej. Alicja była przyzwyczajona do takich próśb i nigdy nie dociekała, co wspólnego mają z niemieckim wywiadem i samym Julianem. Przykrywka kobiety z towarzystwa, ze znajomościami, współpracującej z Niemcami działała doskonale. W ciągu ostatniego roku Alicja na zlecenie Juliana odbyła kilka takich podróży, przewożąc cenne przesyłki i przy okazji niejako demaskując niemieckich szpiegów czy pozbawiając życia tych, których należało wyeliminować. Ta podróż jednak była zupełnie inna. W ostatniej chwili Julian uprzedził ją, że w tym samym kierunku wybiera się także hrabia von Bernstorff. Była przekonana, że to nie jest przypadek. Zastanawiała się, na ile to sprawka Juliana, który – mimo deklaracji o miłości do niej myślał – jedynie o tym, jak wygrać wojnę, a na ile dowództwa niemieckiego, które posłało za nią szpiega. Zakładając oczywiście, że Ludvig nim był.

– Zaczynam myśleć, że śledzi mnie pan, doprawdy... – powiedziała z przemożnym zdumieniem w głosie, kiedy uśmiechnięty jak zwykle niestosownie do czasów, w jakich przyszło im się spotykać, stanął w progu jej przedziału.

Nie poprosiwszy o pozwolenie, usiadł naprzeciwko. Pociąg wszedł w ostry zakręt i Ludvig przechylił się na bok, a potem zabawnie udawał, że uderzył się o framugę okienną i stracił przytomność. Leżał tak chwilę, a kiedy znów otworzył oczy, zrobił minę zbitego psiaka.

– Czy nigdy nie uda mi się pani rozśmieszyć? – spytał z nadzieją w głosie.

Pochyliła się do przodu.

– Wyznam panu coś – szepnęła. – Jestem niezwykle wesołą osobą. Kiedy widzę coś zabawnego, śmieję się, naprawdę.

Usiadł prosto z przesadnie poważną miną.

– No dobrze... – Wyjął z kieszeni talię kart. – Spróbujemy w ten sposób...

Szybko je potasował i rozłożył w rękach niczym prestidigitator. Następnie odwrócił w jej stronę.

– Proszę wybrać jedną – rzucił wesołym tonem.

Sięgnęła w jego stronę, ale cofnęła rękę.

– Nie, nie... proszę wybrać i zapamiętać – wyjaśnił.

Ponownie potasował karty i rozłożył je wachlarzowato. Wybrała damę kier i pokiwała głową na znak, że dokonała już wyboru. Sądziła, że Ludvig robi wszystko, aby ich spotkanie wyglądało na zupełnie przypadkowe. Tymczasem nie próbował nawet ukryć, że wie, że Alicja siedzi w przedziale dziesiątym. Poza tym tak otwarcie ją adorował. Nie umiała go rozgryźć. Zastanawiała się, czy jego zainteresowanie jest rzeczywiste, czy też podejrzewa ją o związek z zabójstwem Alberta lub, co gorsza, odkrył jej konspiracyjną działalność. Pomysł, że wie o jej misji ratowania dzieci, odrzuciła. Gdyby tak było, natychmiast doniósłby o tym gestapo i darował sobie wszelkie podchody. Ostatecznie był Austriakiem

i pracował dla samego Führera.

Tasował karty z zapamiętaniem, przekładał z wprawą jedną kupkę na drugą. Wreszcie wyrzucił karty w górę i złapał jedną z nich. To był as pik.

– Czy tę kartę pani zapamiętała? – spytał z zadowoleniem.

Jej mina wyrażała zakłopotanie.

– Niestety nie... To była inna karta... – powiedziała.

– Hmm... – zmartwił się. – A skąd mogę mieć pewność, że pani mnie nie oszukuje?

Zaczął zbierać karty z siedzeń i podłogi.

– Ma pan tylko moje słowo – rzekła. – Wybrałam damę kier.

– Ach, Dumas syn – uśmiechnął się szeroko. – Jak mogłem się tak pomylić?... To oczywiste, że wybrałaby pani damę. Idiota ze mnie, w dodatku nie znam się na kobietach.

– Proszę się tak surowo nie oceniać – pocieszyła go. – Nie wiem, jakim cudem można odgadnąć, o jakiej karcie się pomyślało.

Znała tę sztuczkę. To był popisowy numer Carlosa. Nigdy nie zdradził sposobu, w jaki odgaduje wybrane karty. Przypuszczała, że układa je w znanym sobie porządku. Była coraz bardziej zaniepokojona. Czyżby Ludvig jakimś cudem wiedział o cyrku Empire? Zabawy kartami nie były szczególnie rzadkie, pocieszała się, to rozrywka z upodobaniem uprawiana zarówno przez masy, jak i elitę. Sama wielokrotnie grała z Danielem w belotkę, kochając się z nim za każdym razem, kiedy kończyli grę, nie zważając, kto wygrywał.

– Posmutniała pani – przerwał jej myśli. – A ja chciałem panią rozbawić... Głupiec ze mnie...

– To nie pana wina – zaprotestowała. – Przypomniał mi pan mojego zmarłego męża. Lubiliśmy grać w karty we dwoje.

Zrobił strapioną minę.

– Bardzo przepraszam. Bardzo – zapewnił gorliwie. – Może chciałaby pani zagrać ze mną?

Pokręciła przecząco głową i wpatrzyła się w okno.

– Poruszam się chyba niczym słoń w składzie porcelany – znów zaczął. – Jestem przyzwyczajony do prostych austriackich kobiet... Francuzki tak mnie onieśmielają. Gdyby nie była pani Francuzką, wszystko byłoby znacznie prostsze...

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy spędzić z nim noc i spróbować wyciągnąć jakieś informacje na temat pocisków, nad którymi pracował. Nie dawało to jednak gwarancji, że pozbędzie się go zaraz potem. Uznała, że taktyka, którą obrała, czyli obojętność i bijący z niej smutek, są dobre, bo podgrzewają atmosferę i utrzymują jego zainteresowanie. Prędzej czy później będzie musiał odkryć karty. Dosłownie i w przenośni.

– Proszę sobie niczego nie wyrzucać. – Uśmiechnęła się samymi kącikami warg. – Nie ponosi pan winy za mój smutek. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Pociągnął. Odchyliła szerzej firankę.

– Utknęliśmy w szczerym polu – skomentował. – Pójdę się dowiedzieć, o co chodzi.

Kiedy wyszedł z przedziału, przez chwilę siedziała bez ruchu. Po kilkunastu sekundach wrócił i włożył

płaszcz, który wisiał na wieszaku naprzeciwko niej. Była pewna, że tak postąpi. Będzie chciał złapać ją na przeglądaniu jego dokumentów.

– Zmarzłby pan bez płaszcza. – Posłała mu spojrzenie pełne aprobaty.

Kiedy znów wyszedł, wyjęła z kieszeni kartkę i napisała do Girolamo. Wychyliła się na korytarz i przywołała konduktora. Wręczyła mu banknot i karteczkę.

– Bardzo proszę, aby pan wysłał tę wiadomość przy najbliższej okazji. – Uśmiechnęła się. – Inaczej pewna mała dziewczynka będzie bardzo zawiedziona, że nie otrzyma prezentu na urodziny...

Konduktor skinął głową i spiesznie się oddalił. Alicja podniosła okno salonki i wychyliła głowę. W oddali dostrzegła sylwetkę Ludviga. Rozmawiał z jakimś mężczyzną w skórzanym płaszczu. Pokręciła głową z dezaprobatą. Albo on jest niezwykle naiwny, wręcz głupi, albo wie, kim jestem, i tylko gra przede mną nieświadomego. Tylko dlaczego? Kiedy wrócił, zastał ją dokładnie w tej samej pozycji, opartą na płaszczu i otuloną kocem.

– Czemu stoimy? – spytała.

– Pytałem takiego jednego smutnego pana, ale nie chciał mi powiedzieć. – Usiadł znów na swoim miejscu. Wcześniej zdjął płaszcz i zerknął na pozostawiony bagaż. Alicja go nie ruszyła, więc bawił ją jego wzrok.

– Trzeba było się przedstawić, może by pan uzyskał odpowiedź.

– Podróżuję trochę jakby incognito – wyznał ze wstydem. – Ze względu na moją misję.

– Doprawdy? – Roześmiała się. – Teraz mnie pan naprawdę rozbawił. Trudno o kogoś bardziej nieodpowiedniego do dyskretnych misji.

– Dlaczego? – spytał. – Bo tyle mówię? Nie wierzy pani, że mógłbym być doskonałym szpiegiem? – Popatrzył na nią z wielkim zainteresowaniem.

– Na pewno byłby pan łakomym kąskiem jako potencjalny szpieg, ale za bardzo zwraca pan na siebie uwagę. Jest pan przystojny i ma tego świadomość. Ogląda się pan za każdą kobietą, a kiedy chce wysłać wiadomość, robi pan to tak nieumiejętnie, że nawet ktoś tak naiwny jak ja jest zdolny to rozpoznać...

Klepnął się rękoma w uda.

– A więc i to pani zauważyła... – mruknął. – Chciałem, żeby nadali telegram do mojej rodziny. Nie pisałem długo, a siostrzenica ma urodziny.

To mógł być przypadek, ale znów nie potrafiła zahamować drgnięcia policzka.

– Mógł pan to zrobić w Paryżu – zauważyła.

– Mogłem – pokajał się. – Ale zupełnie zapomniałem. Przypomniałem sobie nagle, kiedy pociąg stanął. Konduktor obiecał jednak, że robi to dla mnie przy najbliższej okazji.

– Ile lat ma pana siostrzenica? – spytała.

– Osiem – powiedział z zadowoleniem. – Karla. Urocze maleństwo. „Wujciu, chcem lulu”... Mówi tak, żebym jej śpiewał na dobranoc.

– Ośmiolatka i jeszcze nie umie mówić poprawnie? – spytała ze zdumieniem w głosie. Wyraźnie nie przećwiczył tej rozmowy.

– A to szelma! – Nie stracił rezonu. – Jest pani pewna, że ona udaje?

– Najwyraźniej kpi sobie z pana, żeby śpiewał jej pan na dobranoc...

– Oraz kupował lody... – dodał ze wstydem.

– A co pan kupił na urodziny? Jestem ogromnie ciekawa... – Patrzyła na niego nieco wyzywająco.

Chciała dać mu do zrozumienia, że nie wierzy w istnienie siostrzenicy i jej urodzin.

Machnął ręką. Nie był to elegancki gest, zupełnie niestosowny dla hrabiego, właściwy raczej mężczyźnie może i obytemu, ale nie w takim towarzystwie, jakie sugerował jego tytuł.

– Muszę się pani przyznać, że moja kuzynka, jej matka, przyjmuje ode mnie kapitał i sama wybiera coś stosownego. Opakowują to w sklepie, a na przyjęciu dowiaduję się, co kupiłem, kiedy Karla rzuca mi się na szyję i krzyczy: „dziękuję”.

– W jakim hotelu zatrzyma się pan w Stambule? – spytała, z góry znając odpowiedź.

– Jumeirah...

– Rozczarowuje mnie pan – powiedziała niezbyt grzecznie. – Mogłabym poprosić o przeniesienie. Nie lubię natrętów.

Jeśli był urażony, to nie dał tego po sobie poznać.

– Zapraszam panią do Süreyya Opera House, mam dwa bilety... – powiedział, jakby nie próbowała go właśnie obrazić. A może misja, którą otrzymał, nie przewidywała klęski, a najbezpieczniejszym sposobem, aby ją śledzić i wybadać, co ma do zrobienia, było okazywanie jej autentycznego zainteresowania? Dobrze, w takim razie grajmy w tę grę, pomyślała ze znużeniem. Nie spytała o tytuł spektaklu, tylko odwróciła głowę w stronę szyby, patrząc, jak pociąg przemierza puste połączenie okupowanej Europy.

– Nawet nie próbuje pan udawać, że nasze spotkanie jest przypadkowe, prawda? – spytała smutnym tonem.

– Chciałaby pani, żebym udawał? Uwierzyłaby pani w taki przypadek? Że nie wiem, kto panią wysłał do Stambułu?

Teraz zmienił ton. Był żarliwy, ale odwoływał się do jej poczucia logiki. Może jej zadanie było jedynie pretekstem do tego, aby mogła poznać Ludviga nieco bliżej?

– Wydawało mi się, że taka adoracja pani nie interesuje... – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Co się jeszcze panu wydawało?

– Że taka kobieta jak pani, Alino Charme, lubi, kiedy mężczyzna nie obraża jej inteligencji. Zatem tak, odkąd panią zobaczyłem w ambasadzie, nie mogę spać. Może zasnę, jeśli będę wiedział, że pani śpi gdzieś obok. A może i nie... Posłano mnie, abym niejako panią ochraniał i prędzej umrę, niż pozwolę panią skrzywdzić.

Wziął ją za rękę. Nie cofnęła jej, ale ciągle uparcie wpatrywała się w czerń nocy. W końcu się odezwała:

– Kiedyś na tej trasie jeździł Orient Express... Zajęlibyśmy teraz miejsce w romantycznej, luksusowej salonce i zamówili lakierowane przepiórki... A potem...

– A potem? – spytał.

– A potem miałby pan kilka nocy na skruszenie mojego oporu – powiedziała, odwracając twarz w jego



– Wyglądasz jak Dumasowska Konstancja, widzę w tobie Irene Adler, a mam przeczucie, że jesteś Milady, czemu?

– Pewnie chciałbyś wyglądać jak d'Artagnan, przedstawiasz się jako Sherlock Holmes, a sugerujesz, że jesteś Atosem...

Roześmiał się.

– Jesteś niezwykła, ale już ci to mówiłem.

– Wielokrotnie w nocy. A kiedy zaczęliśmy mówić do siebie po imieniu? – spytała, przewracając się na plecy.

– Kochaliśmy się całą noc, czy to nie wystarczy? – Pocałował jej powieki, a potem wargi. Nie oddała pocałunku.

– Może tobie to wystarczy... – Wstała, owijając się prześcieradłem, i poszła do łazienki. – Wezmę kąpiel.

Spojrzała na siebie w lustrze. Miała wygląd kobiety, która spędziła noc ze świetnym kochankiem i całkiem jej się to podobało. Ludvig niewiele ustępował kunsztem Danielowi, musiała to przyznać. Od czasu jego śmierci miała kilku mężczyzn, z żadnym nie czuła się emocjonalnie związana. Żaden też nie zagościł w jej pamięci na długo. Do tego stopnia, że kiedy spotykała ich w operach lub na rautach z żonami lub innymi kochankami, zdawała się nie pamiętać ich imion ani tego, w jaki sposób się kochali. Jeden z nich, wpływowy francuski polityk, współtwórca państwa Vichy, adorował ją przez blisko rok, zanim wpuściła go do łóżka, a to też tylko dlatego, że musiała uzyskać wiadomości na temat rozmieszczenia wojsk niemieckich. Krótkie zbliżenie pewnej listopadowej nocy niepoprzedzone żadną grą wstępną, jedynie mocnym pocałunkiem, skończyło się uzyskaniem niezwykle cennej informacji, że Niemcy z terytorium Francji zamierzają zaatakować Belgię i Holandię, które to państwa uważane były za neutralne. I pomyśleć, że po tej nocy tenże polityk oświadczył się jej, argumentując, że rozpałała jego zmysły do szaleństwa i nigdy nie przeżył takiej ekstazy. Jak ubogie musiało być jego życie erotyczne, prawie zrobiło się jej go szkoda. Odrzuciła oświadczenia, przypominając, że bądź co bądź była żoną Żyda i chociaż ten Żyd nie żyje, nie przestał należeć do gatunku ludzkiego znienawidzonego przez nazistów. Jeszcze przez kilka miesięcy otrzymywała bukiety róż, następnie tulipanów z Holandii oraz storczyków zza oceanu, aż Francuz zwrócił swoją uwagę ku innej. Julian prawie wtedy oszalał z zazdrości, przypominała sobie, kiedy leżała zanurzona w wodzie po szyję. Kto wie, co bardziej go bolało, to, że on sam nie mógł jej mieć, czy fakt, że oddawała się innym mężczyznom. Julian... Jej pierwszy prawdziwy mężczyzna, pierwszy, którego kochała jak kobieta, nie jak dziewczynka. Zbliżenia między nimi przypominały miłość niedoświadczonej, chociaż chętnej pensjonarki i bywałego w świecie dojrzałego partnera, pomyślała, i jej twarz oblał rumieniec wstydu. Dopiero Daniel nauczył ją, czego powinna wymagać od mężczyzny, co może otrzymać jako kobieta i co powinna oddać. Kochała go tak jak nigdy nikogo nie pokocha i jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków, kiedy zginął.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Kochanie... – Usłyszała głos Ludviga.

– Tak? – odparła z westchnieniem.

– Pójdę do siebie i spotkamy się na kolacji, dobrze?

– Dobrze – powiedziała z ulgą. Miała nadzieję, że nie czekał na nią w łóżku. Była też ciekawa, czy ośmielił się przetrząsać jej rzeczy. Sprawdzi to, kiedy zostanie sama.

Po jego wyjściu jeszcze kilkanaście minut leżała w ciepłej wodzie, potem wstała szybko, osuszyła skórę i wtarła w nią krem z olejkiem różanym. To była jej jedyna słabość, luksus, na jaki sobie pozwalała. Na szczęście Julian wiedział o tym i sobie tylko znanymi sposobami zdobywał go dla niej z Bułgarii. Tyle razy, ile wdychała jego zapach, myślała o Magurze i obiecywała sobie, że pojedzie do jego rodzinnego miasteczka i zapali świecę na grobie Marijki, i opowie rodzinie jego historię. Jeśli oczywiście ktokolwiek jeszcze pozostał przy życiu. Włożyła szlafrok i wyszła z łazienki. Jej walizka leżała w miejscu, w którym ją zostawiła. Włos, który przytrzasnęła klapą, zniknął. Znalazła go nieopodal. A więc jednak przeszukiwał jej rzeczy. Otworzyła klapę i przekonała się, że owszem, i to niezbyt umiejętnie. Ślepy by poznał, że grzebano w mojej bieliźnie, westchnęła. Może uznał, że i tak się zorientuję, wolał tym samym nie zacierać śladów.



– Jesteś olśniewająca – powiedział, kiedy zeszła do hotelowej restauracji.

Miała na sobie jedną z sukienek Coco, sprzed wojny, ale stworzoną specjalnie dla niej. Suknia, nietypowa dla Coco, była uszyta z bordowej organdy, praktycznie bez ozdób. „Będzie udekorowana jedynie twoją urodą, moja droga”, powiedziała wtedy Chanel. Alicja wkładała ją wielokrotnie. Daniel uwielbiał żonę w tej sukni. Mówił, że ubrana w nią rozpęta wojnę. Cóż, miała nadzieję, że tym razem ją zakończy.

– Czemu grzebałeś w moich rzeczach? – spytała.

Wyraźnie się stropił.

– Wybacz – powiedział ze skrucą w głosie. – Nie było cię obok, a ja chciałem dotykać czegoś, co miałoby twój zapach, co nosiłaś...

– Nie rób tego więcej – ostrzegła. – To niegrzeczne.

Alicja zastanawiała się, czy to on ma być jej łącznikiem w Stambule. Nie odważyła się jednak wypowiedzieć przekazanego przez Juliana hasła.

– Jesteś pewna, że to, co dla nas zamówiłaś, będzie mi smakowało? – Ludvig próbował odszyfrować tureckie potrawy. – Może trzeba było poprosić o coś francuskiego albo austriackiego?

Skrzywiła się i uniosła oczy ku niebu.

– Nie mów, że w każdym miejscu na świecie szukasz sznycła wiedeńskiego.

– Nie szukam go tylko dlatego, że jedynie w Wiedniu podają go odpowiednio zrobionego. A do sznycła lubię ziemniaki zapiekane z kminkiem.

Ponownie drgnęła. Ciocia Kundzia podawała kartofle przyrządzone w taki właśnie sposób i z tego, co Alicja sobie przypominała, nie była to typowo wiedeńska kombinacja. Zapragnęła dosypać mu czegoś do wina i tym samym zamknąć sprawę, zwłaszcza że podświadomie pragnęła powtórki ostatniej nocy, a to już było niepokojące i mogło skończyć się dla niej tragicznie. Tymczasem kelner przyniósł oba dania.

– Jedz – zachęciła go. – To kasza bulgur i baranina zapiekana z przyprawami. Do tego duszone bakłażany.

Sięgnęła po buteleczkę z octem winnym, chcąc podlać jego danie.

– Nie – wykrztusił. – Proszę, nie...

Zdumiona cofnęła rękę. Zawołał kelnera.

– Proszę to zabrać – powiedział zduszonym głosem. Potem zwrócił się do niej: – Przepraszam – rzekł.

– Przepraszam.

Dokończyli kolację w milczeniu.



– Zepsułem kolację, wybacz – powiedział, kiedy weszli do pokoju.

Objęła go. Zaczynali grać w otwarte karty. Jeśli teraz wysłucha jego historii, być może prawdziwej, zwłaszcza jeśli prawdziwej, może otworzyć się przed nią piekło. Czy była na to gotowa? Nie, zdecydowała, człowiek nigdy nie jest gotowy na rozczarowanie, na przyjęcie zdrady. Można ścierpieć głód, fizyczny ból, ale rozczarowanie i tęsknota potrafią zabić.

– Opowiedz – poprosiła.

– To niezbyt męska historia, niegodna profesora fizyki i uwodziciela, na jakiego zawsze pozowałem...

– Mimo to opowiedz mi. – Wzięła go za rękę. – Lubię opowieści...

– Ta jest raczej tragiczna. – Uśmiechnął się smutno.

– Jutro może nas nie być – przypomniała mu. – Mnie może nie być...

Usiadł na pościelonym starannie łóżku, zdjął marynarkę i rozpiął guzik koszuli.

– Jestem trzecim synem Franca Bernstorffa i Zofii Szegeszwar, hrabianki węgierskiej – zaczął. – Tak – powiedział, widząc, że jest zdumiona. – Moja matka była Węgierką. Rodziców spokrewnionych ze sobą, wprawdzie daleko, ale jednak, od najmłodszych lat przygotowywano do tego, że kiedyś stworzą rodzinę i połączą fortuny Szegeszwarów i Bernstorffów. Dziadkowie sympatyzowali z władzą. Ktokolwiek zasiadał na tronie albo był prezydentem, ministrem czy wyższym urzędnikiem, siedział im w kieszeni. Rodzice, szczególnie ojciec, byli przygotowani do przejęcia interesów i pomnażania majątku. Pobrali się, kiedy matka skończyła siedemnaście lat. Byli małżeństwem zaaranżowanym. Dosłyszałem kiedyś, a musisz wiedzieć, że jako dziecko chętnie i dużo podsłuchiwałem, że problemy zaczęły się od razu po skonsumowaniu związku. Szok spowodowany taką brutalnością, na którą matka ponoć nie była przygotowana, ujawnił jej chorobę psychiczną. Początkowo nikt nie wiedział, że to jakieś głosy w głowie kazały jej robić różne rzeczy. Nie od razu były one makabryczne czy odrażające. Ot, kazała zbić służącą, którą posądzała o kradzież szylkretowej spinki do włosów czy niezbyt dokładne oczyszczenie sreber. Zwymyślała starego kamerdynera, że zaniedbuje swoje obowiązki. Nazwała go „ślepy młody człowiek”. Wszyscy kładli to na karb wychowania we dworze, na którym przecież wielbiono każdy jej ruch i spełniano życzenia, zanim zdążyła je wypowiedzieć... Ojciec widział ją taką, jaką chciał ją widzieć. Piękną towarzyszkę dziecięcych zabaw, z którą sypiali jako dzieci w jednym łóżku. Wkrótce domostwo obiegła radosna wieść, że rodzice spodziewają się potomka. Poród podobno był horrorem. Matka krzyczała, że rodzi diabła, że nie chce, aby przyszedł na świat... Piastunki i akuszerki modliły się, był

ksiądz... Urodził się jednak zdrowy syn. Otto... Ponoć wtedy wszystko się zmieniło. Matka złagodniała, stała się czuła i z oddaniem opiekowała się maleństwem. Namalowano dwa portrety dziecka, na każdym było w objęciach matki, kiedy mały Otto zmarł nieoczekiwanie podczas snu. Opłakiwała go długo i głośno, pomstując z kolei na Boga, że zabrał jej dziecko. Na przemian modliła się w przydomowej kaplicy i krzyczała na grobie synka, że się zemści. Prawdopodobnie wtedy przyjaciel rodziny, światowa sława od chorób duszy, profesor Freud, został poproszony o konsultację i pomoc.

– Ten Freud? – spytała. Znów nie zdołała pohamować drgnienia twarzy.

– Tak, ten Freud – potwierdził. – Ponoć powiedział, że to nie kobieca słabość nerwów ani zwykła histeria, tylko ciężka choroba. Doradził odizolowanie matki w zakładzie zamkniętym. Ojciec miał wyprosić go z domu i wyrazić głębokie oburzenie diagnozą.

– Nie uwierzył, że wymaga leczenia? – Zapadła cisza tak ciężka, że musiała się odezwać.

– Prawdopodobnie ją kochał... – Roześmiał się gorzko. – I nie dopuszczał myśli, że może być szalona. W końcu znał ją od dzieciństwa, a Freud badał ją tylko kilka dni. Zresztą polepszyło się jej. Stała się rozmowna, przyjmowała gości... Potem urodził się Christian. Kiedy i on umarł niespełna kilka miesięcy po urodzeniu, nie wezwano ani Freuda, ani innego lekarza, tylko mówiono o klątwie, która ciąży nad domem Bernstorffów.

– Klątwa? – Alicja ścisnęła mu ramię pełna współczucia. Dla niej od początku było jasne, że matka była odpowiedzialna za śmierć obu chłopców. – Ojciec w to uwierzył?

– Niczego nie podejrzewał. – Ludvig zamknął oczy. – Na szczęście, kiedy ja się urodziłem, kazał przenieść moją kołyskę do pokoju piastunki. Egzorcysta, który został sprowadzony do pałacu, słusznie stwierdził, że złe czai się w sypialni matki. Utożsamiał je jednak z nieczystym powietrzem i kominem, w którym przed laty powiesił się jakiś nieszczęśnik źle potraktowany przez pradziadka, nie z chorobą matki.

– Uratował ci jednak życie...

– Ktoś nade mną czuwał. Stara służąca wytrąciła z rąk mojej ciężarnej matki spirytus, którym chciała mnie otruć w łonie. Piastunka nie spuszczała mnie z oka i nie dała się odesłać, nawet bita i lżona przez matkę... Wreszcie ojciec, który zastał ją, kiedy próbowała mnie udusić poduszką, podobnie jak wcześniej moich dwóch braci...

– I co wtedy zrobił?

Ludvig zerwał się nieoczekiwanie i podszedł do okna. Otworzył je i głęboko odetchnął. Pokój wypełniło mroźne powietrze. Alicja podeszła bliżej i położyła mu rękę na plecach, a potem się przytuliła. Serce waliło jej jak młotem. Tak robiła, kiedy Daniel wracał do domu z podróży. Skradała się i przytulała do jego pleców. Ludvig odwrócił się ostrożnie i objął ją.

– Ojciec zachował się, jak na człowieka honoru przystało. Oddał matkę do zakładu, gdzie liczył, że jej pomogą. Nigdy nie wystąpił o rozwód ani nie odzegnał się od niej. Nigdy też nie ujawnił prawdziwej przyczyny śmierci moich dwóch braci.

– Czy wynagrodził ci te straszne przeżycia?

Ludvig pokręcił głową.

– Ojciec kochał matkę do nieprzytomności. Raczej mnie winił za to, co się stało. Nie mnie jako osobę,

oczywiście, ale jako dziecko. Uważał, że to od rodzenia dzieci pomieszało się jej w głowie. Jakieś historie z wędrującymi macicami, krążącymi hormonami... Próbował wzywać egzorcystów, co chwila sprowadzał ją do domu, twierdząc, że się jej polepszyło.

– Freud tak doradzał?

– Freuda nie chciał znać. Bo profesor powtórzył swoją diagnozę, a za nim inni lekarze. Matka powinna być odizolowana, poddawana leczeniu, elektrowstrząsom... Nie chciał o tym słyszeć. Nigdy się na to nie zgodził, nawet kiedy udawało się jej opuścić swoją szpitalną celę i robiła szalone rzeczy. Wyrывała róże w ogrodzie, kalecząc ręce, potem w ten sam sposób wyrывała włosy, jakby to były chwasty. Winił siebie, mnie, lekarzy, nigdy jej...

– Nie mógł winić ciebie – powiedziała łagodnie, patrząc mu w oczy. Odwrócił wzrok.

– Sam siebie obwinałem i obwiniam... Wiesz, kiedy miałem pięć lat, matka wróciła do domu. Czujność oczywiście wzmożono, ale ojciec zachowywał się, jakby przyjechał nas odwiedzić najmilszy gość. Nie wiedziałem wtedy o wszystkich nieszczęściach, powiedziano mi jedynie, że mama była bardzo chora, ale teraz czuje się lepiej. Ojciec powtarzał do znudzenia, jak bardzo matka nas kocha...

– Co się stało podczas tej wizyty?

– Moja piastunka starała się nie spuszczać mnie z oka, ale posłana po coś do pokoju nic nie mogła poradzić. To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, niewątpliwie najbardziej intensywne. Matka wlewa mi do ust piekący płyn, jak się później okazało, ocet, który wzięła ze spiżarni. Szeptala przy tym coś o szatanie i przeznaczeniu. Łykałem to i spalało mi wnętrzności. I ten zapach...

Wzdrygnął się. Przytuliła go mocniej. Lekko drżał.

– Pamiętam krzyki, potem ciemność. Musiałem stracić przytomność. Ocknąłem się w szpitalu. Jakaś siostra głaskała mnie po twarzy i powtarzała, że już dobrze, że wyzdrowieję i wrócę do domu. Musieli mnie przywiązywać pasami do łóżka, bo za każdym razem kiedy słyszałem słowo „dom”, wpadałem w histerię.

– Przecież to jasne, że bałeś się matki, która była w domu. Lekarze powinni to wiedzieć.

Ujął jej twarz w swoje dłonie.

– Najbardziej podoba mi się w tobie to, że jesteś pielęgniarką i zajmujesz się dziećmi – powiedział. – Wyobrażam sobie wtedy, jakim jesteś aniołem...

– Nie jestem aniołem – zaprzeczyła z uśmiechem. – Najbardziej lubię opowiadać dzieciom historie...

– To też słyszałem o tobie – mruknął, a ona zeszywniała. Przez chwilę znów straciła czujność. Skarciła się za to. Opowieść Ludviga niewątpliwie była prawdziwa, wnioskowała to po jego przyspieszonym tętnie i rozszerzonych źrenicach. Pod tym względem była profesjonalistką. Nie powinna jednak zapominać, że był Austriakiem i konstruował plany, które miały za zadanie posłać mnóstwo istnień ludzkich, w tym dzieci, na tamten świat. I chociaż SS musiało dostarczyć mu oficjalne informacje na jej temat, powinna mieć świadomość, że poza nimi może wiedzieć coś, co nie jest dostępne szerokiemu gronu. I że jego atencja może okazać się udawana, a namiętność, chociaż autentyczna, nie musi oznaczać rodzącego się uczucia.

– Chodź. – Pociągnęła go w stronę łóżka. – Resztę opowiesz mi później.

– Teraz... – zaprotestował. – Potem nie zechcę do tego wracać. Wyszedłem ze szpitala do domu...

Matki tam nie było. Ojca także nie. On zjawił się po kilku miesiącach, jej nie zobaczyłem już nigdy. Nie wolno mi było o nią pytać... Nawet nie poczęstowano mnie kłamstwem, że umarła. Nikt mi nie wyjaśnił, co się wtedy stało. Nikt mi nie pomógł. Ojciec umarł w trzydziestym piątym roku. Uwielbiał Hitlera i długo szukał pokrewieństwa między jego rodziną a Bernstorffami. Pozostawił mi dziedzictwo jednej z najbardziej szanowanych rodzin w Austrii.

– Nie szukałeś matki? Nigdy nie rozmawiałeś z ojcem na jej temat?

– Szukałem jej, kiedy wyjechałem do Wiednia na studia. Znalazłem ją nie bez trudu, pomógł mi przyjaciel. Była w tym samym zakładzie, tyle że pod panińskim nazwiskiem i ojciec już jej nie odwiedzał. Łożył na jej utrzymanie do końca dwudziestego piątego roku, kiedy umarła, i nawet potem wpłacał hojne datki...

– Jak umarła?

– Wypiła ług, który spalił jej wnętrzności. Straszna śmierć. Wcześniej próbowała skończyć ze sobą, ale tylko się krzywdziła. Wyrывała włosy, bo odmawiano jej naturalnie fryzjera, żeby nie miała dostępu do nożyczek. Grzebieniem próbowała podciąć sobie żyły, ale i ten jej zabrano...

– Skąd miała ług?

Pokręcił głową i uniósł ramiona w bezradnym geście.

– Nie wiem..

Zamknął oczy. W ich kącikach pokazały się łzy. To takie niemęskie, pomyślała Alicja, ocierając mu policzki.

– Mówiłem, że nigdy więcej nie chcę do tego wracać, więc dokończę...

– Może wolisz po... – zaproponowała.

Zalewała ją fala współczucia. To było naturalne, że przypominała się jej własna historia. Matka, o której niewiele wiedziała, ojciec, którego kochała i nienawidziła. Ojczyzna, do której nie umiała wrócić, mimo że tyle razy próbowała.

– Nie... – zaprzeczył. – Powiem ci teraz, bo muszę to z siebie wyrzucić... Ojciec zamknął się w sobie. Ożywał się jedynie wtedy, kiedy robił interesy, wychodził do pracy, pomnażał fortunę, chociaż mieliśmy i tak więcej, niż moglibyśmy wydać. Kiedy Hitler doszedł do władzy i ojciec zaczął umacniać swoją pozycję, doradzono mu, żeby rozwiódł się z matką. Choroby psychiczne w rodzinie były bardzo źle widziane. Proces przeprowadzono by szybko i sprawnie. Na szczęście matka nie była ani Niemką, ani Austriaczką. Wyrzucał z domu każdego, kto sugerował coś podobnego. Kiedy dotarła do nas wiadomość, że ona nie żyje, raz jeden widziałem ojca pijanego i wrzeszczącego na cały pałac o klątwie i nieszczęściu. Krzyczał i płakał podobnie jak ona...

Nie powiedziała tego głośno, ale pomyślała, że rozwód z chorą psychicznie żoną chroniłby starego Bernstorffa, ale nie pomógłby w żaden sposób Ludwigowi. On jakby czytał w jej myślach.

– Ojciec był porządnym człowiekiem. Znalazł jakąś kuzynkę, starą pannę, która zgodziła się zostać jego drugą żoną, taką na papierze. Co więcej, „przyznała się” do romansu z ojcem w trakcie trwania jego małżeństwa. Zmieniono mi akt urodzenia. Od tej chwili byłem synem nie wariatki Ludwika Szegeszwar-Bernstorffa, ale Marii hrabianki Kirschner, to nic, że miała pięćdziesiąt lat, kiedy mnie urodziła. Papiery się zgadzały. Mogłem żyć dalej. *Segits magadon, s az Isten is megsegit* – dodał.

– Co to znaczy? – spytała.

– Bóg pomaga tym, którzy sobie pomagają.

Znów kochali się do świtu.



ROZDZIAŁ IV

Rano Alicja zostawiła śpiącego Ludviga w pokoju. Szybko się ubrała i wyszła na miasto. Na stole leżała kartka z informacją, że spotkają się dopiero po południu. Portiera poprosiła o taksówkę, która mogłaby ją zawieźć najpierw do Hagia Sophia, chwilę poczekać, następnie do restauracji Turcja, gdzie była umówiona na obiad, a potem do kawiarni Złoty Migdał, bo tam chciałyby wypić kawę. Żeby portier lepiej ją zapamiętał, wręczyła mu napiwek. Nie wątpiła, że opisaną marszrutę przekaże Ludwigowi. Wsiadła w taksówkę i udała się do meczetu. Tam wręczyła kierowcy banknot i poprosiła, żeby poczekał na nią dokładnie pół godziny, po czym pojechał do restauracji i tam czekał jeszcze przez godzinę. Potem był wolny. Gdyby ktoś pytał, miał powiedzieć, że czeka na klientkę, i dokładnie ją opisać. Taksówkarz spojrzął na banknot i kiwnął głową. Wsiadła. Kilka samochodów dalej zatrzymał się czarny ford. Kątem oka zauważyła trzech mężczyzn. Jeden siedział za kierownicą, dwóch na tylnym siedzeniu. Najwyższy, ubrany w czarny płaszcz, przeszedł na drugą stronę ulicy i wbił wzrok w taksówkarza, drugi ruszył za Alicją. Minęła słynny meczet i zerknęła z żalem na mauzoleum Sulejmana Wspaniałego, Ahmeda II i Sulejmana II. Przypomniał się jej Magura ze swoją niechęcią do Turków, którzy gnębili jego ojczyznę i zabili mu żonę. Musi kiedyś spełnić daną obietnicę i pojechać w Rodopy, żeby na grobie Marijki opowiedzieć jej historię Magury. Szła dalej. Tuż obok grobowca był inny, mniejszy. Alicja, znawczyni rzeczy pięknych, o niezwykłej spostrzegawczości oraz wiedzy, od razu poznała miejsce pochówku najwybitniejszego architekta Turcji Mimara Sinana, który zbudował więcej budowli niż jakikolwiek inny architekt na świecie, włącznie z własnym grobowcem, w którym spoczywał.

Znajdowała się w dzielnicy Sultanahmet, gdzieś pomiędzy Hagia Sophia a Błękitnym Meczetem. Tu powinna znajdować się kawiarnia, której szukała.

Bülbül Sultan, czyli „Słowik sułtana”, miała małe zakurzone drewniane drzwi i niezachęcające wnętrza widoczne przez okienną szybę. Zapukała trzy razy szybko, trzy razy wolno. W środku wypowiedziała hasło: „Musiałam się pomylić, to kawiarnia, a ja szukam łaźni miejskiej”. Chłopak odpowiedział: „Łaźnia była tu jeszcze w zeszłym roku” i wskazał schody do piwnicy. W zatęchłym pomieszczeniu siedział niski łysy mężczyzna, który mówił przesadnie wysokim, drażniącym głosem. Było tam ciemno i Alicja najpierw pomyślała, że łącznik jest przebraną kobietą, a następnie, że to eunuch, który jakimś cudem uciekł z bajek tureckich, z haremu sułtana. Powtórzyła hasło, on podał odzew.

– Jutro obaj będą w kasynie – powiedział. – Nic więcej nie zdołaliśmy ustalić. Nasz kontakt został wyeliminowany, zanim zdążył przejąć materiały. To pani zadanie.

– A jeśli kontakt mnie wydał? – spytała. Nie wątpiła, że albo został aresztowany, albo wpadł w inny sposób.

– Eliasz nie znał pani tożsamości. Ja do tej chwili także nie wiedziałem, że pani jest kobietą. Zresztą jego śmierć była przypadkowa.

– Jak to? – Nie wierzyła w przypadki.

– Zobaczył Niemców przed swoim domem, musiał się przerazić i dostał wylewu. Oni robili obławę na

kogoś zupełnie innego. Znalazła go służąca, która przyszła sprzątać. Nie mieliśmy wiadomości, czekaliśmy... Przeczytałem nekrolog.

Eliasz był zapalonym szachistą i miał zaaranżować spotkanie w kasynie oraz zasugerować, że Alicja chciałaby poznać obu arcymistrzów. Teraz sprawa się komplikowała. A najtrudniejszym i wciąż niezrozumiałym ogniwem była rola Ludviga.

– Dobrze. – Kiwnęła głową. – Jeśli mi się nie uda...

– Jeśli się pani nie uda – pisał „eunuch” – cała siatka na Bliskim Wschodzie będzie wymagała odnowienia, nowych kontaktów, materiałów i przede wszystkim pieniędzy...

– Czy ma pan kontakt z kimś poza Eliaszem? – spytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Miałem czekać tu na panią. Pani jest moim jedynym kontaktem.

Znajdowała się w rozpaczliwym położeniu. Nie mogła poprosić o pomoc Juliana. Nie mogła niczego się dowiedzieć ani zyskać nieco na czasie. W dodatku nie miała pojęcia, co wiedzą obaj arcymistrzowie, i żadnej hipotezy co do tego, który z nich jest właściwym łącznikiem. W hotelu, w swoim łóżku, zostawiła austriackiego fizyka, który pewnie podążał już za wskazanym przez nią tropem, na zewnątrz czekało na nią dwóch tajniaków.

– Proszę mi podać adres tego Eliasza – poprosiła.

– Jest pani pewna? To niebezpieczne... – zaśpiewał kontratenorem.

– Nie czas na takie skrupuły – mruknęła. – Przecież sam pan mówił, że zginął przypadkiem. Pójdę tam i się rozejrzę.

Podał nazwę ulicy i wytłumaczył, jak tam dojść. Na szczęście Eliasz mieszkał kilka przecznic dalej. Szybko zdjęła płaszcz i przewróciła go na drugą stronę. Był teraz czarny, a nie czerwony, w którym tu weszła. Wyjęła z torebki inną i przełożyła dokumenty, zwinęła starą i włożyła do środka. Na końcu okręciła kapelusz kolorową apaszką. Mężczyzna patrzył na nią z podziwem. Uśmiechnęła się do niego nie bez satysfakcji. Płaszcz był prezentem od Coco Chanel, podobnie od mademoiselle nauczyła się zmieniać kapelusz na zawołanie, trik z torebką był stary, ale powinien zadziałać. Z kawiarni miała wyjść zupełnie inna osoba niż ta, która do niej weszła.

– Na wszelki wypadek wyjdę wyjściem kuchennym – pożegnała się.

„Eunuch” pokiwał głową, następnie odprowadził ją wąskim korytarzem do prawie pustej kuchni. Szybko, nie oglądając się za siebie, ruszyła ulicą. Haghia Sophia została z tyłu. Alicja zmieniła chód. Z taksówki wyszła zalotnym krokiem, kołysząc biodrami, wyprostowana i z uniesioną głową. Z kawiarni wyłoniła się lekko zgarbiona, powłócząc nogami jak sterana życiem kobieta. Chód to jedna z najbardziej odsłaniających nas cech, wyjaśniano jej podczas przygotowań do konspiracji. Nie wystarczy założyć perukę. Trzeba jeszcze zmienić sposób poruszania się. Alicja zawsze o wszystkim pamiętała. Może dlatego wciąż żyła i realizowała kolejną misję.

Obejrzała się dopiero, kiedy była prawie przy domu Eliasza. Nikt podejrzany za nią nie szedł. Ubrani w skórzane płaszcze tajniacy gdzieś zniknęli. Alicja nie mogła zrozumieć, czemu Niemcy posyłają tak zwracających na siebie uwagę ludzi, aby śledzili innych. Czy jest ktokolwiek niezdolny ich rozpoznać, zwłaszcza w kraju południowym, gdzie mężczyźni wyglądają i zachowują się zupełnie inaczej?

Oczywiście mogło się zdarzyć, że tajniacy byli jedynie przykrywką dla właściwego śledzącego, który przemykał za nią niepostrzeżenie. Skręciła w boczną ulicę i zatrzymała się za wykuszem. Nikt nie skręcił za nią ani nie minął jej na ulicy. Wreszcie uznała, że jest bezpieczna. Szybko wbiegła na schody niskiego domu. Wyjęła wsuwkę z kapelusza i już chciała otwierać zamek, kiedy pod wpływem impulsu sięgnęła pod doniczkę ustawioną przy drzwiach. Klucz leżał tam zgodnie z południowym zwyczajem.

W środku panował porządek. Raczej nikt nie przeszukiwał domu. Spadkobiercy Eliasza, jeśli takowych miał, jeszcze tu zapewne nie dotarli. Rozejrzała się. Weszła do kuchni i otworzyła szafki. Wyjęła wszystkie puszki z herbatą i przeszukała je. Podobnie zrobiła z pojemnikiem na ryż. Pozostałe puszki były pełne zbyt sypkich przypraw. Mogłyby uszkodzić potencjalny mikrofilm. Przeszła do łazienki. W szafce stało tylko kilka buteleczek z lekarstwami. Nie znalazła nic, co mogłoby zawierać wiadomość. Pociągnęła każdy z wieszaków na ręczniki, następnie pchnęła je do ściany, ale nie otworzyła się żadna skrytka. Weszła do sypialni. Przestronna drewniana szafa głośno skrzypnęła i Alicja zamarła. Wsłuchiwała się w dobiegające odgłosy. Cisza. Uspokojona wróciła do szafy. Sprawdziła wewnętrzne kieszenie marynarek Eliasza. Znow nic. Znalazła szlafrok w kolorowe tureckie wzory. Sprawdziła starannie pasek, przesuając palcami centymetr po centymetrze. Gdzieś pośrodku znalazła zgrubienie. Odpruła sprawnie nitkę i wyjęła rulonik papieru. „Skoczek na D4”. Zaklęła, widząc tekst. Nie miała pojęcia, czy to jest hasło, czy miejsce, w którym Eliasza ukrył mikrofilm. Schowała wiadomość do kieszeni w podszewce płaszcza i wolno zamknęła szafę. Rozejrzała się po domu, ale nie znalazła nigdzie pudełka z szachami. Ponownie zaklęła. Szachy musiał ktoś zabrać. To niemożliwe, żeby zapalony szachista nie miał w domu pudła z figurami. Za oknem przejechał samochód. Odczekała jeszcze chwilę i wyszła szybko przed budynek, zamknęła drzwi na klucz i odłożyła go na miejsce. Już miała odejść, kiedy przyszło jej do głowy, żeby porozmawiać z którymś z sąsiadów. Nie znała tureckiego, oprócz kilku słów, ale przy odrobinie szczęścia może udałoby się jej czegoś dowiedzieć. Było jeszcze przed sjestą. Nacisnęła guzik dzwonka do domu stojącego przy Eliaszowym. Otworzyła starsza kobieta ubrana na czarno.

– Dzień dobry – powiedziała po angielsku i ukłoniła się bez specjalnej nadziei. – Jestem krewną... – Wskazała na drzwi Eliasza.

Kobieta popatrzyła na nią przestraszona i zamknęła Alicji drzwi przed nosem. Nic z tego, pomyślała. Odchodząc, dostrzegła poruszenie firanki w oknie naprzeciwko. Poszła szybko w tę stronę i zanim zdążyła nacisnąć guzik dzwonka, drzwi otworzyły się i w progu stanął rozczochrany siwy mężczyzna w samym podkoszulku.

– Krewna Ilii? – spytał po francusku. – Mówił, że ktoś z Francji ma przyjechać go odwiedzić. Nie doczekał się, biedaczek...

Zachęcającym gestem zaprosił ją do środka. Weszła do niewielkiej kuchni, usiadła przy stole nakrytym lepką ceratą. Na małym ogniu stał tygielek.

– Kawy? – spytał. – Jestem Aristopoulos, Ari. Grek turecki, przyjaciel Ilii.

– Poproszę o szklanek wody. Jestem jego daleką krewną. Przyjechałam z Francji, tylko ja mogłam przyjechać, bo moja mama...

Machnął ręką.

– Nie tłumacz się, dziecko – powiedział. – Ja się domyślam. Ilija był kiedyś we Francji, przywiózł pieniądze i kupił ten dom. Potem nikt go nigdy nie odwiedzał prócz mnie. Graliśmy w brydza i szachy.

A jak przyszła wojna, to naraz znalazło się mnóstwo jego kuzynów, a na belotkę i szachy przychodzili jacyś tacy... Nie wyglądali na szachistów. – Skrzywił się.

– A kto przyszedł przed jego śmiercią? – spytała, patrząc uważnie na Ariego i starając się nie dotykać brudnego stołu.

– Wiadomo kto, ale nie do niego. Mieszka tu taka jedna, tfu... Wywlekli ją i zabrali. Po południu poszedłem do Ilii na szachy. Graliśmy zawsze w poniedziałki po sjeście, o czwartej. I znalazłem go nieżywego. Pachniało cyjankiem. Wywietrzyłem, sprzątnąłem, spryskałem go wodą różaną, żeby znikł zapach gorzkich migdałów. Ilija by nie chciał, żeby go doktory patroszyły. A już śledztwo... uchowaj Panie... Rano Hatan go znalazła...

Popijała wolno wodę.

– Dziękuję panu w imieniu rodziny – powiedziała. – Czy zabrał pan coś z domu Ilii? Przepraszam, nie chodzi mi o nic cennego – dodała szybko, widząc, jak mężczyzna się żachnął.

Chwilę się wahał. Potem wstał i nalał sobie resztę kawy z tygielka. Upił mały łyk. Odstawił filiżankę i otworzył kuchenną szufladę. Alicja zobaczyła proste, duże brązowe pudło z szachami.

– Ja nie mam. – Uśmiechnął się krzywo.

Otworzyła pudło i wysypała figury na zewnątrz. Opukała je od wewnątrz, ale niczego nie znalazła. Figurki były drewniane, pudło podobnie, nie wyglądały na cenne ani kunsztowne. Brała do ręki po dwie bliźniacze figury i ważyła je z zamkniętymi oczami. Na koniec zostawiła sobie skoczki. Uważnie obejrzała czarnego i białego konia. Ari przyglądał się jej spod oka.

– Słabo gram w szachy – przyznała się. – Czy Ilija miał jakąś ulubioną pozycję, od której zaczynał albo kończył...

Pokręcił głową.

– Szachy były jego pasją. Czytał mnóstwo na ten temat i korespondował z jakimiś szachistami z Europy. Miał się nawet z nimi spotkać jutro, ale... umarł, biedak.

– Miał jakąś ulubioną figurę? – dociekała.

Pokręcił przecząco głową.

– A mata zwykle dawał czym? – spytała jeszcze.

– Oj, dziecko, widać, że nie znasz tej gry. Na takie pytanie nie sposób odpowiedzieć. – Uśmiechnął się. – Poza tym... Ilija nigdy nie zdołał ze mną wygrać. Był na to za słaby...

Podziękowała za wodę, poprosiła, żeby nikomu nie mówił o jej wizycie, i wyszła na ulicę. Pora była w sam raz odpowiednia, żeby pójść do restauracji. Kiedy oddaliła się od domów Ariego oraz Ilii, a przybliżyła do restauracji Turcja, w jednej z bram włożyła płaszcz na drugą stronę i zdjęła chustkę z kapelusza. Następnie zamieniła torebki. Do restauracji weszła swobodnym krokiem, nie rozglądając się na boki. Szybko zamówiła kieliszek wina, karafkę wody oraz bulgur z mięsem.

Skoczek, zwany koniem... Może w tym kryje się odpowiedź? Czarny koń... Ktoś jest czarnym koniem, analizowała w myślach, nie zauważając, że kelner postawił przed nią parujące danie. Koń trojański? Może to... Pole D4 jest mniej więcej pośrodku planszy, ale nie mam pojęcia, co to znaczy, męczyła się. Może to jednak hasło, które powinna powtórzyć przed jednym, a potem drugim arcymistrzem? A może słowa na świstku nic nie znaczą i rzeczywisty przekaz znajduje się pod spodem? Na szczęście wzięła ze

sobą kartkę. W hotelu spali ją, ustalając, czy nie została zapisana atramentem sympatycznym. Eliaz musiał być człowiekiem starej daty, przywiązywał wagę do porządku i bardzo lubił szachy, chociaż nie grał dobrze. Zaczynała ją boleć głowa.

W swojej kilkuletniej historii współpracy ze służbami była dwukrotnie o krok od wpadki, została niegroźnie ranna w ramię, a do jej mieszkania włamał się płatny zabójca, którego Franek wysłał na tamten świat, wyrzucając przez okno. Wykonywała zadania ważniejsze i mniej ważne, trudniejsze i zupełnie pozbawione finezji, zawsze z powodzeniem. Była odważna, bezkompromisowa i skuteczna. Nie przechwycono do tej pory ani jednego meldunku podpisanego pseudonimem Luna, co dawało jej możliwość realizowania najtrudniejszych zadań. Pozostawała nieznana Niemcom. Nawet gestapo węszące po śmierci Alberta nie znalazło nic, co mogłoby połączyć z jej osobą. W Paryżu była zapewne postrzegana jako kolaborantka i kto wie, co czekało ją po wojnie, ale na razie nic sobie z tego nie robiła. Używała różnych przykrywek. Prawie otwarcie współpracując z hitlerowcami, ochraniała dzieci, które wywoziła ze szpitala w bezpieczne miejsce. Rola eleganckiej, bogatej wdowy wstydzącej się męża Żyda pozwalała jej realizować misje dla aliantów. A wspaniała uroda otwierała wiele drzwi. Kobiet w Niemczech ani we Francji ciągle nie traktowano poważnie. Zadanie związane z wyjazdem do Stambułu już na starcie wydawało się bardzo skomplikowane, a teraz skomplikowało się jeszcze bardziej.

– Czy można się przysiąc? – Przy stoliku stał jeden z pasażerów śledzącego ją samochodu.

Popatrzyła zdumiona.

– Ależ... – zaczęła. – Ja pana nie znam...

Niemiec dosiadł się bezceremonialnie. Zagrała zdumienie i przestech.

– Proszę się nie obawiać. – Zdjął rękawice i położył obok na tureckiej gazecie. – Nie zostanę na obiedzie. Miałem tylko przekazać pani zaproszenie na jutrzejszy wieczór i zapewnić, że będzie pani gościem samego ambasadora Noela. Przyśle po panią samochód o dziewiątej wieczorem.

– Kim jest ambasador Noel? – spytała drżącym głosem. Powinna okazać obawę, ale nie aż taki strach. Gdyby była strachliwa, nie zdecydowałyby się na wyprawę do Stambułu.

– To jeden z naszych ludzi w Turcji. Nie musi pani wiedzieć więcej. Proszę przekazać plany bezpośrednio jemu. Nie muszę chyba dodawać, że profesor nie może pani jutro towarzyszyć... Jeśli pani chce, możemy...

– Nie, nie – powiedziała odrobinę zbyt szybko. – Proszę mu nie robić krzywdy, bo miałabym wielkie... kłopoty.

Tajniak się uśmiechnął.

– Nie zamierzałem. Musi wrócić bezpiecznie do Niemiec, to zupełnie jasne. Poza tym wieść o waszym... zbliżeniu, a potem rozstaniu mogłaby zdenerwować kogoś tam... – Uniósł ręce ku górze.

Pokiwała szybko głową.

– Może pan być pewien... – wyszeptwała. Wzięła karafkę z wodą, wlała nieco do szklanki, rozlewając część na biały obrus, a potem wypijała duszkiem. Tajniak patrzył na nią z politowaniem.

– Gdzie pani była przez cały ranek? – spytał.

– U przyjaciółki... – odparła zdumiona. – Miała spotkać się ze mną w kawiarni, ale zachorowała, więc ja poszłam do niej...

– Skąd pani wiedziała, że przyjaciółka nie przyjdzie? – spytał.

– Zatelefonowałam z budki... – Przełknęła nerwowo ślinę.

Zaczęła mieszać łyżką od kawy w szklance wody. Tajniak patrzył na nią z coraz większym politowaniem.

– Przepraszam... – szepnęła zawstydzona.

– Gdzie ona mieszka?

– Nie wiem, o co panu chodzi... – poskarżyła się cicho. – Na bulwarze Tarlabaşi...

– Sprawdzimy to – rzucił i bez pożegnania opuścił restaurację.

Po jego wyjściu Alicja spokojnie dojadła bulgur i wypłała wino. Mogą sprawdzać, pomyślała. Agencja dostarczyła jej imię i nazwisko „przyjaciółki”. Kobieta, która tam mieszkała, miała w razie czego potwierdzić wersję Alicji. Ponoć została sownie opłacona. Za oknem mignęła jej sylwetka mężczyzny w jasnym płaszczu. A więc jednak Ludvig poszedł jej śladem. Poczowała rozczarowanie. Zapłaciła, poprosiła o wezwanie taksówki i wyszła z restauracji wprost do samochodu, który właśnie podjechał. Rozglądała się, ale nie zauważyła Ludviga. A może tylko jej się zdawało, że ją śledzi.

W hotelu go nie zastała. Jego pokój był zamknięty, a klucz wisiał w recepcji. Portier uśmiechnął się i spytał o numer pokoju, do którego chciałyby się udać. Zrozumiała to jako dyskretne przyzwolenie Ludviga, aby skorzystać z apartamentu pod jego nieobecność. Alicja poszła jednak do siebie i zanurzyła się w wannie. Wcześniej bez specjalnej nadziei spaliła znalezione u Ilii kartkę. Niestety pod zdaniem o koniu szachowym nie kryła się żadna inna wiadomość. Przeleżała w wannie godzinę, aż woda prawie całkiem wystygła, a do pokoju zapukał Ludvig. Otworzyła mu drzwi, a on objął ją mocno i szybko, całując po mokrej twarzy.

– Gdzie ty byłaś? – spytał nerwowo.

– Uspokój się – nakazała mu stanowczo.

– Bałem się, że coś ci się stało... – nie ustępował.

Wróciła do pokoju, otulając się szlafrokiem.

– Zostawiłam wiadomość – argumentowała. – Przestań, Ludvig... Bo pomyślę...

– Że mi na tobie zależy? – spytał. – Że oszalałem na twoim punkcie? Że czuję, jakbyśmy mieli wspólną duszę?

Patrzył na nią rozbieganymi oczami. W rozszerzonych źrenicach dostrzegła odrobinę bólu i wiele nadziei. Na co liczył ten węgiersko-niemiecki naukowiec wyglądający jak żigolo? Na jej ciało, uczucie, a może jedynie zdemaskowanie jej działalności?

– Ludvig... – zaczęła. – Nie możesz...

Złapał ją za nadgarstki. Syknęła odruchowo, przyzwyczajona do odgrywania roli biednej słabej kobiety, a on natychmiast ją puścił i pochylił głowę.

– Kazali mi jechać za tobą – powiedział. – Pilnować...

Potem powiedział coś bardzo szybko po węgiersku.

– Kto ci kazał? Czemu miałbyś mnie pilnować? – Spojrzała zdumiona.

– Alina, to straszni ludzie... – wyszeptał. – Jeśli coś ci się stanie, ja nie będę mógł z tym żyć... Poza

tym co dwie głowy to nie jedna: *Több szem többet lát.*

– Przestań – powiedziała słabym głosem. – Przerażasz mnie. Wyszłam tylko na spotkanie ze znajomą...



Od rana próbowała wybadać jego intencje dotyczące wizyty na przyjęciu u ambasadora Noela. Niemiec wyraźnie powiedział, że ma przyjść sama. Nie była jednak pewna, kto i czemu wydał takie polecenie. Niemniej przemawiało to na korzyść Ludviga. Gdyby przysłano go za nią, nie byłoby powodu, aby nakazywać jej pozbycie się go. Mogła oczywiście zignorować polecenie i przyprowadzić hrabiego, a potem upierać się, że nie umiała mu odmówić. Coś jej podpowiadało jednak, że Niemiec z kawiarni nie był przyzwyczajony do nieposłuszeństwa. Spróbowała delikatnie dać do zrozumienia kochankowi, że chciałaby pójść sama, ale obruszył się i prawie obraził. Było w jego zachowaniu coś ogromnie dziecinnego, jakby wciąż był rozkapryszonym hrabią, którego wprawdzie próbowała otruć własna matka, a ojciec dbał o niego tyle co nic, ale piastunki i nauczycielki jedna przez drugą spełniały jego zachcianki, zepsuwszy go do szpiku kości.

– Nie masz zaproszenia, Ludvigu, a ja muszę tam pójść i ... przecież wiesz, co mi kazano...

Podczas pierwszej nocy poczęstowała go łzawą historyjką o tym, jak szantażowano ją po zabójstwie Alberta, że będą kontrolowali szpital i uniemożliwiali leczenie dzieci pochodzących z rodzin „podejrzanych” lub „niepewnych”.

– Wykorzystano fakt, że mam przyjaciółkę w Stambule, i powierzono mi przewiezienie ważnych materiałów... a następnie przekazanie ich...

– Nie mów tego – przerwał jej. – Nie powinienem tego słuchać.

On z kolei powiedział jej, że wykorzystał wszystkie swoje wpływy, aby pozwolono mu pojechać do Stambułu.

– Powiedziałem, że osobiście dostarczę swoje badania...

– Skąd wiedziałeś, że wysyłają mnie właśnie tam? – zapytała lekkim tonem. – Nie mówiłam ci o tym, w żaden sposób nie sugerowałam, a informacja była zastrzeżona. Powtórzono mi kilka razy, abym pod żadnym pozorem nikomu nie mówiła ani że wyjeżdżam, ani dokąd...

– Sekretarka Horsta Bucholtza jest Austriaczką. Jej rodzina to starzy znajomi mojego ojca. Ja wprawdzie, jako dziecko, nie spotkałem jej ani razu, ale kiedy tylko się poznaliśmy... – zrobił skromną minę – ...zapałała do mnie szczerą sympatią.

– Ach ty... – pogroziła mu palcem, wzrokiem szukając objawów świadczących o tym, że Ludvig mówi nieprawdę. Puls jednak miał prawidłowy, a źrenice wąskie. – Wstydzilibyś się. Gdyby ktoś się dowiedział, że Inga przekazuje ci tajne informacje, dziewczyna miałaby kłopoty.

– Ona nie ma na imię Inga – zaprotestował. – Nazywa się Teresa.

– Naprawdę? Musiało mi się coś pomylić.

– Wy, kobiety, nie zwracacie z reguły uwagi na inne przedstawicielki waszej płci. – Pogłaskał ją po twarzy.

Mylił się. Ona zwracała uwagę na inne kobiety. Wiedziała, jak mają na imię żona Bucholtza, jego obecna oraz była kochanka, a także sekretarka. Taka wiedza mogła uratować jej życie.

– Teresa powiedziała mi, że właśnie kupiła ci bilet na pociąg do Stambułu i... Oto jestem. Przekażę wyniki badań i tym samym przyczynię się do zwycięstwa.

To było tak naiwne, że mogło być prawdziwe. Istniało prawdopodobieństwo, że Ludvig mówi prawdę i wyniki swoich badań trzyma gdzieś w skrytce na dworcu lub w hotelowym sejfie. Tyle że nie zauważyła, aby z kimkolwiek się spotykał. Pytała recepcjonistę hotelu, podtykając mu banknot, czy Bernstorff telefonował do kogoś spoza hotelu. Recepcjonista brał ją za zazdrosną kochankę i z konfidencjonalnym uśmiechem zaprzeczył. Co więcej, wyznał jej w zaufaniu podbudowanym kolejnym banknotem, że nie telefonował także ze swojego pokoju. Centrala nie otrzymała stosownego połączenia ani w obrębie Stambułu, ani tym bardziej za granicę. Mimo wszystko zabranie go na przyjęcie wiązało się z ryzykiem. Jeśli był jedynie zazdrosnym zakochanym w niej do szaleństwa mężczyzną, mógł wszystko zepsuć, nie odstępując jej na krok i niechcący udaremniając próbę kontaktu. Jeśli był jej wrogiem, tym bardziej mógł wyrządzić jej krzywdę i zagrozić misji.

– Posłuchaj, kochany – powiedziała stanowczo. – Nie możesz iść ze mną...

– Przekonałaś mnie – zamruczał, całując ją w czoło. – Nie pójdę.

Znów zachował się naiwnie. Całym językiem ciała dawał jej przecież do zrozumienia, że pozornie godzi się na jej warunki, ale tak naprawdę zamierza podążyć jej śladem.



Od rana był niespokojny. W nocy kochał się z nią nerwowo, a potem zasnął, trzymając ją w objęciach tak mocno, że nie mogła spać. Kiedy tylko otworzyli oczy, zaczął krążyć po pokoju, paląc papierosa za papierosem.

– Zmieniłem zdanie – powiedział w końcu. – Nie puszczę cię tam samej.

– Och, nie nudź. – Przeciągnęła się rozkosznie. – Będzie tak jak w Paryżu. Pójdę, przekażę, co mam do przekazania, i wrócę do ciebie. Jutro będziemy zwiedzać miasto, a pojutrze... cóż... to koniec wakacji.

Podczas obiadu nie przestawał mówić o niebezpieczeństwie, na jakie Alicja się naraża.

– Wolałbym, żeby nie było jak w Paryżu. Jeśli to morderstwo ma jakiś związek z tobą – powtarzał.

– Ludvigu, proszę, nie nudź – stłumiła ziewnięcie. – I zostaw mnie wreszcie w spokoju. Muszę ułożyć włosy, przygotować się na wieczór...

W pokoju wyjął piersiówkę i wychylił solidny łyk, a potem się skrzywił.

– Nie musisz nic robić, jesteś olśniewająca... – oznajmił.

Wymamrotała coś o naiwności mężczyzn, którzy uważają, że kobieta nie musi dbać o urodę. Pocałowała go w czoło i nakazała, żeby zostawił ją w spokoju, bo chce wyglądać zachwycająco. Przyjdzie do niego się pożegnać, zapewniła i zniknęła w korytarzu. Do wyjścia pozostawały niecałe dwie godziny. Prędko ułożyła włosy. Na szczęście miała podatne, miękkie pukle bez śladu siwizny, których nie trzeba było trefić ani upinać godzinami. Zwykle stosowała oszczędny makijaż, podkreślała jedynie oczy. Wbrew modzie nie regulowała brwi, kobiety z cienką kreską wymalowaną nad łukiem brwiowym wydawały się jej karykaturalne. Włożyła jedną z sukien wieczorowych, które pochodziły z atelier Chanel, granatowo-srebrną, z tyłu z głębokim dekoltem i rozcięciem. Suknia była absolutnie w jej stylu. Z przodu grzeczna, z tyłu kusząca. Coco nie chciała słyszeć o skromniejszej wersji, przypominając Alicji, że suknia w kolorze nocnego nieba musi mieć głębię niczym noc i blask podobnie jak świt. Uśmiechnęła się do

swoich wspomnień. Podobnie jak Ośla Skórka miała suknię w kolorze słońca, księżycy i powietrza. Pierwszą włożyła na przyjęcie w Paryżu, drugą zamierzała wykorzystać podczas przyjęcia w Stambule. Trzecia... Kto wie, jakie przeznaczenie na nią czekało? Do wyjścia pozostawała godzina. Otworzyła drzwi do swojego apartamentu i rozejrzała się po korytarzu. Był zupełnie pusty. Szybkim krokiem przeszła na drugi koniec i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte, czego się spodziewała, więc wyjęła wytrych w kształcie spinki i rozbroiła zamek. Wślizgnęła się do środka i oceniła sytuację. Ludvig spał na dywanie ubrany w smoking. Niezapięta muszka leżała na śnieżnobiałej koszuli, tworząc zabawny kontrast. Alicja przeniosła wiotkie ciało na tapczan, układając jedną obutą nogę na drugą. Fenobarbital, który wsypała do piersiówki, musiał podziałać całkiem niedawno, bo Ludvig nie spał jeszcze głęboko i mamrotał coś przez sen.

– Cicho, kochany. – Musnęła go ustami w czoło.

Dobrała dawkę na tyle precyzyjnie, żeby nawet w połączeniu z alkoholem nie wyrządzić mu krzywdy. Rano powinien obudzić się wyspany i z niepamięcią wsteczną. Nawet jeśli będzie miał pretensję o to, że wyszła sama, powie, że tak się przecież umówili. Mogła dodać, że pukała, ale ponieważ nie odpowiadał, uznała, że jest urażony albo śpi.

Zerkając co chwila na Ludviga, zaczęła przeszukiwać jego apartament. Miał inne usytuowanie niż jej. Już wcześniej rozglądała się za miejscem do ukrycia czegokolwiek. Tego uczyli ją starsi agenci. „Wczuj się w sytuację tego, kogo śladami podążasz. Jeśli wiesz, kim jest, będzie ci łatwiej, bo możesz myśleć podobnie jak on”.

Nie zajrzała ani do szafy, ani do walizki. Wielokrotnie otwierał przy niej swoje bagaże i nie zauważyła niczego podejrzanego. Szafę także z reguły trzymał otwartą, jak wyjaśnił, zostało mu to z dzieciństwa, kiedy jedna z piastunek straszyla go ukrytym tam potworem. Otworzyła szuflady przy łóżku, ale zgodnie z jej oczekiwaniami były puste. Spędzała tu noce, mogła je otworzyć w poszukiwaniu czegokolwiek. Zajrzała pod łóżko. Solidny materac poruszała już wcześniej i nie znalazła nic podejrzanego ani w kołdrze, ani w pojemniku na pościel w kolorowe, typowo tureckie wzory. „Myśl, myśl...”, nakazała sobie. Była przekonana, że ktoś taki jak Ludvig będzie wolał mieć papiery przy sobie, niezależnie od tego, czy był sprytnym szpiegiem, czy zakochanym naiwniakiem. Weszła do łazienki i zajrzała w każdy kąt. Wanna była obłożona biało-czarnymi kafelkami. Powiodła wzrokiem po każdym z nich. „Jest” – prawie klasnęła w dłonie. Jeden z czarnych kafli był o milimetr przesunięty w stosunku do swojego sąsiada. Pchnęła go delikatnie, a ceramiczna płytką ustąpiła, odsłaniając wąski przesmyk, jaki pozostawiają budowniczowie łazienek, aby można było naprawić instalację hydrauliczną bez konieczności rozbijania kafelków. Włożyła rękę, napotykając na kurz. Nie poddawała się, sięgając dalej. Wreszcie kiedy leżała na podłodze, a rękę miała pod wanną prawie po pachę, wyczuła twardy przedmiot. Ludvig sapnął głośno w sypialni. Alicja spokojnie wyciągnęła zniszczony notes. Przekartkowała go szybko. Kilka stron było gęsto zapisanych wzorami. Na marginesach widniały wykresy i nieliczne rysunki. Zabrała notes i wróciła do pokoju. Z sekretarzyka wzięła papier listowy i ołówek i tak szybko jak potrafiła, przepisała wzory i skopiowała wykresy oraz rysunki. Dopiero potem wyjęła zza pasa do pończoch aparat fotograficzny i sfotografowała kartki. Następnie umieściła notes w tym samym miejscu, w którym go znalazła, na wszelki wypadek ustawiając kafelek pod identycznym kątem, a kartki włożyła do firmowej koperty hotelowej.

Rzuciła jeszcze okiem na śpiącego Ludviga, tłumiąc irracjonalną chęć pocałowania go. Otworzyła

drzwi i znów upewniając się, że korytarz jest pusty, wyszła i zatrzasnęła je za sobą. Wróciła do pokoju, umyła zakurzone ramię, następnie ukryła kopertę z wzorami. Pokryła wargi szminką i spryskała się perfumami, nieco zbyt obficie. Zatrzasnęła za sobą drzwi, podeszła do apartamentu Ludwiga i zapukała. Ponowiła pukanie kilka razy, postąpiła chwilę, a potem zjechała windą w dół, uśmiechając się do hotelowego boy'a.

Było kilkanaście minut po dziewiątej. Samochód czekał.



Arcymistrzowie przypominali figury szachowe. Antoni Wierofiejew, Rosjanin, był niczym czarna wieża, wysoki, z czarną brodą i tak sztywny, że Alicja pomyślała, że nosi gorset. Drugi, Szwed, Björn Alberg, podobny był do białego lauffra, niski, przysadzisty i tak jasny, że mógł uchodzić za albinosa. Alicja nie miała żadnego wyobrażenia, jak powinien wyglądać arcymistrz szachowy, ale gdyby miała się wypowiedzieć, to stawiałaby na człowieka w podeszłym wieku, w okularach, z rysem inteligencji na twarzy. Tymczasem Antoni wyglądał na drwala, który spędza większość czasu samotnie w syberyjskiej tajdze, popijając samogon, a Björn mógłby uchodzić za krawca lub drobnego urzędnika z twarzą wypraną z emocji i małymi oczkami, które wwiercały się w nią niczym świder.

– Otóż i nasz gość honorowy – ogłosił pan Noel. – Madame Alina Charme jest znaną w Paryżu filantropką. Przed wojną w jej salonie bywali najznamienitsi...

– Dużo o pani słyszałem – mruknął Szwed. – To zaszczyt...

Uśmiechnęła się uroczo. Rosjanin roześmiał się jowialnie. Głos miał pasujący do sylwetki, tubalny. Obaj mówili po angielsku, każdy z akcentem charakterystycznym dla własnego kraju.

– Czy to prawda, że Rosjanie piją więcej od niedźwiedzi polarnych? – zapytała po rosyjsku z silnym francuskim akcentem, przekręcając słowo „niedźwiedź” i uśmiechając się, jakby mówiła coś zabawnego.

Rosjanin zamarł.

– Małą panienkę ktoś nauczył powtarzać zdania niczym papużkę – powiedział po rosyjsku.

Ciągle lekko się uśmiechała.

– Umieję jeszcze takie – dodała. – Twoja żona prędzej czy później przyprawi ci rogi... Poprosiłam przyjaciela Rosjanina, żeby nauczył mnie kilku słów powitania...

Rosjanin roześmiał się tubalnie i z radości klepał się po udach.

– Ależ z pani zabawna dziewczyna! – wykrzyknął. – Brawo Noel! Opowiadałeś nam, że zaprosiłeś do kasyna smętną sikoreczkę, tymczasem przyszła tu prawdziwa turkawka!

Pan Noel znał rosyjski, zdradził się, kiedy Alicja wypowiadała swoje kwestie. Alicja była na to przygotowana. Bardziej zaniepokoiło ją to, że jej słowa zrozumiał także Björn. Czy to możliwe, że Szwed znał rosyjski? Może to on jest agentem?

– Napijmy się! – krzyknął Antoni i tanecznym krokiem powiódł towarzystwo do osobnego saloniku, w którym kelner zdążył umieścić na stole kilka butelek wódki. Na szczęście dla siebie Alicja zauważyła również butelkę szampana oraz czerwonego wina z niemiecką etykietą i datą produkcji – 1922.

– To był dobry rok – powiedziała z aprobatą i pozwoliła kelnerowi nalać sobie kieliszek.

Podeszli do stołu z ruletką. Rosjaninowi zaświeciły się oczy, Szwed zachował skandynawską

powściągliwość. Pan Noel rozdał im żetony i uśmiechem zachęcił do obstawiania. Przy kole z ruletką siedziało jeszcze kilka osób. Alicja obejrzała uważnie niskiego Turka w towarzystwie kilku kobiet. Tylko jedna z nich była Europejką, wyglądała na Niemkę, ale Alicja nie była pewna, bo kobieta nie odzywała się ani słowem, tylko patrzyła na kupkę żetonów rozsypaną przed swoim towarzyszem, małą fortunę, na którą Turek spoglądał z obojętnością.

– Pani pierwsza. – Björn wskazał Alicji zielone sukno.

Krupier był zawodowcem, poznała to od razu. Raczej nie-Turkiem, rysy miał bardziej północne. Skupiony na pracy, milczący, z twarzą niczym maska.

Przesunęła część żetonów na czerwone pole. Szwed obstawił ostrożnie czerwoną siódemkę, a Rosjanin porozsypywał żetony po całym polu. Zobaczymy, jak chcą to rozegrać, pomyślała.

– *Madame et messieurs* – powiedział krupier. – *Rien ne va plus...*

Lata szkoleń i pracy w wywiadzie nauczyły Alicję kilku rzeczy. Po pierwsze, wpadka jest kwestią czasu. Ci, którzy pracują dłużej, mają więcej szczęścia i tyle. Nic więcej. Po drugie, każdy ma mocne i słabe strony. Żaden szpieg nie jest doskonały. Do jej mocnych stron należała niewątpliwie znajomość języków. Mówiła świetnie po francusku, angielsku i niemiecku, w tym ostatnim potrafiła bezbłędnie naśladować francuski oraz amerykański akcent. Znała także rosyjski, polski i bułgarski, ten ostatni w stopniu bardzo dobrym. O jej znajomości polskiego Julian wiedział doskonale, ale o bułgarskim nie wiedział nikt prócz Franka i Daniela, a żaden z nich nie zdradził się z tą wiedzą. Miała kilka takich asów w rękawie. Poza tym była niezwykle sprawna fizycznie i wytrzymała, potrafiła biec wiele kilometrów, płynąć pod prąd, wspinać się i skakać na spadochronie. Świetnie posługiwała się bronią palną, walczyła wręcz, stosując mieszaną technikę Magury i japońskiego trenera Kadzu, z którym pracowała podczas szkoleń. Była odporna na ciosy, umiała tolerować ból. Dzięki edukacji w Kodorowie potrafiła grać na pianinie, śpiewać, miała rozległą wiedzę z wielu dziedzin, w tym chemii, fizyki, matematyki i astronomii. Była też lekarzem, w dodatku diabelnie dobrym. Miała gorzkie doświadczenia w opiece nad dzikimi zwierzętami, umiała przeżyć miesiące głodu i zimna. No i się nie starzała.

Słabe strony to niewątpliwie Franek i jego rodzina, tak można było ją osiągnąć. Nie cierpiała również walki nożem. Ile razy trzymała w ręku sztylet, przed oczami stawała jej zdumiona twarz Majoliki i robiło się jej słabo. Skrzętnie ukrywała też kompletny brak zdolności do hazardu, ignorancję w kartach oraz brak zainteresowania grą w kasynie. Daniel podejmował liczne próby nauczania jej gry w szachy, tej rozrywki intelektualistów, za którą sam przepadał. Alicja się starała, czytała jakieś pozycje na temat gambitów, podwójnego uderzenia, ale ulatywały one z jej pamięci z chwilą zamknięcia książki. Odmawiała także towarzyszenia mężowi w kasynie. Daniel uważał, że to urocze, i nigdy nie zmuszał jej do tych wizyt, wychodząc ze słusznego założenia, że żona, która nie trwoni fortuny na puste rozrywki, to skarb sam w sobie. Przyjmował zresztą z miłością jej argument, że pieniądze, które przegrałaby w ruletkę, mogą posłużyć słusznej sprawie. Kupowali zatem leki, wspomagali biedne rodziny i budowali sanitariaty w szpitalach i sierocińcach. W obecnej chwili Alicja najbardziej na świecie żałowała, że nie chadzała do kasyna i nie dość przykładała się do kwestii zadania mata w czternastu posunięciach, czym ekscytował się Daniel, daremnie nakłaniając ją, aby prześledziła właściwe ruchy.

Kulka wskoczyła na 21, kolor czerwony. Krupier przesunął w jej stronę żetony, rozdzielił także wygraną między Rosjanina a Szweda. Szwed obstawił między innymi główną wygraną, dlatego zgarnął

najwięcej. Turek stracił małą fortunę, a Niemka zagryzła wargi prawie do krwi. Znów postawiła na czerwony kolor, a po namyśle postawiła kilka żetonów na siódemkę. Intuicja podpowiadała jej, że umiejętności czy doświadczenie nie mają najmniejszego znaczenia. Liczyły się tylko plany pana Noela. Czy zamierza obsypać ją fortuną, czy też doprowadzić do utraty majątku? I jaki ma w tym cel?

– Pani obstawia to samo, madame? – spytał Antoni.

– To moja szczęśliwa liczba – zapewniła Alicja. – A pana strategia pozwala zbyt wiele nie stracić, ale także i zysk nie jest wygórowany.

– Cóż. – Rosjanin uśmiechnął się szeroko. Jego górną lewą piątkę pokrywała złota korona. – Taki już jestem.. A może to mój system..

– Arcymistrz szachowy, który ma system pozwalający uniknąć wielkiej wygranej w ruletkę – skomentowała. – To bardzo ciekawe.

– Moja droga dziewczynko – powiedział po rosyjsku. – Widzę cię rozciągniętą pod moim ciałem. Dopiero wtedy zobaczyłabyś, czym jest rosyjski system w moim wydaniu.

Nawet okiem nie mrugnęła. Na twarzy pana Noela zobaczyła lekki grymas dezaprobaty. Wysłał też ostrzegawcze spojrzenie Rosjaninowi.

– Zgaduję, że powiedział pan coś niemiłego o nas, kobietach... – Pogroziła mu palcem.

– Ależ skąd – uśmiechnął się tym razem dość jednoznacznie. – Powiedziałem tylko to, co myślę...

Znów wygrała pieniądze, Rosjanin powiększył kupkę przed swoim brzuchem, Szwed nieco stracił, a Turek odszedł od stołu z posępnym wyrazem twarzy. Za nim gęsiego poszły towarzyszące mu kobiety. Na końcu maszerowała Niemka, która nie obejrzała się za siebie.

– Widzę na pani twarzy współczucie, madame – wtrącił się Szwed. – Proszę mi wierzyć, nie ma co żałować tego typu osób...

– Ależ ten pan stracił wiele, wiele pieniędzy – zaprotestowała.

Pan Noel uśmiechnął się łagodnie.

– Droga Alino, pani nie zna jeszcze życia... Tego typu dżentelmeni są nieuleczalnymi optymistami. Nawet kiedy zostawiają tu pożyczone pieniądze, głęboko wierzą, że następnego dnia fortuna zacznie im sprzyjać.

– Ktoś musi przecież wygrywać – sprzeciwiła się. Ponownie postawiła na czerwony kolor, ale tym razem na piątkę.

– Kasyno jest dla tych, którzy przegrywają wcześniej czy później – mruknął Szwed, stawiając na czarną piątkę. – Można wygrywać w karty... To jest możliwe, oczywiście nie przy legalnych grach...

– Ależ drogi Björn, co nam pan tu imputuje?... – Rosjanin zarechotał. Szklanka burbona w jego dłoni trzęsła się niepokojąco. – Nielegalne gry... Niebezpieczne gry... W końcu mamy wojnę...

– Wiem, Antoni, że mamy wojnę – skrzywił się Szwed. – Nie musisz mi tego przypominać.

Rzucił garścią żetonów i mruknął do krupiera, żeby postawił po równo na czerwoną i czarną siódemkę. Mężczyzna sprawnie podzielił żetony, następnie bez słowa rozkręcił koło i powtórzył formułkę o końcu zakładów. Kulka zakręciła się wdzięcznie i wpadła na czarną siódemkę. Rosjanin zaklął w tym samym momencie co Szwed. Alicja rozcapierzyła ręce i powiedziała:

– Oj... Chyba przegrałam.

– Pani postawiła połowę, ja wszystko – burknął Szwed. – Gratuluję ci, Antoni...

Rosjanin machnął ręką, a Alicja uniosła żetony, żeby obstawiać dalej. Złość Szweda przy jego poprzedniej powściągliwości wydawała się dość teatralna. Poza tym nie grał własnymi pieniędzmi, tylko korzystał z podarowanych mu przez pana Noela zasobów. Rosjanin łyknął resztkę burbona, podzielił mniej więcej po równo kupkę żetonów i tę nieco większą z nonszalancją przesunął w stronę kolegi.

– Zabaw się, Björn. – Mrugnął do niego.

Gra potoczyła się dalej. Obstawiali we trójkę, nie grając *va banque*, nie przegrywając zatem i nie wygrywając. Gdyby nie napięcie związane z jej niejasnym zadaniem, Alicja zanudziłaby się na śmierć.

– Brak mi odrobiny szaleństwa – mruknęła. – Czy panowie podobnie gracie w szachy jak w ruletkę? Jeśli tak, to proszę darować, ale to musi być strasznie nudna gra.

– Możemy pani zademonstrować – burknął Szwed i ponownie rozrzucił trzecią część żetonów po różnych cyfrach i kolorach. – Pojedynek dwóch arcymistrzów w Stambule. To byłoby urocze...

– O nie, mój drogi. – Rosjanin tym razem nalał do kryształowej szklanki idealnie zmrożoną wódkę z wysokiej karafki. – *Za taliu Aliny*. – Uniósł i wypił, zamykając oczy.

– A ja bym tak chciała zobaczyć, jak panowie grają...

– Nie – mruknął Rosjanin i już bez toastu wychylił kolejną dawkę czystego alkoholu.

– To chociaż porozmawiajmy, bo mnie bardzo ciekawią te kwestie. Mój zmarły mąż interesował się szachami. Wielokrotnie graliśmy razem i udawało mi się go pokonać. – Postawiła na kilka losowo wybranych numerów i wodziła wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Nie omijała też pana Noela, który napiął mięśnie szczęki i uporczywie wpatrywał się w stół do ruletki.

– Słyszałem, że jest pani wdową. – Ukłonił się Szwed. – Wyrazy współczucia... A jaki system miał mąż?

– Pyta pan o ulubiony kolor czy figurę? – spytała. – Bardzo lubił grać czarnymi, pewnie dlatego, że białe zaczynają, a on nie lubił prowokować... Lubiał zaczynając się, a potem atakować – paplała. – Najbardziej lubił czarnego konia. Zostawiał go sobie zawsze na strategicznej pozycji, a potem.. atakował...

Obaj arcymistrzowie popatrzyli na nią ze zdumieniem.

– Wygrałam. – Z rozbrajającym uśmiechem zgarnęła stos żetonów. – Zawsze do mnie mówił: „Uważaj, Alinko, teraz powinnaś przesunąć wieżę na B4, a teraz koniem na D5”...

Na twarzy żadnego z mężczyzn nie odbiło się nic prócz znużenia.

– Zagrajmy *va banque* – powiedziała proszącym tonem. – Panowie wybaczą, ale ja niedługo powinnam wracać...

Postawiła na czarną czternastkę. Arcymistrzowie podążyli jej śladem, obstawiając zgodnie cały kolor czarny. Krupier pokręcił kołem. Kulka zakręciła się niepewnie i wpadła na zero.

– Ach! – Alicja klasnęła w dłonie rozczarowana.

Obaj arcymistrzowie ponownie zaklęli. Krupier zagarnął dla siebie wszystkie żetony. Szwed poczerwieniał na twarzy, a mina Rosjanina wyrażała wściekłość. Po twarzy pana Noela błąkał się

uśmieszek. Chyba nie tak miało być, bo obaj rzucili gospodarzowi wściekle spojrzenia.

– To tylko gra – powiedziała pojednawczo. – Panie Noel... To był wspaniały wieczór...

Nie zamierzała wychodzić, zanim nie wykona misji, ale musiała sprowokować Noela do jakiegokolwiek działania. Chyba nie zamierzał trzymać jej tu całą noc i nie dać żadnej wskazówki. Nie myliła się.

– Spokojnie, panowie – powiedział z uśmiechem. – Proszę zatrzymać pieniądze... pani naturalnie też, madame...

– Ja przegrałam – stwierdziła stanowczo. – Nie mogłabym...

– To niehonorowo! – wrzasnął Rosjanin, wyjął pistolet i skierował go lufą ku górze. – Obrażono mnie!

Szwed, który najwyraźniej miał ochotę przyjąć propozycję Noela, rozglądał się rozczarowany, po czym zatkał uszy, jakby Antoni strzelał bez umiaru. Alicja zasłoniła sobie usta rękoma i zrobiła taką minę, jakby zaraz miała zemdleć ze strachu.

– Antoni, błagam... – powiedziała. – Niech pan odłoży broń. Jestem przerażona...

– Moi drodzy – wmieszał się Noel. – Wybaczcie. Nikt nie miał zostać obrażony. Przeciwnie, to jedynie zabawa... Reprezentujemy tu mocarstwa...

– Antoni, błagam pana! – krzyczała Alicja.

– Proszę się uspokoić, droga pani, wszystko jest pod kontrolą – mówił Noel. – Proponuję, aby rozegrać jeszcze jedną grę. Wygrany bierze wszystko.

– Jaka to gra? – nerwowo spytał Szwed. Był cały spocony. Wyjął z kieszeni wielką chustkę i nerwowo ocierał twarz. Przypominał pocącego się ambasadora Czech.

– Szachy oczywiście. – Mina Noela wyrażała entuzjazm.

– O nie... – mruknął Rosjanin. – Kto z kim ma grać?

– Madame Charme z każdym z panów – rzucił, zanim Alicja, która nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, zdążyła zaprotestować. – Podwajam stawkę...

– Nie, nie... – mruknęła. – Przecież ja nie mam z panami żadnych szans.

– Potrajam – rzucił Noel. – Madame, proszę nas nie oszukiwać. Doskonale pani gra w szachy i zechce nam pani zademonstrować swoje zdolności. A wygrana zasili pani działalność w Paryżu, którą wciąż pani prowadzi, prawda?

– A jeśli się nie zgodzę? – spytała.

– No cóż... – Noel uśmiechnął się tajemniczo. – Odwieziemy panią do hotelu do pani uroczego towarzysza...

Westchnęła teatralnie, myśląc gorączkowo, jak wszystkich obezwładnić, łącznie z obsługą kasyna i dwoma strażnikami stojącymi dyskretnie za ogrodzeniem. Przy odrobinie szczęścia udałoby się jej to zrobić. Tylko co dałaby ucieczka? Musiała się zgodzić. Ale jak zdoła dotrzymać kroku arcymistrzom?

– Bardzo proszę. – Noel wskazał im drogę.

Przeszli do obszernego apartamentu podzielonego na dwa niewielkie pokoje połączone korytarzykiem. W obu były stoły pokryte zielonym suknem, najwyraźniej w ulubionym kolorze Noela, z rozstawionymi szachami. Przy każdym ze stolików stały dwa krzesła.

– Chciałabym grać z panami jednocześnie – mruknęła Alicja. – Chyba że panowie się boicie...

– To zmniejsza pani szanse, madame – zauważył Noel. – Sądziłem, że będziemy losowali kolejność gier.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwał się Rosjanin. – Gra pani z nami jednocześnie. Wygrani grają ze sobą. Chyba że pokona pani nas obu, wtedy to pani zgarnia pulę. Może być?

Kiwnęła głową. Noel wyjął monetę z kieszeni. Björn miał grać białymi. To oznaczało, że Rosjanin zagra czarnymi, do Alicji będzie należał pierwszy ruch, a Szwed ją zaatakuje.



ROZDZIAŁ V

Noel przyglądał się jej badawczo. Okazywała przejęcie na przemian z ekscytacją, to wydawało się naturalne. Tyle że naprawdę była bardzo zdenerwowana. Toczyła się jakaś gra poza jej plecami, coś, czego nie rozumiała. Nie wiedziała, jaka jest wygrana i kto ją wręczy. Słowem – była w pułapce, a robiła dobrą minę do złej gry. Może chodzi o to, aby szybko przegrała obie partie, żeby Rosjanin i Szwed starli się ze sobą? Z tego, co wiedziała, każdy z nich był arcymistrzem w swoim kraju, ale nigdy nie grali przeciw sobie. Przyjaźnili się, szanowali, ale nie rywalizowali. Antoni swój ostatni mecz rozegrał przed wojną, wygrał wtedy z innym Rosjaninem, który potem zniknął w niejasnych okolicznościach. Co do Szweda, dostarczono jej informację, że chętnie szkolił niemieckich entuzjastów gry w szachy.

– Możemy zaczynać? – spytała go wdzięcznie. – Proszę tylko nie być wobec mnie zbyt surowym graczem.

– Nie wierzę, że interesują panią fory – uśmiechnął się Szwed i przesunął pionek z G3 na G5.

Spojrzała uważnie na pole.

– Hmm... – mruknęła. – Tak pan chce zacząć... Muszę przemyśleć swój ruch...

Szwed był nieco zdumiony, kiedy wyszła. Noel posłał jej przeciągłe spojrzenie. Weszła do pokoju, w którym siedział Rosjanin, i wykonała identyczny ruch jak Szwed, przesunęła pionek na G5. Modliła się, żeby Rosjanin nie zwlekał z odpowiedzią. Istotnie, niecałą minutę później jego białopolowy goniec przesunął się na G2. Alicja powtórzyła jego ruch czarnymi pionkami w pokoju Szweda. Od tej chwili gra toczyła się między Rosjaninem a Szwedem, ona zaś była jedynie posłańcem, który przesuwa figury, czego obaj gracze nie byli świadomi. Nie wiedział też tego Noel, który nie opuszczał pokoju Rosjanina, jakby uznał, że musi go pilnować. W drugim pokoju honory gospodarza czynił krupier, który wcześniej wprawiał w ruch ruletkę. W miarę jak gra postępowała, Alicja zaczynała się uspokajać. Nikt się nie zorientował w mistyfikacji, jaka w ostatniej chwili przysła jej do głowy. Mogła przesuwać pionki spokojnie. Po dziesięciu ruchach nie nastąpiło żadne rozstrzygnięcie, a gracze byli coraz bardziej niespokojni.

– Żartuje pani – mruknął Szwed, kiedy przesunęła wieżę na A7. – Ryzykowny ruch...

– Ryzyko jest wpisane w grę. – Zatrzymała na nim spojrzenie. – A ta jest ekscytująca...

Odpowiedź Rosjanina była pełna złości. Przez chwilę myślała, że Antoni wstanie i wyjdzie z pokoju, ale mężczyzna się opanował. Odsunął karafkę z wódką, krzycząc po rosyjsku, że jest ciepła. Potem zawiesił rękę nad planszą.

– Proszę więcej nie oszukiwać ludzi, że nie potrafi pani grać – bąknął i wykonał ruch, a ona poważnie kiwnęła głową i powtórzyła go w sąsiednim pokoju.

Nie miała pojęcia, kto wygrywa. Obaj gracze wydawali się rozzłoszczeni i sfrustrowani, żaden nie triumfował. Żaden także nie wykonał ruchu koniem na D4, ani białym, ani czarnym. Nie śmiała powtórzyć tego tekstu w obawie, że się zdemaskuje. Musiała biernie poddawać się grze. Wreszcie Szwed przesunął

królową i oświadczył:

– Dziękuję pani. Remis. Partia jest nierozegrana. Jest mi pani winna rewanż.

Ukloniła się z ulgą w sercu. Podała mu rękę i przeszła do pokoju Rosjanina. Położyła wieżę na tym samym polu.

– Dziękuję panu – powiedziała. – Remis. Proszę mi obiecać, że rozegramy kiedyś rozstrzygającą partię.

Rosjanin gotował się ze złości. Kiwnął głową i ku jej uldze zsunął figury z pól. Wróciła do pokoju Szweda. On w przeciwieństwie do kolegi wpatrywał się w nieliczne figury pozostałe na planszy. Zamierzał zapewne pokazać je Rosjaninowi, do czego nie mogła dopuścić. Słyszała jego głos za swoimi plecami. Zachwiała się i dotknęła jedną ręką czoła, przymknęła oczy i osunęła się lekko, drugą ręką zagarniając figury na planszy. Kiedy znów otworzyła oczy, Szwed stał nad nią z karafką wody, a Rosjanin upierał się, że Alicja powinna raczej napić się wódki.

– Co się stało? – spytała, unosząc głowę.

– Zemdląła pani... – wyjaśnił jej Noel, wachlując ją chińskim wachlarzem sporych rozmiarów.

– Tak mi przykro... – Spojrzała na Szweda i figury szachowe rozsypane na podłodze.

– Mnie nie – burknął Rosjanin. – Remis z kobietą to jak porażka z mężczyzną.

– Gratuluję. – Noel pomógł jej wstać. – Zgarnia pani pulę...

Uśmiechnęła się przepaszająco w stronę Szweda, który najwyraźniej nie podzielał zdania gospodarza, bo był znów blady, a niebieska żyła pulsowała mu na skroni niczym wijący się mały wąż. Wszedł krupier z niewielką torbą, postawił ją na stole i stanął na powrót w drzwiach.

– No cóż. – Wzruszył ramionami Rosjanin. – Dziękuję panu, Noel. To był pamiętny wieczór. A pani, turkaweczko, jeszcze wpadnie w moje ręce...

Alicja nie słyszała wystrzału. Zobaczyła tylko niewielki otwór w czole Rosjanina i odsunęła się szybko, inaczej mężczyzna zwaliłby się na nią całym ciężarem. Kiedy kula dosięgła głowy Szweda, stanęła między ścianą a Noelem, gotowa przyjąć śmierć z ręki milczącego krupiera. Nie zamknęła oczu, kiedy usłyszała świst, ale nie poczuła bólu, tylko usłyszała uderzenie ciała Noela o podłogę.

– Zabije mnie pan? – spytała rzeczowo. Nie było sensu udawać przestraszonej kobietki. – Pieniądze może pan wziąć.

– Niech pani nie będzie głupia. Koniem na D4 – powiedział krupier i opuścił broń.

– Niestety nie znam odzewu – powiedziała równie rzeczowym tonem. – Nasz człowiek został wyeliminowany, zanim go podał.

– Odzew to: „Nie, to jest bezsensowny ruch” – mruknął. – Niech mi pani da plany.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej aparat fotograficzny, który on schował do kieszeni.

– Nie miałam czasu wywołać filmu – wyjaśniła. – Zrobiłam zdjęcia tuż przed przybyciem tutaj.

– Gdzie plany chemika? – zapytał.

Po chwili namysłu wyjęła szminkę z torebki.

– W środku – powiedziała.

Kiwnął głową, chowając pomadkę do wewnętrznej kieszeni uniformu.

– Niech pani posłucha. Zamknę drzwi na klucz i wyjdziemy stąd jakby nigdy nic. W budynku jesteśmy sami, na zewnątrz pilnuje tylko dwóch ludzi.

– Unieszkodliwi ich pan?

Pokręcił przecząco głową.

– Mieli panią zabrać do willi Noela i zabawić się dalej. Prawdopodobnie czekają tam na was jacyś ludzie.

Znieruchomiała. Coś tu nie pasowało.

– Po co w takim razie była ruletka, partie szachów? To bez sensu, poza tym strata czasu.

– Noel dostał informację, że pani przyjedzie i będzie miała ze sobą materiały. Wkrótce przysłała kolejna wiadomość. Pani miała zostać poświęcona przez Niemców, a rzeczywistym kurierem był ktoś inny, nieznanym, prawdopodobnie Niemiec, który miał podążać pani śladem. To ja przekazałem Noelowi tę wiadomość. Stąd zaproszenie do kasyna i gry, które miały zająć czas, obietnica łapówki. Liczyli, że może pani zna kuriera i albo przekaże go im w zamian za pieniądze, albo zdradzi się w taki czy inny sposób.

– Przekazano mi, że jeden z dwóch arcymistrzów jest naszym szpiegiem, drugi niemieckim. Miałam znaleźć właściwego.

– Ilija miał go wskazać, ale umarł. Miałem wątpliwości co do pani rzeczywistej roli, ale podała pani hasło. Wczoraj Noel złościł się, że zgubiła pani jego ludzi pod Hagia Sophia. Założyłem podsłuch w jego gabinecie. Wywnioskowałem, że poszła pani do Ilii. Wiem, że tylko prawdziwy kurier miał ten kontakt.

– Nie obserwowaliście mieszkania Eliasza? – spytała.

– Przez kilka dni, potem stało się jasne, że nikt do niego nie przychodzi. Poza tym musiałem być tutaj, a mój najlepszy człowiek zginął z jego ręki. – Wskazał na trupa Rosjanina.

– Czy to on był adresatem przesyłki?

– Noel miał dostać prawdziwe plany, Szwed miał wyjechać z fałszywymi, a Rosjanin zginąć tak czy inaczej.

– A jaka jest pana rola?

– Moim celem było zdemaskowanie siatki na Bliskim Wschodzie. Współpracuję z Noelem od dawna, ale zwykle zlecał mi drobną, choć brudną robotę. Dopiero dziś obdarzył mnie pełnym zaufaniem.

Układance ciągle czegoś brakowało, ale teraz nie było czasu na szczegółowe wyjaśnienia.

– W hotelu... – zaczęła.

– Wiemy o tym, naturalnie – przerwał jej. – Wydawało się oczywiste, że pan Bernstorff jest kurierem. Czekaliśmy, aż przyjdzie za panią. Tymczasem ten pan leży głęboko uspiiony w pokoju hotelowym, chociaż ubrany w smoking...

– Był zmęczony. – Alicja uśmiechnęła się szelmowsko. – Obudzi się niedługo.

– Ufa mu pani? – spytał.

– Nie – rzuciła szybko. – Ale nie jestem pewna, czy mam rację. Nie mogę go tam zostawić.

Kiwnął głową.

– Rozumiem. Wróci pani do hotelu i zrobi trochę hałasu. Dam pani kilka minut na spakowanie się. Wrócimy do Paryża.

– Co z nimi? – Wskazała na ciała.

– Tych dwóch – wyjaśnił – to pasożyty... Każdy ma na sumieniu wiele istnień. Zwłaszcza Szwed... Ale Noel... Sam Hitler się zmartwi, kiedy usłyszy, że poszedł do piekła.

– Ile mamy czasu? – spytała jeszcze.

– Kilka godzin. Dzięki pani, bo tak szybko rozegrała pani partię szachów... Nie spodziewają się was w willi Noela przed świtem. Zresztą dostali ode mnie cynk, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Wyjdzie pani teraz przez okno i furtkę za berberysem, potem na ulicę. Ja podjadę samochodem.



Otworzył przed nią drzwi czarnego forda, tego samego, którym wczoraj poruszali się śledzący ją ludzie.

– Czemu pani przechodziła przez ogrodzenie? – spytał, widząc, że wciąż trzyma szpilki w zębach i poprawia fryzurę.

– Berberys ma kolce i zarasta całą furtkę – wyjaśniła. – Wyglądałabym jak po zabawie z kotem.. A poza tym mogłabym zniszczyć suknię w kolorze nieba.

Uśmiechnął się i zapuścił silnik.

– Od dawna w wywiadzie? – spytał, ale zaraz się roześmiał. – Niech pani nie odpowiada.

– Wystarczająco – uśmiechnęła się. – Pan jest Turkiem? Nie wygląda pan..

– Jestem Niemcem, przynajmniej za takiego się uważałem, zanim nie wyjaśniono mi, że Żydzi to nie Niemcy – powiedział, przyspieszając. – Po ojcu. Moja matka była Polką z Krakowa. Mam na imię Izaak, ale używam imienia Caaz, trochę na pamiątkę po dziadku Kazimierz, no i to ananim mojego prawdziwego imienia.

Jechali w milczeniu pustymi ulicami Sztambułu. Dopiero niedaleko hotelu zatrzymali się przed policyjnym patrolem.

– Dokumenty – powiedział młodziutki policjant uzbrojony po zęby.

Alicja zamknęła oczy i położyła głowę na ramieniu Caaza. Zaczęła przy tym nucić jakąś melodię. Caaz po turecku wyjaśniał coś policjantowi. Padło imię Noel. Wreszcie pojechali dalej.

– To imię otwiera tutaj wszystkie drzwi?

– Większość – przytaknął, parkując przed hotelem. – Idziemy.

Wsparała się na jego ramieniu i na chwiejnych nogach z przyklejonym uśmiechem na twarzy dała się powieść w kierunku recepcji. Tam rozchichotała się i zaczęła mamrotać coś na temat najlepszego szampana, jaki piła ostatnimi czasy. Caaz włożył do kieszeni portiera banknot i zrobił dyskretny gest bezradności. Portier kiwnął głową pełen zrozumienia i odprowadził ich wzrokiem do windy. Alicja otworzyła najpierw swój apartament i błyskawicznie przebrała się w strój podróżny, rozbierając się pod okiem Caaza, który nie odwrócił wzroku. Potem szybko spakowała walizkę i wyrzuciła ją przez okno. Poszli do pokoju Ludwiga. Na korytarzu zrobili tylko trochę hałasu, tak żeby zaznaczyć swoją obecność, ale nie sprowokować gości do otwarcia drzwi. Ludvig leżał w tej samej pozycji, w której go zostawiła. Budził się bardzo powoli. Podeszła i poklepała go po twarzy.

– Kochanie... – powiedziała. – Wstawaj, kochany. Musimy uciekać... Był... zamach i...

Ludvig jęknął i otworzył oczy.

– Co... co się stało? – sapnął.

Caaz wylał sobie na dłonie trochę wody z karafki i zaczął cucić Ludviga. Alicja w tym czasie pakowała rozrzucone rzeczy hrabiego do walizki. Wreszcie Bernstorff spróbował wstać. Alicja otworzyła okno i wyrzuciła jego walizkę. Całe szczęście, że zajmowali apartamenty na wysokim parterze i nie było słychać uderzenia skóry o podłogę. Z rozmysłem zostawiła notes Ludviga w skrytce w łazience. Nawet jeśli ktoś go znajdzie, nic mu z tego nie przyjdzie, zdecydowała. Caaz trzymał Ludviga po jednej stronie, Alicja kroczyła po drugiej.

Chłopak z recepcji gdzieś się schował. Tym lepiej, pomyślała Alicja. Ludvig szedł, ale wciąż powłóczył nogami. Wsadzili go na tylne siedzenie, Alicja zajęła miejsce obok Caaza.

– Niech pan podjedzie kawałek dalej, nie od tyłu. Jest w ogrodzeniu furтка porośnięta bluszczem, przez nią przejdę.

Milcząca zgoda. Alicja wysiadła i poszła po walizki.

– Obie naraz? – powiedział z uznaniem, widząc ją z obiema zajętymi rękoma.

– Nie będę chodziła dwa razy... – mruknęła, ładując walizki do bagażnika.

Ruszyli w milczeniu.

– Ominiemy główne drogi, znam tutejsze lasy jak własną kieszeń, proszę mi zaufać.

– Już to zrobiłam – przypomniała mu. – Poza tym nie mam wyjścia.

Ludvig kołysany jazdą znów zasnął.

– Co mu pani dała? – zagadnął Caaz, ale Alicja zgromiła go wzrokiem. Ludvig mógł udawać, że śpi.

Wjechali w las. Alicja czujnie patrzyła na drogę, ale w gęstwinie niewiele mogła zauważyć. Nie mijali żadnych znaków, w oddali nie świeciły światła domów. Jechali tak aż do świtu.

– Gdzie jesteśmy?

Była zmęczona i oczy jej się kleiły.

– W Bułgarii – odpowiedział. – Wieczorem będziemy w Belgradzie, potem pojedziemy równoległe z liniami kolejowymi. W Innsbrucku wsiądziecie do samolotu i polecicie do Paryża.

– A pan?

– Ja też wsiądę do samolotu w Innsbrucku... – mruknął.

– Gdzie pan przekaże wiadomości?

– Pod Belgradem zatrzymamy się i przenocujemy u mojego przyjaciela. Dostanie pani papiery. On – zerknął przez ramię – ma porządne obywatelstwo. Może nam się przydać, chyba że zacznie przeszkadzać.

– Jeszcze jedno pytanie. Czemu nie proponuje pan, żebyśmy we dwoje wsiedli do samolotu w Innsbrucku?

Zatrzymał samochód i nachylił się wprost do jej ucha.

– Ponieważ jego plany pocisków balistycznych są bezwartościowe i pani doskonale o tym wie. Musi pani wrócić i znaleźć właściwe. Co gorsza, musi pani wrócić z nim, Luna...



Julian siedział w szpitalnej kotłowni. Był pogrążony w myślach, kiedy do niego zeszła.

– Podwójny agent i to wcale nie ten, na którego stawialiśmy... – mruknął, pocierając czoło. – Cudem nie zginęłaś.

– Miałam zginąć – powiedziała obojętnie. – Gdyby plany Ludviga były autentyczne, Caaz by nas zlikwidował.

– Kiedy się zorientowałaś, że nie są prawdziwe?

Przysiadła na przewróconej beczce.

– Fotografowałam je. Nie miałam czasu na dokładną analizę, ale natychmiast zauważyłam, że wzory się nie zgadzają.

Julian spojrzał na nią z podziwem.

– Jak dobrze znasz się na fizyce? – spytał.

– Lepiej znam się na chemii – powiedziała z sarkazmem w głosie. – Ale w tamtym notesie były proste wzory i podstawowe obliczenia, które wykonałby pierwszy lepszy student. Nie potrzeba geniuszu profesora, żeby je stworzyć. Poza tym wykresy były nielogiczne, a rysunki...

– Wystarczy – przerwał jej Julian. – Powiedz mi, kiedy Caaz mógł się zorientować, że notatki są fałszywe. I jak to przyjął?

– Zostawiłam notes Ludviga w Stambule, a on to spostrzegł. Musiał wywnioskować, że zrobiłam to z dwóch powodów. Po pierwsze, to nie miało żadnego znaczenia, a po drugie, tak jak mu powiedziałam wcześniej, nie zaufałam Ludvigowi. Nie chciałam, żeby wiedział, że je znalazłam. Poza tym chciałam sprawdzić, jak się będzie zachowywał. Z kim się skontaktuje po powrocie i tak dalej. A Caaz ma komplet dla Niemców, ale nie może przekazać prawdziwych wzorów aliantom. Powiedz mi, Girolamo, czy żeby stworzyć rakiet balistyczne dalekiego zasięgu, musimy szpiegować Niemców? Nie mamy własnych profesorów?

Julian westchnął.

– Nie mamy. Część z nich zginęła w obozach zagłady, a inni prowadzili badania, które nie dadzą nam rakiet dalekiego zasięgu. Niemcy przygotowywali się do tej wojny przez wiele lat. My woleliśmy wierzyć, że hitlerowskie zbrojenia to tylko jakaś awantura, która rozejdzie się po kościach.

Milczała, analizując na nowo całą sytuację. Coś ją niepokoiło jeszcze od czasu przyjęcia w ambasadzie, wciąż jednak nie umiała określić, co to jest.

– Skąd pewność, że Niemcy nie mają już właściwych wzorów, a notatki Ludviga i on sam służą temu, żeby spowolnić nasze działania?

– Nie mam takiej pewności, chociaż z naszych informacji wynika, że dwie namierzone przez nas fabryki jako docelowe mają przestój...

– Nie można ich zbombardować, kiedy nie będzie tam ludzi? – spytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Zatrudniają tysiące jeńców wojennych i trzymają ich na terenie fabryki. Wiedzą, że alianci nie zaryzykują życia tych ludzi. Chcemy, żeby w tych fabrykach produkowano pociski, ale takie, które nie odpalą. Sabotaż nie wchodzi w grę. Niemcy mają wierzyć, że produkują broń najnowszej generacji.

– Chciałeś powiedzieć: „Nie wybuchną”.

– To nie wszystko jedno? – Zerknął na nią z niedowierzaniem.

– Właśnie nie. – W jej spojrzeniu było politowanie. – Jeśli nie można zniszczyć fabryki, to jedyne rozwiązanie. Powinniśmy przekazać im wzory, pozwalające na produkcję pocisków, które do momentu prób na poligonie będą sprawiały wrażenie prawidłowych, rozumiesz? Trzeba spowolnić ich prace na ostatnim etapie, nie na wstępie. To kluczowe. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Znów zaczął drapać się w czoło.

– A co z tym Ludvigiem? – Skrzywił się.

Nie musiała mu mówić, że są kochankami, ale nie zniżyła się do zapewniania, że Ludvig nic dla niej nie znaczy.

– To wy go śledzicie. Więc to ja ciebie powinnam zapytać.

– Śledzenie nic nie daje, zresztą muszę ci powiedzieć, że on ma też drugi ogon. Tamci też nic nie wiedzą. Wygląda na to, że w Paryżu interesuje go tylko twoja osoba.

Roześmiała się.

– Też mi to powtarza na przemian z podziękowaniem za uratowanie mu życia.

– A co mu powiedziałaś? – zainteresował się Julian.

– Caaz wziął to na siebie. Poczęstował go dość zawiłą historyjką, w której na plan pierwszy wysunęli się jacyś złoczyńcy, mający w planie go otruć, aby podstępem wyciągnąć cenne badania. Mnie mieli porwać w kasynie, aby on przekazał wzory. Potem naturalnie planowano nas zlikwidować. Caaz nas uratował i przerzucił do Innsbrucku. Ja niewiele mówiłam, bo byłam zbyt „przerażona”. Do tej pory zresztą jestem. Ludvig ponoć interweniował na najwyższym szczeblu, miał pretensje, że narażono nas na takie niebezpieczeństwo.

– I on to przyjął?

Rozłożyła ręce w bezradnym geście.

– Wygląda na to, że tak. Spędza ze mną prawie cały czas, opiekuje się mną, nie chodzi w miejsca, które mogą być podejrzane, nie odwiedza ani ambasady, ani siedziby gestapo czy abwery...

– Pracuje?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie. Prosiłam, żeby kontynuował swoje prace dla Niemców, bo trudno, żeby się mną opiekował w nieskończoność, ale odparł, że to może poczekać.

– I nikt z ambasady nie kontaktuje się ani z tobą, ani z nim? Nie byłaś przesłuchiwana po powrocie?

– To jest właśnie najdziwniejsze. Ludvig udał się do kogoś z abwery i ponoć przekazał całą sprawę. Wrócił z oficjalnymi podziękowaniami na piśmie i tyle... Uważam, że macie przeciek.

– Jak to?

– Nigdy nie pytam o szczegóły, ale ta misja wyglądała na z góry przegraną. Kiedy spojrzeć na całą sprawę obiektywnie, to posłano mnie tam po śmierć. Dlaczego? O wiele łatwiej byłoby zabić mnie w Paryżu, pozorując nieszczęśliwy wypadek. Po co było posyłać mnie do Stambułu?

Julian zacisnął rękę.

– Bądź czujna – poprosił.

– Jestem – odparła. – Co z Frankiem?

– Pod Zurychem, spalony i spokojny, z żoną. Czeka na zadanie, ale powiem ci w zaufaniu, że to potrwa długo.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– A Nadine i trójka rodzeństwa z Calais?

– Załatwione. Bezpieczni u sprawdzonych rodzin – odpowiedział. – Oni też dostali mąkę i twoje kury...

Znów się roześmiała.

– Nie krzyw się tak, Julianie. Kury dają jajka, a te mają witaminy, które chronią dzieci przed głodem i chorobami. Poza tym są mniej kłopotliwe niż kozy, które dają mleko. Powinieneś już iść...

– Uważaj na siebie. – Odwrócił głowę i patrząc w bok, wyszeptał: – Wciąż cię kocham.



ROZDZIAŁ VI

Po akcji w Stambule wiedziała, że jest spalona na dłuższy czas. Przynajmniej jeśli chodzi o inne zadania niż te związane z wzorami Ludviga. Tę sprawę powinna dokończyć. Uważała, że była to nie tylko kwestia dostarczenia właściwych wzorów aliantom, ale również jej bezpieczeństwa i, co tu dużo mówić, honoru.

W Paryżu Ludvig zachowywał się, jakby tamta historia w Stambule nie wydarzyła się naprawdę. Początkowo opiekuńczy, powtarzający w kółko, że ich życie wisiało na włosku, następnie chłodniejszy, wyraźnie niestabilny emocjonalnie. Nagle wiele się zmieniło i Alicja zastanawiała się, czy nie uruchomiła jakichś głęboko ukrytych pokładów szaleństwa. W końcu jego matka była chora psychicznie. Ludvig zniknął na całe dni, a nocami zamieniał jej życie w pełne wymuszonej namiętności piekło. Bywało, że tulił się do niej jak dziecko, zanurzając twarz w jej piersi i błagając, aby głaskała go po głowie. Innym razem zatracił się w miłości, jakby nigdy nie miał dość, a potem nie zasypiał, tylko wpatrywał się w nią do rana, czekając, aż otworzy oczy i powie mu na dzień dobry, jak bardzo jest szczęśliwa. Jeśli nie mówiła właściwych słów, nie zapewniała o swoim zafascynowaniu jego osobą, gniewał się i zasępiął. Bez końca powtarzał jej po francusku i węgiersku, że ją kocha, czekał, aż ona wypowie te same słowa, a kiedy mówiła, że to wymaga czasu i pewności, odwracał się od niej albo wychodził bez słowa, ignorując prośby, aby został.

– Mógłbym dla ciebie zabić – mówił. – A ciebie to nie obchodzi...

– Nie chcę, żebyś dla mnie zabijał – odpowiadała cicho i zgodnie z prawdą, marząc, aby jej zadanie się skończyło i aby mogła uwolnić się od tej miłości.

Wieczorami próbowała wieść z nim zwyczajne życie, brała na kolana Quasimoda i opowiadała historie o swojej dawnej rodzinie, w których nie było ani słowa prawdy. Czasem myślała, że dużo by dała, żeby mieć za sobą zwyczajną historię, którą można byłoby powierzyć mężczyźnie bez wyrzutów sumienia. On po tym, jak opowiedział jej o sobie w Stambule, zgodnie z obietnicą nie dodał ani słowa. Na próżno częstowała go historią, jak ojciec zabierał ją na konne przejażdżki po alzackich miejscowościach, skąd rzekomo pochodziła. Zaciskał zęby i nagabywany, odpowiadał co najwyżej, że nie lubi jeździć konno. Próbowała zrozumieć jego lęki i oswoić go wzorem nauk Freuda, bazując na wspomnieniach, które nie wywoływały demonów. Pytała o studia, o to, jak zaczęło się jego zainteresowanie fizyką, ale i tu napotykała niezrozumiały opór.

– Nie chcę z tobą dyskutować o fizyce. – Zrywał się od stołu, strącając z jej kolan kota, niby przypadkiem, i krążył po pokoju, szarpiąc włosy.

– Nie mogę ci w żaden sposób pomóc, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiał – mówiła zrezygnowana.

– Nie chcę pomocy. – Zwykle klęczał, kiedy to mówił. – Chcę tylko ciebie, twojego ciała i duszy...

Oddawała mu się coraz bardziej niechętnie, tłumacząc sobie, że jej odporne na naukę ciało, niestarzejące się tak jak powinno, musi posłużyć lepszej sprawie. Coraz częściej jednak czuła, że przytłacza ją bezcelowość tych aktów, które pogłębiają jeszcze pasję Ludviga, a jej samej każą myśleć o sobie z obrzydzeniem.

– Moim zdaniem on nie pracuje – meldowała Julianowi. – Zachowuje się nie jak naukowiec, tylko jak mężczyzna niespełna rozumu. Nie wierzę, że potrafi stworzyć odpowiednie wzory...

Julian marszczył czoło. Misja, którą oboje kontynuowali, mogła być kluczem do wygrania wojny. Tyle że koszty, jakie ponosi Alicja, wiążąc się z Ludvigiem, zaczynały przekraczać potencjalne zyski.

– Śledziłaś go? – spytał krótko.

Kiwnęła głową.

– Żadnego wzorca... Krąży godzinami po Paryżu, karmi gołębie nad Sekwaną racjonowanym chlebem...

Już kilka razy mówiła Julianowi, że była bliska dekonspiracji, kiedy patrzyła, jak Ludvig beztrudnym gestem wyrzuca chleb do rzeki albo na któryś z placów, a najbiedniejsze dzieciaki walczą z gołębiami o każdy okruszek. Mógłby jej wyrzucać, że sama odejmuje sobie od ust, żeby nakarmić kota.

– Musi komuś meldować o postępie swoich prac – frasował się Julian.

– Moim zdaniem – powtórzyła – coś jest nie tak. On nie jest zdolny stworzyć tych wzorów... Zachowuje się jak poeta, którego opuściła wena twórcza, a nie jak naukowiec, który ma opracować wzór nowej broni.

Wyczuła, że Julian chętnie by się uśmiechnął, gdyby sytuacja nie była tak napięta.

– Nie uważasz, że naukowiec też podlega opiece muzy?

Pokręciła przecząco głową. Nie było jej do śmiechu. Poczucie ciągłego zagrożenia, jakie stwarzał sobą Ludvig, stawało się dla niej zbyt trudne. Ostatnio upierał się, aby nie chodziła do szpitala, gdzie rzekomo groziło jej wielkie niebezpieczeństwo. Nie chciał jednak wyjawić, ani co ma na myśli, ani skąd uzyskał tę informację. Co więcej, uważał, że ma prawo nakazywać jej to czy tamto, wywierać presję błaganiami i zaklinaniem o swoim uczuciu. Kiedy jednak ona pytała choćby, co robił cały dzień, mamrotał pod nosem, że pracował dla zwycięstwa, i uciekał wzrokiem w bok. Zastanawiała się, jak to rozumieć. Przecież ślepy by się domyślił, że Ludvig kłamie. Zapytała kiedyś zdławionym głosem, czy chodzi do kochanki, ale spojrzał na nią tak, że po raz pierwszy od wybuchu wojny się przestraszyła. Potem z pokorą wysłuchiwała żalów i oskarżeń, że nic nie rozumie, ocenia pochopnie, jest dla niego okrutna i zła. Nigdy więcej go nie sprowokowała, gdyż tamta dyskusja skończyła się całonocną dziką miłością, po której Alicja wymiotowała z obrzydzenia i zmęczenia.

– Nie uważam, żeby naukowiec potrzebował natchnienia do pracy – odpowiedziała poważnie Julianowi. – Nauka rządzi się ściśle określonymi prawami. Prowadzisz badania. Stawiasz tezę i starasz się ją udowodnić. Jeśli mylisz się co do swoich założeń, stawiasz kolejną tezę. I zaczynasz od początku. Nie zbudujesz rakiet balistycznych, rzucając chlebem ani czytając wiersze...

Julian się zamyślił.

– Sprawdziłem go... Wykładał w Berlinie, Monachium, Zurychu... Za każdym razem robił furorę. Führer ponoć liczy na niego i osobiście interesuje się postępami badań.

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Czy Führer ma naprawdę tyle cierpliwości?

– Niestety nie musi się spieszyć... – mruknął Julian. – Armia niemiecka pokonuje pięćdziesiąt kilometrów dziennie, prawie nie napotyka oporu.

– To po co broń? Czy to aby nie atrapa? Coś, co ma odwrócić uwagę od rzeczywistych działań?

Profesor Němec ukończył swoje badania i wrócił do Brna, a Ludvig nadal tu jest. Mógłby pracować w Wiedniu, w Berlinie, a jednak jest tutaj... Nie wiem, o co chodzi, Julianie, ale nie podoba mi się to.

– Ja sądziłem, że właśnie ci się podoba... – Popatrzył w bok.

– Jak śmiesz... – wycedziła. – Przechodzę przez piekło, do którego mnie wprowadziłeś. Jeśli to potrwa dłużej, zabiję go...

– Byłem przeciwny temu, żebyś się z nim wiązała. Istnieją granice służby...

– A Centrala była przeciwna temu, żebyś to ty był łącznikiem między mną a ...

– Nadal jest przeciwna – wszedł jej w słowo. – Dlatego pojawił się Caaz... Wybacz mi. To nieprofesjonalne.

– I niczemu nie służy – tym razem to ona mu przerwała. – Osaczacie mnie obaj...

Na chwilę zamilkli.

– Wybacz mi. To już się nie powtórzy. – Julian wyprostował się. – Co zamierzasz?

– Przy najbliższej okazji przeszukam jego willę. Może już jutro. Ludvig dostał wiadomość od kogoś od nich, że ma spotkać się z którymś ze swoich kolegów z Wiednia. Bardzo się tym denerwuje, ale musi pójść. Przez kilka godzin nie będzie go w willi, więc ją przeszukam.

– To zbyt niebezpieczne.

Machnęła ręką.

– Już dawno powinnam to zrobić. Jest tam wprawdzie gosposia, ale poradzę sobie z nią. To nie będzie trudne, obawiam się jednak, że bezowocne... Natomiast w sobotę...

Julian popatrzył na nią uważnie. W oddali coś skrzypnęło i Alicja napięła mięśnie. Dźwięk jednak ucichł.

– On się dokądś wybiera. Prosiłam, żeby zabrał mnie ze sobą, ale mówi, że to wyjazd służbowy, dla mnie niebezpieczny. Z jednej strony to dobrze, że ukrywa nasze relacje przed Niemcami, a z drugiej, nie mogę mu oficjalnie towarzyszyć.

– Pytałaś, czemu nie chce cię zabrać?

– Owszem, pytałam, dąsałam się i... Nieważne. To musi być coś istotnego, ale mam wrażenie, że nie dotyczy spotkania naukowego. Bawił się spinkami do mankietów...

Julian zastanawiał się chwilę.

– Coś mi świta – powiedział wolno. – Nie wydawało mi się to możliwe, ale jednak...

– Może zechciałbyś nie mówić zagadkami? – spytała. – I jeszcze jedno. – Wyjęła z kieszeni kartkę złożoną na pół. – Sprawdź to dla mnie. Może okazać się bardzo ważne.

Rozłożył kartkę i wpatrywał się w napis ze zdumieniem.

– Nie pytaj. – Uniosła rękę w geście, jakby chciała go powstrzymać przed wejściem na jej prywatny teren. – Sprawdź to i tyle...

– Dobrze – zgodził się i wstał. – Prawie wszystkie nasze wspólne kanały kontaktowe przepadły. Nie możesz korzystać z biblioteki, madame Marie przy targu też jest spalona...

– Wiem o tym – powiedziała szybko. – Co dzień ktoś za mną chodzi. Podejrzewam Ludviga...

– To może być Ludvig, gestapo albo ktoś, kto czyha na twoje mieszkanie. Musisz to wziąć pod uwagę.

Ani na chwilę nie trać czujności... Przez jakiś czas nie będę tu przychodził. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Znów przemawiał jak do amatorki. Zdenerwowało ją to, ale postanowiła przemilczeć. W pewnym sensie miał rację. Wszelkie kontakty zostały spalone jeden po drugim. Spotkania w szpitalu także były zbyt niebezpieczne. To kwestia czasu, kiedy tu ją dopadną. Nie wolno jej do tego dopuścić ze względu na dzieci.

– Następną wiadomość zostawię ci w polskim kościele. W bocznej nawie jest wąski klęcznik. Pod kolanami. I jeszcze dwie sprawy...

Znów rozległ się stuk. Julian uniósł pytająco brwi. Byli sami w zagraconym pomieszczeniu, ale ukrycie się w starej nieczynnej kotłowni nie było możliwe. Na wszelki wypadek przeglądała każdy kąt, zanim przychodził Julian. Do tego miejsca prowadziły tylko jedne drzwi i długi, wąski korytarz. Kroki odbijały się echem, ponieważ pod cienką warstwą podłogi leżały stare rury. Dźwięk musiał dochodzić z wyżej położonych sal. Była tu już wystarczająco długo i ktoś mógł zacząć jej szukać. Catie zwykle dawała jej alibi, ale musiała być czujna.

– Muszę iść... Jakie to sprawy?

– Franek i Margo znów spodziewają się dziecka. On nie zostanie przerzucony do Polski. Nie zna języka. Do Francji nie wróci, bo jest spalony.

Odetchnęła z ulgą. Bezpieczeństwo Franka i jego rodziny było dla niej najważniejsze.

– Może jednak dostać misję w Austrii lub Niemczech... Tak jak ci ostatnio mówiłem, użyłem wszelkich wpływów, aby jak najdłużej pozostawał z dala od wszelkich zadań.

Wolałaby, żeby Franek do końca wojny nie wychylał nosa ze Szwajcarii, ale nie miała na to wpływu.

– A druga sprawa? – ściszyła głos do szeptu. Naprawdę musiała iść.

– Bądź w każdej chwili gotowa do ewakuacji – powiedział, a widząc, że zamierza zaprotestować, uniósł prawą rękę. – Aline... jeśli będzie taki rozkaz...

– Wolałabym dokończyć misję i nie chciałabym, żebyś przedwcześnie decydował o jej zakończeniu tylko dlatego, że ja i Ludvig...

– Potrafię powściągnąć własne... Robię to od tylu lat.

– Nie potrafisz – skwitowała, wychodząc. – Nigdy nie potrafiłeś i to może nas kiedyś zgubić... Poza tym prosiłam o przydział do Polski. Jeśli zostanę stąd ewakuowana, chcę jechać do Warszawy.

– Mówiłem ci, że tam jest piekło.

– Mówiłeś. – Jej twarz przybrała zacięty wyraz. – Teraz też jestem w piekle, z diabłem wcielonym chędożącym mnie w imię sprawy co noc. Chcę zmienić diabła. Ty także powinieneś tego pragnąć.

Wyszła czym prędzej, cicho zamykając za sobą drzwi, a jemu słowa, które zwykle wypowiadał na zakończenie, musiały uwięznąć w gardle, ponieważ nic nie usłyszała.



Łatwo zgubiła młodzieńca w berecie, który czekał na nią na ławce naprzeciwko jej mieszkania. Kiedy tylko wyszła z domu, wstał i zachowując odległość ledwie kilkunastu metrów, zaczął ją śledzić. Wystarczyło, że skręciła w kilka przecznic i stanęła chwilę w wąskich drzwiach domu przy rue Cambon, a młodzieniec zdeorientowany biegł wte i wewte, aż zniknął w jednej z uliczek. Zbyt łatwo poszło.

Poczekala, licząc do stu, ale nie zauważyła nikogo podejrzanego, więc wyszła ponownie na ulicę. Minęła tak dobrze znany jej sklep Coco, gdzie niezmiennie stała kolejka Niemców chętnych na perfumy zrobione z ponad osiemdziesięciu składników. Nawet nie spojrzała w tę stronę po tym, jak dowiedziała się, co zrobiła jej dawna przyjaciółka. Pomna wszystkiego dobrego, czego zaznała od tej kobiety, nigdy nie oskarżyła jej o kolaborację. Coco mogła mieszkać z niemieckim oficerem w Ritzu, póki wspomagała dziewczyny pracujące w butikach. Kiedy jednak zaczęła procesować się z Wertheimerami o prawa do zapachu Chanel nr 5, wykorzystując fakt, że byli Żydami, Alicja poczuła tak głębokie rozczarowanie, że wykreśliła mademoiselle ze swojej pamięci. Bywały jednak dni, kiedy chciała pójść do eleganckiego apartamentu i wykrzyknąć jej, że Boy nigdy nie pozwoliłby na podobną nieszczemność. Potem znów dochodziła do wniosku, że nie chce Coco widzieć. Również dlatego, że obawiała się, że Coco może zacząć zastanawiać się, czemu Alicja w trakcie ostatnich dwudziestu lat, odkąd się poznały, prawie nie zmieniła się fizycznie, podczas kiedy Chanel wyraźnie zestarzała się i z trudnością przyjmowała naturalny bieg rzeczy. A wtedy kto wie, z kim chciałaby na ten temat rozmawiać i jakie konsekwencje mogłoby to mieć dla samej Alicji. Na szczęście mademoiselle miała tyle przyzwoitości, aby jej nie szukać, nie pukać do jej drzwi i nie obrażać jej usprawiedliwieniami. Musiała jednak zastanawiać się, czemu Alicja rzekła się nazwiska Daniela. Doskonale wiedziała, jak bardzo go kochała. Ponadto dobrze znała charakter Alicji i nie miała wątpliwości, że nie kierowałyby się ani strachem, ani chęcią zysku.

Mrowienie karku kazało jej oderwać myśli od nazistowskich romansów dawnej przyjaciółki. Znów ktoś ją śledził. Zatrzymała się przed witryną jednego ze sklepów i spojrzała w bok. Elegancko ubrana kobieta, która właśnie ją mijala, uciekla wzrokiem o jedną chwilę za późno. Alicja zaczęła iść w przeciwnym kierunku. Kobieta musiała się zorientować, że została rozpoznana, bo przy kolejnej przecznicy już jej nie było. Alicja weszła do kawiarni na rue Saint-Honoré i zamówiła herbatę, wybierając stolik z widokiem na ulicę. Nie zobaczyła ani młodzieńca w berecie, ani eleganckiej kobiety. Siedziała w kawiarni jeszcze pół godziny, obserwując ulicę, ale nie spostrzegła niczego podejrzanego. Zapłaciła kelnerce i spytała o toaletę. Dziewczyna wskazała jej wąski korytarz prowadzący do schodów.

– Czy jest tutaj wyjście z drugiej strony?

Dziewczyna pokiwała głową i o nic nie spytała.

– Obok kuchni jest wejście na klatkę schodową. Wyjście zaraz za kotłownią.

Do rue de Rivoli dotarła taksówką, wysiadając kilka przecznic wcześniej. Nie mogła iść piechotą ani specjalnie kluczyć, bo czasu miała niewiele. Bywało, że Ludvig po oficjalnych spotkaniach włóczył się po mieście. Zdarzało się jednak, że wracał wprost do Willi, zapalał wszystkie światła, jakby nie musiał liczyć się z żadnymi kosztami, i pracował do wieczora.

Dostała się do środka przez okno na parterze, które zawsze zostawiał uchylone. Nie znosił duchoty ani zamkniętych pomieszczeń, nawet jeśli w nich nie przebywał. Znalazła się w pokoju zajmowanym przez Darrel, kucharkę i sprzątaczkę Ludviga, nieco upośledzoną dziewczynę, którą kochanek darzył czymś na kształt przywiązania. Chwalił jej kuchnię, staranność i to, że umiała bezszelestnie poruszać się po mieszkaniu niczym kot, co, jak się wyraził, jest bardzo ważne dla naukowca. Kiedy jej to powiedział, Alicja wykazała głębokie zrozumienie, że właśnie tak, spokój przy pracy naukowej jest najważniejszy, chociaż sama umiała pracować w każdych warunkach. Widocznie austriaccy hrabiowie są pod tym względem niczym księżniczki na ziarnku grochu. Darrel, jak się dowiedziała, musiała poprzedniego dnia

pilnie wyjechać do swojej rodziny do Nantes, co było ogromnie korzystnym zbiegiem okoliczności. Alicja postanowiła wziąć się do roboty.

Zaczęła od przeszukania sypialni Ludviga. Upewniła się, że nie zostawił, podobnie jak ona to robiła, żadnych pyłków ani drobinek na szufladach mogących ujawnić niepożądanego gościa. Sprawdziła dokładnie łóżko, materac i pościel, zajrzała pod spód i za deski oparcia. Otworzyła toaletkę, którą pozostawiła poprzednia właścicielka. Wzdrygnęła się, ponieważ w pierwszej szufladzie znalazła komplet szylkretowych szczotek do włosów i grzebieni. Grzebienie były pięknie wykonane, starannie wypolerowane, na jednej ze szczotek znalazła mały kręcony włos. Jej sercem szarpnął żal. Właściciele willi próbowali wyjechać do Włoch, łudząc się, że cioteczna babka ze starego florenckiego rodu wystarczy, aby usunąć w cień pozostałych Żydów w rodzinie. Alicja z trudem przekonała ich, żeby pozostawili w Paryżu dwie córki. Nieszczęsna Róża zawsze czuła się lepsza od innych ludzi, także swojej nacji, w końcu miała znakomite wykształcenie, koneksje, pieniądze i nie musiała maskować pochodzenia opowieściami o rzekomym dorastaniu w Indiach czy młodości spędzonej na londyńskiej wsi. Swoim egzaltowanym głosem „zorganizowała” ucieczkę, płacąc nieuczciwą cenę jeszcze bardziej nieuczciwym oprawcom, którzy zabili w Lasku Bulońskim ją i jej łatwowiernego męża. Zabrali im wszelkie kosztowności, które Róża w swojej głupocie włożyła pod jedwabną bluzkę i przykryła futrem z szynszyli. Mordercom niezbyt się to opłacało, najpierw prawie się pozabijali o futro Róży, każdy z nich chciał podarować je swojej narzeczonej nawet bardziej niż perły czy rubiny, które przeznaczone do sprzedania. Wreszcie zdecydował los i futro trafiło się niejkiej Hilde, narzeczonej Franca Kopke, starszego z dwójki Niemców, która to Hilde natychmiast się w nie ubrała i opowiedziała wszystkim, że to prezent od kochanego Franca. Przechwałki dotarły do innych kolegów, potem do przełożonych, cała sprawa wyszła na jaw i Franc Kopke oraz jego kolega Gerard Mauer zostali postawieni przed sądem wojennym, a następnie zdegradowani i wysłani na front wschodni. Kara wymierzona została za okradzenie Trzeciej Rzeszy. Od kuli w łeb uratowało nieszczęsnych tylko to, że nie zdążyli sprzedać ani jednej perły i oddali wszystkie nietknięte kosztowności do skarbcza generała wermachtu, który to miał je przekazać samemu Göringowi. Również futro zostało zdjęte z grzbietu Hilde i zarekwirowane, dziewczyna zaś zerwała zaręczyny, nie wiadomo, czy to z powodu degradacji narzeczonego, czy śmiechu, który rozlegał się za jej plecami za każdym razem, kiedy wychodziła oddać mleko do punktu skupu w rodzinnej Szwabii, ubrana w przeniecowane paletko.

Alicja otrząsnęła się ze wspomnień i dalej krok po kroku przeszukiwała szuflady, szafy i sekretarzyki Rosenkranzów, ignorując pozostawione przez nich ślady. Nie znalazła niczego, co mogłoby rzucić nieco światła na powód, dla którego Ludvig pozostawał w Paryżu, na jego rolę w sprawie pocisków dalekiego zasięgu i na samą jego osobę. Tu śladów było zresztą najmniej. Ubrania Ludviga zajmowały jedynie połowę szafy dawnego pana domu. Stare ubrania nie zostały wyrzucone, tylko przesunięte na bok, jakby Ludvig nie chciał pozbawiać się złudzeń, że dawni właściciele wrócą i na powrót zajmą miejsce w domu, z którego on przecież kiedyś wyjedzie. Hrabia miał tylko cztery zmiany bielizny, dwa garnitury i kilka koszul oraz krawatów. Nie znalazła prawie żadnych rzeczy osobistych. Papierośnicę pewnie trzymał przy sobie. W jednej z szuflad zobaczyła pudełko gauloisesów.

– Bardzo ciekawe... – mruknęła do siebie. – Nigdy cię, Ludvigu, nie widziałam z papierosem Sartre’a... *Liberté toujours*, powiadasz?

Wpatrywała się w pudełko ze zdumieniem. W końcu ich palenie było w Paryżu demonstracją protestu

przeciwko państwu Vichy i aktem odwagi, na jaki pozwalało sobie niewiele osób. Czyżby jednak źle oceniała Ludviga?

Na koniec zostawiła pracownię Gilesa, w której, co rozumiała, urzędował teraz Ludvig. Już dawno zauważyła, że nie ma on fotograficznej pamięci, mimo to starała się pozostawiać liczne papiery w identycznym nieładzie, w jakim je zastała. Biurko było gęsto zasłane kartkami, na których albo widniał jeden wzór czy rysunek, albo były gęsto zapisane cyframi, wzorami, równaniami i znakami. Niektóre papiery zgniecione w kulkę leżały na ziemi. Alicja podniosła wszystkie i dokładnie obejrzała. Żadne z równań nie było prawdziwe, żaden wzór nie został użyty adekwatnie do swojej wartości i ani jeden z rysunków nie posłużyłby do zbudowania chociażby prostej wieży, a co dopiero nowoczesnej broni balistycznej. Zamyśliła się. W Stambule Ludvig mógł udawać, że notes zawiera wzory. Po co jednak miałyby to robić tu, w Paryżu, w dodatku pod okiem wermachtu, który coraz bardziej niecierpliwie czekał na wyniki badań. Rozwiązania mogły być dwa, ale każde z nich wydawało się Alicji pozbawione sensu.

Sięgnęła do ostatniej z szuflad. Wstąpiła w nią pewna nadzieja, kiedy skonstatowała, że jest zamknięta na klucz. Zamek szczęknął pod wytrychem i oczom ukazała się skórzana teczka przewiązana niedbale sznurkiem. Nie było na niej żadnego podpisu. Otworzyła ją. Na tuzinie kartek była narysowana ona w różnych pozach. Ludvig rysował głównie jej twarz i dłonie. Chwytał ją kreską pełną miłości, nie mogła temu zaprzeczyć. Nawet amator poznałby, że portrety rysował ktoś, komu modelka nie była obojętna. Na studium twarzy była albo zamyślona, albo skupiona, ale zawsze niezwykle zmysłowa, kusząca i delikatna. Najbardziej podobał się jej rysunek, na którym lewą dłonią odchyłała zasłonę i patrzyła w dal aż na przeciwległy brzeg Sekwany. Sama siebie nigdy tak nie postrzegała. Zwykle patrzyła na siebie oczami innych mężczyzn, głównie Daniela, mniej Juliana, zawsze z niepewnością, że nie jest dość ładna, nie dość kobieca, chociaż każdy z nich zachwycał się jej twarzą i ciałem. Nie zastanawiała się, jak postrzega ją Ludvig, zakładając, że pożąda jej jedynie, myśląc to uczucie z miłością. Człowiek, który narysował jej portrety, nie tyle jej pragnął, co chciał otoczyć opieką i czułością. Każda kreska krzyczała, że Ludvig walczy z uczuciem do niej, to znów mu się poddaje, na przemian starając się ją uwięzić w sobie jak w klatce, to znów z niej uwolnić. Zadrzała. Kim był Ludvig Bernstorff i dlaczego nie potrafiła mu zaufać mimo okazywanych jej uczuć?

Zamknęła teczkę i starannie włożyła ją do szuflady. Potem opuściła pokój i willę Ludviga, w której nie znalazła nic na potwierdzenie swoich podejrzeń.



Polski kościół. To było hasło, które oznaczało ostatnią przystań. Miejsce, które nie zostało jeszcze rozpoznane przez wroga. Julian wiedział, że jest śledzony. Wychodził na paryskie ulice w towarzystwie dwóch lub trzech identycznie jak on ubranych i podobnych sylwetką mężczyzn. Zazwyczaj znikał w tłumie albo wchodził do jednej z kamienic, z której wychodził kto inny, rzucony na żer ewentualnym śledzącym go Niemcom. Abwera musiała być czujna, nawet jeśli Niemcy zwyciężali. Hitler rozumiał jak nikt, że wróg czuwa i tylko kwestią czasu jest, kiedy podniesie głowę, aby rozpocząć równorzędną walkę. Nikt nie był bezpieczny. Ani żony Żydów rozwodzące się z nimi symbolicznie po ich śmierci, ani włoscy hrabiowie, którzy otwarcie wspierali Führera i jego wielkie dzieło. Mimo wszelkich ostrożności pętla zaciskała im się wokół szyi.

Julian wciąż twierdził, że nie grozi im niebezpieczeństwo większe niż kilka miesięcy wcześniej. Jego

przykrywka nazistowskiego Włocha działała świetnie, zwłaszcza że była żona – hrabina pokazywała się w towarzystwie rodziny Duce i słała prezenty Clarze Petacci w myśl zasady, że o kochanki należy dbać tak samo jak o żony. Niemniej jednak pozostawał czujny choćby ze względu na Alicję oraz na ich misję ratowania dzieci, z której Alicja nie chciała za nic zrezygnować, a za którą mogli zapłacić życiem.

Ona sama od czasu wtargnięcia gestapo do jej domu miała stałe towarzystwo. Liczyła, że codzienne śledzenie jej w końcu znudzi się Bauchowi, zwłaszcza że zmuszała jego ludzi do wielokilometrowego krążenia po Paryżu albo trzymała ich pod domem długie godziny, rezygnując nawet z wyjścia po zakupy. Bauch jednak najwyraźniej był uparty. Za każdym razem kiedy wychodziła, kątem oka dostrzegała rykszarza, parę trzymającą się za ręce, zbyt wesołą nawet jak na prawdziwych paryżan, albo żwawą starszą panią, którą zmieniała w połowie drogi inna starsza pani lub kolejna para, wszystko po to, żeby godzinami ją śledzić. Na szczęście nie próbowali wejść do szpitala. Może raz czy dwa, pod pozorem pytań o pracę albo zdrowie dzieci, ale za każdym razem zastawali Alicję czytającą podopiecznym bajki bądź karmiącą je zupą. Jej działalność była świetnie zakonspirowana, ale Alicja robiła wszystko, żeby trzymać gestapo i abwerę z dala od szpitala. Dlatego chodziła tam coraz rzadziej, tylko żeby spotkać się z Julianem albo wesprzeć Catie. Nie spotykała się z rodzinami, które przyjmowały do siebie rzekomo zmarłe dzieci. To było zbyt niebezpieczne. Nie chodziła już osobiście, aby na czarnym rynku kupować leki i opatrunki. To także groziło dekonspiracją. Sprawy załatwiał Julian i jego siatka oraz liczni kuzyni Catie. Alicja przekazywała jedynie pieniądze na wszystkie te cele.

Klucząc ulicami, dotarła do placu Maurice'a Barrèsa i weszła do wnętrza kościoła Notre Dame de l'Assomption. Ten skromny budynek był w polskich rękach od ponad sześćdziesięciu lat. W dodatku leżał nieco na uboczu, rzadko odwiedzany. Uklękła we wskazanym przez Juliana miejscu i wyjęła spod klęcznika zwitek papieru, zanim do budynku weszła starsza para, rozglądając się niepewnie. W całym kościele było zupełnie pusto, nie licząc jej ani niewysokiej kobiety i niskiego mężczyzny, który był jedynie ucharakteryzowany na starca, bo powolne poruszanie się przychodziło mu z trudnością. Przygarbił także młode ciało, Alicja poznała to od razu. Co do kobiety, trzymała się za swoim towarzyszem, więc Alicja nie mogła rozpoznać jej wieku. Niewątpliwie jednak śledzili ją. Pogrzyżyła się w modlitwie, kątem oka widząc, że jej towarzysze klękają przy głównym ołtarzu i usiłują sprawić wrażenie rozmodlonych.

Po godzinie uznała, że „starcy” mają już dość, przeżegnała się szybko i wyszła ze świątyni. Nie oglądała się za siebie pewna, że „przejmie” ją kto inny, a tamta para zajmie się przeszukiwaniem miejsca, w którym klęczała. Jeszcze w kościele przeczytała wiadomość od Juliana.

Kuzyn ze strony matki. Bal w Vaux-le-Vicomte. BN

A więc Ludvig wybierał się na jeden ze słynnych balów organizowanych przez gestapo. Słyszała o nich. Odbywały się zwykle w zamkach pod Paryżem, do których dowożono specjalnie wybranych gości samochodami. Kobiet z towarzystwa tam nie zapraszano. Przeciwnie, na tego typu imprezach były obecne luksusowe prostytutki, które przebierano za hrabiny czy królewskie metresy, a następnie aranżowano zabawę w egzekucje na szafocie. Bal kończył się orgiami. Ścięte hrabiny ożywały, zrzucały suknie, pozostając jedynie w biżuterii i maskach, i oddawały się wysokim rangą oficerom, śpiewając *Marsyliankę*. Alicja wiele w życiu widziała i jeszcze więcej słyszała, ale nie wyobrażała sobie większej

ohydy. Wzdrygnęła się na samą myśl, że Ludvig, autor delikatnych portretów, szepczący jej co noc o swojej miłości, może wziąć udział w takim przedsięwzięciu. Julian zakończył wiadomość literami BN, co oznaczało „bardzo niebezpieczne”. Nie musiał jej tego mówić. Sama wiedziała, że przedostanie się na ten bal graniczyło z cudem, a gdyby została rozpoznana, zastrzelono by ją na miejscu lub zawleczono na tortury do gestapo. Nawet gdyby jakimś cudem przeniknęła do środka i przebrała się za markizę de Pompadour, stałaby się jedynie celem niezaspokojonych żądz niemieckich oficerów. Szczerze wątpiła w to, że udałoby się jej zdobyć jakiejkolwiek informacje na czele z odpowiedzią na pytanie, kim jest w istocie Ludvig Bernstorff.

Szła głęboko zamyślona, nie zapomniała jednak o wyrzuceniu skrawka chusteczki na chodnik, tak aby śledzący ją mogli go podnieść i żywić nadzieję, że wreszcie przyłapali ją na czymś, co zainteresuje pułkownika Bauch. Wiadomość od Juliana połknęła zaraz po jej odczytaniu. Kiedy podszedł do niej młody wysoki mężczyzna i wziął ją pod rękę, zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na niego z udawanym przerażeniem. Spodziewała się kolejnej wizyty gestapo u siebie w domu albo aresztowania podczas spaceru, nie była zatem zaskoczona.

– Ale...? – wyjąkała.

– Idziemy spokojnie, pani Charme... – przemówił do niej mężczyzna.

– Dokąd pan mnie prowadzi...? – spytała nasyconym strachem głosem. – Ja nic nie zrobiłam...

– Mam polecenie doprowadzić panią na gestapo. To tylko kilka pytań – wyjaśnił krótko.

– Nie, nie... – zaprotestowała. Jej nogi nagle zrobiły się jak z waty, drżąc przy każdym kroku tak, że musiała mocniej przytrzymać się swojego nieoczekiwanego towarzysza.

– Lubi pani przecież spacerować, pani Charme... – powiedział z ironią i powlókł ją w stronę siedziby gestapo.



– Co pani robiła w kościele Najświętszej Marii Panny? – spytał Bauch.

Krążył wokół niej, trzymając w ręku krótki czarny bat. Wpatrywała się w niego z przerażeniem adresowanym do umysłu, nie do emocji potencjalnego oprawcy. Tego też nauczono ją podczas szkolenia. Oprawca nie będzie bał się ani krzyków, ani łez, ale jeśli dostatecznie długo będziesz patrzeć na niego z przerażeniem, zadając ci bezskuteczny ból, może uwierzyć, że naprawdę nic nie wiesz.

– Modliłam się – skuliła się, czekając na uderzenie.

– Czemu akurat w tym kościele? – spytał i uderzył bacikiem swoje lewe przedramię. – Niech się pani zastanowi nad odpowiedzią, pani Charme... Dobrze radzę...

– Ja... – powiedziała drżącym głosem. – Ja... naprawdę się modliłam. Tam jest ikona, cudowna ikona i ja...

Zaczęła płakać. Nie wątpiła, że zatrzymanie ma związek z Ludvigiem, jego badaniami czy postawą. Chciała, żeby pułkownik odkrył karty. Nie miała pojęcia, jak nakierować rozmowę na ten tor. Nieoczekiwanie sam Niemiec przyszedł jej z pomocą.

– O co się pani modliła? Z tego, co wiem, nie ma już pani bliskich poza austriackim uczonym...

– Ja... – wyjąkała. – Ja... i hrabia Bernstorff... On...

Bauch przystanął. Po chwili głośno się roześmiał.

– Czy pani, jako Francuzka, roi sobie, że austriacki obywatel blisko współpracujący z samym Führerem zechce się z panią ożenić?

– Nie – wyszeptwała. – Ja tylko... Mnie wystarczy, że on...

Wykręcił jej rękę. Syknęła, a z oczu popłynął jej nowy strumień łez.

– Słucham? – spytał Bauch i mocniej docisnął ramię. Poczowała silny ból i zaczęła krzyczeć. – No? Co pani chciała wymodlić w kościele?

– Żeby udało mu się dokończyć te obliczenia... – wyjęczała. – Wtedy... wtedy...

Puścił ją i spojrzał z zaskoczeniem.

– Czy hrabia Bernstorff zwierza się pani z misji, którą mu powierzono?

Miał minę, jakby chciał ją zastrzelić na miejscu.

– Nie, nie... – zaprotestowała. – On jest lojalny, niezwykle oddany... Ja chciałam tylko, żeby bardziej był dla mnie. Ja... Czuję, jak to kobieta, że te badania... Ja ich nie rozumiem, ale wiem, że on...

Popatrzył na nią z pogardą.

– Niemiecka kobieta chciałaby tylko jednego – wycedził. – Żeby jej mężczyzna zasłużył się dla kraju. Taka francuska szmata jak ty...

Zamachnął się i uderzył ją pięścią w twarz. Na szczęście nie na tyle mocno, żeby złamać jej szczękę. Krzyknęła głośno, a potem złapała się za policzek i zaczęła dygotać. Siedziała skulona z zaciśniętymi powiekami, cicho pojękując. Potem ktoś wszedł do pokoju przesłuchań.

– Kapitanie Erhardt – mruknął niechętnie Bauch. – Czemu zawdzięczamy wizytę abwery w skromnych progach gestapo?

Kapitan rzucił Alicji uważne spojrzenie, następnie bez słowa wręczył pułkownikowi kartkę złożoną na pół.

– To niemożliwe! – zagrzemiał Bauch. – Jakim prawem przejmuje pan mojego więźnia? Dopiero zacząłem przesłuchanie!

– A na jakiej podstawie aresztował pan tę panią? – spytał spokojnie kapitan. Odciągnął na bok Bauch a szeptał mu do ucha coś, czego Alicja nie słyszała. Twarz Bauch a robiła się na przemian biała i czerwona.

– Nie jest aresztowana – mruknął w końcu. – Nie muszę się przed panem tłumaczyć ani wierzyć w brednie, które mi pan tu... Przesłuchuję ją tylko w związku z jej... bliskością z jednym z najpilniej strzeżonych ludzi Führera.

– Ten najpilniej, jak pan się wyraził, strzeżony człowiek Führera zetrze pana w proch, kiedy się dowie, że bił pan jego kobietę.

Bauch, jeszcze bardziej purpurowy na twarzy, pochylił się w stronę Erhardta i coś mu wyszeptał do ucha. Kątem oka dostrzegła zaskoczenie na twarzy kapitana.

– Czy skończył pan swoje przesłuchanie? – po chwili spytał kapitan Erhardt. – Jeśli tak, to ja teraz przejmuję dochodzenie, a jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania do tej pani, to zaczekam tutaj. Uprzedzam jednak, że spieszy mi się.

Tym razem z twarzy Baucha odpłynęła cała krew. Najwyraźniej to, co powiedział, miało skłonić Erhardta do wycofania się, tymczasem odniosło całkiem inny skutek. Uniósł bat, jakby chciał nim wysmagać oficera abwery. Wreszcie opanował się i podniósł słuchawkę telefonu. Upewnił się co do zasadności rozkazu, a potem zwrócił się do Alicji.

– Zabierajcie się stąd. Jeśli następnym razem wpadnie mi pani w ręce, inaczej porozmawiamy, zrozumiano?

Erhardt wstał i skinął głową na Alicję.

– Grzeczniej proszę, pułkowniku. To, zdaje się, jest dama, a w dodatku związana z przyjacielem Führera. Notabene zamierzam o całej sprawie poinformować pana przełożonego.

Bauch znów wyglądał, jakby miał uderzyć Erhardta.

– Dopilnuję, żeby pan złożył szczegółowy raport z działalności abwery...

– Zapewniam, że nie będzie pan musiał tego pilnować. – Kapitan uklonił się i wyprowadził Alicję.



ROZDZIAŁ VII

Paryż powoli przesuwał się za oknami samochodu, do którego zaprosił ją kapitan. Zaprosił, a nie wepchnął, co dało jej do myślenia. Przez całą drogę nie odezwał się ani jednym słowem. Gdyby tylko chciała, łatwo mogła wyskoczyć z samochodu i zniknąć w najbliższej bramie. Tyle że byłoby to zupełnie pozbawione sensu. Siedziała więc sztywno, patrząc przed siebie, z ręką na palącym po uderzeniu policzku. Czekwała na rozwój sytuacji. Wreszcie samochód łagodnie zatrzymał się w sercu dziesiątej dzielnicy przy rue de Faubourg-Saint-Denis i kierowca otworzył przed nią drzwi.

– Proszę. – Erhardt wskazał jej wejście do eleganckiego domu.

Patrzyła z wahaniem i niemym pytaniem na twarzy. Uwielbiali z Danielem tę dzielnicę z jej wielokulturowym eleganckim sznytem, gdzie jądanie dań tureckich czy chińskich było równie eleganckie jak konsumpcja escargaux w Ritzu. Do tej pory przychodziła tu na targ warzywny, chociaż nie znajdowała już śladu dawnej radości, a warzywa hodowane w domach albo na dachach były włókniste i bez smaku.

Przestronne i jasne mieszkanie, pełne osobistych drobiazgów, przywodziło raczej na myśl dom rodzinny, a nie siedzibę abwery. Na powitanie wyszła elegancka Niemka, która podała Alicji rękę z szacunkiem i wyraziła podziękowanie oraz radość z jej wizyty, a potem zniknęła w korytarzu. Alicja oniemiała. Kapitan nie ułatwiał jej zadania, niczego nie wyjaśniał. Takie postępowanie mogło kosztować kapitana Erhardta stanowisko. Widać miał asa w rękawie. Musiała tylko czekać, aż zechce go wyjąć. Usiadła na wskazanym fotelu, nie zdjawszy płaszcza ani kapelusza.

– Kawy? – spytał kapitan. – Zechce pani zdjąć płaszc.

Pokręciła przecząco głową.

– Szklankę wody, jeśli można – powiedziała cicho.

Kapitan zerwał się z krzesła, a ona rozejrzała się po pokoju. Było oczywiste, że mieszkanie należało wcześniej do bogatej żydowskiej rodziny. Na ścianach ciągle pozostały ledwie widoczne ślady po wiszących wcześniej obrazach. Weszła żona Erhardta z tacą, na której stała szklanka wody i talerzyk z ciasteczkami. Postawiła ją na pięknym stoliku w stylu art déco i wbiła wzrok w Alicję.

– Proszę nam pomóc... – wyszeptwała, jakby nie mogła się powstrzymać. – Błagam panią...

Nie tego się spodziewała. W głosie kobiety była rozpacz, a w jej oczach ból. Na wąskiej, surowej twarzy nie znalazła cienia fałszu. Felicja Erhardt powierzała jej właśnie tragiczną tajemnicę.

– Felicjo... – Kapitan Erhardt nie wyglądał jak przedstawiciel zwycięskich Niemców, przypominał raczej głęboko nieszczęśliwego człowieka. – Jeszcze nie mówiłem...

– Proszę wybaczyć. – Kobieta uniosła ręce i z jej dziwnej postawy Alicja wywnioskowała, że Felicja Erhardt chce zabrać od niej płaszc. Zdjęła go więc i podała kobiecie.

– Proszę powiedzieć, o co chodzi – zaczęła, kiedy żona kapitana wyszła z pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Widok głęboko pooranego zmarszczkami czoła mężczyzny sprawił, że głos uwiązł jej w gardle.

Cokolwiek miał do powiedzenia kapitan, wymagało to odwagi większej niż stawanie na pierwszej linii frontu. Gdzieś w głębi mieszkania rozległ się dziwny dźwięk, ni to krzyk, ni gulgotanie nieznanego jej ptaka. Twarz kapitana zrobiła się nagle zupełnie szara.

– Madame Charme... – rzekł. – Powiedziano mi, że tylko pani może pomóc...

Drzwi otworzyły się i wjechał solidny wózek inwalidzki pchany przez żonę kapitana, a na nim ośmio-, może dziewięcioletni chłopiec. Alicja popatrzyła ze współczuciem. Wyglądał jak motyl z przetrąconymi skrzydłami. Piękna, jeszcze dziecięca buzia była wykrzywiona, jedną rękę miał podkurzoną, a tułów skręcony był w prawo. Chłopiec zaczął ruszać głową w przód i w tył, jakby chciał wyciągnąć ją z szyi. Ślinił się przy tym i mamrotał coś niezrozumiałego, a następnie znieruchomiał na kilka sekund. Jego twarz wykrzywił grymas, odrzucił głowę w lewo, jego ciałem i twarzą wstrząsnęły drgawki. Kapitan zerwał się z krzesła i pobiegł w kierunku chłopca, w ostatniej chwili zapobiegając wypadnięciu z wózka. Uniósł dziecko ku górze i ścisnął mocno drgające ciało.

– Kapitanie – odezwała się Alicja. – Proszę położyć dziecko na podłodze.

Mężczyzna odwrócił się ku niej, ale wykonał polecenie. Ostrożnie ułożył chłopca na perskim dywanie. Drgawki nie były silne i po chwili ustąpiły. Alicja poczuła zapach moczu.

– To pana syn, kapitanie? – spytała.

Kapitan Erhardt pokiwał głową.

– Jak często ma drgawki?

– Co dzień, nawet kilka razy... Zawołam żonę, żeby go przebrała. Proszę wybaczyć.

– Poczekam – powiedziała Alicja. – Chciałabym z obojgiem porozmawiać. Tymczasem poproszę o chwilę cierpliwości, chciałabym zbadać syna. Jak ma na imię?

– Jorgen... – odrzekł cicho kapitan. – Prawdziwe niemieckie imię nadcześniaka – dodał gorzko.

Wyszedł z pokoju, a Alicja zaczęła powoli i systematycznie badać chłopca. Wciąż był nieprzytomny i wiotki, ale zdołała znaleźć miejsce, gdzie według niej tkwiło źródło drgawek. Kiedy skończyła, rozległo się pukanie do drzwi.

– Jest pani naszą ostatnią nadzieją, pani Charme... – szepnęła Felicja Erhardt.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy zaczęła się choroba i jakie były jej pierwsze objawy – poprosiła.

– Jorgen ma osiem lat – zaczął kapitan. – Jeszcze rok temu był zupełnie sprawnym dzieckiem...

– Przybiegł do mnie dziesięć miesięcy temu ze skargą, że prawa rączka go „nie słucha”. Rzeczywiście – relacjonowała Felicja – była trochę inna, bardziej miękka, taka...

– Wiotka – wszedł jej w słowo mąż. – Ale następnego dnia było wszystko w porządku. Po kilku dniach to się powtórzyło, ale już pozostało. Nie wiedzieliśmy, co robić.

– Byłam z nim w tajemnicy u naszego doktora – wyznała kobieta. – Uspokoił mnie, że u dzieci, które rosną, tak bywa. Kiedy zaczęły się problemy z nogą, też prawą, już nigdzie nie poszliśmy.

– A kiedy zaczęły się ataki?

– Kilka miesięcy temu, ale nie powtarzały się co dzień. Dopiero od miesiąca tak jest...

Alicja głaskała po głowie leżącego nieruchomo chłopca.

– Będzie teraz spał kilka godzin – powiedziała Felicja. – Nie obudzi się nawet, kiedy będę go myła.

– Dlaczego nie wróciliście do lekarza, kiedy osłabła noga? – spytała.

– W wielkich Niemczech nie ma miejsca na słabość i choroby chłopców. Gdyby lekarz zgłosił, że Jurgen jest chory, zabraliby go do zakładu zamkniętego. Już byśmy go nie zobaczyli.

– I tak mieliśmy wielkie trudności z wyjaśnieniem, czemu Jurgen nie zgłosił się do Hitlerjugend.

– Sprowadziłem rodzinę tutaj, żeby chociaż trochę się ukryć. Jednak to tylko kwestia czasu, kiedy się domyślą...

– Wtedy nam go zabiorą – wtrąciła Felicja.

– Pani Charme. – Kapitan podszedł do niej. – Pytałem o panią, bo polecono mi śledzenie jej w związku ze sprawą hrabiego Ludwiga... Moi szpiedzy powiedzieli mi, jaką jest pani uzdolnioną pielęgniarką. Proszę nam pomóc dostać się do lekarza... Zapłacimy, ile będzie pani żądała. Pani i ten lekarz... Błagam...

– Może pani umyć chłopca – powiedziała łagodnie Alicja. – Kapitan zanieś go do łazienki. Potem proszę tu do nas wrócić.

Została sama w pokoju i zaczęła intensywnie myśleć nad sposobem uratowania małego Jurgena. Kiedy wrócił kapitan, zaczęła mówić:

– Być może się mylę, ale państwa syn ma guza mózgu w lewej okolicy czołowej... Jeśli nie zostanie usunięty, chłopiec nie ma szans...

– Boże... – Kapitan ukrył twarz w dłoniach. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale zrobię wszystko... Musi być jakiś sposób, jakaś cena, którą zapłacę...

– Nie wszystko można kupić, kapitanie – powiedziała łagodnie.

– Proszę mi wybaczyć, madame, nie chciałem pani urazić...

– Nie uraził pan – przerwała mu. – Rozumiem, co pan ma na myśli. Proszę mi powiedzieć, kto wie o tym, że Jurgen jest w Paryżu.

– Nikt... W Norymberdze powiedziałem, że na czas wyjazdu umieszczam go w Austrii w szkole z internatem. Oczywiście nigdy nie starałem się tam o miejsce. Do Paryża przyjechał razem z moją żoną samochodem, z zaufanym kierowcą, nocą. Nikogo nie zapraszamy do domu, nie zwierzam się z problemów...

– Nie wspomniał pan nikomu, że ma syna?

– Owszem, w obecności moich przełożonych. Kilka razy mówiłem, że jest w internacie w Austrii. Nie podawałem żadnych szczegółów.

– Uwierzyli?

– Tak. – Pokiwał głową. – Uzyskałem nawet coś w rodzaju wsparcia. Nawet mali chłopcy mają przyzwyczajając się, że zostali powołani na świat na chwałę Trzeciej Rzeszy, a nie po to, żeby tkwić u matczynych spódnic.

Do pokoju weszła Felicja Erhardt i popatrzyła na Alicję z nadzieją.

– Czy można w jakiś sposób uniknąć tych ataków?

– Można. – Alicja pokiwała głową. – A przynajmniej je złagodzić. Tyle że ich źródło jest tutaj. – Dotknęła palcem lewej strony czoła.

– Boże, pani Charme, co się pani stało? – wyszeptała przerażona kobieta.

Alicja stłumiła lekką irytację. Żony oficerów niemieckich nie zdawały sobie sprawy z tego, co robią ich mężowie za ścianami zaanektowanych paryskich kamienic.

– Uderzył mnie pułkownik Bauch – wyjaśniła spokojnie, a widząc minę Felicji, dodała. – Gdyby nie pani mąż, pobiłby mnie prawdopodobnie dotkliwiej, zerwał paznokcie, a może nawet wybił zęby...

Kobieta zasłoniła usta rękoma.

– Błagam panią, pani Charme... – wykrztusił Erhardt. – Zrobię co w mojej mocy, aby panią ochronić. Może chce pani opuścić Paryż? Zorganizuję ucieczkę...

Jego żona zaczęła płakać.

– Co wy robicie? Co wy robicie tym ludziom? Przecież to może kosztować życie naszego syna...

– Proszę nie płakać, pani Erhardt – przerwała jej Alicja – tylko mi pomóc. Towarzysze pani męża skazują na śmierć tysiące dzieci dzień w dzień... A proszę mi wierzyć, każde dziecko, niezależnie od pochodzenia, ma przed sobą wielkie możliwości...

– Pani Charme... – zaczął kapitan.

– Proszę mi nie proponować pieniędzy – przerwała mu, a mężczyzna spuścił wzrok. – Proszę mi zagwarantować, że w zamian za uratowanie życia tego chłopca pomoże pan tylu dzieciom, ilu pan zdoła. Zgadza się pan?

Reinhardt nie wyglądał na człowieka, który będzie się targował. Skinął kilka razy głową, a potem powiedział:

– Zrobię wszystko, czego pani zażąda, obojętnie, ile to będzie kosztowało... Położę na szalę całą swoją reputację...

– Niech pan posłucha – przerwała mu. – Myśli pan, że Bauch posłał kogoś, żeby nas śledził?

Kapitan pokręcił głową.

– Heini, mój kierowca, jest przyjacielem. Kluczył tak, żeby zmylić ewentualny ogon. Poza tym nie jechało za nami żadne auto, które mogłoby należeć do gestapo, a śledzący nas na piechotę mogli co najwyżej podejrzewać, że zawiozłem panią do siedziby abwery i tam przesłuchuję.

– Zatem zawiezie mnie pan do abwery i napisze protokół z przesłuchania. Następnie wyśle go pan Bauchowi. Raport musi zawierać sugestię, że jestem niemieckim szpiegiem, a przynajmniej osobą o to podejrzaną. Nie przestaną mnie wtedy śledzić, ale Bauch nie ośmieli się robić tego tak ostentacyjnie. Będzie się bał, że w przypadku mojej dekonspiracji zostanie odesłany na front wschodni. Potem zawiezie mnie pan do szpitala tak, żeby nikt tego nie widział.

– Rozumiem. – W oczach kapitana zamigotała iskierka nadziei. – Mogę porozmawiać z moim przełożonym, generałem Offenbachem. Zasugeruję, że jest pani kluczową postacią dla naszego wywiadu. Jak go znam, powie to komuś z gestapo, a wtedy Bauch będzie musiał zostawić panią w spokoju.

Pokiwała głową. Nie wierzyła w to, ale warto zasiać wątpliwości w przypadku kogoś takiego jak Bauch.

– Wróciłam niedawno z misji w Stambule – powiedziała ostrożnie i uniosła rękę, kiedy zobaczyła, że kapitan chce coś powiedzieć. – Zapewne pan o tym doskonale wie. Miałam przewieźć pewne dokumenty i zrobiłam to. Proszę powiedzieć pułkownikowi Bauchowi, że mam doprowadzić abwerę do siatki

szpiegowskiej kontrolującej Bliski Wschód. Może to nam da więcej czasu.

Kapitan w milczeniu skinął głową.

– Zawiozę syna do szpitala, kiedy tylko nadejdzie zmrok – powiedział.

– Porozmawiam z kim trzeba. Proszę się o to nie martwić. Zoperujemy Jurgena i wytniemy guz.

Felicja Erhardt złapała Alicję za rękę i pocałowała ją nieoczekiwanie.

– Niech Bóg to pani wynagrodzi – powiedziała cicho.

Zaskoczona Alicja cofnęła rękę.

– Pani Erhardt – powiedziała ze współczuciem. – To może być złośliwy guz i operacja nie polepszy stanu chłopca. Bez niej jednak Jurgen na pewno umrze. Nie mogę obiecać...

– Dziękujemy pani bardzo. – Felicja tym razem objęła Alicję mocno i przycisnęła ją do piersi. – Nadzieja... to dla nas takie ważne...

– Chłopiec po operacji zostanie w szpitalu przez kilka dni. Jeśli pojawią się drgawki, wtedy otrzyma od nas leki. Być może nadal będzie miał osłabioną prawą stronę ciała. Nie mogę też obiecać, że zacznie mówić i chodzić... – popatrzyła uważnie na twarze małżonków.

– Co wtedy pani poradzi?

– Żebyście się nim nadal opiekowali, aż to piekło się skończy... – uśmiechnęła się łagodnie. – Więcej powiem po operacji.

– Wiem, że będziemy musieli starannie ukrywać Jurgena, inaczej stracimy go. Co mamy jeszcze zrobić? Co mam zrobić dla pani? – spytał kapitan.

– Trzymać ode mnie z daleka gestapo. Tak samo od szpitala...

– Zrobię co w mojej mocy...

– Kapitanie... – zaczęła. – Kiedy proszę, aby chronił pan szpital, mam na myśli także ochronę po operacji Jurgena. Nawet jeśli nie będzie udana...

– Rozumiem – powtórzył Erhardt. – Ma pani moje słowo. Jest pani niezwykłą kobietą, pani Charme...

– Staram się tylko, aby nie odebrano godności ani mnie, ani tym dzieciom, które do mnie trafiają. Proszę podać mi państwa numer telefonu.

Kapitan wymienił rząd cyfr.

– Mój telefon to dwieście trzydzieści cztery, czterysta osiemdziesiąt jeden. Uważam jednak, że jest na podsłuchu. Proszę nigdy nie dzwonić do mnie z tego mieszkania ani z telefonu abwery. Jedyne z budki telefonicznej. Jeśli jest coś ważnego, co musi mi pan przekazać, proszę mówić monosylabami, tak, żebym ja zrozumiała, nie ten, co podsłuchuje. Ja będę do pana dzwoniła z miasta.

– Mój telefon jest bezpieczny. Zapewniam...

– Nic nie jest bezpieczne... – Uśmiechnęła się, stwierdzając przy okazji, że opuchlizna po uderzeniu robi się coraz większa.

Wstała. Kapitan pocałował żonę w czoło i uściskał, a potem zwrócił się do Alicji.

– Możemy jechać.

Po drodze nie patrzyła na kapitana. Heini zerkał na nią w lusterku wstecznym, a ona odwróciła się w jego stronę opuchniętym policzkiem. Widziała, jak się zaczerwienił.

Przesłuchanie w abwerze trwało jeszcze godzinę, podczas której kapitan zadawał jej dość idiotyczne pytania z gatunku, czy nie ma niemieckich albo żydowskich korzeni. Wreszcie zdecydowała się nakierować rozmowę na dogodny dla siebie tor. Osoba Ludviga nie została nawet wzmiankowana, chociaż Alicja bardzo chciała zadać kapitanowi kilka istotnych dla siebie pytań. No cóż, pomyślała, zrobię to we właściwym czasie.

Wróciła na chwilę do mieszkania, aby nakarmić Quasimoda i napisać Ludvigowi kartkę, że pozostanie na noc w szpitalu. Nie chciała, żeby zaczął jej szukać i, nie daj Boże, zepsuł misternie utkany przez nią plan. Z ulgą skonstatowała, że nie ma go w mieszkaniu. Ostatnio jego widok i wygłaszane po węgiersku tyrady działały na nią niezwykle przygnębiająco.

Przeprawa w szpitalu ku jej zaskoczeniu nie była łatwa. Doktor Bouvier początkowo stanowczo odmówił leczenia małego Niemca.

– Czy pani oszalała, Alino? – spytał. – Czy pani wie, czym to grozi? Z tego, co pani opisała, a wiem, że na diagnostyce zna się pani lepiej niż niejeden mój kolega, wynika, że guz jest nieoperacyjny...

– Musi mu pan odbarczyć mózgowie. Ucisk powoduje drgawki i pogłębiający się niedowład. Jeszcze nie doszło do porażenia, ale...

– A jeśli coś pójdzie nie tak? – przerwał jej. – Wystrzelają nas tu jak kaczki, a potem pójdą do naszych domów.

Alicja pokręciła głową.

– Przeciwnie – stwierdziła stanowczo. – Jeśli nie zrobimy nic...

– Pani Charme... – zaczął Bouvier i otarł chustką spocone czoło. – Przecież narazi to pani działalność... Bo chyba nie wierzy pani, że gestapo będzie chronić szpital.

– Ojciec chłopca jest z abwery.

– Jeden diabeł. – Chustka ponownie uniosła się w kierunku czoła. – Nawet jeśli nie będzie chciał tego zrobić, dostanie rozkaz pacyfikacji szpitala i ...

– Panie doktorze – przerwała mu. – Proszę pomóc choremu dziecku, a resztą ja się zajmę. Do tej pory udawało mi się chronić szpital.

Doktor odwrócił się w kierunku okna. Sekundy dłużyły się niemiłosiernie.

– Dobrze – powiedział ciężkim głosem. – Uprzedzę Matilde, że zostaję na noc. Będę potrzebował asysty Gilesa Sandre'a i...

– Sala będzie gotowa, instrumentariuszka powiadomiona. Ja także będę asystowała.

Z wdzięcznością uścisnęła doktorowi dłoń, następnie poszła porozmawiać z Catie.



Heini przywiózł chłopca tuż po północy. Razem z Jurgenem przyjechał kapitan, na szczęście ubrany w zwyczajny garnitur, a nie mundur. Doktor Bouvier już czekał, a Alicja uprzedziła kapitana, że na czas operacji może zostać w jej pokoju.

Kiedy tylko otworzył czaszkę chłopca, doktor Bouvier, wbrew swoim zwyczajom eleganckiego Francuza i człowieka powściągliwego, gwizdnał przeciągle.

– Alino Charme – powiedział. – Po wojnie zrobię wszystko, aby otrzymała pani należny jej dyplom

ukończenia Akademii Medycznej.

A potem usunął potężnego wodniaka, który uciskał mózg.

– Jurgen musiał się uderzyć w głowę – tłumaczyła potem zszokowanemu kapitanowi. – Powstał krwiak, który się powiększał. Ponieważ nikt tego nie rozpoznał i krew nie została usunięta, zamienił się z czasem w zbiornik wody.

– Niewiele rozumiem, ale to nie był guz, tak? – pytał Reinhardt.

– Nie, to nie był guz...

Kapitan osunął się na kolana i pochylił głowę. Jego ramionami wstrząsnął szloch.

– Czy Jurgen poczuje się lepiej? – spytał.

– Na pewno tak. – Stłumiła chęć pogłaskania mężczyzny po głowie. – Nie mogę jednak teraz określić, czy w pełni wróci do zdrowia i czy ataki ustaną. Ten proces na pewno będzie stopniowy...

– Niech panią Bóg błogosławi – przerwał jej.

– Kapitanie – uśmiechnęła się – pana syn wciąż jest ciężko chory. Pozostanie tu przez kilka tygodni. Będę go odwiedzała, badała regularnie, a pan...

– Czy żona może go odwiedzić?

– Pod osłoną nocy tak – zgodziła się. – Nie możemy ryzykować. Pan wróci do pracy i będzie się pilnował na każdym kroku. Nie wolno panu nawet jednym słowem wyrazić radości. Nie wolno zacząć nagle mówić o synu, nawet w kontekście jego internatu w Austrii. Mogłoby to kogoś zainteresować.

– Rozumiem.

Kapitan miał wypisane na twarzy, że upomnienia Alicji robią na nim wielkie wrażenie. Ona sama zdała sobie sprawę, że właściwie się zdekspirowała, tłumacząc kapitanowi niemieckiego wywiadu, jak ma ochraniać tajemnicę. Nie dbała jednak o to. Nawet na wojnie i między wrogami dochodziło do sytuacji, w której pojawiała się coś tak ulotnego i mocnego zarazem jak zaufanie.

– Może pan na chwilę pójść do syna – powiedziała jeszcze. – Potem proszę wracać do pracy.

– Czy mógłbym odwiedzić panią do domu? Heini jest do pani dyspozycji.

Pokręciła przecząco głową.

– Wrócę sama, tak jak zwykle.

– Madame Charme... – Kapitan popatrzył na nią. – Nie jest moją rolą wnikać w pani sprawy osobiste, ale...

Umilkł, a ona uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Obawiam się, że będę musiała prosić pana o pomoc w tej kwestii – powiedziała ostrożnie. – Mój związek z Ludvigiem dobiega końca. Szaleństwo, które zaczyna ogarniać hrabiego, nie służy ani mnie, ani sprawie niemieckiej. Nie chciałabym być przyczyną niepokoju Führera...

– Pani Charme... To, co teraz pani powiem, jest sprawą najwyższej wagi i może mnie kosztować wszystko.

A więc to był as w rękawie kapitana, odkryty dopiero, kiedy było już po wszystkim.

– Mogę pana tylko zapewnić, że mam równie dużo do stracenia – powiedziała z godnością.

– Hrabia Ludvig Bernstorff zniknął...

Ta wiadomość była jak rażenie piorunem.

– Jak to...? – wykrztusiła. Nie musiała udawać zdumionej ani zagubionej. Nic nie zaskoczyłoby jej bardziej niż taka wiadomość.

– Ostatni raz widziano go na pewnej... hmm... uroczystości. Dzisiaj miał pojawić się na niezwykle ważnym posiedzeniu. Nie przyszedł.

– Ale... – zaczęła Alicja. – Skąd przypuszczenie, że on...?

– Ukradł samochód jednego z... wysokich rangą oficerów, oszukując go wcześniej. W lesie znaleźliśmy ciało kierowcy...

Stała zupełnie oniemiała.

– Pani Charme... – Przełknął ślinę. – Ludvig Bernstorff był angielskim szpiegiem.



ROZDZIAŁ VIII

Sen z panią Micziko zwiastował zazwyczaj chorobę, jej albo kogoś z najbliższych osób. Ukochana małpka zwykle przychodziła do jej podświadomości nad ranem, mieszała w głowie wspomnieniami strasznymi i wzruszającymi, a potem przytulała się gwałtownie i odchodziła. Nigdy nie śniła się jej w scenerii przypominającej cyrk Empire ani w swoim naturalnym środowisku. Zwykle siedziały gdzieś na ławce pośród pustych przestrzeni, Alicja, bezskutecznie rozglądając się za kawałkiem trawy, małpka wpatrzona w nią ze współczuciem.

– Przyjdź do mnie, nie przynosząc choroby – powiedziała na jej widok, a potem jak zwykle usiłowała zgadnąć, kto zazna cierpienia i jak ono będzie głębokie.

Pani Micziko w tym śnie zachowywała się jednak zupełnie inaczej. Skakała wesoło, obracając się w powietrzu. Mantylka, w którą była odziana, powiewała jej na wietrze. Klaskała w ręce i wyszczerzała zęby.

– Chcesz powiedzieć, że dla odmiany masz jakąś radosną nowinę? – spytała Alicja i przez chwilę była pewna, że pani Micziko kiwa głową, a jej mądre oczy błyszczą radością.

Sen skończył się gwałtownie i Alicja zdumiona uniosła powieki. Stary budzik Daniela terkotał jak najęty, wbijając się do jej głowy niczym natrętny dzwon. Wstała i nacisnęła niewielki przycisk; budzik zamilkł. Poczowała rozdzierający ból głowy. W kuchni wypła kilka łyków wody i ponownie wróciła do łóżka. Ktoś zachoruje, pomyślała, ale to będzie inna choroba niż zwykle. Pani Micziko była taka ucieszona. Co to może znaczyć? Przez jej świadomość przebiło się inne pytanie – kto nastawił budzik? Wstała szybko i obesła pokoje, sprawdzając wszystkie miejsca, w których pozostawiała znane tylko sobie znaki na wypadek, gdyby podejrzewała, że ktoś przeszukiwał jej mieszkanie. Włos na brzegu szuflady, który spadłby, gdyby ktoś próbował ją otworzyć, pyłek na toaletce, który musiałby zostać strzepnięty przy próbie przesunięcia szkatułki z kosmetykami... Wszystkie „bezpieczniki”, jak nazywała je Alicja, spoczywały dokładnie tam, gdzie je zostawiła. Skrytka pod podłogą zakamufLOWANA podwójnymi deskami była pokryta obwódką kurzu. Alicja nie trzymała żadnych ważnych dokumentów w szufladach. Jedynie pod bieliźniarką w szkatułce nieco kosztowności, na wypadek gdyby zaszła konieczność wypłacenia szybkiego okupu. W skrytce leżały pieniądze na życie i leki dla dzieci, paszport na nazwisko Liliane Acthorp, jasna peruka i wypełniacze do jamy ustnej, które miały ją upodobnić do kobiety na zdjęciu. A zatem nikt nie przeszukiwał mieszkania. Może jedynie wszedł i zostawił jej osobliwy znak w postaci nakręconego budzika? Natychmiast pomyślała o Ludvigu. To było zbyt nieprawdopodobne. Zgodnie z procedurami wręczyła konsjerżce klucze do swojego mieszkania, ale przy pierwszej możliwej okazji podmieniła je. Marie Anthanou nie weszłaby do mieszkania, korzystając z przekazanego jej klucza. Ludvig nigdy nie miał własnego, póki byli razem, a po jego ucieczce Alicja zmieniła zamek na wypadek, gdyby dorobił klucz, nie mówiąc jej o tym. A zatem Ludvig nie mógł nakręcić budzika. Zwykle szóstym zmysłem wyczuwała niebezpieczeństwo wokół siebie, teraz nie czuła, że cokolwiek jej grozi. Jednak coś się nie zgadzało.

Ludviga nie było już w jej życiu. Znikł nagle, tak jak się pojawił, zostawiając w łazience szczoteczkę do zębów i wodę po goleniu, a w sypialni wiszący na wieszaku szlafrok. Musiał uciekać w popłochu, gdyż wyszedł tak, jak stał. Przeszukiwała przecież jego willę, podczas gdy on mordował kierowcę i uciekał kradzionym samochodem. Nie pytała kapitana Erhardta, czy znaleziono samochód. Uznała, że takie pytanie byłoby zbyt natarczywe.

Nie tęskniła za nim. W skrytości ducha zapytywała siebie wielokrotnie, czy w innych okolicznościach, gdyby nie było wojny, gdyby nie jej skomplikowana przeszłość i jego działalność, mogłaby pokochać Ludviga. Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Pewnym wstydem napełniało ją wspomnienie, jak pragnęła go wtedy w Stambule, jak chętnie zanurzała się w jego ciało i spokojnie zasypiała u jego boku. Wówczas tliło się w niej ziarenko zaufania. Była nawet zakochana. Nie tak jak kiedyś w Julianie i oczywiście nie tak jak w Danielu, jednak niewątpliwie zakochana.

– Ludvigu, może spotkamy się w innym czasie? Może odzyskamy czas, który straciliśmy na uciekanie przed sobą i udawanie... – powiedziała dzień po balu, po tym, jak zamierzył się na nią, a następnie padł na kolana, błagając o wybaczenie. Wtedy widziała go po raz ostatni.

Poprosiła go, żeby odszedł. Czy to miało wpływ na jego ucieczkę niespełna trzy dni później?

– Niczego nie udawałem... A co ty udawałaś?

– Ludvigu...

W jego oczach widziała szaleństwo.

– Szaleję za tobą! – krzyknął. – A ty co udawałaś? Pewnie za moimi plecami pieprzyłaś się z połową gestapo!

– Ludvigu, proszę... – W pamięci miała kilka zdjęć, które Caaz zrobił z ukrycia na balu w zamku. Nagi Ludvig związany za nadgarstki i ujeżdżająca go Francuzka w białej peruce. Otumaniony narkotykami w objęciach nagiego pułkownika wermachtu. Samo podejrzenie homoseksualnych skłonności wystarczyłoby, aby pułkownik został zdegradowany i odesłany na front wschodni. Gdyby to zdjęcie zobaczył Führer, Ludvig zniknąłby nie tylko z jej życia, ale także z powierzchni ziemi. Caaz, jej przyjaciel i sojusznik, podjął wielkie ryzyko, idąc na bal. Misja zakończyła się sukcesem. Caaz zdobył pewne informacje, a przy okazji kompromitujące zdjęcia, które mogły pomóc wygrać wojnę bardziej niż wzory rakiet balistycznych.

– Francuska dziwka! – wrzeszczał Ludvig, waląc w drzwi łazienki, w której się zamknęła. – Będiesz tego żałowała do końca życia! Odzyskam cię, chociażby siłą! Nigdy nie uwolnisz się od mojej miłości, słyszysz? Słyszysz, dziwko?!

Nie odpowiedziała mu. Jeszcze długo wyrzucał jej, że zabrała mu życie, że on bez niej już nigdy go nie odzyska i tym podobne egzaltowane bzdury, które wykrzykują raczej zdradzone kobiety niż mężczyźni. Wreszcie wyszedł, zabierając ze sobą jej zdjęcie, które stało na pianinie, oraz roztrzaskując fotografię jej i Daniela. Od tego czasu nie było nocy, żeby nie dziękowała Bogu, że znów sypia sama. Z Julianem widziała się dopiero tydzień po zniknięciu Ludviga.

– Nie wiem, kim on był, ale raczej nie alianckim agentem... – mruknął markotnie.

– Niemieckim też raczej nie... – dodała.

– Misja zakończona niepowodzeniem – burknął jeszcze, nie patrząc na nią.

– Jeśli masz na myśli naszą sprawę i wzory, to zapewniam cię, że on ich nie stworzył. Najlepszy dowód, że uciekł, nie przekazując nic ani aliantom, ani Niemcom.

– Nie o to chodzi – zasepił się Julian. – Nie mam wielkich możliwości, aby zapewnić ci ochronę, a obawiam się, że grozi ci z jego strony niebezpieczeństwo.

– Raczej nie. – Pokręciła głową. – Nie sądzę, żeby wrócił do Paryża. Zabił niemieckiego żołnierza i otrzymał wyrok śmierci.

– Nie poznałem pana hrabiego, ale z twoich opowieści wynika, że zrobiłby wszystko, żeby cię zdobyć albo zabić.

Wbił w nią wzrok. Nic nie mówiła. Owszem, Julian miał rację, ale nie znał Ludviga. Najpierw zapewniłby bezpieczeństwo sobie, potem zdobył pieniądze. Dopiero później szukałby zemsty. Mimo rysów szaleńca była przekonana, że Ludvig dopiero zaplanuje zemstę i będzie ją smakował na zimno.

– Informacje, które zdobył Caaz na balu oraz zdjęcia... Dowództwo jest pełne uznania dla twojego geniuszu.

– To dzięki twojej informacji wpadłam na pomysł uczestnictwa w balu. Ja bym się nie przecisnęła, ale Caaz... To jemu należą się wyrazy uznania, nie mnie.

– Zostajecie oboje w Paryżu, póki sprawa nie przycichnie. Potem, jeśli chcesz, możesz jechać do Polski. Uzyskałaś na to zgodę, chociaż ja osobiście prosiłbym cię, żebyś nie...

– Naprawdę? – wykrzyknęła. Oblała ją fala szczęścia. – To wspaniała wiadomość! Wspaniała!

– Tak – mruknął. – Tam jest najgorsza wojna. Nawet nie wiesz...

– To się dowiem – stwierdziła stanowczo. – Już za długo tu jestem. Gdyby nie dzieci ze szpitala i ta sprawa ze wzorami, pojechałabym do Polski sama...

– Caaz poprosił o identyczny przydział i otrzyma go po zakończeniu tej misji – dodał Julian, a ona spojrzała ze zdumieniem.

– Caaz chce jechać do Polski?

– Caaz chce jechać do Polski z tobą – mruknął Julian z niezadowoleniem, akcentując ostatnie słowa. – Będę się temu sprzeciwiał ze względu na motywy, jakie nim według mnie kierują.

– Julian... – powiedziała Alicja. – My dwoje już nigdy nie będziemy razem..

Zastanawiała się teraz nad tymi słowami. Może w nich tkwił klucz do snu z panią Micziko. Cokolwiek było między nią a Julianem, nigdy nie wróci. A Ludvig... Czy pani Micziko ostrzegła ją przed nim? Gdyby groziło jej niebezpieczeństwo, małpka nie byłaby taka ucieszona.

Wysłuchała się w siebie. Ciało nie było jej sojusznikiem, nadal go nie rozumiała, nie liczyła zatem, że odpowie na jej pytanie. Zwróciła się więc do swojego umysłu, który rzadko ją zawodził, ale i ten wydawał się uśpiony i niezdolny do odpowiedzi. Głowa nadal ją bolała, ból rozlewał się po czaszce falami, pulsował, przybliżał się i oddalał.

Wstała z wysiłkiem z łóżka i nastawiła wodę na herbatę. Miała jeszcze zapas sprzed wojny, od Coco. Trzymała herbatę earl grey w puszcze, dodatkowo owiniętą ściereczką, żeby nie zwietrzała. Zapach bergamotki uspokoił ją. Popijała małymi łykami. Racjonowany chleb smakował jak trociny. Alicja nie była wybredna, głód, jaki cierpiała w czasach pierwszej wojny, uodpornił ją na coś więcej niż zgłiwiały chleb. Teraz jednak kęsy rosły jej w ustach. Ostatni wywołał torsje. Alicja ledwie zdążyła dotrzeć do

łazienki, gdzie wyrzuciła z siebie całe śniadanie wraz z piekącą żółcią. Jestem chora, pomyślała z przerażeniem. Może to tyfus albo inna choroba zakaźna. Sięgnęła do otumanionej głowy w poszukiwaniu zarazy, której pierwszym objawem byłyby poranne mdłości, a następnie przerażona wpatrzyła się w swoją bladą twarz w lustrze.

– Przecież nie mogę mieć dzieci – wyszeptała do swojego odbicia. – Tak bardzo chcieliśmy z Danielem mieć dziecko. I nigdy się nie udało. To niemożliwe, żeby teraz...

Kolejna fala mdłości oderwała ją od lustra. Pani Micziko zwiastowała gorzko-słodką nowinę.



Nie tylko ona była w odmiennym stanie. Paryż także wydawał się odmieniony. Teraz, kiedy Ludvig wyjechał i jego absorbująca osoba nie zasłaniała jej już świata, widziała, że miasto przeszło całkowicie na stronę wroga.

Luwre, który tak lubiła odwiedzać, był niemalże pusty po tym, jak ciężarówki wyładowane dziełami sztuki opuszczały go kolejno, zmierzając do Chambord. Rozdano maski gazowe. Alicja przymierzyła swoją, ale maska okazała się za duża, chociaż zapewniano ją, że jest „kobieca”. Trudno było znaleźć miejsce bez niemieckich napisów na szyldach. Nazistowskie flagi powiewające nad ratuszem i wieżą Eiffla tak wtopiły się w krajobraz, że Alicja złapała się na tym, że mija je już od dłuższego czasu zupełnie obojętnie.

Niestety nie mogła powstrzymać oburzenia, kiedy stykała się z „akcją plakatową”. Niemcy głosili hasła, wprowadzali szkolenia „jak rozpoznać Żyda” i reklamowali je na plakatach. Żydom zabraniano już praktycznie wszystkiego, naturalnie tym, którzy jeszcze w Paryżu mieszkali. Nie wolno im było handlować, robić zakupów rano ani jeździć metrem w ciągu dnia. Musieli wracać ostatnim pociągiem zwanym synagogą. Uważała, że to oburzające, i miała wyraźnie dość własnej niemocy, tego przyzwalania na takie niegodziwości w imię „sprawy”.

Wyrzeczenie się Daniela zniszczyło ją. Mogła udawać, że robi wszystko dla wyższych celów, że dzięki temu ratuje dzieci i pomaga wygrać wojnę. Jednak pogarda dla samej siebie nie ustąpiła ani na chwilę. Miała nadzieję, że po zakończeniu sprawy Ludwiga będzie mogła pojechać do Polski i tam zrobić coś dobrego, zmazując tym samym narastające w niej poczucie winy. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nie mogła jechać, nie w tym stanie. Jako pierwszej powiedziała Catie, a przyjaciółka zakryła usta dłonią.

– Boże, Alina... – powiedziała tylko. – Czy ty chcesz...?

Alina dotknęła ręką brzucha i uśmiechnęła się z miłością.

– Tak – powiedziała. – Bardzo chcę. To dar.

Na twarzy Juliana odmalowało się takie zaskoczenie, że chociaż nie spodziewała się zachwytów i gratulacji, zrobiło jej się nieprzyjemnie.

– Czy to... tak jak myślę? – spytał zdławionym głosem. – Aline...

Wyglądał, jakby miał się rozplakać. Pokiwała głową.

– Nie pojedziesz do Polski – skwitował wciąż oszołomiony. Splatał i rozplatał palce. – Ewakuujemy cię do Szwajcarii tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

– Nie – powiedziała stanowczo. – Zostanę tutaj.

– Ale dlaczego? – nie zrozumiał.

– On wróci – odpowiedziała. – A ja będę na niego czekała.

Była więcej niż pewna, że Ludvig nie odjechał daleko. Przyczaił się gdzieś u dalszej rodziny, w Wiedniu, i pewnie już zaczął planować. Nie tylko się nie bała, ale zamierzała go sprowokować. Jej plan nie był do końca skryształizowany, za dużo jawiło się w nim niewiadomych i potencjalnych możliwości oraz słabych punktów. Chciała jednak spróbować. Jej ofiara nie mogła pójść na marne.

– To niebezpieczne. – Julian wyłamał palce tak mocno, że aż chrupnęły kości.

– Nie rób tak – powiedziała odruchowo. – Zniszczysz sobie stawy.

Nagle, jakby ta wiadomość dopiero do niego dotarła, Julian ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona zatrzęsły się.

– To niebezpieczne – rzekł wreszcie, kiedy oderwał dłonie od twarzy. Miał na niej wypisaną całą gamę uczuć, strach, potworną zazdrość, miłość, która nie tylko nie wypaliła się z biegiem lat, ale obrośnięta tęsknotą jeszcze się nasiliła. – Jesteś bezbronna... Zwłaszcza teraz...

Chciała powiedzieć tysiąc innych słów. Zamiast tego podsumowała krótko:

– Wiem. Nasi uważają, że nie wykonałam zadania, bo nie dostali planów, które miał stworzyć Ludvig. Niemcy, że w jakiś sposób byłam w zмовie z Ludvigiem, którego uważają za angielskiego szpiega, i pewnie sądzą, że przekazałam plany aliantom. Ludvig uważa, że go zdradziłam. Śledzą mnie od miesiący. Chwilowo mam spokój, ponieważ abwera zasugerowała gestapo, że Ludvig wróci po mnie, niezależnie od tego, czy był ze mną w zмовie, czy nie... Tu się nie mylą. Pytanie tylko, co mi zrobią, kiedy on wróci, zakładając, że pierwszy nie zrobi tego sam Ludvig. Czekam na dziecko, którego ojciec jest mordercą. I największy problem – zawiodłam Caaza, który do Polski pojedzie teraz sam. Myślę, że skupię się na moim dziecku i pomocy na rzecz szpitala...

Patrzyła, jak Julian odchodził zgarbiony, jakby w ciągu tej godziny przybyło mu co najmniej dziesięć lat.



Nie powiedziała Julianowi całej prawdy. Miała od kilku tygodni pewną myśl, z początku ulotną, z czasem krystalizującą się coraz mocniej. Przyszło jej to do głowy, kiedy po raz tysięczny wspominała Daniela. Zabrał ją kiedyś na wycieczkę do Prowansji i tam, małym samochodem, jeździli pustymi drózkami i obserwowali niebo.

– Spadająca gwiazda. – Pokazał jej palcem. – To niezwykle, że spada dla nas właśnie teraz.

– Kochany – roześmiała się – to obraz sprzed milionów lat, tyle że dopiero teraz do nas dotarł.

– Naprawdę? – zdumiał się. – Skąd wiesz?

– To dosyć podstawowa wiedza z zakresu fizyki – podsumowała. – Mój nauczyciel w domu rodzinnym powiedział mi o tym..

– No tak – westchnął Daniel. – Bijesz mnie na głowę nawet w dziedzinie gwiazd. To może mi chociaż wytłumaczysz, dlaczego światło biegnie tak szybko?

Otworzyła usta, ale po chwili zamknęła je, bo zrozumiała, że z niej żartuje. Pogroziła mu palcem, a potem posłusznie popatrzyła w niebo.

– Jeśli przyjąć to, co usiłujesz mi wmówić – mruzczał Daniel do jej ucha – czyli że światło biegnie najszybciej na świecie, to nigdy by nie zapadła ciemność i nie byłoby gwiazd. Oto czym jest twoja cała wiedza z zakresu fizyki... Nieporozumieniem, moja droga... Zwyczajnym nieporozumieniem...

Gdybym ja miała stworzyć pociski, wykorzystałabym w tym celu wiązkę światła, przyszło jej do głowy, po czym wyjęła ze skrytki sfotografowane notatki profesora Nēmca i zaczęła je wnikliwie studiować. Po godzinie wraz z kotem, który skoczył jej na plecy i ułożył się niczym kołnierz wokół szyi, w jej umysł wsączyła się wąska strużka zrozumienia. Po tygodniu miała pełne zeszyty notatek i robiła doświadczenia ze starym pryzmatem, który kupiła kiedyś w antykwariacie w VII Dzielnicy. Daniel powiedział jej, że u niego w rodzinie pryzmat uważany był za symbol Boga. Ja go użyję, postanowiła, żeby go wyręczyć i zrobić coś, co powinno należeć do Niego – spróbuję zakończyć wojnę.

Prawie nie wychodziła z domu. Odwiedzała jedynie szpital, gdzie mały Jurgen dochodził do zdrowia. Zwykle jeździła nocą, z Heinim, który zajeżdżał od podwórza. Schodziła do samochodu, a potem kładła się na tylnym siedzeniu i zakrywała kocem. Kilkakrotnie zatrzymywał ich patrol policji, ale Heini pokazywał stosowne przepustki i żołnierze salutowali, a następnie zostawiali ich w spokoju. Mały wracał do zdrowia. To, co uciskało jego mózg, zostało usunięte. Przed Jurgenem była jeszcze daleka droga, ale Alicja zapewniła kapitana Erhardta, że jest duża szansa, że jego syn będzie całkowicie sprawny. Sama ułożyła dla niego ćwiczenia ruchowe oraz ćwiczące mowę i kiedy tylko mogła, „odpytywała dziecko” z zadanej przez siebie lekcji. Mały pokochał ją szybko i bez zastrzeżeń.

– Pani Charme... – mówił kapitan ze łzami w oczach. – Ja i moja żona... Jesteśmy tacy wdzięczni...

Kapitan dotrzymywał słowa. Na tyle, na ile mógł, chronił ją samą i szpital. Pułkownik Bauch przyciął się niczym szczur i czekał na rozwój sytuacji. W rzadkich chwilach, kiedy wychodziła z domu, czuła wprawdzie na plecach znajome mrowienie, ale miała wrażenie, że śledzący ją robią to tylko „na rozkaz” i dość niechętnie, bo nawet się z tym specjalnie nie kryli. Wcześniej śledzenie jej mogło stanowić wyzwanie, kiedy gubiła tropy, przebierała się czy godzinami spacerowała po Paryżu. Teraz śledzący mogli co najwyżej pójść za nią na targ po kilka warzyw oraz po racjonowany chleb. Mając na względzie dobro dziecka, przyjmowała przysyłanego jej przez Catie handlarza mięsem Christiana, który wyjmował w piwnicy podroby z zakrwawionej torby, tylko od czasu do czasu wymieszane z jakimś kawałkiem mięsa. Alicja dzieliła się tym mięsem z Quasimodem, który bezbłędnie wyczuwał wizyty Christiana z odległości dzielącej jej mieszkanie i piwnicę i zaczynał koci taniec radości, kiedy tylko handlarz stawiał stopę na ich ulicy. Alicja piekła pasztety, przygotowując je ziołami, które hodowała w doniczkach na kuchennym oknie, albo dodawała szczyptę szafranu czy innych przedwojennych wonności kupowanych w sklepach kolonialnych i zamkniętych w kolorowych puszkach. Przynajmniej zabijały zapach nerek czy płucek, chociaż nie były w stanie poprawić wyglądu potrawy. Przy pasztetach wspominała Emily, a co za tym idzie, ciocię Kundzię, Charlotte i Johannę, czując, że były częścią jej życia, które odeszło bezpowrotnie wieki temu.

– Chodź, kotku – mówiła, kiedy kończyli obiad. – Pójdziemy popracować nad światłem.

A Quasimodo wpatrywał się z wielkim zainteresowaniem w pryzmat, który rozszczepiał cienką wiązkę, i mruzczał z zadowolenia.



ROZDZIAŁ IX

Telefon zaterkotał o świcie. Alicja położyła się spać niespełna trzy godziny wcześniej, z uczuciem triumfu, gdyż jej badania po czterech miesiącach prób wreszcie zaczęły przynosić konkretne rezultaty. Nie położyłaby się w ogóle spać, bo była podekscytowana, gdyby nie wzgląd na dziecko, które potrzebowało spokoju i snu, aby się prawidłowo rozwijać. Zanim podniosła słuchawkę, wiedziała już, kto dzwoni.

– To ja... – zabrzmiał jego głos.

Nie odpowiedziała.

– Jesteś tam, Alina?

– Tak – rzekła cicho. – Ludvigu... Gdzie jesteś?

Chwila wahania. Podał jej adres zamkniętego kościoła kilka przecznic od jej mieszkania.

– Musimy porozmawiać – powiedział prosząco. – Jestem tu, aby oczyścić swoje imię... Ale najbardziej zależy mi, abyś ty mi uwierzyła.

Milczała. Od chwili, kiedy zniknął, spodziewała się, że stanie w jej drzwiach, zaczai się na nią gdzieś w Paryżu albo zadzwoni i zażąda spotkania.

– A jeśli nie przyjdę? – spytała.

– To zabiję twojego przyjaciela – wycedził zimno, a potem w słuchawce zabrzmiał głos Juliana. – Nie waż się przychodzić! Zawiadam..

Rozległ się strzał. Alicja skuliła się i ścisnęła słuchawkę tak mocno, że zbieleły jej kostki.

– Jeśli za dziesięć minut cię tu nie będzie, strzelę mu w brzuch. – Usłyszała. – Przynies plany, które ukradłaś z mojego mieszkania. I notes...

– Ja nie wiem..

– Jeszcze słowo i odstrzelę mu łeb. Dziesięć minut.

Ubierała się w biegu, z duszą na ramieniu, przerażona, że Ludvig gotów jest zabić Juliana. Tego scenariusza nie przewidziała. Skąd o nim wiedział? Po co pytał o notes i plany? Musiał wiedzieć, że notes pozostał w Stambule, a plany w jego mieszkaniu były bezwartościowe. Wykonała jeszcze jeden telefon, mimo że czas ją naglił, i wybiegła z mieszkania, modląc się, żeby zdążyć.

Kiedy tylko przekroczyła próg kościoła, przekonała się, że Ludvig nie żartował. Julian w pół siedział, w pół leżał na schodach prowadzących do bocznej nawy. Jego lewe ramię zwisało bezwładnie, a rękaw marynarki był nasiąknięty krwią. Dopadła go, zanim Ludvig zdążył jej zabronić. Oderwała kawałek tkaniny ze spódnicy i zawiązała na ramieniu powyżej rany.

– Jak się czujesz? – spytała cicho.

Julian próbował się uśmiechnąć. Odwróciła się w stronę Ludviga. Jej oczy były pełne furii.

– Ty draniu – wycedziła. – Jesteś zwykłym mordercą.

– To nieprawda – rzucił. – Napadli nas bandyci, zabrali plany i porwali mnie. Zabili tego

nieszczęsnego człowieka. Szantażowali mnie i ja... cudem uciekłem. Nie zdradziłem im nic, Alina. Nic, musisz mi uwierzyć...

– Wypuść nas stąd, a wtedy może się wstawię za tobą... – Wciąż klęczała koło Juliana, przyciskając się do jego boku.

Wcześniej Ludvig trzymał pistolet opuszczony, teraz uniósł go i wycelował w Alicję.

– To nieprawda, Alino – szepnęła Ludvig i spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, nie opuszczając jednak broni nawet o cal. – Nie miałem z tym nic wspólnego. Jestem tylko naukowcem, który na swoje nieszczęście urodził się po niewłaściwej stronie...

Julian stęknął.

– Wypuść nas, Ludvigu – powiedziała spokojnym tonem, starając się odwołać do jego rozsądku. – Na pewno znajdziemy jakieś wyjście z sytuacji...

– A jakie znajdziesz wyjście? – spytał z ciekawością, jakby spodziewał się jakiejś barwnej i wielotorowej opowieści. – Pobiegniesz do swoich znajomych w gestapo i wystawisz mnie?

Rys fałszu, który zabrzmiał w jego tonie, dodał jej odwagi. Ludvig był jednak kiepskim aktorem, a ona zamierzała mu to udowodnić.

– Rzeczywiście... – rzekła i się wyprostowała. – Urodziłeś się po niewłaściwej stronie. Po niewłaściwej stronie rodziny Bernstorffów...

– To jest moim przekleństwem, wiem... Jak możesz wykorzystywać...

Ludvig prezentował na przemian osobowość skrzywdzonego kochanka, z całym wachlarzem emocji wyniesionych z domu, z chorą psychicznie matką, i drugą, w której przemawiał kontrolujący sytuację, ale niemający nic do stracenia austriacki naukowiec.

– Przestań. – Popatrzyła na niego przenikliwie. – Przyjechałeś tu z Austrii z własnym szalonym planem, który miałeś zacząć realizować na przyjęciu w ambasadzie. Miałeś kogoś zabić... Tyle że zginął Albert von Ekhem... Niemiecki szpieg i kanalia...

– Poznałem go na przyjęciu, nawet nie zdążyłem...

– Nie zdążyłeś, bo ja go zabiłam. Ty chciałeś zabić kogoś zupełnie innego... – kontynuowała.

– Byłem zaskoczony, zszokowany... – Wciąż trzymał ją na muszce, ale wiedziała, że jest coraz mniej pewny siebie.

– I dlatego natychmiast pobiegłeś do swojego pokoju? Sprytnie zasugerowałeś, że chciałeś zabezpieczyć swoje wzory i wykresy. Tak naprawdę chciałeś pozbyć się trucizny, na wypadek gdyby przeszukano twój pokój. Gdzie wcisnąłeś strychninę, Ludvigu? Założę się, że do tego pięknego kwiatka w korytarzu. Byłam tam kilka dni później i wyobraź sobie, że kwiat z niejasnego powodu usechł...

– Ja nie... – zaczął Ludvig. – Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła?

– Nic... – Uśmiechnęła się ironicznie. – Zupełnie nic... Stoisz tutaj, trzymając mnie na muszce. Zraniłeś mojego przyjaciela... Twierdzisz, że mnie kochasz, ale chcesz zabić...

Ludvig opuścił broń.

– Jesteś największym szczęściem i nieszczęściem zarazem, jakie spotkało mnie w życiu... – Zrobił krok w jej stronę. Nie poruszyła się ani o milimetr i nie odrywając od niego wzroku, powiedziała:

– Nie jesteś Ludvigiem Bernstorffem, tylko Ladislavem Szegeszwarem, jego kuzynem. Znanym w rodzinie jako Laszlo, utracysz i nierób...

Julian wpatrzył się w Alicję z niemym zdumieniem w oczach. Ludvig pobladał...

– Prawdziwy Ludvig nie był ani tak przystojny, ani charyzmatyczny jak ty... – kontynuowała ze skupieniem na twarzy. – Był za to utalentowanym fizykiem. Naprawdę współpracował z profesorem Němcem i był o krok od odkrycia możliwości wyprodukowania rakiet dalekiego zasięgu. Nieopatrzenie zwierzył ci się z tego, prawda?

Ludvig milczał, zerkając na boki, jakby chciał uciec.

– Zobaczyłeś w tym swoją szansę. Němec mógł widzieć twoje zdjęcie, ale jesteś wystarczająco podobny do prawdziwego Ludviga, żeby taka mistyfikacja się udała. Miałeś w ręku całą korespondencję między nimi. Miałeś jego notes ze wzorami... Przynajmniej tak myślałeś...

– Nie... – spróbował jeszcze raz Ludvig. – To nie było tak, błagam cię, Alina, wysłuchaj mnie.

– Ależ wysłucham, kiedy przyjdzie czas, zapewniam cię, drogi Laszlo... Tymczasem kontynuujmy, bo czasu mamy coraz mniej. Zabiłeś Ludviga i zabrałeś jego badania. Nie wiem, jak to zrobiłeś, pewnie skrzyłeś mu kark albo wyrzuciłeś przez okno... Kto to może wiedzieć?... Zanim go zaatakowałeś, musiał ci wspomnieć, że teoretyczne wyliczenia nie pokrywały się z praktyką. Pewnie jednak ci nie powiedział, że spalił swoje notatki i prace. Postanowił zacząć od nowa. Prawdziwy wzór wysłał w ostatnim liście do profesora Němca, zaczątek myśli. Miał przyjechać do Paryża i wspólnie z Němcem dalej pracować. Tylko że ty nic nie wiesz o fizyce kinetycznej, prawda, Laszlo?

Przemowa nie sprawiała Alicji najmniejszej satysfakcji. Przeciwnie, supeł w gardle pęczniał do niewiarygodnych rozmiarów. Obawiała się, że się udusi i nie dokończy przemowy.

– Jak długo pod okiem gestapo i doradcami samego Führera można udawać niemoc naukową? Jak długo można grać rolę niemieckiego szpiega, a zarazem naukowca? Nie tak długo. Dlatego wymyśliłeś kolejny fortel, żeby zyskać na czasie. Zamierzałeś przyjechać do Paryża, zabić profesora Němca i tym samym mieć wymówkę, że nie możesz dokończyć badań... Ale zginął Albert i zabicie Němca nie było już możliwe. I co zrobiłeś, Laszlo? Wiedziałeś, że nie zabiłeś Alberta. Nie zdążyłeś nawet przygotować trucizny. Jedyłą osobą, która mogła to zrobić i miała ku temu sposobność, byłam ja. Odgadłeś, że nie jestem paryżanką-filantropką. Początkowo chciałeś dostarczyć gestapo moją głowę na talerzu. Potem stwierdziłeś, że użyjesz mnie jako przynęty i zdemaskujesz siatkę na Bliskim Wschodzie. Byłeś pewien, że pracuję dla aliantów, ale nie umiałeś w żaden sposób tego udowodnić...

– Ja... zakochałem się w tobie. Ja...

– Milcz – wydyszał Julian, patrząc na niego z pogardą.

– Może nie byłam ci obojętna. Na pewno mnie pożądałeś... Kto to jednak wie, jak to jest z uczuciem?...

– Alina, czy ty nie rozumiesz? – spytał cichym głosem i wskazał palcem ciężką kotarę, która zwieszała się z sufitu bocznej nawy. – To on jest organizatorem całej tej akcji, to on jest... On zabił Eliasza i... Współpracował ze mną po powrocie ze Stambułu.

Do pomieszczenia wszedł Caaz. Julian wyraźnie oklapł, ale Alicja tylko uśmiechnęła się ironicznie.

– To mogło tak być – potwierdziła. – On mógł znaleźć i zabić Eliasza, oszukać mnie, ocalić nas oboje, żeby przejąć później twoje badania. Tylko widzisz, on mówi po polsku.

– Co to ma do rzeczy?

Julian znów odkaslnął. Kątem oka zauważyła, że krzywi się z bólu coraz bardziej.

Dalej, Girolamo, zachęciła go w myślach, wytrzymaj jeszcze chwilę, to tylko uraz mięśnia, nic ci nie będzie.

– Skąd Litwini wracali? – spytała Caaza po polsku.

Caaz uniósł brwi.

– Z nocnej wracali wycieczki... – powiedział niepewnie.

– Mógł nauczyć się polskiego – słabo zaprotestował Ludvig.

– Mógł – potwierdziła. – Ale nauczyła go matka. Sam nie nauczyłby się sonetu Mickiewicza.

– Gdzie na to wpadłaś, Luna? – uśmiechnął się Caaz.

– W Stambule – odpowiedziała uśmiechem, chociaż wcale nie była w dobrym nastroju. – Tam mi powiedziałaś, że twoja matka była Polką. W tym mieście umarł Adam Mickiewicz, nasz wybitny poeta... Wtedy skojarzyłam fakty... Ludvig mówił biegle po węgiersku. Popisywał się przede mną znajomością tego języka. Ciągłe cię sprawdzałam, Ludvigu... Szukałam umiejętności, które powinieneś mieć, wiedzy, którą powinieneś dysponować. Tymczasem zdradziła cię wiedza, której mieć nie powinieneś.

– Jak to? – spytał, ale po jego oczach poznała, że zrozumiał.

– Ludvig Bernstorff wychowywał się bez matki. Te krótkie chwile, które z nią spędzał, nie wystarczyły, aby znał węgierski. Wasze matki były siostrami, tyle że twoja była całkowicie zdrowa i nauczyła cię węgierskiego. Całe dzieciństwo spędziłeś w rodzinnym majątku pod Budapesztem, prawda?

Ludvig vel Laszlo wyprężył się jak do skoku. Caaz drgnął, ale Alicja ponownie uspokoiła go gestem.

– Co masz do powiedzenia? – spytała. – Mów, chętnie posłuchamy jakiegoś wyjaśnienia. Udowodnij, że się mylę, że naprawdę jesteś zdolnym fizykiem, który nie opracowuje wzoru tylko dlatego, że chce uratować tysiące istnień ludzkich. Śmiało, Laszlo...

– Ty suko – wycedził, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości. – Czy ty wiesz, jak to jest być ubogim krewnym bajecznie bogatego wujostwa? Czy ty wiesz, jak to jest prosić co roku wuja o możliwość spędzenia wakacji w towarzystwie kuzyna, który nie dość, że jest bogaty, to jeszcze zdolny i pracowity? Czy ty wiesz, jak to jest czuć, że dostało się od życia nie te karty, co trzeba?

Oddychał przez chwilę głęboko.

– Doskonale wiem – krótko odparła Alicja. – Ale nie zrobiło to ze mnie potwora.

– Jakim prawem nazywasz mnie potworem? – syknął. – Moja matka była cudowną istotą w przeciwieństwie do ciotki, która od najmłodszych lat zdradzała objawy melancholii i dziwactw... To z moją matką miał ożenić się wuj. To ja miałem być bogatym, kochanym dzieckiem...

Caaz poruszył się niespokojnie.

– Laszlo – powiedział. – Znikajmy... Zabierzmy jej plany i...

– Od niego wiem, że znalazłaś ten wzór – powiedział Ludvig i wskazał brodą na Caaza. – Miałem rację, że postawiłem na ciebie. Moja cudowna, mądra Alina Charme... Twoja praca posłuży Trzeciej Rzeszy, a całą chwałę przejmę ja. Zaraz będzie tu pułkownik Bauch...

– Obersturmbannführer Bauch nie przyjdzie, aby nas aresztować – powiedziała spokojnie. – Czekaj teraz w starym składzie mąki blisko Gare du Nord. Weź sobie swoje wzory i znikaj stąd...

– Od kiedy wiedziałaś? – spytał, wyciągając w jej kierunku rękę.

– Od początku – odpowiedziała. – Miałam jeszcze wątpliwości, bo tak dobrze grałeś rolę zakochanego...

– Co mnie ostatecznie zdradziło? – mruknął.

– Za pomocą swoich kontaktów odnalazłam starą piastunkę w Wiedniu. Pokazano jej twoje zdjęcie. Potwierdziła, że przywłaszczyłeś sobie tożsamość kuzyna.

– Pytam, kiedy ty nabrałaś pewności? – cedził przez zaciśnięte zęby. – Nie byłem dość dobry w łóżku? A może im nie powiedziałaś, że żyliśmy jak małżeństwo?

Powiódł triumfalnym wzrokiem po twarzach Caaza i Juliana. Caaz pozostał obojętny, ale Julian zamknął oczy.

– Dość tego – wykrztusił. – Nie mogę tego słuchać... Nie dawaj mu tych planów, niech mnie zabije...

– Odpowiedz! – krzyczał Laszlo.

Odwróciła się w jego stronę.

– Powiedziałeś, że na studiach mieszkałeś przy Spitalgasse i tam w zakładzie fotograficznym widziałeś moje zdjęcia. Ludvig kończył wydział fizyki na Uniwersytecie w Zurychu. Ten sam, który wcześniej ukończył sam Röntgen oraz Albert Einstein. Laszlo Szegeszwar studiował w Wiedniu. Chociaż „studiował” to może słowo nieco na wyrost. Nosić czapkę studencką to nie to samo, co zgłębiać elektrodynamikę ciał w ruchu, teorię równoważności czy względności.

– Nigdy więcej nie wspomniałem o tym zakładzie, a ty nie zdradziłaś się, że wydaje ci się to podejrzanym.

– Chciałeś robić mi zdjęcia. Upierałeś się przy tym dzień w dzień. Twierdziłeś, że się na tym znasz... Owszem, interesowałeś się fotografią, byłeś nawet pomocnikiem u fotografa. U kogo terminowałeś? U syna Hummela?

Pokiwał głową.

– To jednak nie jemu chciałeś pokazać moje zdjęcie, tylko swojemu ojcu. Prawda?

– Skąd wiesz... Skąd?...

– Twoja twarz wydawała mi się znajoma, Ludvigu, chociaż nie mogliśmy spotkać się wcześniej. Opuściłam Wiedeń w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku i nigdy tam nie wróciłam. Jesteś bardzo podobny do swojego ojca...

Ludvig opuścił głowę.

– Gra skończona, mój drogi – powiedziała, nie mogąc powściągnąć nuty satysfakcji w głosie. – Twój ojciec był jednym z mężczyzn, którzy zaatakowali mnie w anatomicum w przededniu tamtej wojny. Został wydalony ze studiów, co zniweczyło jego plany. Nigdy nie został lekarzem i winił za to mnie. Szukał mnie po wojnie, ale zniknęłam. Prawdopodobnie znalazł jedno z moich zdjęć u Hummela i pokazał ci je. Może nawet odkupił. Wzrastałeś w przeświadczeniu, że winę za to, co spotkało twojego ojca, ponoszę ja, a odpowiedzialność za nieszczęście matki należy przypisać Ludwigowi. Nasze spotkanie w Paryżu musiało być dla ciebie nie lada zaskoczeniem, prawda?

Spojrzał na nią wyzywająco.

– Tak, to prawda. Twoja matka była winna wszystkiemu... A ty... ty...

Caaz patrzył, niczego nie rozumiejąc. Julian spuścił głowę.

– To nie moja matka była na tych zdjęciach, tylko ja. Twój ojciec, Hans Dannenrein, Freidrich Heintz i jemu podobni, napadli na mnie i profesora Gernsteina. On stracił życie. Mnie obwiniono o całe zajście, mimo że byłam jego ofiarą. Sprawcy ponieśli nieadekwatną do swojej winy karę. Mnie pozbawiono pracy, możliwości nauczania na uczelni i kontynuacji pracy naukowej... Od tej chwili robię wszystko, by odzyskać to, co mi zabrano, czas, przyjaciół i poczucie bezpieczeństwa...

– To niemożliwe, żebyś to była ty...

– A jednak... – Była całkiem blisko niego. Gdyby tylko chociaż na chwilę udało się jej odwrócić jego uwagę...

W mgnieniu oka złapał ją za nadgarstek, obrócił tak, że zasłaniała go swoim ciałem, i ścisnął, że zabrakło jej powietrza. Przyłożył do głowy pistolet. Zakłęła w duchu.

– Zostaw ją! – krzyknęli jednocześnie Caaz i Julian. Caaz też wyciągnął pistolet.

– Rzuć broń! – krzyczał Laszlo. – Bo ją zabiję.

Nie miała szansy na zadanie ciosu. Caaz powoli podchodził do Laszla, Julian oddychał głęboko. Alicja odchyliła głowę na tyle, na ile pozwalał jej mocny uścisk mężczyzny. Jej usta znajdowały się teraz bardzo blisko jego ucha. Z trudem wyszeptała kilka słów. Pełna napięcia czekała jeszcze chwilę, dając zarówno Caazowi, jak i Julianowi znak, żeby nie wykonywali żadnych pochopnych ruchów. Sekundy mijały niczym godziny. Wreszcie Laszlo zwolnił ucisk.

– Oddaj mi papiery! – zażądał.

Sięgnęła powoli do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjęła plik zwiniętych kartek. Julian jęknął. Caaz pokiwał głową z aprobatą.

– Posłużą dobrej sprawie – powiedział Caaz i uśmiechnął się krzywo.

– Zostań z nią i pilnuj – rzucił w stronę Caaza, a jej wyszeptał do ucha: – Nie odwracaj się.

Oderwał pistolet od jej głowy i pchnął ją lekko, a potem usłyszała strzał. Podbiegła do Juliana chwilę za późno. Mężczyzna trzymał się ręką za pierś i patrzył, jak czerwona plama wykwita mu na koszuli. Odgłos kroków Laszla brzmiał jak dudnienie pociągu. Przez chwilę nic nie słyszała. Spojrzała na Caaza, który stał jak sparaliżowany.

– Pomóż mi – wyszeptała.

Caaz pochylił się w jej stronę.

– Co ja mam zrobić, Luna? – spytał. – Pozwolić mu odjechać?

– Zostaw tego zdrajcę – powiedziała nieuważnie. – Idź po pomoc. Julian... – Uklękła przy nim i głaskała go po twarzy. – Julian... Zaraz przybędzie pomoc. Pojedziemy do szpitala. Tylko się nie poddawaj. Zaraz, jak tylko dojedziemy, będziesz miał operację. Nawet ja, gdybym miała narzędzia, umiałabym wyjąć kulę. To łatwe... Ominęła serce...

– Aline... – wyszeptał Julian. – Aline...

– Słucham cię, kochany... Wszystko będzie dobrze, tylko do mnie mów... Wytrzymaj, proszę...

– Aline – powtórzył uparcie Julian. – Przestań tyle mówić...

– Ty do mnie mów – poprosiła, rozmazując łzy razem ze swoją i jego krwią. – Nie opuszczaj mnie, Julianie. Wszyscy mnie opuszczali. Błagam cię, Julianie. Mów do mnie!

Ostatnie słowa wykrzyczała, nie panując nad bólem i nerwami.

– Aline... – powtórzył gasnącym głosem. – Nie gadaj tyle... Albo powiedz. Powiedz, czy drogo sprzedałaś moją skórę? Czy misja...

– Tak. – Wybuchnęła płaczem. – Misja się powiodła. Odjechał z planami...

Do pomieszczenia wbiegło czworo uzbrojonych ludzi. Słyszała za plecami harmider, ich krzyki i głos Caaza, który wydawał polecenia. Obojętnie przyjmowała urywane słowa, które do niej dochodziły. Patrzyła na odchodzącego Juliana i stało się dla niej jasne, że choćby zaraz znalazł się chirurg, to już nikt nie uratuje mu życia.

– Julian, zostań ze mną... – poprosiła, chociaż wiedziała, że jej prośba nie zostanie wysłuchana. On jej już nie słyszał, patrzył dookoła, jakby przy nim stało mrowie ludzi. Słyszała kiedyś od ciotki Barbarki, że zazwyczaj bliscy przychodzą po człowieka w chwili śmierci. Ciotka powiedziała to cicho, dodając, że to niechrześcijańskie, ale ona głęboko w to wierzy. Alicja tyle razy patrzyła na śmierć. Umierały przy niej dzieci. Nie widziała w ich oczach światła ani nadziei. Traciła je zresztą za każdym razem, kiedy opuszczał ją ktoś bliski. Julian patrzył gdzieś ponad nią, w dal, jego twarz rozświetlił uśmiech. Rysy miał wyostrome, Alicja odpędziła od siebie myśl, że to *facies Hippocratica*, twarz, którą opuszcza życie. Zganiła siebie za tę myśl, tak nie na miejscu. Czy ona zawsze musi analizować, zbierać, segregować i porządkować swoje wiadomości w obliczu tragedii? Pytała kiedyś o to Franka, który wyjaśnił, że to jej sposób na przetrwanie. Ja udaję, że nie widziałem tego, co widziałem, że nie było tego, co było, mówił. Ty liczysz oddechy na minutę albo obliczasz dawkę trucizny na każdą kroplę krwi, prędkość, z którą dotrze do serca i zatrzyma je. Inaczej rozsypałabyś się zupełnie albo wreszcie zaczęła starzeć.

– To dziecko powinno być twoje, Julian – powiedziała, a potem zamknęła jego powieki.



– Ilija był szachistą – wyjaśniła. – Nie zdążył przeprowadzić swojego planu, ale chciał nas ostrzec. Koniem na D4... To było zarówno hasło, jak i ostrzeżenie.

Caaz pokiwał głową. Siedział w kotłowni, w tym samym miejscu, gdzie wcześniej siadywał Julian. Miała ochotę poprosić, żeby się przesiadł.

– Co to właściwie znaczyło? – spytał.

– Długo nad tym myślałam. Doszłam do wniosku, że to musiało być zrozumiałe dla kogoś, kto nie jest arcymistrzem. Musiał zakładać, że łącznikiem jest ktoś, kto nie gra w szachy. Sądziłam, że chodzi o czarnego konia albo konia trojańskiego... Tyle że przekaz był dosłowny. Koń to przecież jedyna figura szachowa, która może przeskakiwać nie tylko nad swoimi figurami, lecz także bierkami szachowymi przeciwnika. Jedynie koń może zaatakować hetmana, pozostając poza jego zasięgiem. To proste. Ilija mówił, że obydwaj są obcy, obydwaj arcymistrzowie. Sugerował, żeby nad nimi przeskoczyć.

– To jednak zbyt skomplikowane – powątpiewał Caaz.

– Nie – zaoponowała. – Proste. Jednocześnie ostrzegają, że ruch skoczka chroni go, ale nie może unieszkodliwić figur, które przeskakuje. Może być łatwo zaatakowany przez inne bierki.

– A dlaczego pisał o polu D4?

– To środek szachownicy. Wtedy jest najsilniejszy. Z pozycji D4, tak zwanej róży skoczkowej, może zaatakować aż osiem pól. Mówił tym samym, żeby wkroczyć do gry wcześniej niż laufer, wieża czy hetman. To dlatego rozpylał w swoim mieszkaniu zapach róż. Kolejne proste dla niego skojarzenie. Róża skoczkowa...

– Co teraz zrobisz, Luna? – spytał Caaz pozornie bez związku.

– Pytasz jako przyjaciel czy jako nowy kontakt? – uśmiechnęła się do niego.

Odwzajemnił uśmiech.

– Jako jeden i drugi...

– Pozwól mi wrócić do domu... Czuję, że umrę w połogu...

Odchylił głowę, jakby go ktoś uderzył. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Matka czytała mi *Annę Kareninę*, kiedy byłem mały. Kochała tę powieść...

– Więc mnie rozumiesz, Izaaku...

– Rozumiem. – Zmarszczył czoło. – Co więcej, mogę jedynie przysiąc, że zapewnię godny pochówek wam obojgu.

– Dziękuję, przyjacielu.

Pochyliła się ku niemu i pocałowała go w czoło. Zamknął oczy. Zawahała się przez chwilę i przeniosła wargi na jego usta. Poczowała ręce oplatające jej plecy. Nie cofnęła się, chociaż bardzo chciała. Źle ją zrozmiał. Miała jedynie trochę nadziei. Tak bardzo chciała dać mu coś od siebie i wziąć tym samym. Pocałunek mógł być dla kogoś szczęściem, spełnieniem, nagrodą. Czym był dla Caaza? Nie wiedziała tego. Oderwali się od siebie z trudem.

– Nigdy nie spotkałem kogoś tak niezwykłego... – szepnął.

– Julian mówił mi, że zasłaniam ludziom świat, ale to nie był komplement. – Te słowa przyszyły jej z trudem.

– Powiedz tylko słowo, a nigdzie nie pojedę, zostanę z tobą...

Pogłaskała go po twarzy.

– Nie, Caaz... Przepraszam cię. Źle mnie zrozumiałeś.

Złapał ją za rękę.

– Nie, Luna... – W jego oczach była zgoda na to, co miało się stać. – Dobrze cię zrozumiałem. Tacy jak ja są tylko pośrednikami. Mostami dla takich jak ty... To naturalne, że każdy chce ci pomóc, służyć, opiekować się tobą... Jesteś jak słońce...

Opuściła głowę.

– Nie obawiaj się. – Uśmiechnął się. – Zasilam tylko te niezliczone rzesze ludzi, którzy mają szczęście poznać ciebie, spędzić z tobą trochę czasu. To nasz czas odzyskany. Wart tyle, ile tysięcy lat...

Dotknęła ręką brzucha.

– Noszę w sobie dziecko zdrajcy i mordercy... Jakie ono będzie? Czy nie lepiej pójść na Pont Neuf i rzucić się w odmęty Sekwany? – Popatrzyła na niego pytająco.

– Opowiem ci coś, Luna – rzekł. – Byłem ósmym dzieckiem, najmłodszym. Kiedy matka zorientowała

się, że znów spodziewa się potomstwa, ponoć niemal wyskoczyła przez okno. Ojciec był urzędnikiem, ona krawcową. Pewnie z ich miłości niewiele zostało. Udała się wtedy do rabina i spytała, czy jest coś, co mogłaby zrobić, żeby dziecko się nie urodziło, a mimo wszystko nie wzięła na barki grzechu.

Alicja mimo woli roześmiała się głośno pierwszy raz od śmierci Juliana.

– Co rebe jej doradził?

– Żeby się rzuciła do Renu! – roześmiał się Caaz. – Wyobrażasz sobie? Powiedział jej: Mario... Jak mogłaś zająć w ósmą ciążę, kiedy jesteście tak ubodzy? Zaczniecie umierać z głodu, a my będziemy zmuszeni na to patrzeć. I to nie będzie nic innego jak twój grzech wobec nas, twoich braci. Niech Jahwe ci wybaczy...

Alicja śmiała się całą sobą.

– Mogłabym cię pokochać – powiedziała szczerze. – Gdybyś tylko dał mi trochę czasu...

– Jeśli go odzyskam, dam ci tyle, ile chcesz...

Westchnęła.

– Chociaż należy wziąć pod uwagę, że moja miłość może być przekleństwem.

Ujął jej rękę.

– Nie mów tego. To nie jest prawda. W żadnym razie.

– Nie wiesz o mnie nic, prawie nic...

– Wiem wystarczająco wiele – upierał się.

– Nie, Caaz... Nie wiesz. Nie znasz mojej tajemnicy. Mogłabym ci powiedzieć, że ludzie odchodzą, opuszczają mnie jeden po drugim, a ja patrzę na to od lat i nic nie umiem poradzić, nic... Nawet płakać zdarza mi się rzadko i łez wtedy mam niewiele. Ta wojna...

– To przekleństwo, ale minie...

Pokręciła głową.

– Nie wiem, czy minie. Nawet jeśli, to będzie następna i kolejna, aż zabraknie nam człowieczeństwa...

Brat przeciwko bratu, siostra przeciw siostrze...

Oparła głowę na jego ramieniu.

– Chciałbym powiedzieć coś dobrego, mądrego... I nic nie umiem, nic nie wiem...

– Mówisz mądre i dobre rzeczy, a kiedy ta wojna się skończy, wtedy może będziemy mieli szansę...

Teraz on pokręcił głową.

– Nie sądzę, Luna. Tacy jak ja nie przeżywają. Mam tego świadomość. Jestem już trupem. Zginę przy tej misji albo następnej, zdradzi mnie ktoś specjalnie albo podczas przesłuchania. Przecież wiesz...

Chciała zaprzeczyć, ale wiedziała, że Caaz ma rację.

– Może właśnie nam się poszczęści, może przeżyjemy...

– Ty przeżyjesz. – Pogłaskał ją po dłoni, a potem przycisnął ją do policzka. – Wiem to. Będę cię chronił z tego albo tamtego świata. Dopóki sił i ducha mi starczy...

– Dziękuję – powiedziała. – Nie zasłużyłam.

– Co teraz zamierzasz zrobić do czasu, kiedy...? – Położył rękę na jej brzuchu, delikatnie, świadomy

niewłaściwości tego gestu. Gdyby się cofnęła chociaż na milimetr, skruszony odsunąłby rękę i powściągnął śmiałość.

Nie cofnęła jej jednak.

– Jako człowiek spodziewający się śmierci zamierzam uporządkować swoje sprawy. A ponieważ z racji swojego odmiennego stanu nie mogę działać, zajmę przynajmniej trochę czasu Bauchowi. Myślę, że on wie...

– Że produkcja amunicji smugowej ma coś wspólnego z pojawieniem się Ludviga w Berlinie? – uśmiechnął się Caaz.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się lekko.

– Przynajmniej to się udało. Julian oddał za to życie...

– Nie rozumiem tego wprawdzie, ale wierzę, że dałaś nam zwycięstwo.

– To dosyć proste – zaczęła. – Wystrzelonym pociskom będzie towarzyszyła jasna smuga, to poprawia celność i sterowalność pocisku. Hitler powinien być zachwycony.

– A na czym polega błąd?

– Na tym, że jasne światło będzie widoczne w dzień i w nocy, a tym samym będzie zdradzało ich pozycje. W końcu niezwykła broń obróci się przeciwko Niemcom.

– Genialne...

– Bylebym tylko umiała pokochać to dziecko... – Pogładziła ręką swój brzuch.

Wstał i podszedł do niej.

– To twoje dziecko. Nie jego. Do widzenia, Luna. – Pocałował ją w czoło. – Może mnie nie zobaczysz, ale będę przy tobie dzień i noc, wystarczy, że mnie przywołasz, a przyjdę.



ROZDZIAŁ X

Rok 1942 nie był najlepszą porą na rodzenie. Dziecko postanowiło wyjść na świat dwa tygodnie przed terminem, w dodatku w nocy, w czasie godziny policyjnej. Mocny skurcz obudził ją ze snu. W pierwszej chwili poczuła ulgę, ponieważ śniła jej się matka. Podobnie jak podczas wizji u wróżki Deotymy, matka wynurzała się z wody blada i mokra, ze smutkiem w czarnych oczach. Alicja siedziała na brzegu w białej koronkowej sukni i zrywała rosnące dookoła chabry, po czym wrzucała je do wody. Pojawienie się matki nie przstraszyło jej ani nie zdumiało, jedynie zasmuciło, ponieważ pamiętała, że ona nie żyje.

– Mamo. – Próbowała wstać, ale czuła się ociężała i pełna dziecka, które w sobie nosiła.

Matka nieoczekiwanie zniknęła w toni, jakby nieznaną siłą wciągnęła ją do środka. Alicja znów próbowała wstać, ale oplecione chabrami nogi przykuły ją do ziemi.

– Nie, nie... – protestowała. – Pomóż mi, nie odchodź...

Zrywała kwiaty, ale na ich miejsce pojawiały się kolejne. Próbowała przeczołgać się w kierunku rzeki, zdecydowana zanurzyć się w niej, byle tylko porozmawiać chwilę z matką, której nigdy nie poznała.

– Mamo! – krzyknęła jeszcze raz. – Nie możesz znów odejść!

Twarz matki wysunęła się nad powierzchnię wody. Kobieta łapała oddech jak ryba, próbując bezskutecznie sięgnąć brzegu rzeki zsiniałymi rękoma. Wreszcie posłała córce smutny uśmiech i zniknęła.

Kwiaty oplotły jej brzuch, ból był tak nieznośny, że otworzyła oczy.

Pomacała szyję i tułów. Kolejny skurcz uświadomił jej, że zaczęła rodzić. Spokojnie, nakazała sobie, jak miliony kobiet przed tobą i po tobie rodzisz dziecko. Ból przy kolejnym skurczu był jednak tak silny, że mimowolnie krzyknęła, a potem zatkała sobie usta ręką. Coś było nie w porządku, z nią albo z dzieckiem. Bolesne skurcze pojawiały się co kilka sekund, nie minut, i były tak silne, że z trudem udawało się jej regularnie oddychać. Nakazywała sobie rozluźnienie mięśni, ale kolejny paroksyzm bólu niweczył jej wysiłki. Dotknęła brzucha. Był twardy jak kamień i napięty; bała się, że pęknie.

– Boże – wyszeptała. – Nie pozwól umrzeć dziecku. Daj mi siłę...

Włożyła rękę głęboko między nogi. Wymacała niewielkie rozwarście szyjki macicy, jakby poród dopiero się zaczynał. Skurcze były jednak zbyt silne. Nie umiała znaleźć przyczyny, więc zrzuciła to na karb swego sędziwego wieku. Muszę poszukać pomocy, pomyślała. Usłyszała miauknięcie.

– Quasimodo... – wyjęczała. – Kotku... Co ja mam zrobić?

Kot ponownie miauknął i podreptał w kierunku drzwi.

Po raz kolejny wygięła się w skurczu. Policzyła do dziesięciu, zanim ustąpił.

– Nie mogę iść do szpitala, kotku – powiedziała, chcąc bardziej uporządkować myśli, niż wyjaśnić zwierzakowi swoją dramatyczną sytuację. – Jest godzina policyjna...

Kot znów miauknął przeciągle.

– Jeśli mnie zatrzymają, raczej nie zawiozą do szpitala, tylko aresztują... Aaaa... – Nie mogła się

powstrzymać.

Oddychaj, nakazała sobie, oddychaj, bo dziecko umrze.

Kot wydał z siebie serię miauknięć. Zrozumiała.

– Masz rację, Quasi... – szepnęła.

Zsunęła się z łóżka i na miękkich nogach dotarła do drzwi. Tam dopadł ją kolejny skurcz. Tym razem liczyła do piętnastu, zanim ból zelżał na tyle, że mogła z trudem wstać i wyjść na wąski korytarz. Zapukała cicho do sąsiednich drzwi, a potem usiadła na zimnej podłodze i czekała, żeby ktoś otworzył, modląc się do Najświętszej Marii Panny słowami, które co dzień odmawiała z ciotką Barbarką. Zapukała ponownie.

– Pomóż mi, ciotko... – wyszeptwała. – Mamo, Daniel, Magura... Pomóżcie mi.

Usłyszała ciężkie kroki. Szczęknęła zasuwka.

– Pani Kleisson – jęknęła. – Niech pani otworzy, błagam..

Przez kolejny skurcz Alicja nasłuchiwała, modląc się, żeby kobieta nie odeszła. Nie знаła tych ludzi. Zajęli mieszkanie po Lippmanach, Ruth i Joachimie, którzy podzielili losy innych Żydów i zostali wywiezieni w 1940 roku, gdy tylko ukonstytuowało się państwo Vichy. Ruth była urocza i interesowała się malarstwem. Ściany ich apartamentu pokrywały płótna Picassa, Miró, Matisse'a i jej własne, Alicja zgadzała się z opiniami fachowców – były równie dobre. Próbowwała im pomóc, rozmawiała na ten temat z Julianem, ale powiedział, że nic nie może zrobić. Ofiarowanie pieniędzy niczego by nie zmieniło. Lippmanowie nie byli biedni, a pozbawiano ich wszystkiego, w tym prawa do korzystania z własnego majątku. Patrzyła więc z bólem, jak Joachim z Ruth pod rękę, elegancko ubrani, z dwiema walizkami, opuszczają kamienicę. Nigdy nie zapomni wzroku Ruth. Kleissonowie wprowadzili się następnego dnia i zaczęli szarogęsić się w mieszkaniu. Zza ściany dobiegały ją czasem odgłosy kłótni, ale nie zwracała na to uwagi. Na schodach mijała panią Kleisson, zażywną Gaskonkę, która obserwowała ją z jawną pogardą. Jej mąż rzucał Alicji lubieżne spojrzenia. Nigdy nie było między nimi zażyłości, wręcz przeciwnie, Gaskonka okazywała jej pogardę od czasu, kiedy Ludvig przestał ją odwiedzać, a brzuch zaczął być coraz bardziej widoczny. Zapewne wcześniej uważali ją za osobę blisko związaną z władzą, a teraz zachodzili w głowę, czemu regularnie odwiedza ją gestapo.

Kiedy Alicja zaczynała już tracić nadzieję, w progu stanęła madame Kleisson w szlafroku, z włosami starannie nakreconymi na papiloty.

– Proszę mi pomóc, pani Kleisson... – wyjęczała Alicja.

– Niech pani będzie cicho, bo jakieś nieszczęście ściągnie – burknęła kobieta, nie ruszając się nawet na centymetr.

– Pani Kleisson... – Głos Alicji był chrapliwy. – Zapłacę pani... Tylko błagam, niech mi pani pomoże...

Za kobietą stanął mąż z rozczochranymi włosami i konstrukcją mającą chronić wąsy przed zwichrzeniem podczas snu. Wyglądał groteskowo, ale Alicji nie było do śmiechu.

– Co tu się...? – zaczął, ale pełen wyraz bólu w oczach Alicji nie wymagał wyjaśnień.

– Bernadette, rusz się, kobieto. – Popchnął lekko żonę, a sam nachylił się nad Alicją.

– Czego pani chce, pani Charme? Nie wezwę pomocy, bo jest godzina policyjna...

– Ja wiem... – dyszała ciężko. – Może będzie trzeba odebrać poród w domu... zanim będzie można

wyjść... Zapłacę... dobrze zapłacę...

Gaskonka splotła ręce na ramionach.

– Ile? – spytała obcesowo.

– Mam perły... Dam je pani...

Ból znów stawał się nieznośny. Zaczęła głośno jęczeć.

– Cicho, kobieto... – mruknął Kleisson, potem dźwignął Alicję i postawił na nogi, złapał w talię i pociągnął w stronę jej mieszkania.

Pani Kleisson poszła za nimi.

– Aaaa!... – krzyknęła Alicja. Miała wrażenie, że ktoś grzebie jej we wnętrznościach rozżarzoną do czerwoności żelazną prętą. Ból był tak silny, że prawie nie poczuła uderzenia w twarz.

– Milcz, niemiecka kurwo! – wyszczała Gaskonka.

– No, pani Charme... – krzywo uśmiechnął się Kleisson. – Niech pani da te perły.

Zaskoczona Alicja spojrzała na dwie postacie siedzące na krzesłach po obu stronach łóżka i wpatrzone w nią zimnymi spojrzeniami.

Boże drogi, co ja zrobiłam, przeraziła się.

– W bielizniarce na samym dole jest podwójne dno... – zaczęła tłumaczyć. Oprócz sznura pereł ukryła tam także szmaragdy od Daniela i tysiąc marek w gotówce. Może więc zechcą sprowadzić pomoc.

Kleisson otworzył drzwi szafy i wyrzucił starannie poukładane poszwy, poszewki i prześcieradła. Skurcz stłumił ukłucie żalu. Kleissonowie pochylili się nad szafą. Quasimodo miauknął. Poczuli strach, że zrobią krzywdę zwierzęciu. Gaskonka obejrzała się i uśmiechnęła złośliwie. W ręku trzymała perły i szmaragdy. On trzymał zwitek banknotów.

– Proszę wszystko wziąć... – wyszeptwała.

– Nam się bardziej przyda niż tobie, ty...

Quasimodo znów miauknął.

– Proszę go wypuścić, on nic złego nie zrobił... – poprosiła bez specjalnej nadziei.

Gaskonka uchyliła okno. Quasimodo zachęcony wzrokiem swojej pani wyskoczył na podwórze, po czym zaczął głośno miauczeć.

– Powiniennem skrócić sierściuchowi kark... – mruknął Kleisson i rzucił jej ponure spojrzenie. – Co się patrzysz?

– Ty niemiecka kurwo... – Kleissonowa panoszyła się po jej sypialni i pakowała do jednej z poszew wszystko, co mogłaby spieniężyć.

Ciało Alicji po raz kolejny odmówiło posłuszeństwa. Na krótko omdlała z bólu. Serce biło jej bardzo szybko, a czoło pokrywał coraz gęstszy pot. Patrzyła bezsilnie, jak sąsiedzi plądrują jej dom.

– Mam tego jeszcze więcej – powiedziała. – Ale nie tutaj... Dam wam, jak mi pomożecie...

– Wystarczy tego, co tu jest. My nie jesteśmy chciwi. – Gaskonka pokazała zęby w uśmiechu.

Quasimodo miauczał tak głośno, że ktoś otworzył okiennice i rzucił przekleństwo.

– Mów za siebie – Kleisson uciszył żonę. – Gdzie masz resztę?

– Jak pan sprowadzi akuszerkę, to...

Znów ją uderzył. Tym razem pięścią w szczękę.

– Mało masz już życia w sobie – powiedział. – I ten niemiecki bękart też... A może on nie niemiecki, tylko żydowski, co? Może sprowadzę tu gestapo do ciebie?

Wzięła oddech ostatkiem sił. Jej tętno ciągle rosło.

– Z mojej śmierci nic wam nie przyjdzie... – wyjęczała. – Ale jeśli przeżyję, to zapłacę dziesięć razy tyle...

Położył rękę na napiętym brzuchu. Poczwała ogromne obrzydzenie, kiedy głaskał ją lubieżnie, zataczając coraz niżej kręgi na jej skórze.

Boże, dopomóż, odmawiała w myślach tę samą modlitwę po raz kolejny. Przerwał, kiedy żona rzuciła się na niego z pięściami. Potem dopadła Alicję.

– Ty ścierwo jedne, ty...

Usłyszała uderzenia. Teraz razy spadały na Gaskonkę, która szeptem złorzeczyła na przemian mężowi i Alicji. Traciła przytomność. Za chwilę pograży się w ciemności, a wtedy już nie ocali swojego dziecka.

– Dobra – wymamrotał w końcu zmęczony Kleisson. – Ludzie już wychodzą z nor... Szczury Paryża... Kogo mam tu przyprowadzić?

Podawała adres Catie.

– Błagam – powiedziała po raz kolejny.

– Siedź tu i pilnuj jej – mruknął do zapłakanej żony. – Jak ją tkniesz, to tak cię urządzę, że rodzona matka cię nie pozna...

Trzasnęły drzwi. Widziała jak przez mgłę. Coś pękło mi w głowie, pomyślała, bo czuję mniej bólu. Chciała coś powiedzieć do Gaskonki, ale wargi nie układały się w żadne słowa. Wszystko na nic, wszystkie plany na nic, zdążyła pomyśleć, zanim zemdląca.



– Alina... – poczuła chłodną rękę na czole. – Alina... Musisz mi pomóc...

Właśnie odcinała Florance Fabree ze sznura i płakała nad martwym ciałem przyjaciółki. Piersią Alicji wstrząsnął szloch.

– Catie... – Z wysiłkiem otworzyła oczy. Twarz Florance zniknęła na dobre, ale ból i żal, jakie poczuła w tamtej chwili w pokoju na piętrze, wróciły ze zdwojoną siłą.

Z trudem uniosła głowę. Catie siedziała na łóżku i z przerażeniem wpatrywała się to w nią, to znów w pokój, który wyglądał jak po przejściu huraganu.

– Oni... – wyszeptała Alicja.

– Oni czekają na zapłatę – wulgarnym tonem rzuciła Gaskonka i szturchnęła Catie. – Zabieraj się do roboty, moja pani, bo my tu nie mamy czasu.

Na twarzy przyjaciółki w jednej chwili odbiło się zrozumienie i groza całej sytuacji.

– Wyjdźcie stąd, bo nic nie zrobię – powiedziała stanowczo.

– No, no... – Gaskonka zbliżała się do Catie.

– Wynocha... – wysyczała dziewczyna, wstając.

Kleisson zawahał się, potem skinął głową na żonę. Ta zabrała worek ze skradzionymi przedmiotami i powlekła się do sąsiedniego pomieszczenia. Usłyszały, jak coś rozbija się o podłogę. Catie zacisnęła wargi. Opanowała się jednak i powiedziała do Alicji:

– Oddychaj spokojnie, zbadam cię.

Alicja zdołała wyszeptać, że miała nadzieję, że Catie zrozumie, przejrzy Kleissona i przyjdzie do niej z mężem. Ból przy każdym dotknięciu był nieznosny.

– Brak rozwarcia, Alina... – powiedziała Catie. – Od kiedy masz skurcze?

– Od czterech godzin... I są coraz silniejsze...

– Głowa dziecka jest bardzo wysoko. Jeśli to potrwa dłużej, pęknie ci macica... Muszę zabrać cię do szpitala...

– Oni nie pozwolą... – wyszeptała Alicja.

Catie zwilżyła jej wargi wodą.

– Powiem im, że w przeciwnym wypadku umrzesz, a wtedy zabierze ich gestapo – szeptała Catie, przerażona. – I co gorsza, tak się stanie... Mam tylko trochę morfiny...

– Cat. – Alicji huczało w głowie od ciśnienia i bólu. – Podaj mi tę morfinę, obniży ciśnienie i zmniejszy skurcze. Potem musisz... – Przerwała, bo dopadł ją kolejny skurcz. – ...musisz masować mi szyjkę macicy. Mocno, całą ręką... Będę krzyczała, mdlała, ale nie przerywaj, rozumiesz?

Catie zrobiła jej zastrzyk z morfiny. Ulga rozlała się po ciele Alicji niemal natychmiast.

– Zaczynam... – powiedziała Catie. – A ty myśl, co mam zrobić z tymi kanałiami...

W krótkich przebłyskach świadomości Alicja zaczęła rozważać różne opcje. Wizje były zupełnie nierealistyczne, mieszały się z fragmentami wierszy, które pamiętała jeszcze z Kodorowa, i opowieściami pacjentek z Kliniki Neurologicznej w Wiedniu. Freud by mi pomógł, pomyślała, zwłaszcza jeśli usłyszałby, że będę miała dziecko. Tylko jak go tu sprowadzić?

– Nie przerywaj... – wydyszała w kierunku Catie. – Każ im zagotować wody...

– Hej tam! – wrzasnęła Catie.

W drzwiach pokazała się głowa Kleissonowej.

– Niech pani zagotuje wody – wydała polecenie.

Kleissonowa miała wypisaną na twarzy głęboką niechęć do dalszej współpracy, ale Kleisson, który dopytywał się, o co chodzi, spojrzał na żonę groźnie i ta posłusznie podreptała do kuchni.

– Coco... – przyszło do głowy Alicji. – Ona ma możliwości, samochód... Ma pieniądze, może im dać...

Znów straciła przytomność. Morfina nieco złagodziła skurcze, ale brzuch nadal pozostawał twardy jak kamień. Masowanie szyjki macicy było istną torturą.

– Zaczęła się zgładzać... – zameldowała Catie z wyraźną ulgą. – Nie wiem, czy damy radę, Alina...

Alicja zrozumiała. Dziecko z każdą minutą traciło swoje szanse. Na razie żyło. Czują, jak się rusza i bezskutecznie usiłuje wyjść na ten świat. Jak długo jeszcze wytrzyma?

– Zawołaj ich tu... – wykrztusiła. – I nie przerywaj...

– To co, madame? – burknął Kleisson. – Zapłacisz nam czy nie?

W głowie zakiełkowała jej szalona myśl.

– Musicie pójść po pieniądze... – wyszeptała Alicja. – Powiem dokąd. Możecie je wziąć, tylko znajdźcie jakiś samochód...

– Ejże... – zaprotestował Kleisson. – Nie jestem chłopcem na posyłki...

– To niech pan chociaż zatelefonuje... – powiedziała błagalnym tonem. – Powie, że moje życie jest zagrożone, że trzeba mnie przewieźć do szpitala. Niech... oni przywiozą ze sobą pieniądze dla... was...

Tym razem była w gospodzie, gdzie karczmarz z rodziną i oni – cyrkowe obdarte pajace – jedli kolację wigilijną. Za chwilę Zafirro zabije Majolikę. Nie można do tego dopuścić.

– Zafirro, nie, nie... – jęknęła. – Uciekaj, Majolika...

– Alina, podaj numer... – błagalnie przemówiła do niej Catie. – Zgodził się zatelefonować...

Wyszeptała ciąg cyfr, modląc się, żeby nie pomylić ich kolejności.

– Niech pan się pospieszy – poprosiła Catie, ale odwrócony plecami Kleisson machnął jedynie ręką.

– Jak mnie tu, panny, obrazicie, to obie wylądujecie na gestapo, żywe czy zdechłe. – Gaskonka postanowiła zabezpieczyć swoją egzystencję na wypadek, gdyby pod nieobecność męża Catie lub Alicja postanowiły wymierzyć jej sprawiedliwość.

Catie rzuciła jej niechętne spojrzenie.

– Zabiłabym cię gołymi rękoma, ale mam zajęte – mruknęła. – A ona – wskazała brodą Alicję – jest bliższa doznania sprawiedliwości po śmierci niż dochodzenia jej za życia.

– Ja nie będę pani osądzać, pani Kleisson – szepnęła Alicja. – Niech Bóg pani wybaczy...

Kleissonowa splótła tłuste ręce na obfitych piersiach.

– Tak, tak... – burknęła. – Bóg nas będzie wszystkich sądził... Każdy uważa, że Bóg to dla niego pracuje. A ja widziałam tu niejedno, pani Charme. Niejedno widziałam i Bogu na Sądzie Ostatecznym mogę powiedzieć. Niejedno, paniusiu... Co tu się wyrabiało... Jacy tu panowie przychodzili... Niemcy i nie tylko Niemcy... Myśli pani, że jak się wyparła męża Żyda, to co, i Francuzi, i Niemcy będą was głaskali, co?

Catie zacisnęła usta. Alicja nie słuchała bełkotu kobiety. Morfina przestawała działać, bo jasność umysłu i ból wróciły ze zdwojoną siłą.

– Alina... – Catie wyraźnie się ucieszyła. – Już prawie zgłodzona... Mogę włożyć dwa palce...

– Dobrze... – Alicja skupiła się na analizowaniu Sądu Ostatecznego według Boscha, Hansa Memlinga oraz Michała Anioła. Każdy z nich widział koniec ludzkości inaczej. Najbliższy jej samej był Bosch. Po tym, co widziała podczas pierwszej wojny, po tym, co opowiedział jej Julian, inaczej patrzyła na ludzi. Nie miała wątpliwości, że piekło już zagościło na ziemi, a szatan przemawia zarówno przez żołnierzy zabijających ludzi na ulicach, jak i przez panią Kleisson, która kradła jej biżuterię i sztuce.

– Alina, Alina... nie zasypiaj teraz, proszę... – Catie była coraz bardziej zaniepokojona.

Alicja poczuła ogromne napięcie w środku brzucha, a po chwili wypłynęła z niej ciepła ciecz. Skurcze się nasiliły, powrócił nieznośny ból.

Za ich plecami Kleissonowa złorzeczyła Francuzom, Niemcom i wszelkim innym nacjom, które pozbawiły jej rodzinę należnego dziedzictwa.

– Wody mi odeszły... Mamy coraz mniej czasu...

Catie patrzyła na nią przerażonymi oczami.

– Alina, zaraz będzie pełne rozwarcie, główka zesła, ale widzę pępowinę... Co mam zrobić? – szeptała w panice.

Zbolała głowa Alicji wykonała kolejny wysiłek. Chociaż jej umysł ciążył w kierunku Króla Khana, który zniknął w kurzu francuskiego frontu, spróbowała zastanowić się nad słowami Catie. Dziecko prawdopodobnie jest owinięte pępowiną. Jeśli zaczniesz rodzić normalnie, to je udusi. Ona być może przeżyje, ale dla niego nie będzie ratunku. Spróbowała przywołać niezliczone porody, przy których pomagała, i operacje cięcia cesarskiego, przy których asystowała. Nie widziała jednak podobnego przypadku.

– Co mam zrobić? – Twarz Catie zbieleła jak płótno. – Alina, powiedz, co mam robić...

– Przetniesz pępowinę teraz... – wyszeptała. – Podwiąż z obu stron nicią i przetnij. Będziemy miały mało czasu na sprowadzenie dziecka na świat, ale może się uda...

Nici leżały na podłodze obok kunsztownie zdobionego, przewróconego pudełka podarowanego jej przez Daniela. Catie złapała błękitną jedwabną nić i nożyczki.

– Zrób to – nakazała jej Alicja. – I ocuć mnie szybko, jeśli stracę przytomność.

Catie pokiwała głową i zanurzyła się między jej nogi.

– Faj... – Kleissonowa przerwała tyradę o piekle i karze i wyszła z pokoju.

– Już? – spytała Alicja. Ledwie mówiła. – Podwiązałaś? Włóż palec pod pępowinę, żeby nie uszkodzić główki. Zrób to szybko i nie zamykaj oczu...

– Teraz – powiedziała Catie.

Alicja zemdląca. Tratował ją Ludvig jadący na czarnym koniu. Miażdżył jej ręce i nogi. Rozpadała się na kawałki.

– Alina, musisz urodzić. – Do jej uszu jak przez watę dochodził głos Catie. Uderzenia spadały rytmicznie na jej policzki. – Już! Przyj!

Zmusiła się do nabrania powietrza i parcia. Powróciła świadomość, że jej wysiłki okupione potężnym bólem mogą pójść na marne.

– Dobrze!... – krzyknęła Catie. – Główka się przesuwają! Przyj, Alina!

Ponownie nabrała powietrza i próbowała ze wszystkich sił wypchnąć dziecko. Usłyszała krzyk Kleissonowej, a potem zobaczyła, jak kobieta biegnie w kierunku łóżka i uderza Catie w twarz. Poczowała lepkie paluchy Gaskonki na swojej szyi.

– Ty niemiecka szmato, ty!... – wrzeszczała.

Catie wstała zamroczone i próbowała odciągnąć wściekłą kobietę od Alicji albo przynajmniej oderwać ręce od jej szyi. Kleissonowa trzymała jednak mocno. Alicja nie mogła nabrać powietrza potrzebnego już nie tylko do wypchnięcia dziecka, ale do życia. Znów wpadała w otchłań. Hałasy nasilały się. Ktoś wbiegł do pokoju, pewnie Kleisson, pomyślała, nie udało się, nie zawiadomił nikogo. Jakiś mężczyzna krzyknął i rozległ się strzał, ale Alicji to już nie obchodziło. Odchodziła w niebyt, tym razem na dobre.

Powinien po mnie przyjść Daniel albo Julian – chciała powiedzieć, ale nie wiedziała, czy słowa wyszły jej z gardła. – Ciotka Barbarka, moja mama...

Ból znów się pojawił, w dole brzucha i na twarzy. Ktoś strzelał, jej świadomość próbowała to przeanalizować, ale ból znów zawładnął nią z całą mocą. Jeszcze raz otworzyła oczy i zobaczyła, jak Catie siłą swoich rąk wypycha dziecko z jej brzucha. Ujrzała przerażonego kapitana Erhardta. Ból jeszcze raz rozsadził jej wnętrzności i nagle poczuła ulgę.

– Madame Charme... – wykrztusił kapitan. – Co pani zrobili ci dranie?...

Chciała powiedzieć, że Kleissonowie nie wyrządzili jej większej krzywdy niż abwera czyniła to na co dzień, ale interesowało ją tylko dziecko.

– Płacz, maleńka. – Usłyszała błagalny szept Catie. – Płacz, skarbie...

Za późno, pomyślała i jej serce ścisnęło rozczarowanie, za późno. Słaby pisk poderwał Catie na nogi, a Alicję skłonił do otwarcia oczu. Drugi dźwięk, jaki wydała malutka dziewczynka, był już mocniejszy, mniej piskliwy. Trzeci przypominał płacz.

Dzięki ci, Boże, pomyślała, dziękuję ci, Catie, panie kapitanie...

– Trzeba ją zabrać do szpitala. – Usłyszała głos przyjaciółki. – Strasznie krwawi... Nie przeżyje...

Kapitan przejął inicjatywę. Alicja słyszała jeszcze, jak przywołuje swoich ludzi i poczuła czyjeś ręce owijające ją kołdrą. Otworzyła oczy... Gaskonka leżała na ziemi, zamiast oka miała krwawiącą pustą dziurę.

– Weźcie dziecko – powiedziała Catie, podając jednemu z oficerów maleństwo. – Jedźcie, a ja pobiegnę. Jedźcie!



Światło raziło ją nawet przy zamkniętych oczach. Chciała poprosić, żeby je zgaszono, ale tym razem wargi nie składały się nawet w szept. Słyszała głosy doktora Berengera i pielęgniarek. Rozumiała, że jest w szpitalu, na sali operacyjnej, przygotowują ją do zabiegu. Nie czuła bólu, nie mogła poruszyć nawet małym palcem. Mogła mieć tylko nadzieję, że jej dziewczynka zdołała przeżyć piekło porodu. Gdyby mogła usłyszeć głos Catie, wiedziałyby, czy się udało, czy Kleissonowie zniszczyli to, co było dla niej najcenniejsze. Nie czuła nienawiści, nie mogła tylko pojąć, że można być tak nikczemnym, nawet w czasie wojny, nawet w poczuciu całkowitej bezkarności.

– Alina – dosłyszała głos Catie. – Alina, przykro mi...

Jednocześnie doktor Berenger mówił stanowczym głosem:

– Niech pan stąd wyjdzie, panie kapitanie. Nie może pan przebywać na sali operacyjnej!

Nie słyszała odpowiedzi. Musiało się jej wydawać, skoro trwała operacja, a ona pozostawała pod wpływem narkozy. Nic przecież nie czuła, czemu więc słyszała głosy lekarza i drugi, ostry, powodujący strach?

– Alina. – Catie próbowała się przebić przez podniesiony baryton Baucha.

A więc to on przyszedł do szpitala, aby patrzeć na ręce lekarzom. Muszą go odciągnąć od dziecka, myślała gorączkowo, muszą zabrać stąd moją córkę. Ona nie może trafić w jego łapy. Nie może... Nie udało się jej jednak ani otworzyć oczu, ani nawet złożyć ust do szeptu. Zresztą pewnie jej się wydawało,

że doktor mówi o krwotoku, którego nie mogą zatamować. Nie miała przecież prawa tego słyszeć. Stukot podkutych oficerskich butów i trzaśnięcie drzwi to pewnie kolejny wytwór wyobraźni.

– Alina – ponownie dobiegł ją głos. – To ja, Catie...

Ścisnęła jej rękę, a ona nie mogła odwzajemnić uścisku. Dziękuję, Cat, pomyślała, mając nadzieję, że przyjaciółka zrozumie.

– Twoja córka, Alina... ona... tu umarła...

To jej ciało było wszystkim winne. Dziwne, odporne ciało, które jej nie słuchało. Ciało, które urągało wszelkim prawom natury, które obrażało Boga i bliźnich. Ciało, którego ona sama nie rozumiała. Nie umiało wydać na świat dziecka, trzeba było je oszukiwać, walczyć z nim, a i tak dokonało zemsty. Nie chciała już żyć. Nie bez córki.

– Nazwałam ją Ludviga. Ludviga Charme. Po ukochanym ojcu. Wiem, że tego byś sobie życzyła, Alina. Tego byś chciała, prawda?

To prawda. Tego chciała. Jeśli jej dziewczynka miała umrzeć, to jako Ludviga Charme. Kochana Catie. Wiedziała.

– Siostró. – Głos doktora był przerywany, jakby coś zakłócało jego emisję. – Ona pani nie słyszy. Obawiam się, że już się nie obudzi... Straciła za dużo krwi...

– Ja mogę oddać dla niej krew, jeśli tylko... – Głos Catie nabrzmiewał bólem.

– Pani nie może, dobrze pani o tym wie.

Było jej wszystko jedno. Skoro Ludviga umarła, po co ona miałaby żyć?

– Niech pani powie tym panom, że potrzebna jest grupa krwi zero. Każdy z nich ma badaną krew. Wiedzą zatem, który może być dawcą.

Prawie się uśmiechnęła. Catie miała zaproponować kapitanowi Bauchowi, żeby oddał dla niej krew. Dużo dałaby, aby usłyszeć odpowiedź Niemca. Czy uderzy Catie? A może powie z ochotą, że oczywiście, oddawanie własnej krwi dla Francuzek podejrzanych o eliminowanie szpiegów gestapo uważa za swoją powinność wobec ojczyzny. Kroki Catie i odgłos zamykanych lekko drzwi sali operacyjnej.

– Trzeba zaszyć, doktorze. – Siostra Finny była najlepszą instrumentariuszką w szpitalu. Pewnie pierwszy raz uczestniczyła w operacji dorosłej osoby, zwykle ratowała życie małych pacjentów. – Nie można zrobić nic więcej.

– Tak, nic więcej nie możemy zrobić... – powiedział cicho doktor. – Módlmy się za nią.

Nie trzeba się za nią modlić. Nie zasługiwała na to. Popełniła wszystkie możliwe grzechy przeciw Bogu i ludziom. Kiedy stanie przed Stwórcą, nie będzie miała nic na swoje usprawiedliwienie.

– Pani Loewenstein. – Usłyszała głos doktora. – Niech panią Bóg błogosławi. Jest pani najszlachetniejszą osobą, jaką miałem zaszczyt poznać. Nic więcej nie mogę dla pani zrobić.

Jeszcze tylko dosłyszała głos Catie:

– Żaden z nich nie... O Boże, Boże... Alina nie...

Nie słyszała już nic. Tamto wszystko nie mogło się zdarzyć, nie mogła słyszeć żadnych słów. Ludviga Charme, jej córka, to musiało się jej przyśnić. Głosy doktora i pielęgniarek w czasie operacji. To nie było możliwe. Zdradliwe ciało, które nigdy jej nie słuchało, a teraz zdradza po raz kolejny.

Cisza i ciemność. Żadnych głosów, tylko strach szarpiący duszę. Tak musi wyglądać śmierć. Nie kula światła w tunelu, nie piramida pełna korytarzy, tylko cisza i ciemność. Świadomość była zapewne częścią kary, której doznawała. Tak wyglądało piekło. Miała ochotę się roześmiać. Sprytnie. Poczwała bunt i żal. Lepiej spalcie mnie w kotle smoły, potnijcie moje ciało na kawałki, zamiast trzymać mnie bez czucia. Pokażcie, co straciłam, żyjąc wbrew Najwyższemu, zamiast pozbawiać siebie i mnie tej rozkoszy. Znów nic. Żadnego doznania poza kontemplowaniem własnych myśli. Nie wiedziała, co należy uczynić, aby przejść przez ścianę i dostąpić kolejnego etapu nagrody albo kary. Chciała się zatem poddać. Skupiła się i zaczęła powtarzać w myślach:

Nazywam się Alicja Księgopolska i nie mam nic na usprawiedliwienie czynów, których się dopuściłam w ciągu mojego ponadsześćdziesięcioletniego życia. Nie proszę o przebaczenie ani o łaskę zrozumienia. Nie proszę o nic. Chcę jedynie przejść następny krąg. Jestem wybrykiem natury, który ona wreszcie zechciała okiełznać. Nie proszę o nic, chcę jedynie stanąć twarzą w twarz z kimś, kto decyduje. Chcę, a nie proszę. Moja arogancja albo mnie zgubi, albo uratuje. Jestem arogancka. Już dość byłam uległa.

Znowu nic. Ta sama cisza i ciemność. Czy jej matka tego doświadczyła? Kogo przywołała w ostatniej godzinie? Nie wiedziała. Jednego była pewna. Położyła na szalę swoje życie, aby ona, Alicja, przeżyła. Teraz ona musi położyć na szali swoje.

Nazywam się Alicja Księgopolska – powtórzyła w myślach. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Nie chcę łaski. Chcę przejść następny krąg.

Cisza nie stała się ani głębsza, ani płytsza. Jej monolog niebezpiecznie zaczął przypominać histerie Mickiewiczowskiego Konrada w celi. Jakże śmieszyła ją w dzieciństwie przemowa Gustawa zmieniającego się w Konrada. Ona na miejscu Boga nie odpowiedziałaby Konradowi nawet jednym słowem. Czemu zatem Bóg miałby odpowiedzieć jej?

Nazywam się Alicja Księgopolska – powtarzała uparcie. – Wiem, że wieczna młodość nie istnieje. Z jakiegoś powodu doświadczam takiego przekleństwa. Sądziłam, że ceną jest brak dzieci. Myliłam się. Cena jest inna. Chcę wiedzieć jaka. Jeśli mam zapłacić za grzechy matki i ojca, chcę przejść następny krąg.

Przez ciszę przebił się ból. Dochodził z ciała, niewątpliwie z jej ciała. Nie umiała określić źródła bólu, ale z pewnością go doświadczała.

Nazywam się Alicja Księgopolska – powtórzyła z uporem. – Chcę przejść następny krąg.

Ból dochodził z brzucha i nasilał się z każdą chwilą. Nie tak tępy jak przy porodzie, ale rwący, szarpał jej trzewia na wszystkie strony. Chciała jęczeć, ale nie wydobyła z siebie głosu.

Nazywam się... – Myśl się rwała, pieczenie przeniosło się wyżej.

Usłyszała słabe głosy. Były jedynie zlepkiem sylab, nie układały się w zdania ani nawet w słowa. Alicja powitała je z radością. Spełniało się jej żądanie. Szła dalej.

– Budzi się... – dobiegł ją daleki szept, ale nie była pewna, czy głos nie jest jedynie projekcją jej pragnień.

Nazywam się Alicja... – Ze wszystkich sił starała się skupić na pokonaniu swojego opornego ciała.

– Nie ruszaj się. – Znów ten głos dochodzący do niej jak przez papier, przez ścianę. – Alina, nie ruszaj

się... Jeszcze chwilę...

Teraz ból niewątpliwie znajdował się w jej głowie. Towarzyszyły mu silne zawroty. Nie widziała nic dookoła siebie poza pustką nieokreślonego koloru. Ta pustka zaczynała coraz intensywniej wirować. Ktoś musiał wlać jej kwas do żołądka, bo podchodził do gardła palącą falą.

Nazywam się Alicja Księgopolska, nie Alina Charme... – Zmusiła swoją głowę do powtarzania owej myśli, która wydała się jej najważniejsza.

Żółć wytrysnęła z niej, paląc gardło i język. Osobliwy to sposób na odzyskanie czucia w języku i jamie ustnej. Ktoś przewrócił ją na bok. Po żółci wyleciało z niej coś nie mniej obrzydliwego i palącego. Wreszcie skurcze żołądka nie wyrzucały już żadnej zawartości. Poczła na wargach wodę. Upiła łapczywie kilka kropel i z żalem z wymiotowała je. Chciała poprosić o jeszcze kilka łyków, obiecać, że będzie piła wolniej, nie straci tych drogocennych kropel, ale nadal nie umiała nic powiedzieć. Nadal nic nie widziała. Słyszała jednak coraz więcej. Głosów było co najmniej kilka. Nie rozpoznawała ich, chociaż wymieniały jej imię. Ręka, która chłodziła rozpalone czoło, wydawała się znajoma. To nie była kobieca dłoń, tylko męska, duża i uspokajająca.

Nazywam się Alicja Księgopolska... – znów powtórzyła.

Ponownie poczuła na wargach wodę, ale tym razem nie połknęła jej, jedynie przyjęła językiem. Skurcz gardła był silny, ale udało się jej utrzymać życiodajny płyn.

– Budzi się. – Nie rozpoznawała tego głosu. – Bogu dzięki...

Nadal nie mogła poruszyć rękoma ani nogami. Czowała spierzchnięte, piekące wargi, próbowała je zatem rozchylić.

– Budzi się – powtórzył inny, również nieznany jej głos.

Pod powiekami nabrzmiały piekące łzy. Czowała, jak wypływają na policzki.

– Spokojnie. – Męska dłoń dotknęła jej czoła. – Gorączka spada. Wszystko będzie dobrze...

Uchyliła powieki, ale zaraz je zamknęła. Wydawało się jej, że światło, jakie wsączyło się w źrenice, zabije ją lub oślepi. Przez moment dostrzegła otaczające ją postaci. Franek... Jedną z nich był jej Franek.

– Nie próbuj mówić, Alina, śpij. Jeszcze się nagadamy. Mamy mnóstwo czasu... – W głosie Franka była radość.

Nie nazywam się Alina Charme – upierała się w niemym stuporze. – Nazywam się Alicja Księgopolska.

– Jaki jestem głupi – mówił Franek. – Pewnie mnie słyszysz, a ja gadam jakieś bzdury. Udało się, Alina. Udało się. Jesteście bezpieczne. Wyciągnęliśmy was z Caazem. Pod okiem całego gestapo. Dokonaliśmy tego. Jesteście bezpieczne. Za chwilę wylądujemy w Genewie.

Powiedział „jesteście”. Trafnie zatem odczytała przekaz Catie. Nazwała dziecko Ludviga Charme. Nadała jej córce imiona, których ona sama nigdy by jej nie dała. Zmarłe dziecko mogło się nazywać Ludviga i nosić jej fałszywe nazwisko. Dziecko, które zdołało przeżyć, będzie nazywało się inaczej. Przekroczyła krąg.

CZĘŚĆ VI





ROZDZIAŁ XI

Danielle tańczyła z Christem. Welon delikatnie kołysał się jej na ramionach, a koronkowa suknia ślubna w kolorze écreu spływała po wąskich biodrach. Pan młody miał na sobie garnitur, chociaż jego bułgarscy krewni optowali za tym, żeby wziął ślub w stroju narodowym. Alicja nie wtrącała się, ale odetchnęła z ulgą, kiedy Christo odrzucił ten pomysł, twierdząc, że nie tylko w Szwajcarii rodopski strój wyglądałby groteskowo, ale i przy tradycyjnej sukni ślubnej panny młodej on sam prezentowałby się niczym Sancho Pansa przy Dulcynei. To akurat porównanie nie wydawało się Alicji właściwe. Swoją córkę uważała za ósmym cud świata, a Dulcynea przecież była piękna jedynie w oczach Don Kichota.

Jaka ona jest śliczna i młoda, pomyślała Alicja po raz setny tego dnia. Twarz jej córki wyrażała szczęście, a nikt, tego Alicja była pewna, nie zasługiwał na szczęście bardziej niż Danielle. Miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Po chwili zmarszczyła jednak delikatnie brwi. Pewnie każda matka wierzy, że jej córka zostanie obdarzona przez Najwyższego niezwykłymi darami. Czy jej matka też tak myślała? Nawet jeśli, to los odebrał jej możliwość uczestniczenia w życiu Alicji. Czy dziś byłaby z niej dumna?

– Co znowu? – spytał Franek i objął ją ramieniem. – Chyba pogodziłaś się z tym, że chłopak od Magury zabiera nam Danielle.

– Przecież sam mówiłeś, że nie tracimy córki, tylko zyskujemy syna – przypomniała mu Alicja i wzięła do ręki kieliszek reńskiego wina. – Tyle że ja, jak każda matka...

Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Danielle tuż po ślubie miała wyjechać do Bułgarii i wraz z Christem zamieszkać w miasteczku, w którym na świat przyszedł Magura. Jako świeżo upieczona lekarka chciała leczyć dzieci, a Christo, także lekarz, kończył właśnie specjalizację z chirurgii. Alicja uważała, że z jej pomocą czy też bez niej Christo mogłoby znaleźć pracę w Zurychu. Nie musiałyby ciągnąć dopiero co poślubionej żony do kraju, który, owszem, był piękny i niezwykle malowniczy, ale w którym królował socjalizm. Nie chciała wtrącać się do wyborów Danielle, ale była przerażona na samą myśl, że ją straci.

– Jak każda matka chcesz trzymać córkę przy sobie. – Franek uśmiechnął się do niej. – I siłą powstrzymujesz się od zamordowania szczęśliwego oblubieńca, żeby za kilka lat nie zamienił się w mężczyznę, który może potencjalnie skrzywdzić twój skarb... Wiem, kochana...

Franek całkiem posiwiiał, a jego przystojna twarz pokryła się siateczką zmarszczek. Nie stracił jednak ani grama ze swojego dawnego uroku. Obok niego siedziała Margo z małym Pierre'em na kolanach. Wnuczek Franka i Margo miał trzy lata i wiercił się niespokojnie, zerkając na stół, na którym piętrzyły się owoce na paterach. Jego mama, Dominique, urodziła się miesiąc przed Danielle i była teraz druhną na jej ślubie.

– Pierre! – Franek złapał małego, który odbił się od kolan jego żony i próbował wejść na stół. – Jak tylko spuścisz go z oka, to się wspina. Chyba zostanie alpinistą...

– W Szwajcarii ma ku temu nieograniczone możliwości – podsumowała Margo, po czym wyniosła wierzgającego chłopczyka w specjalnie uszytym na tę okazję garniturku i oddała go ojcu, który siedział

kilka miejsc dalej, pochłonięty dyskusją z dwiema najlepszymi przyjaciółkami swojej żony.

Tymczasem Dominique tańczyła właśnie z Christem, mężem Danielle. Jej satynowa błękitna suknia druhny przepasana była różową szarfą. Kolory współgrały z porcelanową cerą dziewczyny i jej czarnymi włosami. Alicja rozejrzała się za córką. Po chwili ją dostrzegła. Wachlowała się niewielkim chińskim wachlarzem, pogrążona w rozmowie z jedną ze swoich przyjaciółek druchen, ale nie schodząc z parkietu w oczekiwaniu na kolejny taniec. Danielle była przeciwieństwem Alicji. Drobna i jasna, z błękitnymi, wielkimi oczami, którymi patrzyła mądrze na świat. Margo i Franek śmiali się, że Danielle przyniósł bocian, który pomylił dzieci i dał takie jasnowłose, żeby wszystkich zadziwić genetyką. Po chwili znów tańczyła, tym razem w objęciach Franka, który niepostrzeżenie opuścił miejsce przy stole i wirował na parkiecie niczym Fred Astaire. Uwielbiał taniec, któremu oddawał się w każdej wolnej chwili. Alicja nie przypomniała sobie, żeby w czasach paryskich tak poświęcał się Terpsychorze. Po wyzwoleniu jednak wszystko się zmieniło, codzienność, polityka, ustrój i sam Franek. Pracował jako literaturoznawca na uniwersytecie w Zurychu. Wykładał literaturę francuską. Popołudniami stawał się oddanym ojcem, a później dziadkiem. Był szczęśliwym mężem Margo, wieczorami zaś trenował taniec towarzyski, odnosząc sukcesy w tej dziedzinie. Margo również pracowała na uczelni, ale ona pozostała wierna swojej chemii, uzyskawszy już kilka lat po wojnie tytuł profesora. Co do Alicji, to jak wieszczęli Franek i Margo, skończyła w Zurychu ponownie medycynę i specjalizowała się teraz w neurologii. Pracowała tylko z dorosłymi. Co kilka lat jednak robiła sobie przerwę w pracy klinicznej i zajmowała się naukami podstawowymi, grzebiąc w mózgach szczurów i „szukając w nich nie wiadomo czego”, jak mawiał Franek. Śmiał się, że Alicja nie może się zdecydować, co chciałaby robić, a Margo wiedziała, że przyjaciółka z jednej strony chce pracować naukowo, z drugiej ceni sobie ogromnie działalność kliniczną.

– Dominique wyszła? – spytała Alicja.

– Tak. – Margo pokiwała głową. – Poszła położyć małego, chociaż z jego energią nie będzie to łatwe, i wróci tu zapewne dopiero za jakieś dwie, trzy godziny. Pojęcia nie mam, jak sobie z nim radzi. Gdyby ona taka była w dzieciństwie, wyskoczyłabym przez okno.

– Danielle też była bardzo grzeczna. – Franek wrócił z parkietu i usiadł między Alicją a Margo. – Przestraszyła nas jedynie przy swoim porodzie. Potem już była aniołem. I Gerard... Pierre to diablątko wcielone. Pan Bóg wie, co robi, kiedy daje dzieci w młodym wieku...

Nagle przerwał i roześmiał się głośno. Potem objął Alicję i przyciągnął ją do siebie.

– Och, ty... – Margo też się śmiała i delikatnie klepnęła męża w ramię. – O mało co nie zacząłeś pracować w dyplomacji, a jak coś chłapniesz...

Alicja spojrzała na nich z czułością. Jej rodzina. Franek i Margo, ich dzieci – Gerard i Dominique oraz ich potomstwo, córki Gerarda – Felicja i Flawia – i mały Pierre – synek Dominique i Adriena, obiecującego chirurga. Przede wszystkim jednak Danielle. Kochana, cudowna, dobra. Alicja wielokrotnie wracała do dnia jej porodu, kiedy to prawie oddała życie za siebie, sprawę, Juliana i wreszcie za córkę. Wydawało się, że nie zdoła tego przetrwać. A dziś jest wesele Danielle. Jakże los się odmienił. Chociaż po drodze przeszły tak wiele, to dziś mogła ronić łzy wzruszenia, patrząc na córkę i Christa. Wszystko było inaczej. Chociaż nie – jedno pozostało niezmiennie. Ona i jej ciało, które nie poddawało się upływowi czasu.

– Skłamałabym, gdybym powiedziała, że się do tego przyzwyczaiłam albo coś zrozumiałam. Twoje zdrowie, Margo. I wszystkich nas, kobiet. Kobiet, które przetrwały. – Wzniosła toast.

Margo trzymała w ręce kieliszek z winem. Jej zniszczone chemikaliami dłonie były pokryte delikatnymi, ale wyraźnie ciemnymi plamami i Alicja zmarszczyła brwi. Spojrzała na żonę Franka, ale ta uciekła wzrokiem. Czy to możliwe, aby to były jedynie starcze zmiany? Czy Margo mimo wszystko nie jest na to zbyt młoda? Kiedy wyprawi Danielle i jej męża, musi nakłonić Margo do wykonania serii badań.

– Jestem stara, Alicjo. Tak po prostu – powiedziała łagodnie Margo. W tle śpiewał Frank Sinatra. Młodsze pokolenie rwało się do tańca. Dominique wróciła zaskakująco szybko i w towarzystwie swojego męża kręciła się na parkiecie. – Mam już sześćdziesiąt pięć lat... I skórę odpowiednią do wieku.

– Przepraszam – Alicja powiedziała to z autentyczną szczerością. Sama nie była pewna, za co przeprasza, czy za fakt, że się nie starzała, czy też za to, że było to nieuchronnym udziałem jej najbliższych.

Alicja miała nadzieję, że z chwilą urodzenia Danielle jej ciało pokona przekleństwo i zacznie zachowywać się stosownie do czasu, jaki spędziło na ziemi. Może ten ochronny, nieznaną jej czynnik przestanie działać albo przejdzie na jej córkę. Tego, mimo swojego ścisłego umysłu i ogromnej wiedzy, wciąż nie wiedziała. Nadal nie mogła zgłębić własnego fenomenu. Spędziła setki godzin na studiowaniu ludzkiego umysłu, poszukując odpowiedzi na pytanie, dlaczego naturalny dla innych ludzi proces starzenia się ją jedną omija. Przez dwadzieścia trzy lata spędzone w Szwajcarii, podczas których miała dostęp do najnowszych doniesień naukowych, szukała odpowiedzi na swoje pytanie. Tyle że jej nie znalazła. Nie pomogło studiowanie mózgu ani oglądanie pod mikroskopem własnej krwi i wycinków skóry. Nie pomogła pięcioletnia praca nad fizjologią żółwi, które dożywały sędziwego wieku, praktycznie się nie zmieniając. Nie pomogły nawet próby hipnozy, do których Alicja podeszła ze sceptycyzmem godnym naukowca i nadzieją prezentowaną przez kobietę doświadczającą na własnej skórze nadprzyrodzonych mocy. Alicja mimo upływu lat zmieniała się jedynie nieznacznie. W dniu ślubu dwudziestopięcioletniej Danielle nie przypominała wprawdzie dziecka, ale nie można jej było dać więcej niż trzydzieści lat.

– Nie przepraszaj. – Margo sięgnęła po kawałek makowca. – Przecież wiem, że to dla ciebie żaden cymes.

Odgryzła kawałek i zamknęła oczy.

– Uhm... – mruknęła. – Jak się nazywa to ciasto? Przypomnij mi, Alicjo.

– Makowiec. – Uśmiechnęła się ponownie. – Pamiętam je jeszcze z dzieciństwa w Kodorowie. Nasza kucharka piekła takie na święta. Uparłam się, żeby było na ślubie Danielle, chociaż mak w Szwajcarii to nie jest artykuł, który można kupić w pierwszym lepszym sklepie.

– Piekłaś te makowce na każde urodziny Danielle, podobnie jak na nasze i naszych dzieci – zastanowiła się Margo. – To było dla ciebie ważne, prawda?

Alicja pokiwała głową.

– Ważne, bo przecież Polska to ojczyzna, którą porzuciłam..

– Całe twoje życie to obwinianie się. – Margo przełknęła ostatni kęs ciasta i chwilę walczyła z pokusą nałożenia sobie na talerzyk jeszcze jednego kawałka. – Kiedyś – stwierdziła z żalem, cofając rękę tuż

przed paterą – mogłam jeść słodczy bezkarnie, ależ wiekiem wszystko się zmienia. Teraz faszeruję swoje ciało witaminami, których mi wciąż brakuje, odżywkami, których nie wiedzieć czemu nie ma w naszym jedzeniu, aspiryną, żeby mi się krew nie skleiła, i preparatem, który ma mi poprawić pamięć, a zawsze zapominam, jak się nazywa. Ty za to nie faszerujesz się niczym, a mimo to...

– Masz rację. – Alicja także wzięła kawałek ciasta, ale nie makowca, tylko biszkoptu ze śmietaną i truskawkami. – Obwiniam się. Pewnie dlatego że nie rozumiem. My, kobiety nauki, musimy rozumieć. Jeśli nie rozumiemy, tracimy grunt pod nogami.

– Obwiniasz się za to, że nie pojechałaś do Polski. Przecież chciałaś.

– Chciałam... – Sercem Alicji szarpnął żal. – W czterdziestym drugim uzyskałam przydział do Polski, ale wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Nie mogłam pojechać. Potem wiadomo, co się stało. A w Szwajcarii zaczęłam nowe życie i nie mogłam wrócić do wcześniejszej działalności. Margo nachyliła się w jej stronę. Sinatra ustąpił pola Elvisowi Presleyowi, śpiewającemu *Love Me Tender*. Danielle tańczyła przytulona do Christa, który szeptał jej coś do ucha.

– Alicjo – powiedziała wolno – musisz przestać zadawać sobie ból. Nie możesz wrócić do Polski. Tam jest gorzej niż w czasie wojny. Znacznie gorzej.

– Nie gorzej niż w Bułgarii, do której jedzie Danielle...

– To co innego, Alicjo. – Franek spojrzał jej w oczy. – Dobrze o tym wiesz.

Od dwudziestu trzech lat ponownie nazywano ją Alicją. Kiedy tylko Bóg pozwolił jej urodzić Danielle i przeżyć, postanowiła, że nie będzie już nazywała się Alina Charme. Wahala się wprawdzie, czy nie wrócić do nazwiska Loewenstein, ale Franek i ludzie, którzy organizowali jej ucieczkę, stanowczo się temu sprzeciwili. Musiała starannie zatrzeć za sobą ślady. W Paryżu umarła i pochowano ją i dziecko na cmentarzu Père-Lachaise. Uwierzyli w to kapitan Erhardt, a nawet pułkownik Bauch. Gdyby sprawa się wydała i na jaw wyszło to, że Catie i doktor zamienili ciała jej i dziecka, zostaliby skazani na śmierć, a jej nigdy nie przestano by szukać. Zostawiła zatem wszystko. Całe wyposażenie mieszkania, pieniądze schowane na czarną godzinę znalezione zapewne w skrytce pod podłogą przez Niemców albo złodziei, rzeczy osobiste, biżuterię, nawet bezcenne dla niej pamiątki związane z Danielem. W Szwajcarii przejęła majątek męża. Czekał na nią zgodnie z jego rozporządzeniem, złożony w skarbcu jednego z banków. Nie musiała udowadniać, kim jest, aby otrzymać zostawione jej pieniądze. Wystarczyła wizyta w banku i podanie dwóch tajnych haseł oraz rzędu cyfr, które otwierały sejf. Jego zawartość, imponująca nawet jak na szwajcarski majątek żydowski, została przelana na jej konto osobiste. Alicja Księgopolska i jej córka Danielle mogły rozpocząć nowe życie.

Żaden ślad jej obecnej egzystencji nie mógł prowadzić do Szwajcarii. Ucierpiałoby na tym nie tylko bezpieczeństwo córki, lecz także Franka i jego rodziny. Ona sama chciała już żyć, dla Danielle i z nią. Zaczęła wszystko od nowa. Wstąpiła na uniwersytet i ukończyła studia medyczne z wyróżnieniem, zdając większość egzaminów przed terminem i zostając okrzyknięta jedną z najzdolniejszych studentek Uniwersytetu Medycznego w Zurychu. Jeszcze na studiach zaproponowano jej staż w jednej z lepszych klinik, a potem specjalizację. Alicja pokonywała te wszystkie szczeble ze swoistym wdziękiem, ciesząc się, że jako kobieta wzbudza zazdrość jedynie ze względu na łatwość przyswajania wiadomości, a nie płeć jako taką.

Przez pięć pierwszych lat pozostawała czujna. Wydawało się jej, że Ludvig vel Laszlo czai się za

każdym rogiem i wystarczy chwila nieuwagi, by zrobił krzywdę jej i własnej córce, która nie miała pojęcia, kim w istocie był jej ojciec. Tak, okłamała Danielle, mówiąc, że jest córką najszlachetniejszego człowieka na ziemi, jej męża Daniela Loewensteina. Danielle nie miała powodu, by w to nie wierzyć. Powiedzenie jej prawdy niczemu i nikomu by nie posłużyło. Danielle mogła zapragnąć odszukać ojca. Wtedy Alicja musiałaby jej powiedzieć, kim był i jakie ciążą na nim winy. Musiałaby także powiedzieć córce o własnej działalności w czasie wojny, o misji, która miała na celu rozpracowanie jej ojca – niemieckiego szpiega, człowieka o fałszywej tożsamości, złodzieja i mordercy. Tego przecież nie mogła zrobić. Jedynie przez krótką chwilę bała się, czy zdoła pokochać to dziecko, czy nie będzie widziała w nim Ludwiga, a przede wszystkim czy Danielle nie będzie jej przypominała błędów, które popełniła w Paryżu, oddania, które było jedynie sprzedawaniem własnego ciała, cóż, że w słusznej sprawie. Danielle jednak rozproszyła jej obawy. Kiedy przysłała na świat, serce Alicji do tej pory zarezerwowane dla Daniela, po trosze Juliana i wreszcie Franka, wypełniło się miłością do tej cudownej dziewczynki, ani na jotę nie ujmując uczuć przeznaczonych dla innych najbliższych. Danielle łatwo było kochać. Radością, która tkwiła w tym dziecku od pierwszych chwil jego istnienia, można by obdzielić trzy inne istoty. Danielle była bystra, dojrzała ponad wiek, empatyczna i bardzo ciekawa świata. Przyjęła do wiadomości, że jej tato umarł w czasie wojny, i nigdy nie kwestionowała tego stwierdzenia. Może dlatego że tysiące takich jak ona półsierot szukało schronienia w Szwajcarii lub za oceanem.

– Niepisane mi wrócić do Polski. – Oderwała się od własnych myśli i zwróciła w kierunku Margo. – Jakieś przekleństwo...

– Jakie przekleństwo? – dobiegł ją głos zasapanego Franka, który usiadł obok i wychylił duszkiem szklankę wody. – Przepraszam, ale twoja córka na własnym ślubie postanowiła mnie wykończyć. Wiek już nie ten..

– Twist jest wykańczający, Franku. Niezależnie od wieku. I nie kokietuj, bo radzisz sobie świetnie. Wszyscy tu pytają, czy jesteś fordanserem.. – Mówiąc to, uśmiechnęła się przekornie.

– Już ty wiesz, o czym mówię – roześmiał się Franek. Zmarszczki wokół oczu podkreśliły bystrość spojrzenia jej „małego braciszka”. – I na takie pytanie odpowiadaj: „Owszem, to fordanser, którego zatrudniłam, żeby tańczył z Bułgarami”.

– A właśnie – zmiętygowała się Alicja. – Powinnam z nimi posiedzieć.

– Zostań – uspokoił ją Franek. – Świetnie sobie radzą, mimo że nie ma przy nich tłumacza. Nadrabiają gestykulacją i decybelami.

Rzeczywiście rodzina Christa była bardzo głośna. Trzech jego wujów aktualnie otaczało promotorkę Danielle oraz jej kierowniczkę specjalizacji i wykrzykiwało im do uszu zaproszenie do Bułgarii. Kobiety uśmiechały się grzecznie i kiwały głową, nie mając pojęcia, że w Bułgarii zaprzeczenie oznacza zgodę i odwrotnie. Wreszcie podeszli do nich oblubieńcy, którzy z trudem oderwali się od siebie na parkiecie i porwali do tańca Christo – panią promotorkę, a Danielle – wuja z największymi wąsami.

– Pójdę zatańczyć z Dymitrem. – Alicja uniosła się na krzesło, ale usiadła zaraz, bo rzeczony Dymitr wstał i skłonił się przed profesorem Breitman, kierowniczką specjalizacji pediatrycznej Danielle.

– Zatańcz ze mną – powiedział Franek. – W kraju, do którego wybiera się Danielle, wciąż mężczyźni proszą kobiety do tańca, a nie odwrotnie. Danielle musi być tego świadoma, skoro chce tam spędzić życie.

– Cześć życia jedynie – dodała szybko Margo, a Alicja spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Nie mogę się przyzwyczaić do tej myśli i tak się boję, że ona zostanie tam na zawsze... – Alicja była gotowa rozplakać się z potencjalnej tęsknoty za córką, która jeszcze nie zdołała opuścić Szwajcarii. Może na jej stan wpłynęło pomieszanie szampana, wina i jakiegoś dziwnego trunku, który przywiozła z Rodopów rodzina Christa.

– Mówimy o tym, że Alicja nie może wrócić do Polski – powiedziała z naciskiem Margo i spojrzała wymownie na Franka.

– Oboje boicie się, że kiedy Danielle wyjedzie, ja przypomnę sobie, że jestem Alicją Księgopolską i zechcę to udowodnić.

Zarówno Margo, jak i Franek zaczęli się tak do niej zwracać, gdy tylko wyszła ze szpitala w Zurychu i zaczęła nowe życie z nowo narodzonym dzieckiem. Nowe życie, nowe imię. Żałowała tylko, że nie mogła zeznawać w żadnym procesie przeciwko nazistom. Nie mogła obciążyć pułkownika Bauch'a za jego zbrodnie, przede wszystkim za spędzenie na dworzec żydowskich dzieci, ani kilku innych paryskich zbrodniarzy, o których działalności wiedziała więcej, niż by chciała. Alina Charne umarła przy porodzie w Paryżu w czterdziestym drugim roku, nie mogła zatem dać świadectwa. Tacy dranie jak Bauch na swoje nieszczęście skrzywdzili tysiące niewinnych istnień. Było zatem wystarczająco wielu chętnych, którzy chcieli zeznawać przeciwko zbrodniarzom. Interesowała się tym wtedy żywo i znalazła wzmiankę w tutejszych gazetach o skazaniu Bauch'a na śmierć. Udowodniono mu liczne zbrodnie wojenne. Bauch tłumaczył się jak inni, że wykonywał jedynie rozkazy. Potem, kiedy to nie pomogło, przedstawiał jakieś dowody na swoją rzekomą chorobę. Sąd nie dał temu wiary i pułkownik Bauch, postrach okupowanego Paryża, kat ludności cywilnej, zawisł na szubienicy niespełna pół roku po zwycięstwie. Kapitan Erhardt uniknął tego losu między innymi dzięki zeznaniom dyrektora szpitala, który opowiedział, jak kapitan ochraniał szpital, i Catie, która opowiedziała o lekach, regularnie dostarczanych aż do wyzwolenia. Wtedy dowiedziała się między innymi, że Catie po jej „śmierci” wciągnęła kapitana w działalność konspiracyjną. Cieszyła się, że przejął szlachetną misję ratowania dzieci.

– Alicjo... – Franek obudził ją ze wspomnień. – Tyle razy rozmawialiśmy na ten temat.

– Wiem – ucięła. – Macie rację, tyle że nie umiem walczyć z uczuciem straty...

Po wojnie Franek i osoby, które były ich bezpośrednimi kontaktami w czasie działalności konspiracyjnej, zdobyli wreszcie wszelkie informacje na temat tego, co stało się z mieszkańcami Kodorowa. Trwało to bardzo długo, ale w 1947 roku Alicja wreszcie mogła drżącymi rękoma otworzyć kopertę i przeczytać jej zawartość. Całe życie ludzi, którzy byli dla niej wszystkim, mieściło się w kilku liniijkach.

Jan hrabia Księgopolski zmarł śmiercią samobójczą w Kodorowie w roku 1914. Prawdopodobną przyczyną desperackiego kroku była francuska choroba, którą się zaraził. Został pochowany w Kodorowie.

Elżbieta Księgopolska, z domu Kodorowska, zmarła w Warszawie w roku 1938 na suchoty galopujące. Jest pochowana w Warszawie.

Barbara Kodorowska zmarła na gangrenę po złamaniu nogi latem 1918 roku. Jest pochowana w Kodorowie.

Anna i Henryk Kodorowscy zginęli we wrześniu 1939 roku w Warszawie, gdzie obydwoje przebywali, prawdopodobnie rozstrzelani w łapanie ulicznej.

Ich syn Kajetan wraz z żoną i dziećmi w czasie wojny przebywał w Afryce. Po wojnie wrócił do Polski, mieszka we Wrocławiu. Represjonowany.

Kodorowo w czasie wojny zostało zrównane z ziemią podczas nalotów. Cmentarz również nie przetrwał. Szczątki ludzkie pochowano w pobliskiej miejscowości Brwinów w zbiorowej mogile.

Brak danych co do pozostałych krewnych.

Miała odpowiedź na swoje pytania. Nie przetrwał nikt z Kodorowskich. Jej ojciec targnął się na swoje życie. Może to francuska choroba i szaleństwo, jakie przychodzi w jej trzecim etapie, kiedy kiła atakuje układ nerwowy? Zresztą kto wie, czemu to zrobił. Może jej szukał i nigdy nie znalazł. Może przyczyną było zupełnie coś innego, niezwiązanego z jej osobą. Przecież od lat nie chciał jej widzieć. Przeciwno powrotowi do Polski przemawiało w zasadzie wszystko. Wtedy w Polsce rządził Bolesław Bierut – agent radzieckiego wywiadu. Nie miała tam już bliskich. Powrót wiązałyby się z dekonspiracją i narażeniem Danielle na ewentualne represje. A jednak podświadomie przez te wszystkie lata czuła, że zawiodła, że pozostawiła swoją ojczyznę, że nie służy jej dostatecznie oddanie.

– Mamo! – Usłyszała obok głos Danielle. – Mamo! Czas na bukiet!

Help! *I Need Somebody*... rozległo się ze wszystkich głośników. Alicja nie mogła się nie roześmiać. Jej córka była taka pełna nadziei, taka szczęśliwa. Nie jestem jej już potrzebna, złapała się na tej myśli i sprawiło jej to przykrość. Przestań, skarciła samą siebie. To najszczęśliwszy dzień w życiu Danielle, a ty zamiast cieszyć się i tańczyć, siedzisz i wydziwiasz.

– Ona cię potrzebuje – szepnęła jej do ucha Franek, jakby wyczuwał myśli Alicji.

Franek zawsze chciał ją chronić, zawsze był obok, gotowy, żeby wyciągnąć ją z matni wojny, otchłani samotności czy zwykłej chandry. Jej Franek, któremu obiecała, że nie odejdzie pierwsza. Danielle stała na podeście i wirowała z bukietem w ręku. Na swój ślub wybrała prosty bukiet z czerwonych róż, płaski jak tort. Rzuciła go, patrząc wprost na matkę. Wianek pofrunął w jej stronę, ale zniknął w rękach jednej z przyjaciółek, bodajże Helene, która stała tuż obok niej. Sama Alicja nie wyciągnęła nawet rąk.

– Mamo – nadąsała się Danielle, która chwilę później sfrunęła z podestu i złapała ją za ramię – rzuciłam tak, żebyś ty złapała...

– To przecież zabawa, kochanie – zaprotestowała. – Raczej dla młodszych.

Danielle pokręciła głową.

– Chciałabym, żebyś ułożyła sobie życie. Od śmierci taty minęło tyle lat, a ty... A ty...

– Danielle – odezwała się Alicja – wracaj do gości. Niedługo pora kroić tort.

– Ale mamo... – Jej niebieskie oczy migotały niczym gwiazdy. – Powinnaś pomyśleć o tym zwłaszcza teraz, kiedy my...

Wzięła córkę za rękę.

– Kochanie – powiedziała. – Przecież nie można na zawołanie, ot tak, bo ty tego chcesz... To są skomplikowane sprawy.

Danielle opuściła rękę i odgarnęła Alicji włosy, które wymknęły się z kunsztownie upiętego koka.

– Ale powiedz tylko słowo i nigdzie nie pojedziemy. No, powiedz tylko...

Alicja spróbowała się roześmiać. Gdyby to było takie proste. Przecież spędziły wiele godzin na rozmowach o wyjeździe, o tym, że Danielle decyduje się pojechać za mężem i w dalekich Rodopach spędzić przynajmniej kilka lat swojego życia. Christo może i był nowoczesny, ale nie wyobrażał sobie, że to on pojedzie za żoną, a nie odwrotnie. Poza tym, to jej się podobało, Christo miał misję.

– Nie sztuka wyjechać ze swojego zapomnianego kraju do innego, bogatego miejsca. Sztuka zostać i pracować na rzecz słabszych i biedniejszych.

Podziwiała takie podejście. Wprawdzie czekał na nich przestronny kamienny dom, a sama Alicja nie zamierzała zostawić córki na łasce i niełasce socjalistycznego systemu płac, ale fakt pozostawał faktem. Córka odchodziła i należało pozwolić jej odejść. Tęsknota i obsesja, że opuszczają ją ludzie, których kocha, musi zostać odsunięta na drugi plan.

– Ja przecież od ciebie nie odszedłem. – Znów usłyszała szept Franka.

– Czy ty posiadasz jakieś tajemne moce i czytasz w moich myślach? – spytała zdumiona.

– Nie trzeba posiadać tajemnych mocy. – Uśmiechnął się do niej. – Masz te wszystkie wątpliwości i lęki wypisane na nietkniętej zmarszczkami twarzy... A teraz zatańcz ze mną wreszcie, bo grają *Whiter Shade of Pale*.

– Z przyjemnością – powiedziała i poszła z Frankiem na parkiet.

– Alicjo, tak pięknie wyglądasz – powiedziała z podziwem Margo, kiedy zaróżowiona tańcem wróciła do stołu.

Alicja odwzajemniła uśmiech. Wybrała na ten dzień prostą jedwabną suknię w kolorze głębokiej zieleni z delikatnym fioletowym kołnierzem i granatowe buty na wysokim obcasie. Zrezygnowała z zakupu gotowej kreacji w jednym z drogich sklepów w centrum miasta. Zaprojektowała suknię sama, kupiła jedwab, a potem udała się do krawcowej. Przez chwilę wprawdzie walczyła z pokusą odwiedzenia butik Chanel, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. Nie żałowała swojej decyzji ani przez chwilę. Suknia, którą miała na sobie, dodawała lat, co w jej sytuacji było dosyć pożądane.

– Myślałem, że na tę okazję włożysz sukienkę w kolorze pogody... – uśmiechnął się do niej Franek.

– Nie rozumiem – wyznała Margo, kiedy Alicja zaczęła się śmiać.

– Chodzi o moją miłość do bajki o Ośle Skórcie – wyjaśniła. – Już miałam na sobie suknię w kolorze słońca i księżyca. Pozostało tylko włożyć taką w kolorze pogody. Mylisz się jednak. To nie jest ta sukienka.

– Kiedy zatem włożysz suknię w kolorze pogody? – zainteresował się Franek.

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie wiem..

– Na swój własny ślub – orzekł Franek. – Możemy urządzić go zimą, a wtedy biała suknia ślubna będzie w kolorze pogody.

– Przestań! – roześmiała się.

– Ciociu – zwróciła się do niej Dominique. – Zobacz, tam stoi jeden z moich profesorów architektury. Zaprosiłam go, bo... wiele mu zawdzięczam. Właściwie to przyjaciel rodziny. Bardzo porządny człowiek. Czy mogłabym cię przedstawić?

A więc to tak. Rodzina uknuła plan, aby poznać Alicję z jakimś mężczyzną, którym by się zajęła zamiast tęsknić za córką. Spojrzała na bratanicę z rezygnacją.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytała.

– Absolutnie konieczne. – Dominique wzięła Alicję za rękę i delikatnie, ale stanowczo pociągnęła

w stronę przystojnego, wysokiego mężczyzny, który od dłuższego czasu, jak zauważyła Alicja, nie spuszczał z niej oczu.

– Alicja Księgopolska, matka panny młodej – podała mu rękę.

Uścisnął ją lekko i uśmiechnął się. Na prawym policzku zrobił mu się dołeczek. Rzeczywiście był bardzo przystojny.

– Vincent Lumiere, przyjaciel drużyny panny młodej. Bardzo mi miło.

Przyglądała mu się chwilę, czekając, aż zacznie rozmowę. Dominique natychmiast zostawiła ich samych, paplając, że musi przygotować tort dla państwa młodych.

– Naprawdę jest pani matką panny młodej? – spytał z niedowierzaniem. – Nie siostrą?

– Jest pan bardzo miły. – Kiwnęła głową. – To prawda, że Danielle nie jest do mnie podobna. Inna sylwetka, kolor włosów, oczu...

– Jesteście bardzo podobne – zaprotestował. – Te same gesty, sposób poruszania się. Patrząc jednak na panią i zastanawiam się, w jakim wieku pani była, kiedy Danielle przyszła na świat.

Właśnie z tego powodu nie związała się z nikim. Kiedy poznała i pokochała Daniela, kwestia jej „wiecznej młodości” była jeszcze otwarta. Gładką twarz i strzelistą sylwetkę można było przypisać głodowaniu podczas okupacji, miłości albo radości, jaką przyniósł ze sobą koniec wojny. Stało się to uciążliwe, kiedy żaden szpital nie dawał wiary jej zapewnieniom, że skończyła medycynę. Nawet Julian i Daniel, którzy znali losy Alicji, z początku nie mogli uwierzyć w jej opowieści. Pierwszy przyjął to do wiadomości Franek, potem Daniel, wreszcie Julian. W Zurychu wraz z nowym życiem dostała także nowe dokumenty. Widniał w nich 1922 rok jako data urodzenia. W chwili przyjścia na świat Danielle miała zatem oficjalnie dwadzieścia lat. Jednak według prawdziwych papierów przekroczyła osiemdziesiąty piąty rok życia. Za kilka lat zaczną się kłopoty i pytania, już nie żartobliwe, zadawane przez komplementujących ją kolegów czy zazdrosne koleżanki. Powinna pomyśleć o zmianie miejsca zamieszkania, może ponownie przybrać inną tożsamość. W przeciwnym razie mogą uznać ją za oszustkę albo, co gorsza, wybryk natury i poddać jakimś niebezpiecznym badaniom. Kilka razy próbowała rozmawiać na ten temat z Frankiem, ale z jego tonu wnioskowała, że sam się zastanawiał nad tym, co Alicja powinna zrobić, i nie doszedł do żadnych konstruktywnych wniosków. Może bał się, że przyjdzie taki moment, kiedy wyjedzie z Zurychu?

– Jest pan bardzo miły – powtórzyła i już chciała się odwrócić, kiedy Vincent znów się odezwał.

– Przepraszam panią, to zupełnie nie tak miało być... Jeśli pani pozwoli, to zacznę jeszcze raz.

Był przystojny, ale nie miał tego uwodzicielskiego błysku w oku, jaki od razu dostrzegła u Ludviga. Skarciła samą siebie. Czemu nagle przypomniał się jej Ludvig? Vincent nie był do niego podobny, okoliczności spotkania inne. Czemu zatem?

– Proszę... – Spojrzała zachęcająco. Miała wprawdzie ochotę uciec do Franka i Margo albo znaleźć Danielle i pomóc jej przy torcie, ale to mogło sprowokować nowo poznanego do działania. – Niech pan zacznie jeszcze raz.

Cokolwiek miałoby się stać, nie mogła z nikim się wiązać. Danielle nie wiedziała nic o jej „przypadłości”, podobnie Dominique i Gerard. Kiedy jej córka była mała, tyle razy pytała ją, czemu nie chodzi na randki, a ona niezmiennie jej odpowiadała, że nie chce, aby ktokolwiek zastąpił w jej sercu

tatusia. Mała Danielle wierzyła w te słowa, duża przyzwyczała się do tej myśli i coraz rzadziej pytała. Żartowała od czasu do czasu, że taka piękna kobieta jak Alicja zajmuje się opędzaniem od adoratorów zamiast chodzić na randki, ale na żartach się kończyło. Alicja nie podejmowała dyskusji, a Danielle starała się szanować jej decyzję, nic nie rozumiejąc. To zresztą niezupełnie było tak, że żyła przez te lata sama. Miała kilku mężczyzn, ale raczej były to przygody, nie uczucie. Nie pozwalała żadnemu z nich zbliżyć się do siebie, a oni, kiedy rozumieli w końcu, że nie mogą liczyć na głębszy afekt ze strony pięknej koleżanki, poddawali się i kierowali ku innej. Prawdopodobnie z tym Vincentem też tak będzie, pomyślała. Wystarczy tylko być dostatecznie wytrwałą. Chociaż, pomyślała, wygląda na bardzo miłego mężczyznę i może od razu warto powiedzieć mu, że nic z tego, zamiast mieć go zainteresowaniem. Tyle że, Alicja uśmiechnęła się do siebie, Vincent Lumiere był naprawdę sympatyczny.

– A zatem – zaczął wyraźnie, ważąc każde słowo. – To przepiękna uroczystość. Prokofiew, którego usłyszałem w kościele, wprowadził mnie w zachwyt. Nie mniej oczywiście Beethoven.

– Lubi pan muzykę klasyczną? – spytała.

– Ogromnie – potwierdził. – Najbardziej fortepianową. Chociaż nie pogardzam Beatlesami.

– W takim razie zdradzę panu, że przy krojeniu tortu zabrzmiał *Yesterday*. To nasza ulubiona piosenka, moja i Danielle.

– Ani Stonesami – dokończył i zanucił *I Can't Get No Satisfaction*, ale zaraz potem dodał nieco skonfundowany: – Satysfakcji nie osiągam jedynie w pracy, bo jestem perfekcjonistą. To znaczy... Przepraszam panią, ale znów chyba powiedziałem coś nie tak...

Roześmiała się mimowolnie.

– Proszę się nie przejmować – odparła. – Nie jestem aż tak drażliwa. Jest pan architektem, prawda? Tyle o panu powiedziała mi Dominique. Więcej nic nie wiem.

– Niewiele więcej sobą reprezentuję. – Ponownie się uśmiechnął. – Ja o pani wiedziałem tylko tyle, że jest pani wybitnym neurologiem. Dominique użyła szantażu, żeby mnie tu sprowadzić, tak bardzo chciała, żebyśmy się poznali. Szczerze mówiąc, wzbraniałem się przed tym, ponieważ zawsze powiem coś nietaktownego i niweczę tym samym swoje potencjalne szanse. Poza tym... Poza tym...

Zabrzmiało *Yesterday* i Alicja drgnęła.

– Muszę iść i pomóc...

– Chyba nie musi pani... – powiedział wolno Vincent, wskazując jej stół, na którym stał trzypiętrowy tort. Danielle i Christo kroili zgrabne kawałki, a Dominique, Klara i Carmella rozdawały je gościom. – Świetnie sobie radzą...

Istotnie, roześmiana Danielle i jej mąż ręka w rękę dzielili kulinarne dzieło sztuki na kawałki. Wrzosowa suknia Carmelli migiała między gośćmi. Podeszła do nich Dominique z dwoma talerzykami.

– Nie za dużo? – Alicja spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Jedz, ciociu, jedz. Vincent, wpłyn na nią, żeby zjadła. Od początku przyjęcia tylko skubie owoce albo sałatkę. Mama kazała mi ją nakarmić.

Po czym zniknęła w tłumie gości. *Yesterday* się skończyło i Beatlesi zaintonowali *Michelle, Ma Belle...*

– Dominique przypomina mi moją córkę. – Zmarszczył brwi.

Nie spytała. Skoro istniała córka, musiała także istnieć żona, być może była żona, kto wie. Na pewno wiedziała o tym Dominique, która była ogromnie pryncypialna i nigdy nie naraziłaby Alicji na związek z żonatą mężczyzną.

– Moja córka mieszka w Berlinie – wyjaśnił, chociaż nie pytała. – A żona nie żyje od dziesięciu lat. Zmarła na złośliwego guza mózgu.

– Przykro mi – powiedziała ze współczuciem, o mało nie dodając, że jej mąż zginął w wypadku lotniczym. Co się z nią dzieje, u diabła?

Postawiła talerzyk na stole. Stanowczo musi zniechęcić do siebie tego miłego człowieka, zanim on się w niej zakocha albo, co gorsza, jej zacznie na nim zależeć.

– Czy mogę panią zaprosić do tańca? – spytał.

Ella Fitzgerald i Louis Armstrong śpiewali właśnie *They Can't Take Away From Me* autorstwa Iry i George'a Gerhwinów. Jej serce ścisnął żal. *Shall We Dance* to był film, na który planowali wybrać się z Danielem, zanim zginął. Oboje kochali genialnych braci Gershwinów oraz Ellę i Louisa. Stanowczo nie mogła tańczyć tej piosenki z kimś obcym, nawet bardzo miłym i zupełnie niczego nieświadomym.

– Nie, nie... Przepraszam – powiedziała.

Chciała dyskretnie się wycofać i odpocząć w pokoju na górze, ale Vincent postanowił nie dać się tak łatwo porzucić.

– Czy pani jest słabo? – spytał. – Czy mógłbym coś zrobić?

– Chciałabym po prostu zostać sama – stwierdziła stanowczo. To nie było zbyt miłe, miała tego świadomość, ale może to dobry sposób na ocalenie własnej niezależności.

– Nie zostanie tu pani sama, nie ma ku temu warunków – powiedział łagodnie. – Ta piosenka uruchomiła chyba jakieś bolesne dla pani wspomnienia... Jeśli pani nie chce, nie będziemy tańczyć, ale może moglibyśmy wyjść na taras i odetchnąć świeżym powietrzem?

Wahała się chwilę, wreszcie skinęła głową i wzięła go pod ramię. Na tarasie nikogo nie było. Ciepła wrześnie noc zwieszała się nad dachami Zurychu. Alicja oddychała spokojnie. Powoli dochodziła do siebie. Czemu tak się rozkleiła? Daniel odszedł prawie trzydzieści lat temu. Nie przestawała tęsknić, wspominać, ale przecież pogodziła się z tym.

– Na ślubie mojej córki prawie cały czas płakałem – odezwał się Vincent, jakby czytał w jej myślach. – Wydawało mi się, że widzę Vivian. Wmówiłem sobie nawet, że przyszła, aby popatrzeć na szczęście naszego dziecka. Widziałem ją w kościele, potem jak tańczyła... Zrobiłem z siebie widowisko, bo złapałem tę nieznaną kobietę i zacząłem do niej przemawiać „Vivian, Vivi...”. Tylko zdenerwowałem córkę.

– Tęskni pan za żoną? – spytała, ale zaraz potem przeprosiła. Wydawało się to oczywiste.

– Tak. – Pokiwał głową. – Po jej śmierci chodziłem do psychoanalityka. Córka mnie zmusiła, a ja się nie broniłem, bo mogłem bezkarnie, za pieniądze, mówić o niej dwie godziny tygodniowo. – Uśmiechnął się smutno. – Wie pani, tak to jest, że kiedy druga połowa odchodzi, nasza pamięć przechodzi coś w rodzaju wybiórczej filtracji. Pani pewnie lepiej by wytłumaczyła to zjawisko, chociaż mam wrażenie, że nie jest ono tak całkiem medyczne.

Rozgadał się, a Alicja złapała się na myśli, że jest jej miło być z tym człowiekiem na tarasie i słuchać

opowieści o jego żonie.

– Innymi słowy – ciągnął – osoba, z którą niewiele nas łączyło, nie potrafiliśmy się porozumieć, nagle staje się najbliższym i najważniejszym towarzyszem życia, a jej brak wyrwą w sercu i tak dalej. Tyle że moja żona okazała się ideałem. Nie wiem, jak to możliwe, ale nigdy nie było między nami nieporozumień. Nigdy... Byliśmy jednomyślni. Kiedy odeszła... Do dziś nie mogę się pozbierać.

– Mój mąż zginął w katastrofie lotniczej, zanim urodziła się Danielle – powiedziała ostrożnie. – I też był ideałem.

Popatrzyła w dal. Czuła się znacznie lepiej.

– Kończąc bolesny temat – rzekł. – Nie usłyszysz pani ode mnie, że to było dawno i życie toczy się dalej.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– A co usłyszę?

– Moja córka też wyjechała po ślubie... – Popatrzył w bok. – Mogę powiedzieć, że pierwszy rok będzie dla pani najtrudniejszy.

– Myślałam, że powie mi pan coś bardziej pocieszającego. – Odwróciła się w jego stronę i oparła o barierkę, a on popatrzył na nią z nieskrywanym zachwytem.

– Jest pani zachwycająca... – mruknął. – Ponieważ już zrobiłem z siebie głupca i doprowadziłem panią do rozstroju nerwowego, zapraszając do tańca przy nieodpowiedniej piosence, powiedziałem, że wciąż myślę o zmarłej żonie, że będzie pani tęskniła za córką, to nie zaszkodzi mi zapewne, jeśli zaproszę panią na koncert, a potem na kolację?

– Nie wiem, czy powinnam... – powiedziała szczerze.

– Koncert i kolację – powtórzył. – Nie wiem, co sobie pani wyobraża, ale mam na myśli tylko to.

Roześmiała się.

– Dobrze – zgodziła się. – Koncert i kolacja. – Z małej, wyszywanej koralikami torebki wyjęła swoją wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić.

Odprowadził ją na salę. Usiadła obok Franka, który zrobił serię min, jakby była nastolatką.

– Danielle uprzedziła mnie, że coś szykują dla ciebie z Dominique. – Dobiegł ją konspiracyjny szept. – Nie myślałem jednak, że niespodzianka aż tak... pasuje do ciebie.

Spojrzała na Margo, która zmarszczyła brwi. Przynajmniej ona mnie rozumie, pomyślała.

– Przecież wiesz... – zwróciła się do Franka.

– Wiem. – Franek spojrzał na nią uważnie. – Ale czy ty nie dasz sobie prawa do bycia szczęśliwą? Chociaż przez jakiś czas?

– A potem co? – spytała. – Minie ileś tam lat tego szczęścia i on zauważy, że ja się niewiele zmieniam. Co będzie?

– Danielle też to w końcu zauważy – wtrąciła się Margo. – Musimy być na to przygotowani, ale zgadzam się z Frankiem. Nie możesz ciągle być sama.

– Przecież próbowałam – przypomniała im. – I nie mam tu na myśli... Ludviga.

Jego imię wciąż budziło w niej mieszane uczucia i wymawiała je tylko w rzadkich chwilach, kiedy była pewna, że Ludvig albo nie żyje, albo też uwierzył, że ona umarła wraz z ich dzieckiem. Przez te lata

tylko raz była o krok od próby stworzenia prawdziwego związku. Mężczyzna nazywał się Greg Letterman i był jej kolegą z kliniki. Długo o nią zabiegał, zanim przyjęła zaproszenie na kolację. Okazał się uroczy, miły i łagodny, a przede wszystkim był świetnym naukowcem oraz klinicystą. Tak jak ona pracował z pacjentami, a popołudniami pochylał głowę nad mikroskopem. Razem prowadzili badania nad skutkami niedotlenienia niektórych komórek hipokampa. Lubiła go ogromnie, czuła się przy nim bezpieczna, bo wydawało się jej, że darzy ją jedynie zawodowym szacunkiem i czysto koleżeńską sympatią. Pomagał jej przy prezentacjach naukowych, zwłaszcza przy slajdach, bo kiepsko sobie z nimi radziła. On z kolei korzystał z jej umiejętności jako kierowcy. Sam nie prowadził, a ona wszędzie jeździła swoim mercedesem. Któregoś dnia na jednej z konferencji, zmęczona, w oczekiwaniu na swój pokój, który jeszcze nie był gotowy, skorzystała z zaproszenia Grega, aby poczekała u niego. Wyciągnęła się na wygodnej kanapie, Greg usiadł obok i wziął do ręki jej stopy, żartując na temat ich wielkości. Po chwili zrobił się poważny i wyrzucił z siebie wyznanie miłosne. Usiadła gwałtownie i popatrzyła na niego z niepokojem. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to fakt, że już nic nie będzie tak jak dawniej. Potem pomyślała, że tak bardzo żał jej ich przyjaźni. Zastanowiła się jednak głęboko, czy jej przyjaźń i przywiązanie do Grega nie jest w swojej istocie czymś więcej. Naprawdę próbowała. Poszli do łóżka, podjęła próbę zagospodarowania jego zapchanego książkami mieszkania i odświeżenia mu garderoby. Chodzili do teatru, na spotkania literackie, wystawy i do kina. Po sześciu miesiącach Greg powiedział, że wyjeżdża.

– Widzę, jak się starasz i ile z siebie dajesz – wyznał. – Jesteś cudowna, dobra i zawsze będę cię kochał, ale nie mogę przyjmować dłużej twojego poświęcenia.

Wiedział, że ona go nie kocha. Czuła ulgę, kiedy wyjechał do Genewy i przysyłał kartki na święta. Ucieszyła się jeszcze bardziej, kiedy do kartki dołączył swoje zdjęcie w towarzystwie miłej blondynki z podpisem: „Alma (najlepszy genetyk świata) i ja”. Życzyła mu szczęścia z całego serca, jemu, Almie, najlepszej genetyk świata, i ich synkowi George’owi, wreszcie córeczce Monique.

– Spróbuj jeszcze raz, jeśli chcesz. – Margo ziewnęła dyskretnie. – Przepraszam was, ale jest już po drugiej w nocy. Położę się...

Alicja znów spojrzała uważnie na żonę Franka, a Margo pogłaskała ją uspokajająco po ramieniu.

– To naprawdę nic, kochana. Po prostu jestem zmęczona. Wy oczywiście zostacie.

Franek pospieszył z zapewnieniem, że ma w planie jeszcze tylko małe tango, zupełnie krótkiego walczyka i wraca do swojej ukochanej. Margo spojrzała na niego z miłością, pomachała im dyskretnie, a potem oddaliła się do pokoju. Rodzina Franka zostawała w wynajętym apartamencie w hotelu, w którym odbywało się wesele. Alicja zamierzała wrócić do swojego mieszkania na Bergstrasse.

Kiedy znalazły się z Danielle w Zurychu, początkowo mieszkała na Freudenbergstrasse, ale przeszkadzała jej bliskość ogrodu zoologicznego. Mała Danielle nigdy nie mogła zrozumieć, czemu „kochana mamusia” nie chce z nią chodzić do zwierzątek. Daremnie tłumaczyła, że nie lubi zwierząt w niewoli. Podobny „kłopot” był z Frankiem, który po przekroczeniu bramy Zoo Zurich zaczynał się trząść, brakowało mu powietrza i błagał swoje dzieci oraz Danielle, żeby zawrócili. W końcu do zoo, które uwielbiały zarówno dziewczynki, jak i Gerard, chodziły nianie albo Margo, a Alicja przeniosła się do apartamentu położonego bardzo blisko Uniwersitäts Spital Zurich, w którym pracowała.

– Córeńko. – Podeszła do roześmianej Danielle. – Wrócę do siebie.

Miała nadzieję, że ani córka, ani jej mąż, a przede wszystkim bułgarska rodzina nie zaczną jej przekonywać, żeby pozostała. Szczęśliwie dopiero za kilka dni wyjeżdżali w podróż poślubną do Rzymu, Florencji, a następnie do Wenecji, która to wyprawa była prezentem ślubnym od Franka i Margo. Od niej samej nowożeńcy dostali kamienny dom w Rodopach i trochę pieniędzy na początek.

– Jesteś pewna, mamuś, że nie zostaniesz do rana? Źle się czujesz?

– Nie, kochanie, wszystko w porządku, tylko... – Pogłaskała policzek Danielle tak samo, jak to robiła, kiedy córka była mała. – Tylko za dużo emocji, a widzę, że na parkiecie pozostało samo młode pokolenie. Zostawię was i pójdę odpocząć. Rano będę na śniadaniu, dobrze?

– Raczej bliżej południa – roześmiała się Danielle, a potem przyłgnęła do niej całym ciałem. – Jestem taka szczęśliwa, mamuś. Tak bardzo, bardzo szczęśliwa...

Gdyby Alicja nie postanowiła pojechać do Bułgarii na grób Marijki, żony Magury, i zabrać ze sobą Danielle, jej córka nie kroiłaby weselnego tortu razem z Christem i nie jechała z nim do Bułgarii. Czy żałuję, że pojechałyśmy razem?, zapytała samą siebie po raz tysięczny w drodze do swojego domu. Danielle miała pięć lat, kiedy Alicja postanowiła, że przyszedł czas na wypełnienie obietnicy danej Magurze. Zorganizowała cały wyjazd z duszą na ramieniu, bo bała się, że w tym reżimowym kraju może im grozić jakieś niejasne niebezpieczeństwo. Podróż była trudna. Wylądowały obie na lotnisku w Sofii, w ciemnej i zimnej hali. Czekały bardzo długo na swój bagaż, a Danielle zaczęła popłakiwać, bo bała się, że jej czerwona walizka z kolorowymi obrazkami została skradziona. Alicja też się tego obawiała i zaczynała już przeklinać samą siebie za pomysł zabrania eleganckiego skózanego kufra, a wtedy zauważyły, że obie sztuki bagażu zostały odłożone na bok. Bułgarska celniczka bezceremonialnie otworzyła przy nich najpierw jedną walizkę, potem drugą i wysypała wszystkie ubrania na metalowy blat.

– Co przewozicie? – spytała po bułgarsku.

Liczba mnoga mogła sugerować pytanie do obydwu albo być wyrazem panującego tutaj ustroju, który kazał ludziom zwracać się do siebie per „wy”.

– Tylko rzeczy osobiste – odpowiedziała w tym samym języku. – Przyjechałyśmy do kuzyna, odwiedzić jego grób.

– Gdzie ten grób? – zainteresowała się celniczka.

– W Czepełare, w Rodopach – odrzekła.

– Coś takiego! – Celniczka spojrzała życzliwszym okiem. – Ja jestem z Czepełare. Jak się nazywa twój kuzyn?

– Stefan Karadza – powiedziała. – To bardzo daleki kuzyn – dodała na wypadek, gdyby celniczce przyszło do głowy przepytwać ją z koligacji.

– Ależ oni mieszkają koło nas – ucieszyła się celniczka i zaczęła zbierać sztuki odzieży jej i Danielle i wrzucać je do walizek. – Karadzowcy, znaczy się. Koło pomnika.

– Tak – zgodziła się Alicja, zbierając jednocześnie z celniczką swoje ubrania. – Mag... To znaczy Stefczo mówił mi, że dom rodzinny miał na wzgórzu koło pomnika.

– Po drodze na *tawanczek*. – Gorliwie pokiwała głową celniczka. – Wszystko się zgadza. To mówisz, że ktoś od nich wyjechał do Szwajcarii?

– Niezupełnie, to trochę skomplikowane – zaczęła tłumaczyć. Danielle pociągnęła ją za rękę

i powiedziała, że bardzo chce się jej pić.

– Córki nie nauczyłaś po bułgarsku. – Celniczka spojrzała z dezaprobatą. – Trzeba uczyć dzieci mówić po naszymu. To najpiękniejszy język na świecie. Mamy też najlepszą kuchnię i...

Celniczka sama sobie przerwała. Widocznie zapomniała, co jeszcze mają tu najlepszego na świecie.

– Czy my możemy już odejść? – spytała Alicja, kiedy walizki były na powrót zapakowane.

– A jak zamierzasz dojechać do Czepełare? – spytała kobieta dość nietaktownie.

Alicja miała zamiar pojechać taksówką, ale nie chciała zdradzać swoich zamiarów celniczce. Początkowo myślała, żeby wynająć samochód i korzystając z mapy, dojechać na miejsce. Dowiedziała się jednak, że w Bułgarii nie jest to możliwe. Jazda pociągiem, a potem autobusem dla niej samej nie byłaby wielkim problemem, ale nie chciała narażać na takie trudy Danielle.

– Pociągiem – powiedziała.

– Pociągiem dojedziecie tylko do Płowdiwu, potem trzeba się przesiąść na autobus – pospieszyła z informacją. – Poczekajcie przy wejściu. Zaraz kończę zmianę i was podprowadzę na dworzec. Mój szwagier jeździ na trasie do Smoljana, to was zabierze autobusem z Płowdiwu.

Alicja nie wiedziała, czy cieszyć się z zainteresowania celniczki, czy próbować się wykręcić i na własną rękę szukać transportu do Czepełare. Wreszcie zdecydowała, że zaufa tej obcesowej kobiecie, skoro los zdecydował, żeby je ze sobą zetknąć. Wyszły z Danielle i w restauracji kupiły po dwie butelki napoju schweppes, dla Danielle pomarańczowy, dla Alicji bitter, który okazał się zaskakująco smaczny. Dostrzegła zdumienie w oczach ekspedientki, kiedy wyjęła z portmonetki banknot wartości dwudziestu lewów. Wydano jej całą górę pieniędzy, które prędko schowała. Zanim wyjechała, wymieniła pieniądze, korzystając z rozlicznych znajomości Franka. Miała ze sobą tysiąc lewów i bała się, że nie wystarczy jej na długo, ale Franek nie mógł zgromadzić większej sumy. Na szczęście miała ze sobą również franki szwajcarskie, chociaż uprzedzono ją, że wymiana pieniędzy w takim kraju jak Bułgaria jest nielegalna, więc musi bardzo uważać. Franek zapewnił ją także, że tysiąc lewów to astronomiczna suma i na pewno pozwoli jej na prowadzenie luksusowego życia przez co najmniej dwa miesiące, a nie dwa tygodnie, jak planowała. No cóż, pomyślała, zobaczymy.

Celniczka czekała na nie. Alicja myślała, że kobieta zabierze je do samochodu, ale udały się piechotą na przystanek autobusowy. W kiosku Alicja kupiła dwa bilety, które następnie skasowała w staroświeckim kasowniku, uzyskując na nich kombinację dziurek. Danielle chwyciła skrawki podziurkowanego papieru i zaczęła wpatrywać się w nie z zachwytem, pokazując Alicji, że dziurki układają się w uśmiech. Następnie zaczęła się rozglądać i wskazywać paluszkami szare bloki i odrapane sklepy, twierdząc, że są piękne. Ten zachwyty Bułgarią został jej zresztą do dziś, uśmiechnęła się do siebie Alicja.

Jak przez mgłę pamiętała, że w miejscowości Nareczenski Bani chciała kupić coś do jedzenia dla siebie i Danielle. W Sofii już nie zdążyła. Niestety, był tam tylko jeden mały kiosk z popcornem i druga niewiele większa budka z napojami. Alicja ponownie kupiła dwie butelki napoju, dwa wafle czekoladowe morena i dwa rożki prażonej kukurydzy. Danielle zjadła po kolei produkt po produkcie, nie przestając zachwycać się wszystkim, co widziała przez okno, włączając w to zwisające ze skał kamienie obleczone metalową siatką i wielkie łopianowe liście rosnące na brzegach rwącego, górskiego strumienia.

Do Czepelare dotarli późnym wieczorem.

Celniczka miała rację. Kuzyn dowiózł je na miejsce, wyjął bagaże ze schowka autobusu i wskazał drogę do hotelu, życząc im miłego pobytu. Alicja rozejrzała się z lekkim przerażeniem. Stały z Danielle na ubitej piaskiem drodze porośniętej chwastami. Koło nich płynęła rwąca rzeka. Prąd omywał ostre kamienie. Przed chwilą autobus ważący zapewne kilka ton przejechał przez spróchniały drewniany most bez barierki. Alicja zamknęła oczy z przerażenia tym, co mogło się zdarzyć. Przed nimi była wąska droga, na której przed chwilą zniknął autobus, unosząc za sobą kłęby spalin.

– Jak się czujesz? – spytała córeczkę.

Sama miała ochotę zwymiotować. Podróż serpentynami była gorsza od wędrówki cyrku Empire przez austriackie wioski.

– Tu jest pięknie! Pięknie! – Dziewczynka podskoczyła kilka razy. – Zobacz! W tej rzeczce są rybki! Prawdziwe rybki!

Alicja pochyliła się nieznacznie, ale zamiast dostrzec rybki, zawartość żołądka wyskoczyła z niej wprost na piaszczystą drogę.

– O, mamusiu... – Danielle zgrabnie zeszła stromym zboczem, zanim Alicja zdążyła zaprotestować, i nabrała wody z rzeki w butelkę. – Napij się, mamusiu...

– Przepraszam bardzo. – Alicja zagadnęła przechodzącą kobietę z wielką siatką w ręku, z której wystawała natka pietruszki. – Gdzie możemy znaleźć hotel? Wie pani?

Kobieta pokręciła po bułgarsku głową, co cała reszta świata odebrałaby jako zaprzeczenie, ale Alicja wiedziała, że oznacza to zgodę.

– Chodźcie ze mną – powiedziała.

Poszły. Córeczka w podskokach, ciągnąc swoją walizkę, Alicja ledwie żywa, z trudnością odpowiadająca na pytania kobiety o to, skąd przyjechały i w jakim celu. Wreszcie po kilkunastominutowym kluczeniu po wąskich uliczkach wybrukowanych kocimi łbami stanęły przed niskim kamiennym domem z wąskimi oknami. Kobieta weszła na podwórze, wcześniej gestem nakazując im, żeby poczekały. Danielle zostawiła walizkę pod ogrodzeniem i zaczęła zbierać fioletowe kwiatki rosnące na drodze. W końcu z domu wyszła ich przewodniczka, a za nią pokazała się starsza pani z ciekawością wymalowaną na okrągłej twarzy. Alicja, która już się zorientowała, że w miejscowości nie ma hotelu, miała jedynie nadzieję, że będą mogły tu zostać, a nie, że to jedynie przystanek na ich drodze. Zapytała o możliwość noclegu.

– Po to przecież Tretjakowica was przyprowadziła. – Uśmiechnęła się kobieta. – Chodźcie, chodźcie... Jaka śliczna dziewczynka. – Poglaskała Danielle po głowie, a mała natychmiast wzięła ją za rękę.

Warunki w domu były więcej niż spartańskie, ale tylko na pierwszy rzut oka. Alicja po obejrzeniu niewielkiego pokoju, w którym pod dwiema ścianami stały dwa wąskie łóżka, przypomniała sobie swoją przeszłość i wędrówkę z cyrkiem przez targaną wojną Austrię. W końcu doszła do wniosku, że nie potrzeba im niczego więcej poza skorzystaniem z toalety i chwilą na sen. Między łózkami stała metalowa koza, ale w pokoju było dość zimno.

– Zaraz napalę – powiedziała kobieta, kiedy dostrzegła jej wzrok. – Za chwilę będzie bardzo ciepło, spokojnie. Chodź, mała, babcia pomoże ci się rozebrać. A może ty byś poszła do łazienki, co?

Potem odwróciła się w stronę Alicji i z dumą wyjaśniła, że ma łazienkę i toaletę w domu, nie trzeba za potrzebą wychodzić na podwórze.

– Syn zbudował – powiedziała smutno. – Tylko już nie żyje. Coś z sercem. Umarł, zanim doczekałam się wnuków...

Alicja podziękowała kobiecie i poszła skorzystać z toalety w korytarzu, ku jej przerażeniu bez sedesu, jedynie z dziurą w ziemi. W łazience było przeraźliwie zimno, może dlatego, że podłogi nie pokryto żadnym materiałem. W kącie dostrzegła wąskie drzwi, przez które zajrzała z ciekawością i odkryła tam spory piec, obecnie wygasły, i wielką pokrytą smołą beczkę wiszącą na ścianie, podłączoną do pieca. Z beczki zwieszała się rura. No dalej, skarciła samą siebie. Czy przez te dwadzieścia pięć lat całkiem odzwyczaiłaś się od tego, że brakuje bieżącej wody, a jak już jest, to zimna?

Wróciła do Danielle. Ich pokój jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienił się w ciepłe pomieszczenie. W piecu wesoło buzował ogień. Kobieta miała rację. Minęło zaledwie kilka minut, a temperatura znacznie się podniosła. Danielle była w swoim żywiole. Zupełnie się nie przejęła spartańskimi warunkami i podśpiewując, umyła w umywalce zęby i buzię, zrobiła siusiu do rzeczonyj dziury, pilnując, aby nie zabrudzić sukienki ani butów, a potem przyjęła zaproszenie kobiety na kolację, podczas której Alicja ledwie siedziała, walcząc z utrzymującymi się mdłościami, a córeczce buzia się nie zamykała, opowiadała bez przerwy, jak bardzo się jej tu podoba, aż Alicja nie nadążała z tłumaczeniem, i jadła z apetytem placek nadziewany ryżem, popijając dziwnym brązowym płynem.

Rano Alicja wstała w znacznie lepszej formie, ubrała się i poszła z Danielle do kuchni, gdzie już krzątała się ich gospodyni. Alicja chciała jej zapłacić za gościnę i spytać, jak znaleźć dom Magury, ale los chciał inaczej. W kuchni siedział mały chłopiec i kończył jeść wielką pajdę chleba posypaną, o ile Alicja mogła się zorientować, czerwonym pieprzem i solą, wydzielającą intensywny zapach oliwy. Na ich widok zerwał się z ławy.

– Idziecie do nas! – krzyknął, jakby mu ktoś przekazał, że będzie miał do czynienia z osobą dotkniętą głuchotą.

– Niech zjedzą, Chitko – uspokoiła go gospodyni i wręczyła Danielle identyczną pajdę chleba.

– Ale... – zaprotestowała nieśmiało Alicja, której żołądek nie zniósłby oliwy na czczo. Dostała zatem miseczkę mleka, które wyglądało na zsiadłe, ale smakowało zupełnie inaczej. – Kto ty jesteś?

– No, mały Christo jestem, a kim bym miał być? – mruknął.

Danielle, chociaż nie mówiła ani słowa po bułgarsku, usiadła obok chłopca i częstowała go serią uśmiechów, na które on odpowiadał z zadowoleniem, od czasu do czasu rumieniąc się po czubki uszu.

– Zaprowadzi was gdzie trzeba. – Uśmiechnęła się do nich kobieta.

Danielle uporała się z pajdą, podeszła do chłopca i wzięła go za rękę, a ten biorąc to za oczywiste przyzwolenie, szybkim krokiem wyprowadził ją z domu, a potem pognął w górę ulicy. Alicja chciała zapłacić, ale kobieta powiedziała łagodnie, że załatwią to później, będzie mnóstwo czasu, dodała, teraz idźcie, bo czekają. Ledwo nadążała za dziećmi. Chłopiec co chwila mijał na ulicy jakichś ludzi, machał rękoma i wyjaśniał, czy pytali o to, czy nie:

– Tak, to wnuczka naszego pradziadka. Ze Szwejzarii. No tak. Przyjechała. Mama mi ją kazała przyprowadzić. No tak, idziemy do nas, a gdzie mamy iść.

Alicja uśmiechała się miło, bo co miała robić? Mały Christo był bardzo szybki, a droga biegła pod górę. Wreszcie stanęli przed sześciennym białym domem zbudowanym z wielkich kamieni. Prowadziły do niego kamienne schodki, które prawdopodobnie powstały co najmniej pięćdziesiąt lat wcześniej, zasłonięte równie starą drewnianą furtką. Na furtce wisiał nekrolog srogo wyglądającego mężczyzny i młodej kobiety, ubranych w stroje narodowe. Nie zdążyła przeczytać ich imion i nazwisk, kiedy mały rozdarł się głośno:

– Mamo! Jestem już! Przyprowadziłem!

Na próg wyszła szczupła kobieta ubrana w ciemną suknię i czarny sweter robiony na drutach. Czarne włosy miała związane w gruby warkocz. Na ich widok klasnęła w dłonie.

– Proszę, proszę – otworzyła furtkę. – Christo, czemu się tak drzesz zamiast wprowadzić gości?

Onemiała Alicja weszła po wąskich kamiennych schodach na piętro, zerkając na córeczkę w obawie, że ta skręci nogę na nierównych stopniach. Danielle trzymała jednak za rękę Christa, a z twarzyczki nie schodził jej uśmiech zadowolenia.

Tak poznały rodzinę Magury, którego z trudem nauczyła się nazywać Stefanem. Cała jej przygotowana opowieść zawierająca tyle szczegółów, ile mogła przekazać bez zdradzania, że to ona osobiście podróżowała z cyrkiem i Stefan uratował jej życie, nie była potrzebna. Ani jej dbałość o zacieranie śladów, szczegółów, które mogły zdradzić jej prawdziwy wiek i znajomość z Magurą. Nikt w tym miłym, skromnym domu nie podejrzewał jej o to, że chce coś ukryć. Zresztą Katja, bo tak się nazywała matka Christa, cioteczna wnuczka Magury, najpierw nakarmiła ją i Danielle naleśnikami, które upiekła na kamiennej płycie, a potem dopiero zapytała o ich opowieść. Alicja uświadomiła sobie wtedy, że już od lat nie snuła żadnej opowieści, nie przedstawiała niczyjej historii. Teraz opowiadanie szło jej opornie, zapomniała niektórych słów. Katja jednak zdawała się tego nie zauważać. Pochwaliła jej znajomość bułgarskiego, dziękowała wielokrotnie, że Alicja zechciała przyjechać i pokłonić się na grobie Stefana.

– Obiecałam to Mag... Stefanowi – powiedziała, karcąc się za kolejną pomyłkę. – Że zapalę świecę na grobie Marijki.

– Oboje leżą w jednym grobie – powiedziała Katja.

Alicja, która jak nikt inny miała pewność co do miejsca, w którym pochowała Magurę, popatrzyła na kobietę zdumiona.

– Może zaszła pomyłka – powiedziała. – Ja przecież nie zapytałam, skąd pani wie, że przyjechałyśmy.

– Nie ma żadnej pomyłki. – Katja pogłaskała po głowie Danielle, a następnie oblała jej naleśnik czymś, co wyglądało jak miód, tyle że pachniało sosną i miało intensywny czerwony kolor. – Georgi nas tu uprzedził, że będziesz. Powiedział Atanasowi, że przyjechałyście wczoraj. Szkoda, że Tretjakowica od razu was do nas nie przyprowadziła. Jak ją spotkam, to jej powiem.. A zresztą my czekamy na was od lat. Na twoją matkę, a potem na ciebie.

Z dużego czajnika naląła do dwóch szklanek parującego napoju i widząc, że Alicja nadal nie rozumie, dodała:

– Pijcie, to bardzo dobre. Górską, leśną herbata z naszych najlepszych ziół. A co do Stefana. To on do nas przychodził po swojej śmierci. Umarł w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku gdzieś w lesie w Austrii, prawda? Tak nam mówił. We śnie, chociaż moja matka z nim rozmawiała, zanim minęło czterdzieści dni i jego dusza tułała się po ziemskim padole. Dokładnie jej wytłumaczył, gdzie leży. Nasz

pop ma rodzinę na Zachodzie – ściszyła głos. – I tak jakoś zagadał, zorganizował, że przywieźliśmy ziemię z grobu Stefcza. I pochowaliśmy obok Marijki.

– Aha – powiedziała słabo Alicja.

– Stefczo potem mówił mamie, że jest spokojny i szczęśliwy. I cały czas mówił, że pewnego dnia twoja matka nas odwiedzi albo ty przyjedziesz. Czekaliśmy. I jeszcze jedno mówił. – Katja uśmiechnęła się szeroko. Miała złotą czwórkę po lewej stronie. – Że tak czy inaczej tu zostaniesz.

Magura miał rację. Zostały w Czepełare. Były na grobie Magury i jego Marijki. Alicja zupełnie nie wiedziała, czy wierzyć w to, co usłyszała, czy nie. Mogła oczywiście uznać całą tę opowieść za wierutne bzdury i zabobony, ale nie mogła zaprzeczyć, że nikt inny prócz niej, Franka i Carlosa z Ivy nie wiedzieli, gdzie zginął Magura. I raczej nikt z nich nie mógł zawiadomić jego rodziny o miejscu pochówku ani uprzedzać, że po latach w Rodopach pojawi się razem z małą córeczką, a potem będzie pojawiała się co rok.

Danielle zakochała się w tym surowym miejscu, rodzinie, która wydawała się nijak nie pasować do nich ani mentalnie, ani pod żadnym innym względem. Natychmiast zaczęła się uczyć bułgarskiego, biegać z Christem po górach i słuchać opowieści, jakie snuły Katja i jej koleżanki oraz matka i ojciec Katji, ich rodzeństwo, liczni kuzyni i kuzyni kuzynów. Poznały ich wszystkich. Magura, musiała przyznać, miał całkiem sporą rodzinę jak na osieroconego przez Turków, chociaż chwilami wydawało się jej, że to pokrewieństwo jest wymyślane na siłę tylko po to, aby je poznać, zapytać o daleki świat, a przede wszystkim, żeby wyrazić uszanowanie Magurze, którego walka z Turkami przeszła do legendy.

Danielle już w drodze powrotnej wymogła na Alicji obietnicę, że wróca, kiedy to tylko będzie możliwe. Przyjechały zatem w następnym roku i w kolejnym, a po pięciu latach spędzania letnich oraz zimowych wakacji w Rodopach Alicja poddała się i kupiła w Czepełare dom, bo nie chciała robić Katji kłopotu, chociaż rodzina Magury zawsze serdecznie je witała i gościła, jak umiała najlepiej. Nie było to łatwe, ale dało się załatwić przy pomocy lokalnych koneksji. Była przecież kuzynką Stefana Karadża, miejscowego wojownika o wolność, w końcu w naturalny sposób zaczęła uchodzić za jego wnuczkę. Z czasem przestała nawet zaprzeczać. Dziecięce przywiązanie Danielle i Christa przetrwało lata dorastania i rozłąki. Alicja zastanawiała się, jak tych dwoje przebrnęło przez barierę językową, statusową oraz mentalną, ale mogła jedynie podziwiać, jak pokonywali wszelkie trudności. Czy spodziewała się tamtego wiosennego wieczoru, kiedy stała na przystanku autobusowym w Czepełare pokonana przez chorobę lokomocyjną, że cała historia zakończy się ślubem w Widder Hotel, najpiękniejszym hotelu w Zurychu? Może i mogła, ale wciąż nie była przygotowana na to, że Danielle zechce wyjechać z bogatej Szwajcarii na zawsze i żyć w biednej Bułgarii. Cóż jednak mogła zrobić?

Zapaliła światło w swoim apartamencie. Wraz z jasnością zalało ją poczucie bezpieczeństwa. Było to jednak chwilowe wrażenie, gdyż do jej nozdrzy dotarł nagle specyficzny zapach. Zadrzała mimowolnie. Bułgarski olejek różany. Zsunęła szpilki z nóg i poszła do sypialni. Zdjęła sukienkę i starannie odwiesiła ją na wieszak. Potem poszła do kuchni i nalała sobie szklanek wody. Zamierzała wziąć szybki prysznic i położyć się do łóżka, ale najpierw musiała znaleźć źródło zapachu. Kątem oka dostrzegła w korytarzu prowadzącym do salonu bukiet róż stojący na niewielkim stoliku w stylu empire. Podeszła na miękkich nogach. Czerwone róże odbijały się w dużym lustrze z połączoną ramą. Obok stało niewielkie pudełko starannie przewiązane wstążką. To na pewno kwiaty dla Danielle, tylko ktoś przysłał je do mnie przez

pomyłkę, próbowała się uspokoić, ale fala paniki zatykała jej gardło. Róże wydzielały intensywną woń. Uniosła wieczko pudełka. W środku była delikatna złota bransoletka. Wzięła ją do ręki. Płaska ósemka – znak nieskończoności. Ugięły się pod nią kolana. Między różami znalazła bilecik, a na nich skreślone znajomą ręką kilka słów:

Moja miłość do Ciebie będzie trwała wiecznie.



ROZDZIAŁ XII

Franek targał posiwiąłą czuprynę.

– Nie masz dowodu, że to on – powiedział.

Po znalezieniu bilecika od Ludviga i po przeprowadzeniu śledztwa trwającego niemalże cały ranek zatelefonowała do hotelu i ściągnęła do siebie Franka.

– Znam jego charakter pisma. To on. Znalazł mnie.

– Przesłał róże i bransoletkę. Minęło tyle lat. – Franek się zamyślił.

Krążyła zdenerwowana po salonie.

– Nieważne, ile lat minęło. Nie uwierzył w moją śmierć. Nie wiem, jak zdobył dowód. Tylko Catie wiedziała. Mam nadzieję, że nie znalazł jej i nie zrobił jej krzywdy.

– Skąd mógł się dowiedzieć? Po tylu latach? Jako Alicja Księgopolska jesteś zupełnie inną osobą. Nawet gdyby odnalazł twój trop w Polsce...

Miała gonitwę myśli.

– Ja... – przyznała się. – Ja... Zrobiłam bardzo głupią rzecz.

Nalała sobie wody z karafki i wypła duszkiem. Franek patrzył na nią pytająco.

– Ja... Z okazji ślubu Danielle... Wysłałam wiadomość do Catie. Nie odzywałam się dwadzieścia trzy lata, przysięgam, ale chciałam, żeby wiedziała, że jesteśmy całe i zdrowe...

Franek wpatrywał się w nią intensywnie.

– Naprawdę zrobiłaś coś tak głupiego? – spytał z niedowierzaniem.

– Nie wysłałam jej z Zurychu. Została nadana we Florencji, z fałszywego adresu – tłumaczyła się. – W środku było zdjęcie Danielle i fałszywy list do Catie, taki, żeby tylko ona zrozumiała. A jeśli z jakiegoś powodu już by nie żyła, to nikt inny nie mógł...

– Boże... Jak mogłaś..? – przerwał jej Franek.

– Catie na pewno zniszczyła list zaraz po otrzymaniu. Nie odpisałaby ani... nic innego. Nie napisałam, że jesteśmy w Zurychu, za kogo mnie masz? – mówiła zdławionym głosem. – Na zdjęciu nie było żadnych, ale to żadnych śladów, po których można by dojść, gdzie zostało zrobione. Zresztą nawet jeśli, to zrobiłam je w Berlinie, kiedy pojechałyśmy tam obie rok temu... Boże, Boże... Żeby tylko Danielle była bezpieczna.

Franek milczał. Najwyraźniej miał pustkę w głowie.

– Kto nadał ten list? – spytał w końcu.

– Ja sama, podczas pobytu na konferencji we Florencji. Pojechałam tam...

– Wiem, kiedy pojechałaś – przerwał jej. – Nie wiem tylko, co mam robić – wyznał po dłuższej chwili. – Odnaleźć Catie i spytać o to czy czekać? Tylko na co? Pytałaś konsjerżkę, kto przyniósł kwiaty?

– Posłaniec – odpowiedziała szybko. – Z hotelu Baur au Lac. Rozmawiałam z nim. Kwiaty pochodzą

z kwiaciarni przy hotelu. Zamówiono je telefonicznie. Chłopak miał je odebrać bezpośrednio od florystki.

– A to? – Wskazał brodą bransoletkę.

– Ktoś dostarczył do kwiaciarni, podobnie jak bilecik. Florystka twierdzi, że to był boy hotelowy. Dostał takie zlecenie przez telefon. Pudełko i bilecik wraz z instrukcją napisaną na maszynie stały w pokoju hotelowym numer trzysta trzynaście, wynajętym na nazwisko Andre Guillerd. Obok leżały pieniądze „z podziękowaniem za usługę”. To była duża kwota, więc boy nie zadawał pytań – wyrzucała z siebie wiadomości jednym tchem.

– Kto dzwonił?

– Jakiś mężczyzna. Mówił po niemiecku bez akcentu.

– Gdzie została kupiona bransoletka?

– We Florencji – powiedziała z wysiłkiem. – Podobnie jak pudełko. Rozmawiałam ze złotnikiem. Pamięta to zamówienie. Złożono je przez telefon, a potem w banku znalazła się odpowiednia kwota. Złotnik zrobił, co mu kazano, ściśle według instrukcji. Potem ktoś od niego zaniósł to wszystko do hotelu i zostawił w recepcji na nazwisko, którego starszy pan nie mógł sobie przypomnieć, ale raczej nie był to ani Ludvig Bernstorff, ani Andre Guillerd.

– Czy to nazwisko coś ci mówi?

Pokręciła przecząco głową.

– A ile jest róż? – spytał.

– Dwadzieścia trzy, czyli tyle, ile lat minęło od czasu naszego ostatniego spotkania. Może to przypadek, chociaż ja w takie przypadki nie wierzę. I jeszcze jedno. To róże tutejsze, ale skropione bułgarskim olejkim różanym.

– To róże skrapia się zapachem różanym? – zdumiał się Franek.

– Tak, Franku, bo te hodowlane nie pachną albo pachną bardzo słabo. To po pierwsze. Po drugie, to nasza szwajcarska róża, a olejek pochodzi z róży bułgarskiej. To inny gatunek. Uwielbiałam ten olejek, pamiętasz? Daniel mi go zawsze kupował... Florystce powiedziano, że jest to bardzo ważne.

– Czyli to jednak on... – westchnął Franek. – Powiedz mi, co powinienem zrobić? Skoro sama nawarzyłaś tego piwa, to pewnie biegając cały ranek po Zurychu, obmyśliłaś plan. Notabene, najprościej byłoby, żeby cię śledził, a wtedy ja bym go dopadł.

Alicja westchnęła.

– Nie ma go w Zurychu – powiedziała. – Jest na to za sprytny. Wie, że znalazłabym go bez trudu. I zabiła.

– Może pójść tropem pana Andre Jakiegoś tam?

– Taki gość nawet nie pojawił się w hotelu. Przejrzałam listę innych gości. Nie patrz tak na mnie – mruknęła. – Udałam omdlenie i skopiowałam ją. Proszę. – Wręczyła mu kartę.

– Rozumiem, że żadne nazwisko nic ci nie mówi. – Franek wpatrzył się w podany mu spis.

Pokręciła przecząco głową.

– Większość to Szwajcarzy, a w rubryce „przyczyna zameldowania” podali „interesy”. Poza tym

dwóch Niemców, dwóch Austriaków, jeden Włoch, jeden Francuz z Clermont-Ferrand... Tylko Francuz podał „sprawy rodzinne”. Nie miałam czasu sprawdzić, ale coś mi mówi, że to fałszywy trop.

– Ja to sprawdzę. – Franek wstał. – Spróbuję sprawdzić wszystkich innych gości. Spróbuję skontaktować się z Catie. To potrwa, więc bądź cierpliwa. Idź do Danielle na śniadanie i się uspokój.

– Może oni nie powinni jechać w podróż poślubną? – Złapała go za rękę i popatrzyła mu głęboko w oczy.

– A co im powiesz? Im mniej wiedzą, tym bardziej są bezpieczni. Nawet taka kanalia jak Ludvig nie skrzywdziłby własnej córki. Z tego listu wynika, że on ma... hmm... żal jedynie do ciebie.

– Obyś miał rację...

– Miej oczy i uszy szeroko otwarte – dodał jeszcze. – Może on tu jest i chce dopaść cię w ciemnym zaułku. Uważaj, gdzie chodzisz, spróbuj się zorientować, czy nikt cię nie śledzi...

Po wyjściu Franka obeszła cały dom, sprawdziła wszystkie miejsca, w których mógł się ukryć potencjalny agresor, dopiero potem usiadła na łóżku, ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała.



Kolejne dni były dla Alicji niczym sen. Przed Danielle udawała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale odetchnęła z ulgą, kiedy córka wraz z zięciem wyjechali w podróż poślubną, a wszyscy bułgarscy krewni odlecieli samolotem do Sofii. Istniało wprawdzie ryzyko, że Ludvig podąży ich śladem, ale zakładała, że ma on do wyrównania rachunki z nią, a córkę i jej rodzinę pozostawi w spokoju. Czekając na to, co ustali Franek, sama próbowała znaleźć jakiś trop. Była zła na siebie, że lekkomyślnie napisała do Catie. Minęło jednak tyle lat. Czy to możliwe, żeby Ludvig wciąż czekał na wiadomość o niej? Podejrzewał, że jej śmierć to mistyfikacja i zadał sobie tyle trudu, żeby przez ponad dwadzieścia lat obserwować dom, w którym mieszkała w Paryżu, i jej dawnych przyjaciół? Musiało go to zrujnować, chyba że dorobił się na wojnie albo w jakiś sposób przejął majątek rodzinny. Jego nazwiska nie było na żadnym z procesów, a śledziła je wszystkie. Podejrzewała, że przedostał się do Argentyny, Kolumbii albo Brazylii i tam wiedzie dostatnie i spokojne życie w sąsiedztwie innych sobie podobnych zbrodniarzy wojennych. Jeśli tak było, to co skłoniło go do opuszczenia bezpiecznej przystani? Jeśli nie, skąd w takim razie czerpał środki i siłę, aby jej szukać?

Franek wrócił następnego dnia, ale na progu położył palec na ustach. Zrozumiała. Podeszła do aparatu telefonicznego, przeklinając swój brak czujności. Rozkręciła słuchawkę i wyjęła małe urządzenie podsłuchowe. Chciała je wyrzucić precz, ale Franek dał jej znak, żeby włożyła je z powrotem. Zrobiła, o co prosił. Potem wymienili kilkanaście niezobowiązujących zdań na temat tego, że pogoda jak na jesień jest wyjątkowo łaskawa. Wreszcie Franek „pożegnał się”, a wtedy przeszli do łazienki. Alicja odkręciła wodę i usiadła na wannie.

– Mam nadzieję, że to tylko pluskwa telefoniczna – mruknęła.

– To jest pluskwa telefoniczna. – potwierdził. – Co on wie?

– Niewiele. Z tego telefonu dzwoniłam wyłącznie do konsjerżki, żeby spytać, kto przyniósł kwiaty, a potem do kwiaciarni. Do hotelu poszłam sama, wychodząc z założenia, że przez telefon nic mi nie powiedzą.

– Dobrze. – Pokiwał głową. – Ten Francuz z listy jest czysty. Naprawdę pochodzi z Clermont-Ferrand.

Tu mieszka jego syn i właśnie urodziło mu się dziecko. Przyjechał zobaczyć wnuka. Pozostali także wydają się istnieć naprawdę i nie mieć nic wspólnego z twoją sprawą.

Chwilę przetrawiała usłyszane informacje.

– Skontaktowałem się z ludźmi... wiesz którymi... Czułem się dosyć śmiesznie, tłumacząc im co i jak, ale oni bynajmniej nie byli rozbawieni. Masz status agentki, której grozi niebezpieczeństwo, i oni są zdecydowani ciebie chronić.

– Co z Catie? – spytała Alicja.

– Catie zmarła dwa lata temu na zapalenie płuc. Jej mąż się przeprowadził. Mieszka tam teraz ktoś inny. Nowi lokatorzy odnoszą korespondencję zaadresowaną do Catie bądź jej rodziny na pocztę. Od czasu do czasu mąż Catie albo któreś z jej dzieci odbiera listy. Rozmawiałem z nimi. Pamiętają list z Florencji. Razem z innymi odnieśli go na pocztę. Nie otwierali.

– Tam pewnie został skontrolowany przez kogoś, kto regularnie przeglądał tę korespondencję... – myślała głośno.

– Ten ktoś zrozumiał, że to wiadomość od ciebie, i prawdopodobnie pojechał do Florencji. Miał zapewne nadzieję, że nikomu nie zaufałaś i wysłałaś wiadomość sama.

– Szukał mnie wśród osób, które były w mieście w tym czasie. Data na znaczku pocztowym... Ale przecież nie mógł mnie znaleźć. Mam inne nazwisko. Jestem obywatelką szwajcarską...

– Z tego, co ustaliłem, ktoś pytał o gości kongresu medycznego. Ludvig nie był głupi i teraz też pewnie nie jest. Wiedział, że w nowym życiu wybierzesz swoje wcześniejsze zajęcie. Dowiedział się, jakie zdarzenia miały miejsce w tym czasie we Florencji. Pasowało tylko to. Znalazł cię w hotelu...

– To nie dzieje się naprawdę... – Obejmowała dłońmi ramiona. – Jesteś pewien?

– Miał twoje zdjęcie. Recepcjonista to zapamiętał. Po pierwsze dlatego, że było bardzo stare i zniszczone, a po drugie dlatego, że tak wzruszająco opowiadał o ukochanej, z którą rozdzieliła go wojna.

– Jak go przekonał, aby dał mu moje imię, nazwisko i adres? – spytała słabo.

Franek nie odpowiedział. Tak, to było idiotyczne pytanie. Sama by to załatwiła z łatwością. W hotelu zameldowała się pod swoim nazwiskiem i podała własny adres. Szczyt głupoty.

– Znalezienie mnie tutaj było już bardzo łatwe... Tylko czemu nie pokazał się osobiście?

– To akurat proste. On figuruje na liście poszukiwanych zbrodniarzy wojennych. Mogłabyś doprowadzić do jego aresztowania.

– Czyli te kwiaty i bransoletka mają mnie jedynie zdenerwować? Co on chce osiągnąć?

Franek spuścił głowę. Serce zabiło jej bardzo mocno.

– Mów, proszę...

– Nasi ludzie próbowali skontaktować się z Caazem...

Boże, Caaz, pomyślała. Uratował mi życie, a ja właściwie zapomniałam o nim. Ale taka była cena za jej rzekomą śmierć. Caaz pojechał do Polski i tam pracował dla Amerykanów. Przynajmniej z tego, co było jej wiadome. Pozornie powrócił do ojczyzny ze strony matki, osiedlił się w Warszawie, ożenił, wiódł zwyczajne życie. To była jego przykrywka. Na co dzień woźny w Ministerstwie Spraw

Wewnętrznych, mający dostęp do najbardziej tajnych dokumentów. Z narażeniem życia wysyłał je na Zachód. Ona żyła spokojnie w Szwajcarii.

– Caaz wpadł – powiedział krótko Franek. – Tak się dziwnie składa, że miesiąc temu. Na podstawie donosu. Zorganizowano prowokację i złapano go na gorącym uczynku. Natychmiast „zniknął”. Jego żona została o tym poinformowana i zwolniona z pracy. Była kierowniczką w jakimś zakładzie. Córkę wyrzucono z uniwersytetu.

– Kto na niego doniósł? – spytała ostrożnie. Informacje, które przekazał jej Franek, były szokujące.

– Oficjalnie...

– Nie pytam o oficjalne wiadomości – przerwała mu.

– Inny szpieg, który go od niedawna namierzył i obserwował. Szpieg KGB o pseudonimie Laszlo.

– Ludvig nie zna rosyjskiego – broniła się przed oczywistą prawdą.

– Rzeczywiście... – Franek się skrzywił. – Dobre chęci i węgierski, a także doświadczenia wojenne na pewno wystarczyły. Od początku zimnej wojny Ludvig musiał oddać KGB niezwykle cenne usługi. Jestem przekonany, że nauczył się rosyjskiego. Co to dla niego...

– Boże... – tylko tyle zdołała wykrztusić. – Kiedy zorientował się, że ja żyję, wtedy namierzył Caaza. Tylko jak? Czy Caaz jeszcze żyje? Czy jest jakiś sposób, żeby mu pomóc?

– Nie wiem – westchnął Franek. – Ale powiem ci jedno. Szpiegów nie likwiduje się tak łatwo. Często stanowią kartę przetargową. I to jest nasza szansa. Nie wyobrażaj sobie jednak, że ktokolwiek będzie Caaza szukał i odbijał. Numer z udawaną śmiercią już nie przejdzie.

– Nie likwiduje, mówisz. A Eli Cohen? Czy nie został powieszony publicznie na placu Marjeh w Damaszku?

– To było co innego – mruknął Franek, ale patrzył w bok. – Trzeba wierzyć, że Caaz żyje i został porwany ze względu na ciebie.

Wanna wypełniła się po brzegi. Alicja włożyła rękę i wyciągnęła kurek. Woda zaczęła spływać do kanalizacji. Kobieta spojrzała pytająco.

– Musisz czekać. – Franek nie patrzył na nią. – Jeśli rzeczywiście wszystkie elementy układanki dopasowałem właściwie, to on się do ciebie odezwie i powie, czego chce w zamian za uwolnienie Caaza.

– Sądziłam, że chce mnie znaleźć i zamordować.

Franek pokręcił przecząco głową.

– Gdyby tak było, już by to zrobił.



Wzięła w szpitalu miesiąc bezpłatnego urlopu. Szybko załatwiła wszelkie formalności, motywując nagłą decyzję zmęczeniem związanym ze ślubem córki oraz koniecznością wyjazdu, aby pomóc jej urządzić się za granicą.

Następnego dnia wieczorem zadzwonił telefon. Dzwonek wdarł się w ciszę mieszkania niczym młot pneumatyczny.

– Halo – powiedziała spokojnym głosem.

– To ja. – Usłyszała.

Nie był to głos Ludviga i Alicja w pierwszej chwili poczuła ulgę, w drugiej zaś – konsternację.

– To ja... – powtórzył mężczyzna. – Vincent. Byliśmy na dziś umówieni. Chciałem jedynie potwierdzić...

Milczała. Wydarzenia ostatnich dni wymazały z jej pamięci Vincenta Lumiere.

– Oczywiście – powiedziała. – Tyle że ja... Vincencie, wybacz, ale...

Teraz po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

– No tak – powiedział po dłuższej chwili. – To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe...

Zrobiło się jej wstyd.

– Źle mnie zrozumiałeś – powiedziała w końcu. – Byłam odrobinę niezdrowa, ale już... już jest dobrze.

– To znaczy, że pójdziesz ze mną na kolację? – Usłyszała wyraźną radość w jego głosie.

– Na koncert i kolację – sprostowała.

To nie była wina Vincenta Lumiere'a, że nie mogła się skupić i bez przerwy analizowała, czy i kiedy Ludvig przekaze jej dalsze instrukcje. To nie była wina Vincenta, że znalazł się w niewłaściwym czasie i miejscu. Że chciał iść na kolację z osobą, która tkwiąc w starej pajęczynie, została właśnie opleciona nowymi, znacznie mocniejszymi nitkami.

Słuchali Mozarta i Alicja musiała przyznać, że koncert sprawił jej wielką przyjemność. Cudowna muzyka zdjęła z jej barków nieznośne napięcie i zagłuszyła głos Ludviga, który mówił jej, że nigdy przed nim nie ucieknie.

– Byłem największym szczęściarzem na sali – powiedział Vincent, kiedy jedli kolację w eleganckiej restauracji w centrum miasta. W tle grał znakomity zespół jazzowy.

– Dlaczego? – spytała. – Pewnie powiesz mi zaraz coś miłego.

– Pewnie słyszysz takie rzeczy kilka razy dziennie. Powiem to jednak jeszcze raz: byłaś najpiękniejszą kobietą na sali. A teraz jesteś najpiękniejszą kobietą w tej restauracji. Kiedy wyjdziemy, będziesz najpiękniejszą kobietą w całym Zurychu...

Na samym końcu została najpiękniejszą kobietą w jego ramionach i musiała przyznać, że to były dobre ramiona, silne i męskie. Poddała się urokowi chwili. Nie zapomniała, na co czeka i co być może stanie się jej udziałem, ale pozwoliła sobie na odrobinę szczęścia, nie analizując, czy Vincent jest tym, za kogo się podaje, czy nie ma podwójnej bądź potrójnej tożsamości, czy nie zachowuje się podejrzanie, czy nie wypowie słów, które będą sobie w jakiś sposób przeczyły. Nie byłaby jednak sobą, gdyby pomiędzy telefonem Vincenta a wieczorem, podczas którego zbliżyli się do siebie, nie sprawdziła go, a kiedy nie znalazła niczego podejrzanego, poczuła ulgę, bo Vincent Lumiere nie mógł wprawdzie zastąpić Daniela, ale mógł być jego następcą. Jeśli sprawy ułożą się pomyślnie. Jeśli los tak zechce.

Rano ulotny zapach róż dochodzący z salonu przerwał ich sielankę. Tym razem Ludvig zostawił jedynie bilecik. Nie fatygował się kupowaniem kwiatów ani biżuterii. Na silnie skropionym olejkiem różanym bileciku, który ktoś wsunął pod drzwiami, przeczytała:

Teraz pozostawało jedynie przekonanie Vincenta, aby dał jej trochę czasu, nie mówiąc, na co go tak naprawdę potrzebuje. Jeśli jednak był mężczyzną, który odegra w jej życiu ważną rolę, powinien na nią poczekać.



Stolik zarezerwowano na jej prawdziwe nazwisko. Przyszła przed siódmą ubrana elegancko, ale bardzo kobieco. Czekając na kogoś, kto się pojawi, zamówiła szklanek wody perrier. Kelner spytał, czy ma ochotę na drinka. Odmówiła. Nie zamierzała pić. Alkohol, nawet w niewielkich ilościach, przytębiał ostrość jej myśli. Kwadrans po siódmej zaczęła się niepokoić i rozważać różne scenariusze. Może chodziło o to, żeby wywabić ją z domu, a może Ludvig przygotował dla niej jakieś specjalne zadanie, a może ten, którego wynajął, po prostu się spóźnił. Skinęła na kelnera.

– Czy ktoś zostawił dla mnie wiadomość? – spytała.

Kelner pokręcił przecząco głową.

– A czy dla kogokolwiek z dzisiejszych gości pozostawiono jakąś wiadomość?

– Ja nie mogę... – sumitował się kelner.

– Proszę sprawdzić, dobrze?

– Dla Aliny Charme? – spytała, kiedy wrócił.

Zaskoczony uniósł nieco brwi.

– Jest dla pani Aliny Charme przesyłka pozostawiona u nas w recepcji – powiedział wolno. – Z adnotacją „do rąk własnych”, więc jeśli pani...

Zapłaciła za wodę i podeszła do recepcji. Chwilę dyskutowała z miłą dziewczyną. Dopiero pięćdziesiąt franków stopiło jej opory, aby oddać przesyłkę osobie o zupełnie innym nazwisku niż to widniejące na kopercie. Otworzyła ją szybko. W środku był bilet lotniczy w jedną stronę na jutrzejsze popołudnie na nazwisko Alicja Księgopolska. Miała polecieć do Warszawy.



– To wielkie ryzyko. – Franek szarpał swoje włosy. Ostatnio weszło mu to ponownie w nawyk. – Mamy za mało czasu...

– A jest jakieś wyjście? – spytała. – Mogę udać, że nie dostałam tego biletu, i czekać, aż on mnie sprowokuje do działania, atakując Danielle albo ciebie? Co mówią o tym nasi ludzie?

Margo weszła do pokoju z tacą, na której stał czajniczek z herbatą oraz talerzyk z ciastkami. Postawiła to wszystko na niskiej dębowej ławie i się wycofała. Przechodząc obok Alicji, położyła na chwilę rękę na jej ramieniu i uścisnęła je delikatnie. Alicja spojrzała na nią z wdzięcznością. Kochana Margo. Była dla niej jak siostra, której nigdy nie miała.

– Zgadzą się, że musisz tam pojechać. Szpieg KGB o pseudonimie Laszlo ujawnił w ostatnim czasie pięciu naszych agentów. Wszyscy zginęli, torturowani wcześniej przez Rosjan. Jest bardzo sprytny, bo niewiele o nim wiadomo. Szczerze mówiąc, kiedy Laszlo nawiązał kontakt z tobą, byli bardzo wdzięczni. To pierwsza od lat możliwość namierzenia go i zlikwidowania.

– A więc przywrócono mnie do służby, tak? – Zaczynała boleć ją głowa.

– Na to wygląda. Jeśli się zgodzisz...

– Już mówiłam, że nie widzę innego wyjścia. On mnie odnalazł i chce konfrontacji.

Franek zjadł dwa ciastka, jedno po drugim. Potem zerwał się z fotela i podszedł do okna. Alicja także stanęła obok niego. Zurych był spowity łagodnym, jesiennym słońcem. Jego promienie odbijały się w szybach okiennych. Przypomniła się jej Wiedeń i obserwacja, że im biedniejsi wiedeńczycy, tym szybciej się poruszali. No cóż, albo świat się zmienił, albo Zurych nie podlegał tym prawom. Tutaj szybkość poruszania się zależała od wieku. Najszybciej szli najstarsi. Młodzi ludzie, studenci poruszali się wolno, grupkami, śmiejąc się i podskakując niczym dzieci na placach zabaw. Czy wróci z tej misji żywa?

– Dostaniesz nasz ogon. Pojedziesz i będziesz czekała, aż on skontaktuje się z tobą. Zrobisz wszystko, żeby Ludvig uwierzył, że przyjechałaś po Caaza. Nasi tymczasem spróbują go namierzyć i zlikwidować.

– Myślałam, że spróbują namierzyć Caaza i odbić go. – Patrzyła błagalnie na Franka. – A ja tymczasem będę zwodziła Ludviga.

– To niemożliwe – powiedział. – Dobrze o tym wiesz i nie próbuj tego robić. Zresztą nie będziesz miała żadnych możliwości. Jedynie Ludvig ma w to uwierzyć. Tylko on...

Spojrzała pytająco.

– Przez większość czasu będziesz zdana wyłącznie na siebie... To samobójcza misja. Mam ci przekazać, że masz prawo odmówić.

Dla niej było jasne, że ta wyprawa zakończy się wyłącznie jej śmiercią. Po co innego Ludvig miałby ją zapraszać do Polski, jeśli nie po to, aby była świadkiem czegoś strasznego, na przykład śmierci Caaza? A potem pewnie ona zginie.

– Rozumiem. Wszystko może się wydarzyć. Nie martw się. Gdyby mi się coś stało... Dość już czasu odzyskałam – powiedziała, głaszcząc go po twarzy jak dawniej, kiedy był małym dobozem uczeptionym jej spódnicy.

– Wiesz przecież, że ja i Margo... Poza tym obiecałaś, że ja odejdę pierwszy...

Przytuliła go do siebie.

– Nie jedź – powiedział. – Dostaniesz tu ochronę. Danielle w Bułgarii także. Tam jest strasznie...

– Stalin umarł dwanaście lat temu.

– Uwierz mi, niewiele to zmieniło.

– Dlatego muszę tam pojechać.

Wrócił do stolika i nalał sobie herbaty do filizanki. Odebrała mu z rąk czajniczek i serwetką wytarła sporą plamę płynu, która wylała się na talerzyk z resztą ciastek.

– Chciałem pojechać z tobą – powiedział.

– To zły pomysł – zaprzeczyła gwałtownie. – Ludvig cię nie zna, ale mógł się zorientować, że tutaj jesteśmy zaprzyjaźnieni. Jeśli pojedziesz ze mną, narazisz mnie na niebezpieczeństwo. To wykluczone. Prawdopodobnie to samo powiedzieli ci... nasi ludzie.

Pokiwał bez słowa głową.

– Już się spakowałam, ale mam bardzo mało czasu. Ci... ten ogon... będą widoczni jak na dłoni.

Prawdopodobnie Ludvig ma sposoby, żeby sprawdzić, kto rezerwował bilet na samolot zaraz po mnie. Będzie szukał młodych mężczyzn podróżujących samotnie...

– Alicjo. – Skrzywił się, bo rozmoczone ciastko, które wziął do ręki, skapnęło mu na spodnie. – Za kogo ty mnie uważasz? Nasi ludzie przylecą z Berlina i Londynu. Nie wiem, kim będą, ale niewykluczone, że to nie będą podróżujący samotnie młodzi mężczyźni. Nie sprawdzi wszystkich pasażerów.

– Świetnie – zgodziła się, wciąż analizując. – Jeśli zgarną mnie na lotnisku, nawet nie będziesz o tym wiedział... Potrzebuję adresu rodziny Caaza.

– Uważaj. Mieszkanie Caaza prawdopodobnie obserwuje nie tylko Ludvig, lecz także polska bezpieka. Masz tu trochę materiałów na temat tego, jak działają teraz służby w Polsce. Martwię się, że wysłaś z wprawy...

– Ja też się martwię – mruknęła, biorąc do ręki gruby tom gęsto zapisany na maszynie. – Skończyłam osiemdziesiąt pięć lat i nie mam już siły... A od dwudziestu trzech nie miałam okazji wspinać się na mury ani skakać ze spadochronem, ani przebiec dwudziestu kilometrów w czasie poniżej dwóch godzin. Podlewaj moje kwiaty.

Wyszła, prosząc, aby pożegnał od niej Margo.



Dostrzegła ich już w hali przylotów. Stali w pobliżu wyjścia. Dwóch mężczyzn około trzydziestki ubranych w prochowce i kapelusze z rondem borsalino. Po drugiej stronie zobaczyła jeszcze dwóch, z tego, co się zdążyła zorientować, bardziej „operacyjnych”, w czarnych skórzanych kurtkach. Obaj mieli niezapalane papierosy w kącikach warg. Wątpiła, aby byli uzbrojeni, ale sama liczebność „komitetu powitalnego” była niepokojąca. Oni też ją dostrzegli przez otwarte drzwi hali przylotów. Wycofała się szybko do wnętrza.

– Przepraszam panią bardzo – powiedziała do wysokiej brunetki z zaciśniętymi ustami. – Czy zechciałaby pani popilnować mojego płaszcza? Muszę pójść do toalety, a to takie niewygodne okrycie...

Płaszcz był piękny i bardzo drogi, skórzany, z futrzanym kołnierzem, a kobieta wyglądała na osobę, która przyjeżdża do Polski w tak zwanych niejasnych celach. Prawdopodobnie była prostytutką, oceniła ją Alicja, mając zasilić liczne służby pomocnicze bezpieki. Kobieta spojrzała na nią nieco zdumiona.

– Zaraz przyjedzie mój bagaż i będę musiała iść. Prawdę mówiąc, nie wiem, czemu się spóźnia... O... jedzie – dodała z wyraźną ulgą.

– Och – powiedziała Alicja. – To potrwa tylko chwilę. W razie czego proszę wyjść i poczekać na mnie na zewnątrz.

Wręczyła kobiecie płaszcz i dobrany kolorystycznie kosztowny kapelusik z piórkiem. Szybkim krokiem, ciągnąc za sobą walizkę, przeszła na drugą stronę i pchnęła drzwi toalety. Weszła do jednej z kabin, tej po prawej stronie, z napisem „ubikacja nieczynna”. Za sedesem znalazła pozostawiony dla niej mundur stewardesy, w który błyskawicznie się przebrała. Włosy związała w kucyk, a na głowę nałożyła granatowy kapelusik. Z torebki wyjęła kredki do makijażu i podkreśliła oczy, a następnie pokryła powieki intensywnym błękitnym cieniem. W policzki włożyła implanty. Wyszła z toalety i dźwigając walizkę obleczoną niebieską folią, która miała ukryć tę, z którą przyjechała, skierowała się

do bocznego wyjścia dla personelu. Włączyła się do właśnie wychodzącej grupy pilotów i stewardes, udając, że z nimi podróżowała. Część drogi prowadziła przez halę. Alicja kątem oka dostrzegła, że kobieta zgodnie z przewidywaniami przywłaszczyła sobie płaszcz. Ci w prochowcach poszli za nią, ale mężczyźni w skórzanych kurtkach nadal stali i obserwowali wychodzących. Na nią samą nie zwrócili uwagi. Ruszyła w stronę postoju taksówek. Niestety stała tam spora kolejka i Alicja przez chwilę rozważała skorzystanie z transportu miejskiego. Cóż bardziej naturalnego niż stewardesa wracająca do domu autobusem? W sukurs przyszedł jej niski mężczyzna, który stał przy drzwiach.

– Taksóweczka... – mruzczał przy każdej osobie, która go mijiała.

– Ile pan chce do centrum? – spytał mężczyzna, który przyleciał tym samym samolotem, co ona, w towarzystwie żony i dwójki chłopców, zanim zdążyła się odezwać.

– Jadę tylko poza Warszawę – burknął.

Mężczyzna wzruszył ramionami i mamrocząc coś pod adresem taksówkarza, odszedł, ciągnąc za sobą oburzoną żonę i zmęczonych synów.

– Do Łodzi pan pojedzie? – spytała cicho.

– Co mam nie pojechać? – ożywił się taryfiarz. – A masz, panna, twarde?

Pokiwała głową.

– Dwadzieścia? – upewnił się kierowca.

Ponownie pokiwała głową. Nie oglądała się za siebie. Zauważyła, że kobieta, która ukradła jej płaszcz, wsiadła do autobusu. Za nią wsiedli dwaj w prochowcach i zajęli miejsca siedzące z tyłu. Usłyszała za sobą poruszenie. Obejrzała się delikatnie. Przed wejściem na lotnisko stała wysoka tleniona blondynka w kozuchu, chociaż było bardzo ciepło, i rozdawała uśmiechy. Ludzie przystawali, żeby ją pozdrowić. Tłumek wokół niej narastał. Za gromadzącymi się ludźmi zobaczyła wreszcie tamtych dwóch, którzy nerwowo chodzili po całej hali i zaglądali we wszystkie kąty. Jeden z nich wybiegł na zewnątrz, ale Alicja już zniknęła za rogiem budynku. Taksówkarz, którego działalność najwyraźniej nie była legalna, na szczęście dla niej nie korzystał z postoju, a jak się po chwili okazało, miał tylko zwykłego fiata 125p, bez żadnych oznaczeń z boku i na dachu. Nie zadając pytań, Alicja szybko wsiadła na tylne siedzenie, wyjęła puder w kamieniu i przejechała gąbką po twarzy, obserwując w lusterku poruszenie na lotnisku. Odjechali.



W Łodzi zatrzymała się przed Grand Hotelem. Zapłaciła taksówkarzowi żądane dwadzieścia dolarów, utyskując, że to jednak drogo. Na szczęście mężczyzna nie był zbyt rozmowny i po drodze nie zadawał jej wielu pytań, więc mogła po raz kolejny przeanalizować swoją sytuację. Na razie wszystko szło według planu. W hotelu zameldowała się pod swoim własnym imieniem i nazwiskiem, pokazując szwajcarski paszport. W pokoju zostawiła uniform stewardesy rozłożony na łóżku i przebrała się szybko w wygodne spodnie, lekką kurtkę oraz buty, które to rzeczy kupiła przed wyjazdem w sklepie dla alpinistów. Zmyła tandetny makijaż i wrzuciła implanty do sedesu, a potem spuściła wodę. Włosy związała mocno i ukryła pod czapką z daszkiem. Dokleiła rzadki młokosowaty wąsik. Wszystkie niezbędne rzeczy włożyła do świeżo nabytego plecaka alpinistycznego. Zatrzasnęła wieko walizki, po namyśle wrzuciła do niej tykający budzik, który zauważyła na nocnym stoliku, i wyszła ostrożnie na korytarz. Miała nadzieję, że

sprawdzający pokój usłyszą tykanie dobiegające z wnętrza walizki i pomyślą, że w środku jest bomba. Może chociaż trochę opóźni to prawdopodobny pościg. Zeszła schodami i szybko przemknęła obok akurat pustej recepcji; zapewne dziewczyna zawiadamiła Milicję Obywatelską, że w hotelu zameldowała się obca obywatelka. Miała pół godziny, aby dobiec do dworca i wsiąść do pociągu jadącego do Warszawy. Zdążyła w ostatniej chwili.

Noc spędzona na brudnym i szarym dworcu w Warszawie wśród smrodu moczu i meneli nie należała do najprzyjemniejszych. Zaczepiano ją wielokrotnie, kilka razy próbowano okraść. Wreszcie podszedł do niej brudny wysoki dziad chodzący z tranzystorkiem „Monika” w kieszeni. Z radia dobiegała smętna muzyka, polska albo rosyjska, która ją przygnębiała. Zwłaszcza piosenka *Do ciebie, mamo*, przy której wdała się z dziadem w pogawędkę. Ofiarowała mu butelkę czystej oraz pięćdziesiąt złotych, poczęstowała opowieścią, jak to spóźniła się na pociąg do domu, i dziad, zapewne tamtejszy szef, a potem wszyscy inni zostawili ją w spokoju. Nad ranem dziad po porozumieniu z resztą towarzyszy oddał jej dwadzieścia złotych z wcześniej ofiarowanych pieniędzy, twierdząc, że jej się bardziej przydadzą.

Ruszyła świtem. Przeszła na tył hotelu MDM i zaczęła obserwować zaparkowane tam samochody. W końcu wybrała syrenkę, otworzyła ją szybko wytrychem i wsiadła. Jednym ruchem rozbiła stacyjkę i połączyła ze sobą odpowiednie przewody. Samochód zarzęził krótko, a potem zaskoczył. Wskaźnik poziomu paliwa pokazywał, że bak jest prawie pusty, ale obliczyła, że powinna dojechać tam, gdzie planowała. Wyjechała Marszałkowską, patrząc ze zdumieniem na betonowe okazałe budynki dzielnicy zwanej MDM-em. W kraju, zauważyła to zaraz po przyjeździe, panowała wszechobecna szarość i pustka. Skręciła sprawnie w Aleje Jerozolimskie i skierowała się na zachód. Nie jechała szybko, nie chciała, żeby zatrzymała ją milicja. Zapewne jej pokój w Grand Hotelu w Łodzi już został przeszukany, „bomba” rozbrojona, a funkcjonariusze MO skierowani na dworce pociągowe i autobusowe. Może już odnaleziono samozwańczego taksówkarza, który zawiózł ją do Łodzi, chociaż w to akurat wątpiła, ale na pewno zatrzymano kobietę od płaszcza. Ma jeszcze trochę czasu, aby pojechać do rodziny Caaza. Nawet jeśli jest to związane ze śmiertelnym ryzykiem. Była to winna jemu i rodzinie.

Mijała niewielkie miejscowości, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Szczegóły przecież nie raz uratowały jej życie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wraca do domu. Kodorowo było tuż-tuż. Gdyby miała czas i odwagę, mogłaby skręcić w lewo i odnaleźć znajome łąki i pola. Nie miała jednak ani jednego, ani drugiego. I wcale nie czuła, że jest blisko domu. Szara Polska też nie przypominała pozostawionej wiele lat temu ojczyzny. Wreszcie dojechała do Pruszkowa, skręciła w prawo i minęła niewielki plac, na którym stał czołg. Ten widok tak ją zdumiał, że nieomal uderzyła samochodem w uliczną latarnię. Zaparkowała w jednej z bocznych uliczek, ustawiając się za podobnym autem, tyle że pomarańczowym. Ludzie wychodzili z klatek schodowych do pracy, ale ona wiedziała, że Teresa Makowska została wyrzucona z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego po aresztowaniu jej męża i powinna być w domu, sama albo z córką. Pchnęła lekkie, pomalowane na zielono drzwi na sprężynach, a potem ignorując windę, pobiegła na szóste piętro i cicho zastukała do drzwi. Usłyszała szmer dobiegający z mieszkania po drugiej stronie korytarza. Niedobrze, pomyślała. Przed nią szczękniętą zamek i drzwi uchyliły się na długość łańcucha.

– Dzień dobry – powiedziała niskim głosem. – Jestem kolegą Oli. Czy zastałem ją w domu?

Drzwi zamknęły się, a po chwili otworzyły, już bez łańcucha. Szybko weszła do środka. Teresa

Makowska była niską, pulchną kobietą ze śladami dawnej urody na twarzy i żyłakami na nogach. Spojrzała na nią uważnie. Alicja zdjęła czapkę i odkleiła wąsy.

– Niech pan zdejmie buty, bo uwala mi podłogę. Świeżo pastowana – powiedziała Teresa, a w głąb korytarza krzyknęła. – Oleńka, jakiś kolega do ciebie.

Potem skinęła głową na Alicję, żeby zdjęła kurtkę i powiesiła na wieszaku. Z głębi mieszkania przysła Oleńka. Alicja drgnęła na jej widok. Jak bardzo była podobna do Caaza. Oczywiście do tego młodego Caaza, przystojnego, uśmiechniętego, prowadzącego przez pół Europy samochód z nią i nieprzytomnym Ludvigiem na tylnym siedzeniu.

– Stasiek! – ucieszyła się Ola. – Co tam słyhać, bracie?

Teresa podsunęła Alicji kartkę, na której napisała: *Tu jest podsłuch*. Alicja pokiwała głową i mówiąc udawanym basem coś na temat uczelni, odpisała: *Jestem starą znajomą Caaza*.

– Wiesz, kochana – buczała Alicja. – Przeczekaś trochę, a potem zgodzisz się na sąd koleżeński, złożysz samokrytykę. Jesteś przecież członkiem ZSMP. Masz duże zasługi...

Odpowiedź podana jej przez żonę Caaza brzmiała: *Wiem, kim Pani jest. Co mam zrobić?*

– Napije się pan herbaty? – spytała Teresa. – Jakoś pan zmarzył chyba... A może śniadanie zrobić? Chociaż u nas skromnie...

– Nie, dziękuję pani bardzo. Ja tylko na chwilę – mówiła, pisząc jednocześnie na skrawku papieru: *Niech pani wyśle po coś córkę niby do sklepu. Na dole jest budka telefoniczna. Musi zadzwonić na milicję i powiedzieć, że tu jestem*.

Kobieta spojrzała na kartkę, a potem, zdumiona, na Alicję. Pokręciła przecząco głową. *Proszę, napisała Alicja, muszę mnie TU aresztować. Donieście na mnie, zanim zrobi to ktoś inny*.

Teresa Makowska patrzyła na gościa z niedowierzaniem. Alicja dostrzegła w jej oczach ból i tęsknotę za mężem. Pokiwała zachęcająco głową, wyciągnęła rękę, złapała za szorstką dłoń Teresy i uścisnęła ją, a kobieta odwzajemniła uścisk i uśmiechnęła się smutno. Ten gest powiedział Alicji wszystko. Żona Caaza doskonale zdawała sobie sprawę z jego działalności.

– A może bym zjadł kawałek chleba – powiedziała. – Kiedy pani taka miła...

– Oleńka – Teresa zwróciła się do córki – skocz no, dziecko, po jakąś konserwę do sklepu na dole.

Alicja pokiwała głową z aprobatą, potem wyjęła z wewnętrznej kieszeni pięćset dolarów i wyciągnęła zwitek przed siebie. Kobieta zrobiła gest odmowy, ale Alicja wcisnęła jej pieniądze do rąk. *Proszę nie odmawiać, napisała, to niewiele, ale nic nie mogę zrobić. Tylko proszę schować tak, żeby nikt nie znalazł. Naprawdę nikt nie znalazł*.

– A pan to herbatkę pije z cukrem czy bez, jak to dzisiejsze inteligenty? – spytała kobieta, jednocześnie sięgając po puszkę stojącą na półce. Puszka miała podwójne dno. Pieniądze zniknęły przysypane cukrem z torebki.

Bądźcie gotowe, napisała jeszcze.

– No jasne, że tak – powiedziała z entuzjazmem w głosie Alicja, patrząc, jak kobieta pali nad gazowym płomieniem zapisane kartki papieru i strzepuje popiół do zlewu. – Cukier krzepi.

Przyjechali po niespełna dziesięciu minutach nieoznakowanym białym moskwiczem. Alicja obserwowała ich zza firanki, paplając jednocześnie jakieś banalne opowieści. Sięgnęła po kurtkę. Kiedy

rozległo się pukanie do drzwi, skinęła głową Teresie, a Oleńkę uściskała.

– Pani otworzy, pani Makowska. – Usłyszała. – My do gazu przyjechaliśmy...

Wbiegli we trzech prosto do kuchni. Alicja zdążyła odegrać cały spektakl z przestraczem, pełnymi wyrzutów spojrzeciami w stronę Teresy i Oleńki, wreszcie próbowała się szarpać. Uciekła nawet na balkon. Spuściła głowę, pokonana uderzeniem w brzuch wymierzonym jej przez wyższego funkcjonariusza.

– Nie szarp się – burknął niższy, gniotąc jej ramię – bo ci spuścimy takie lanie, że cię rodzona matka nie pozna.

– Dobrze pani zrobiła, pani Makowska – rzucił w stronę Teresy ten wyższy.

A potem wywlekli ją z mieszkania i ciągnęli po schodach sześć pięter w dół, od czasu do czasu wymierzając jej ciosy w brzuch. Na szczęście nie bili po nerkach, pomyślała, napinając mięśnie, żeby zminimalizować kolejne uderzenie. Do samochodu wepchnęli ją we dwóch, na tylne siedzenie, gdzie skuto ją kajdankami i włożono na głowę czarny worek. Ruszyli szybko. Alicja pojękiwała cicho, skupiona na starannym analizowaniu trasy. Nawrotka w prawo w osiedlową uliczkę, ponownie w prawo w tę większą, w lewo na drogę do Warszawy. Całe szczęście. Jednak nie chcą mnie wywieźć do lasu i zatłuc na śmierć, pomyślała. Obliczała przejechane kilometry, ignorując obraźliwe uwagi rzucane od czasu do czasu pod jej adresem. W Warszawie samochód skręcił w prawo w Marszałkowską, potem prosto, wreszcie stanął na chwilę. Alicja usłyszała zgrzyt ciężkiej metalowej bramy. Czyli żadnych niespodzianek, pomyślała, jesteśmy na Rakowieckiej. W Zurychu miała bardzo mało czasu na zapamiętanie topografii warszawskich ulic i denerwowała się, że wywiozą ją gdzieś poza jej obręb. Więzienie na Rakowieckiej należało wprawdzie do najcięższych i najpilniej strzeżonych, ale i najlepiej poznanych przez jej sojuszników. Przypomniała sobie dawne czasy. Kiedy przyjechała tu ze swoim ojcem i przybraną matką, ta część dzisiejszej Warszawy mieściła się właściwie poza jej obrębem. Pamiętała, że ojciec przywiózł ją tutaj, aby podziwiała uroki wiejskiego krajobrazu, jakby w Kodorowie nie było daleko piękniej. Teraz wszystko jawiło się szare, brzydkie i przygnębiające. Jak mnie witasz, ojczyzno?, pomyślała przygnębiona.

Prowadzili ją korytarzami. Od czasu do czasu obijała się o twarde ściany. Wreszcie wepchnięto ją do jakiegoś pomieszczenia i zdjęto czarny kaptur. Intensywne światło oślepiło ją. Zamrugła gwałtownie.

– Rozbieraj się – zarządziła niska, przysadzista kobieta uczesana w kok, stojąca na środku.

Alicja zawahała się przez chwilę.

– Ja nie wiem, o co chodzi... – powiedziała z przestraczem w głosie.

Strażniczka podeszła do niej i wymierzyła policzek.

– Masz się rozebrać i włożyć to. – Pokazała palcem drelichowe spodnie, poplamioną czymś koszulę i pikowaną burą kufajkę. – I nie zgrywaj mi tu niewiniątka.

Alicja powoli zdjęła buty, potem skarpetki, wreszcie po kolei wszystko, co miała na sobie. Strażniczka zgarnęła rzeczy na bok, patrząc łakomym wzrokiem. Pewnie sprzeda to na bazarze, przemknęło Alicji przez głowę.

– Chodź tu... – burknęła.

Alicja podeszła i na polecenie otworzyła usta, a potem z trudem opanowała wymioty, gdy strażniczka

przeszukiwała jej paluchami jamę ustną. Kiedy zaś włożyła palce do pochwy, z najwyższym trudem zdusiła chęć uderzenia kobiety w potylicę, pozbawienia przytomności, a potem skręcenia jej karku.

– Włóż to – mruknęła jeszcze raz, a potem zastukała pękiem kluczy w drzwi, które się uchyliły, i Alicja została sama. Szybko się ubrała. Spodnie okazały się męskie, o wiele za duże, ale urwała brzeg koszuli i zrobiła z niego prowizoryczny pasek. Usiadła na sienniku wciśniętym w głąb celi bez okna i zamyśliła się. Czekwała w napięciu kilka godzin, ale nie pojawił się ani Ludvig, ani żaden z funkcjonariuszy. Nie dostała nic do jedzenia i picia, co przeszkadzało jej najmniej. Najgorsze było intensywne światło żarówki zasłoniętej gęstą metalową kratką. Co najmniej dwieście watów, pomyślała z niechęcią. Nie da się przy tym oka zmrużyć. Przypuszczała, że zostanie wzięta na przesłuchanie dopiero po kilku albo kilkunastu godzinach, kiedy zgłodnieje dostatecznie mocno, aby upominać się o swoje prawa. Nie miała jednak wiele czasu, a i cierpliwość nie była teraz jej najmocniejszą stroną. W kącie celi stała otwarta muszla klozetowa, z której docierał smród. Nigdzie nie dostrzegła nawet kawałka papieru. Przynajmniej trzymają mnie samą, pomyślała, dobre i to. Rozejrzała się uważnie. Jedyne miejsce, z którego mogła być obserwowana, znajdowało się wysoko na ścianie, naprzeciwko sedesu. Wstała i podeszła do ściany, a potem oparła się plecami tak, aby była jak najmniej widoczna. Z kieszeni spodni wyjęła wsuwkę, którą zwędziła strażniczce, korzystając z chwili jej nieuwagi, a potem okręciła wokół niej kawałeczek tkaniny z paska od spodni. W to wszystko wpasowała mały kamyczek, który podniosła wcześniej z podłogi. Trzy, dwa, jeden, już, policzyła w myślach. Kilka sekund zajęło jej dopadnięcie lampy i włożenie do niej wsuwki. Pociągnęła. Ciemność zalała celę. Szybko dopadła sedesu i skorzystała z niego pod osłoną ciemności. Jeden, dwa, trzy... zaczęła liczyć. Zdążyła podciągnąć spodnie, kiedy drzwi celi otworzyły się i po jej ciele rozpełzły się światła pięciu latarek. Wywleczono ją z pokoju, przedtem zakrywając głowę kapturem. Biegła za strażnikami, aż wrzucono ją do innego pokoju, który, jak potem oceniła spod kaptura, nie był celą, a pokojem przesłuchań. Spróbowała wstać o własnych siłach, ale kopniak w nerkę pozbawił ją tchu z bólu. Ktoś pociągnął ją za ramiona, posadził siłą na krześle, a potem zdarł kaptur. Siedziała przy odrapanym biurku, w twarz świeciła jej kolejna żarówka. W głębi na tle okratowanego okna stał postawny mężczyzna. Zanim zdążyła mu się przyjrzeć, ktoś szarpnął ją za włosy od tyłu. Jęknęła, ugięła głowę i odruchowo zamknęła oczy. Mężczyzna przy oknie odwrócił się gwałtownie.

– Wynocha – zarządził krótko.

– Ale, towarzyszu pułkowniku... – Usłyszała głos za sobą. Szarpiący puścił jej włosy. – To jest bardzo niebezpieczna...

– Za godzinę przyprowadzicie mi tu protokolantkę, tłumacza z niemieckiego i... naszego gościa – wydawał polecenia tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Teraz pozwólcie mi porozmawiać z tą... osobą.

Mężczyźni za plecami Alicji wycofali się, szurając butami. Rozległ się szcęk zamykanych drzwi. Mężczyzna podszedł do stolika i odsunął krzesło ze zgrzytem, a potem usiadł.

– To co masz do powiedzenia?... – Zerknął na pogiętą tekturową teczkę. – Luna...

Darowała sobie zaprzeczanie i udawanie niewinnie aresztowanej. Nie chciała przedłużać całej operacji.

– To ja słucham, co ma mi pan do powiedzenia – powiedziała spokojnie. – Przyjechałam, jak kazaliście.

– Tu nie ma panów – wycedził mężczyzna. – A ten numer z żarówką to wywinęłaś tak sobie czy

chciałaś coś udowodnić?

– Chciałam skorzystać z toalety, a nie lubię tego załatwiać publicznie – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Aaa tak... – Pokiwał głową. Z kieszeni wyjął paczkę ekstra mocnych bez filtra i wsadził sobie papieros do ust. Z drugiej kieszeni wyciągnął zapalniczkę, podпалиł i zaciągnął się głęboko, wypuszczając smrodliwy dym prosto w twarz Alicji. Spróbowała nie okazać, jak bardzo nienawidzi tego zapachu.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogę cię oskarżyć o szpiegostwo i wsadzić za kratki do końca życia? – spytał. – A tam, gdzie będziesz siedziała, takie numery, jak tu wywijalaś, nie przejdą. Co dzień ktoś cię wyrucha, a na skórze nie będziesz miała jednego miejsca bez siniaka! – wrzasnęła.

Rozważała i taką opcję, ale coś jej mówiło, że nie w tym celu została tu zwabiona. To byłoby zupełnie nielogiczne. Nie mogła jednak wykluczyć, że siedzący przed nią zechce samowolnie się z nią rozprawić, ignorując plany wywiadu KGB. A może nie został o nich poinformowany?

– A tak przy okazji, to nie wstyd zdradzać ojczyznę? – spytał pseudożyczliwym tonem.

– Nigdy nie zdradziłam swojej ojczyzny – odpowiedziała, czekając na cios, ale ten nie nastąpił.

– Po wojnie trzeba było wrócić do domu – burknął pułkownik, który wciąż nie raczył zdradzić Alicji swojego nazwiska. – A nie uciekać do imperialnej Szwajcarii i kapać się w szampanie. A tu ojczyzna dźwiga się z ruin, do czego tacy jak ty i tobie podobni doprowadzili razem z Niemcami! – podniósł głos.

Alicja spuściła głowę, analizując chaotyczną przemowę pułkownika. Miał wypisane na twarzy, że nie zna wojennych losów agentki Luny albo nie wierzy, że to ona. Coś tu się nie zgadzało.

– Może mogłabym naprawić to, co zrobiłam? Chociaż spróbować? – Lepiej było zagrać na zwłokę, zanim ją zastrzeli bez wyroku. Pułkownik był idiotą i nie miał pojęcia o celu jej misji. Musi poczekać na przyście Ludviga albo kogoś od niego.

– Kula w łeb – mężczyzna dźwignął się z fotela – dla takich jak ty...

Splunął na podłogę, a potem podszedł do niej i stanął za jej plecami. Znów przypomniał się jej Freud oraz przesłuchujący ją pułkownik Bauch. Tym razem nie próbowała się odwracać. Na plecach poczuła ocierające się o nią spodnie mężczyzny. Ogarnęło ją obrzydzenie. Potem usłyszała inny dźwięk i na chwilę stanęło jej serce. Odbezpieczona broń dotknęła potylicy.

– Takie szmaty jak ty nie zasługują nawet na proces – wycedził. – Palimy wasze nędzne zwłoki i grzebiemy je pod płótem...

Szturchnął ją pistoletem w ramię, a potem znów przystawił do głowy.

– Nie interesuje mnie jakieś szacher-macher, które tam sobie wymyśliłaś, ani czyją dziwką teraz będziesz. Ja tu rządzę, rozumiesz? Ja!

– Jeśli mnie pan zabije, zrobi pan wielki błąd – powiedziała szybko, siląc się na najspokojniejszy ton, na jaki umiała się zdobyć w zaistniałej sytuacji.

– Dostanę order – zaśmiał się mężczyzna.

Jeśli strzeli, pomyślała, to wszystko się skończy. Ludvig tak czy siak zostanie z niczym. Franek dowie się, a potem poświęci resztę życia na chronienie Danielle. Może już czas odejść?, myśli przebiegały jej szybko przez głowę. Przecież przeżyłam wiele lat, czas się mnie nie imał. Doświadczyłam tyle, że starczyłoby dla kilku osób.

– Strzelaj – powiedziała zmęczonym głosem. – Na co czekasz?

Broń powędrowała kilka centymetrów w górę i lekko zadrżała. Zamknęła oczy. Wydawało się jej, że słyszy, jak palec pułkownika dotyka kurka pistoletu. Oddech pułkownika zrobił się szybszy. Po kilku trwających wieczność sekundach rozległo się suche kliknięcie. Broń nie była załadowana.

Rozluźniła napięte mięśnie. Drzwi za jej plecami otworzyły się i ktoś wszedł. Nie odwróciła się ani nie otworzyła oczu.

– Więzień jest pański – powiedział pułkownik, zaszurał butami i wyszedł.



ROZDZIAŁ XIII

Ludvig postarzał się, posiwiiał i przybrał nieznacznie na wadze, ale wciąż mógł uchodzić za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Jego twarz była przystojna, uśmiech po dawnemu ujmujący. Wciąż przypominał Clarka Gable'a, tyle że nieco starszego. Kiedy spojrzał na jej twarz, nie mógł ukryć zdumienia. Opanował się jednak.

– Alino Charme... – Ukłonił się i uśmiechnął. – Jak miło cię widzieć...

Nie odwzajemniła ani ukłonu, ani uśmiechu.

– Naprawdę myślałem, że umarłaś... – powiedział w końcu. Wcześniej przypatrywał się jej uważnie kilka minut. Nie opuszczała wzroku.

– Gdyby tak było, nie śledziłbyś listów do Catie – powiedziała.

– No cóż – zgodził się. – Przyznaję, robiłem to. Tak, wiesz, z przyzwyczajenia... Szpieg powinien być wytrwały i konsekwentny, nie sądzisz?

– Pewnie masz rację – przytaknęła.

– Aż mi się nie chce wierzyć, że to ty... Czy masz jakiś pakt z diabłem? – Uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Prawie się nie zmieniłaś...

Zachowuje się, jakbyśmy spotkali się na herbatce w hotelu w Berlinie, Wiedniu czy Paryżu, pomyślała w duchu. „Kochana, znakomicie wyglądasz, cóż tam u ciebie słyhać”. Brakowało jeszcze tylko tego, żeby zaproponował kawę i zaprosił na szampana.

Ludvig wstał, podszedł do niej i wziął za rękę, przyglądając się uważnie znamieniu.

– Znamię jest, głos jest... To ty... A jednak niemożliwe...

Milczała, bo cóż miała powiedzieć?

– Wiesz... – ciągnął Ludvig. – Jednego tylko nie mogę pojąć. Dlaczego przyjechałaś do Polski dopiero teraz, a nie na przykład po wojnie?

– A ty pojechałeś najpierw do Niemiec, na Węgry czy do Związku Radzieckiego? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– W takiej kolejności, jak wymieniałaś. Zgadza się jednak, że powinienem pojechać na Węgry i spędzić tam więcej czasu z rodziną.

Nie dała się sprowokować. Laszlo, bliski kuzyn prawdziwego Ludviga, którego zabił i ukradł jego tożsamość, uniknął wszelkich represji w swoim kraju. Bernstorffowie byli nazistami i wspierali Hitlera. Bez trudu wmówił władzy, że musiał zlikwidować owego kuzyna, kiedy odkrył jego działalność na rzecz Trzeciej Rzeszy. Prawdopodobnie podał się za podwójnego agenta, aby w ten sposób dodatkowo się zabezpieczyć. Broń, którą podała mu na tacy Alicja, mógł wykorzystać w celu podniesienia swoich notowań u Niemców. Gdyby okazała się niewypałem, co zresztą miało miejsce, stwierdziłby, że cała mistyfikacja była jego udziałem. Alicja „nie żyła”, Caaz zaszył się w Polsce i nie szukał konfrontacji,

cała rodzina ze strony matki i ojca zginęła albo pomarła w czasie wojny. Laszlo poszedł tam, gdzie oferowano mu największe korzyści, czyli do KGB.

– Swoją drogą te pociski smugowe, moja droga, poważnie mnie skompromitowały. Czułem do ciebie takie *Hassliebe*. – Skrzywił się. – Z jednej strony podziwiałem cię, bo dowiodłaś tymi wzorami swojego, a właściwie mojego geniuszu, z drugiej nienawidziłem, bo produkcja okazała się katastrofą i Hitler osobiście zwymyślał mnie od idiotów.

– Trzeba było mu powiedzieć, że ukradłeś te wzory – powiedziała życzliwym tonem. – Może nie byłby taki rozżalony.

Zaśmiał się krótko.

– Który z nich jest naprawdę ojcem twojej córki? – spytał. – Caaz czy ten, którego zabiłem?

Zaskoczyła ją nagła zmiana tematu. Zanim strzelił do Juliana, powiedziała mu szeptem, że spodziewa się dziecka. Sądziła, że uznał za oczywiste, że dziecko jest jego.

– Nigdy nie próbowałam tego dociekać – oznajmiła. – Jak powiedziałeś, to moja córka.

– Ja stawiałbym na Caaza – mówił dalej. – Ten drugi był dla ciebie za stary...

– A nie sądzisz, że to może być twoje dziecko? – spytała. Przestraszyła się. Jeśli nie będzie wierzył, że Danielle jest jego, może nie zawahać się przed zrobieniem jej krzywdy.

– Masz mnie za głupca? – Trzasnął ręką w stół, aż podskoczyła. – Rozstaliśmy się przecież rok przed narodzinami twojego żydowskiego bękarta.

Milczała. Wstał, podszedł do drzwi i uderzył w nie pięścią. Po chwili weszły trzy osoby, co Alicja wywnioskowała na podstawie kroków. Dwie z nich najwyraźniej kogoś wlekły, bo słyszała odgłos butów sunących po podłodze pokrytej szarą wykładziną. Nie, pomyślała, tylko nie Caaz, proszę, nie...

Caaz nie tylko nie przypominał tamtego przystojnego krupiera, którego poznała w Stambule. Nie przypominał już prawie człowieka. Kiedy został posadzony naprzeciwko niej, z trudem opanowała płacz.

– Caaz... – wyszeptała.

Jej stary przyjaciel wolno podniósł głowę. Prawe oko miał podbite i okolone sinopurpurową obwódką. Lewego oka nie było wcale. Strzęp zaschniętej krwi tkwił w oczodole, nadając twarzy mężczyzny groteskowy rys. Nos miał złamany w co najmniej dwóch miejscach, a wargi tak opuchnięte, że mogła się założyć, że Caaz nie mógł niczego zjeść ani wypić. Przez szczelinę dostrzegła szczątki powybijanych zębów. Przyjaciel popatrzył na nią spod zapuchniętej powieki i próbował się uśmiechnąć. Miała ochotę podbiec do niego, zażądać lekarza, jedzenia, picia i spokoju. Wiedziała jednak, że niczego nie dostanie ani ona, ani tym bardziej on.

– Dam wam chwilę, żebyście się przywitali. – Usłyszała głos Ludviga.

Zostali sami w celi oblanej światłem, obserwowani z tyłu, zupełnie obnażeni. Caaz położył ręce na blacie stołu, a Alicja jęknęła. Dłonie drżały mu lekko. Paliczki wszystkich palców były zmiażdżone. Gdzieś dostrzegła ślady wyrwanych paznokci.

– Czy on ci to zrobił? – spytała ledwo słyszalnym szeptem.

Pokręcił delikatnie głową, a potem spróbował nieznacznie unieść wzrok.

– Rozumiem – powiedziała i samymi wargami dodała wyraźnie. – Twoja żona i córka są całe...

Spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się jedynie niezrozumiały szept.

– Nie martw się – powiedziała głośno i przykryła swoją dłonią jego zmasakrowaną rękę. – Twoja córka złoży samokrytykę i na powrót będzie mogła studiować, a żona odżegna się od ciebie. Rozmawiałam z nimi... Mnie się przecież udało... W czterdziestym pierwszym...

– Oni są gorsi niż Niemcy – wysyczał bardziej, niż wymówił, Caaz.

– Nie, nie.. – zaprzeczyła, posyłając mu wymowne spojrzenie. – Caaz, wiemy, że miałeś zlecenie z Izraela, wiemy wszystko... Proś o łaskę towarzysza Gomułkę, wstawię się za tobą, na pewno ci jej udzieli...

Caaz spojrział na nią swoim podbitym okiem i znów próbował się uśmiechnąć.

– Taaak... łaska... – wyszeptał z trudem. – Skąd Litwini wracali?

– Z nocnej wracali wycieczki... – powiedziała, połykając łyzy.

Ludvig wszedł do środka wraz z grupą ludzi. Za nim z maszyną do pisania pojawiła się protokolantka, którą odprawił niecierpliwym gestem. Bez specjalnych ceregieli kazał też wyjść pułkownikowi i jego ludziom. Wściekły i czerwony na twarzy wojskowy wycofał się, mrużąc coś na temat niebezpieczeństwa, jakie grozi „gościowi” ze strony „tej żydowskiej szmaty”. Drzwi ponownie się zamknęły. Poczuli się po raz pierwszy osaczona i bardzo, ale to bardzo samotna, nawet ze świadomością, że są obserwowani przez co najmniej kilka par oczu.

– To sobie teraz porozmawiamy – mruknął Ludvig i rzucił wymowne spojrzenie Alicji i Caazowi.

Caaz spuścił głowę.

– Podejrzywałem, że to ty dostarczasz Amerykanom materiały z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – zaczął Ludvig.

Alicja i Caaz milczeli.

– Już kilka lat temu miałem cię prawie na widelcu... ale... byłem cierpliwy i mogłem poczekać. Opłaciło się.

– Nazywam się Ireneusz Makowski – powiedział Caaz niewyraźnie. – Pan mnie z kimś myli. Jestem niewinny.

– Tak, czytałem to wszystko... Siedem tomów akt, przesłuchania... Nic z ciebie nie wyciągnęli, Caaz, a widzę, że naprawdę próbowali...

– Jestem woźnym... – znów zaczął.

– To też słyszałem. – Pokiwał głową Ludvig. – Woźnym, który biegle włada niemieckim, francuskim, tureckim, rosyjskim...

Alicja pomyślała, że tego nie zniesie, nie wytrzyma tej dziwnej gry, niedomówień i kłamstw.

– Ludvig... – zaczęła.

– Zamknij się, Alina – powiedział ostro. – Tym razem rozegramy to po mojemu...

Wyjął z kieszeni rewolwer. Zwolnił bębenek i wysypał z niego sześć kul na stolik. Mogła się założyć, że obserwujący ich zamarli. Sama zastanawiała się, co Ludvig zamierza zrobić. Wziął do ręki jeden nabój i włożył do magazynka. Zakręcił nim kilkakrotnie, a potem zamknął pistolet.

– Zróbmy tak... – powiedział. – Ja będę mówił, co zamierzam, a wy będziecie się na to zgadzać albo

nie. Jeśli się zgodzicie, strzelę w swoją własną głowę, jeśli nie, w czaszkę jednego z was. Zgoda?

– Zgoda. – Alicja przełknęła ślinę.

Ludvig uśmiechnął się i przyłożył sobie rewolwer do skroni, a potem nacisnął spust. Zanim zdążyła się przerazić, rozległo się głucho kliknięcie, a Ludvig zaśmiał się wesoło.

– Chciałem na wstępie okazać, że mam uczciwe zamiary. Nie mieliście jednak szczęścia... – powiedział z miną, która wyrażała rozczarowanie.

Alicja starała się oddychać spokojnie, chociaż serce waliło jej jak oszalałe.

– Zatem... – kontynuował. – Czy zgadzacie się, że ten tu obecny Caaz czy też woźny Ireneusz Makowski wykonywał bardzo dobrą robotę dla wywiadu amerykańskiego?

Caaz uniósł wzrok i delikatnie pokiwał głową.

– Tak – powiedziała szybko.

Rewolwer został przeładowany, a potem powędrował do prawej skroni Ludwiga. Zamknęła oczy, kiedy iglica ponownie nie natrafiła na nabój.

– I znów nie mieliście szczęścia... – Ludvig rozłożył ręce, wymachując przy tym rewolwerem niczym zabawką. – Może teraz?

Alicja starała się odczytać z jego twarzy cel tej koszmarnej gry. Godzinę wcześniej, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy po latach, myślała, że wie, co Ludvig zamierza. Odczytała to z jego rąk, ściślej z paznokci. Potem, kiedy tak gwałtownie zaprzeczył, że może być ojcem Danielle, sądziła, że puzzle weszły na swoje miejsce. W obliczu tego, jak ryzykował życie teraz, nie była już taka pewna, czy rozumie jego intencje. Nawet jeśli nabój był ślepy, to wystrzelony z tak bliska w głowę zabije każdego. Ludvig musiał zdawać sobie z tego sprawę. Chyba że wiedział, jak zrobić, żeby kula nie trafiła do lufy pistoletu.

– Czy uważacie, że tak wspaniałe działania, takie zasługi, jakie poczynił nasz pan woźny, powinny być kontynuowane, ale na zupełnie innych warunkach? – spytał Ludvig, przerywając jej myśli.

Caaz spojrzał na nią. Wydawał się obojętny na to, co się rozgrywało.

– Zgoda – powiedziała szybko.

Ludvig westchnął znów jakby z rezygnacją, zakręcił bębenkiem kilka razy, a potem przyłożył broń do głowy. Minę miał tak znudzoną, jakby co najmniej kilka godzin leżał na plaży, obserwując morze, w którym nikt się nie kąpał. Nacisnął spust. Znów szcęknięcie i rozczarowana mina.

Błagała go spojrzeniem, żeby przestał, ale on wydawał się tego nie widzieć.

– Zakładam, że każde z was słyszało o wymianie cennych agentów, prawda? – spytał.

Pokiwała głową, zamykając oczy.

– Nie denerwuj się, Luna. – Uśmiechnął się do niej. – To było pytanie pomocnicze. Będzie też i zasadnicze.

Caaz ponownie spuścił głowę.

– Czy zgodzicie się, abym podając się za ciebie, Caaz, został wymieniony w Berlinie na zatrzymanego tam agenta KGB Sieriożę? Ty, moja droga Alino Charme, podejmiesz się misji wprowadzenia mnie do wywiadu amerykańskiego...

Wymieniła z Caazem spojrzenia. Puzzle jeden po drugim wskakiwały na swoje miejsce. Przerazenie

ściskało jej gardło.

– Zastanówcie się dobrze – dodał Ludvig, rozsiadając się na wąskim krześle niczym w wygodnym fotelu. – Mnie się nie spieszy...

Jej umysł nie pracował. W głowie nie miała ani jednej sensownej myśli. Przychodziły do niej wspomnienia kodorowskiej łąki oraz wizyty w Warszawie. Pomyślała, że powinna poprosić o możliwość odwiedzenia grobu swojej matki i ojca. Powinna odnaleźć groby ciotki Barbarki i Kloci, wszystkich innych krewnych. Powinna pojechać do Kodorowa i zobaczyć, co się stało z jej domem. Powinna, powinna, powinna... Nawet nie próbowała tego zrobić. W imię czego? Tej gry, którą z takim okrucieństwem rozgrywał Ludvig vel Laszlo?

Caaz poruszył się na krześle. Wyciągnął przed siebie zmaltretowane ręce i popatrzył na Alicję. Szybko wyciągnęła swoje, przykryła jego zdeformowane dłonie i pochyliła się nad stołem, aby być jak najbliżej jego twarzy. Nagle wszystko stało się jasne.

– Kocham cię... – powiedział tak głośno i wyraźnie, jak tylko mógł. – ...Luna.

A potem odwrócił głowę w stronę Ludviga.

– Nie zgadzam się...

Ludvig znieruchomiał. Otworzył wolno bębenek, sprawdził nabój i zakreślił. Trzymała Caaza za ręce. Z jej oczu kapały łzy. Ludvig przyłożył mu broń do skroni i patrząc na Alicję, nacisnął spust. Ręce Caaza gwałtownie wysunęły się z jej rąk. Jedno oko znieruchomiało. Martwy Caaz przechylił się na bok i runął z krzesła na ziemię.

– Nie! – krzyknęła, chociaż było już za późno na to, aby ratować przyjaciela, a Caaz właśnie oddał życie za nią, za sprawę, za swoją córkę i żonę. – Nie zgadzam się, słyszysz?!!!

Ludvig nie włożył kolejnego naboju do magazynka, nie powtórzył operacji z kręceniem bębenkiem, nie strzelił do niej. Wziął za to rewolwer do ręki i patrząc na nią uważnie, przyłożył go sobie do głowy i naciskał spust wielokrotnie, mimo że dla wszystkich, dla niej, dla tych, co patrzyli zza ściany, było zupełnie jasne, że nie może już zrobić sobie krzywdy.

Drzwi otworzyły się, weszło dwóch mężczyzn i chwytając zwłoki Caaza za nogi i ramiona, wyniosło je z pokoju przesłuchań, odpychając ją brutalnie na bok. Przeczółgała się w głąb pomieszczenia, siadła skulona pod ścianą i zasłoniła twarz rękoma. Dygotała. Po jej twarzy płynęły łzy.

– To tyle, Alino Charme... – powiedział Ludvig zachrypniętym głosem. – Na razie to tyle...

Nie raczyła mu odpowiedzieć. Była zrozpaczona. Do pokoju ponownie wszedł pułkownik. Alicja dostrzegła bladość na twarzy mężczyzny. Domyśliła się, że pułkownik KGB niejednego więźnia skatował i zabił osobiście, ale nigdy nie był świadkiem podobnie wyrefinowanego i okrutnego widowiska, nic z niego nie rozumiał i nie wiedział, co zameldować swoim przełożonym. Stojąca koło niego kobieta uczesana w ciasny kok, ubrana w białą bluzkę zapiętą pod szyję oraz fatalnie skrojoną czarną spódnicę, przyciskała do piersi maszynę do pisania. Miała przerażony wzrok i Alicji trudno było odczytać, czy to z powodu tego, czego była świadkiem, tłumacząc słowa jej, Caaza i Ludviga z niemieckiego na polski, czy też niejasności losu, który ją czekał.

– Co ja mam zameldować...? – odezwał się w końcu pułkownik.

Kobieta poczekała chwilę, aż jej przełożony dokończy zdanie, a kiedy się nie doczekała,

przetłumaczyła te kilka słów na niemiecki, nie patrząc Ludvigowi w twarz.

– Naprawdę jest pan takim idiotą, pułkowniku, czy tylko takiego udaje? – spytał Ludvig, a kobieta zawahała się i rozplakała ze strachu. Potem przetłumaczyła: „Czy pan naprawdę mnie nie zrozumiał, czy tylko udaje, że jest niespełna rozumu?”, co zabrzmiało jeszcze gorzej. Pułkownik zrobił się czerwony. Ludvig podszedł do stołu, zebrał rozsypane naboje i włożył je starannie do bębenka. Potem spojrzał na wojskowego.

– Nic się tu nie wydarzyło, jasne? – wycedził. – Cela dla tej pani... Porządna...

Kobieta tłumaczyła. Alicja widziała oburzenie na twarzy mężczyzny.

– Ja... – zaczął.

– Dobrze, że pan się zgadza – uśmiechnął się Ludvig. – Naprawdę dobrze... A ta druga pani ma zniknąć na zawsze albo dostać całkowitej amnezji. Podobnie ci panowie, którzy tu pomagali sprzątać. I wszyscy, którzy widzieli mnie albo ją. – Wskazał palcem na Alicję. Rozumiemy się?

Alicja odwróciła głowę, chcąc dodać kobiecie otuchy. „Nie zabiją cię, chciała jej powiedzieć, przeniosą gdzieś do innej pracy, może nawet do ministerstwa. Jak będziesz siedziała cicho, a pewnie będziesz, bo masz dzieci, nic ci się nie stanie. Nie obawiaj się pana pułkownika. Zapewne znajdą go za jakiś miesiąc, góra dwa, nieżywego w rowie i oskarżą o to imperialnych bandytów...”.

Nie mogła jednak tego powiedzieć. Ze współczuciem obserwowała, jak kobieta z wysiłkiem tłumaczy wyrok na samą siebie, a potem bezwiednie oddaje mocz ze strachu.

– Wyjść – wycedził Ludvig.

Pułkownik wyjął z kieszeni munduru wielką kraciastą chustkę i otarł pot z czoła. Zaczeska, którą miał na ciemieniu, odsunęła się i zawisła smętnie nad prawym uchem. Nawet jeśli mężczyzna chciał coś powiedzieć, to się powstrzymał. Wycofywał się z pokoju tyłem, jakby w obawie, że Ludvig strzeli mu w plecy. Kobieta za to stała przyrośnięta do podłogi, nie czując najwyraźniej ani mokrych pończoch, ani pogardliwego spojrzenia Ludwiga. Wreszcie ukloniła się sztywno, zrobiła krok w tył i nagle padła zemdlona na burą podłogę. Ludvig zbliżył się do Alicji. Nie wstała, ale nie odwróciła też wzroku.

– Bywaj, Alino Charme... – powiedział w końcu.

– Nazywam się Alicja Księgopolska – odpowiedziała.

– To zależy tylko od powodzenia naszej misji – odparł, a potem wyszedł z pokoju przesłuchań, omijając ciało zemdlonej tłumaczki i protokolantki.



Czekała w celi tydzień. Przynajmniej tak jej się wydawało, bo w wąskiej klitce nie było okna. Światło paliło się przez dwanaście godzin, a potem gasło. Ale ciemności było mniej niż pół dnia, trudno jej było precyzyjnie policzyć, bo kiedy wrzucono ją z powrotem do ponurego pomieszczenia, zasnęła głęboko na wąskim sienniku, ignorując dobiegający z sedesu zapach moczu i pchły skaczące po worku wypchanym słomą, który miał jej służyć za posłanie. Nie umiała potem powiedzieć, ile czasu spała. Zbudziła się tak zmęczona, jakby ją torturowano, co zrzuciła na karb brudnego siennika, mimo że podczas podróży z cyrkiem spała w znacznie gorszych warunkach. Przynajmniej w celi nie było szcurów, pocieszała się, chociaż biegały karaluchy większe niż chrząszcze z Kodorowa. Karmili ją rzadką zupą, najgorszą, jaką w życiu jadła, włączając wywary na końskiej skórze albo wodę ugotowaną jedynie na cebuli z dodatkiem

roślin, które tylko z wyglądu przypominały lebiodę. Nikt jej nie zapraszał na przesłuchanie. Czekwała cierpliwie. Po siedmiu dniach usłyszała szcęk potężnej sztaby zamykającej celę, drzwi uchyliły się i do środka wszedł Ludvig. W ręku trzymał ubranie, w którym ją zatrzymano. Podał je Alicji i rzucił krótko:

– Ubieraj się.

– Odwróć się – odpowiedziała spokojnie.

Nie poruszył się nawet. Westchnęła i nie spuszczać z niego wzroku, zdjęła brudną koszulę, a następnie zsunęła sztywne od potu i kurzu spodnie. Przez ułamek sekundy stała przed nim zupełnie naga. Potem włożyła ubranie, które jej przyniósł. Pochyliła się, żeby zawiązać buty.

– Długo ci to jeszcze zajmie? – spytał. – To nie bal w Operze Wiedeńskiej...

– Jestem gotowa – powiedziała. Czuła się obrzydliwie, wkładając na brudne ciało czyste ubranie.

Do celi weszło dwóch mężczyzn. Ustawili się po bokach drzwi i nie patrząc na Alicję ani na Ludviga, powiedzieli:

– Obywatelu majorze, wszystko gotowe.

– Świetnie – burknął Ludvig i skinął na nią. – Idziemy. Tylko nie próbuj żadnych numerów.

Nie zamierzała. Na więziennym dziedzińcu wsiadła do czarnej wołgi z przyciemnianymi szybami i gniotąc się między Ludvigiem a wysokim funkcjonariuszem SB, odbyła męczącą ośmiogodzinną podróż, która, jak się zorientowała, wiodła w kierunku granicy zachodniej.



– Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, jaki jest plan? – spytała, gdy weszli do pokoju hotelowego w Lubaniu Śląskim. Dwóch funkcjonariuszy bezpieczeństwa pozostało w aucie zaparkowanym przed hotelem. Wydawało się jej to dosyć dziwne. – Bo przyznaję, że nic z tego nie rozumiem – dodała.

Położył palec na ustach i zbliżył się do niej.

– Plan jest taki, że odpoczywamy, spędzamy tutaj noc, a rano ruszamy na zachód... Na wschodni zachód...

– A bliższych szczegółów mam się domyślić, tak? – spytała ironicznie.

Wciąż była napięta jak struna, gotowa go zaatakować, a potem zniknąć na zawsze. Musiał mieć tego świadomość, bo nie odwracał się do niej tyłem, nie luzował napiętych ramion. Gdyby zechciał wtajemniczyć ją w swój plan, mieć ją jako tymczasowego sojusznika, byłoby lepiej. Chociaż kto wie? Musiałaby się zgodzić na cokolwiek, a to znaczyłoby, że przebacza, nawet nie, że usprawiedliwia jego czyny, te z Paryża i ostatnie morderstwo, dokonane na jej oczach na osobie Caaza.

– Weź kąpiel, Alino Charme, bo niezbyt ładnie pachniesz... – podsunął.

Wzruszyła ramionami, dodając, że w celi nie było jej ulubionego mydła różanego, dlatego się nie kąpała.

– Tu też nie będzie, ale mogę umyć ci plecy... – Na jego twarzy zagościł pełen uśmiech.

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– Nie patrz tak na mnie – burknął. – Wiem, że gdybyś mogła mnie zabić, zrobiłabyś to już dawno.

– Nic nie wiesz – odpowiedziała.

Odwróciła się i weszła do zimnej łazienki wyłożonej białymi kafelkami na ścianach i czarnymi na podłodze. W rogu stała emaliowana wanna na nóżkach. Zatkąła wannę korkiem i odkręciła ciepłą wodę. Ludvig wyszedł z łazienki, ale nie zamknął za sobą drzwi. Zobaczyła, jak podchodzi do drzwi wyjściowych i barykaduje je krzesłem, wcześniej zamykając na klucz. Kiedy wrócił, siedziała już w gorącej wodzie i trzymała w ręku skrawek szarego mydła, które leżało na brzegu wanny. Umyła się pod jego okiem, wypuściła brudną wodę z wanny, a potem zatkąła ją i ponownie napuściła ukropu.

– Że też się nie roztopisz pod wpływem takiej temperatury – mruknął. Stał pod ścianą ze skrzyżowanymi rękoma na piersiach.

– Zawsze lubiłam gorące kąpiele – odpowiedziała, przymykając oczy. – Zdejmij to odzienie, to nie będzie ci gorąco.

Zdjął jedynie kurtkę i sweter, a potem przysiadł na brzegu wanny. Wziął gąbkę do ręki. Pochyliła się do przodu. Sztuczna gąbka drażniła jej ciało, więc odrzucił ją i mył ręką, dotykając centymetr po centymetrze najpierw skóry pleców, potem szyi, wreszcie piersi, brzucha, nóg i rąk. Kiedy skończył, ona poczuła rozczarowanie. Wstała i pozwoliła się osuszyć ręcznikiem szorstkim jak tarka.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – powiedział cicho.

– Ja za tobą także – odparła.

Łóżko było twarde, a pościel zbyt mocno wykrochmalona, ale Alicja tego nie czuła, umierając i ożywając co chwila w jego ramionach.

– Jaka ona jest? – spytał, kiedy tulił ją ledwo żywą ze zmęczenia po kilku godzinach uniesień. – Nasza córka... Jaka ona jest?

– Nie widziałeś na zdjęciu? – spytała. – Zrobiłam je w zeszłym roku, w Berlinie...

– Wiem, gdzie je zrobiłaś... – odchylił delikatnie jej głowę i spojrzał w oczy. – Na początku szukałem was właśnie tam, ale coś mi mówiło, że nie wysłałabyś zdjęcia zrobionego w Berlinie, jeśli mieszkałabyś w tym mieście. Jesteś na to za sprytna. Dopiero potem znalazłem trop we Florencji.

– Jaka jest Danielle? – powtórzyła, kładąc głowę na jego piersi i słuchając bicia serca. – Miła, dobra, bardzo bystra, pracowita... Niepodobna ani do mnie, ani do ciebie... Sam widziałeś na zdjęciu.

– Już ci mówiłem, że zdjęcie nic nie mówi o człowieku... – Zakaszłał sucho, a ona oderwała głowę od jego piersi i spojrzała niespokojnie.

– Ludvigu... – zaczęła.

– Mam wszystkie twoje zdjęcia, wiesz? – powiedział szybko. – Szukałem ich latami, ale znalazłem...

Uśmiechnęła się smutno i pokręciła przecząco głową.

– Nie wierzysz... Mam te, które pozostawiłaś u Hummela. – Błądził ustami po jej twarzy. – Stary szelma nie dał ci wszystkiego, co zrobił. Odkupiłem je po wojnie od jego wnuka. Kosztowały fortunę...

– Wyglądam na nich staro... – Położyła się na plecach i wpatrzyła w sufit.

– Bardzo staro – zgodził się, a potem przewrócił się na bok i oparł biodrem o jej biodro. Jedną ręką podparł głowę, a drugą położył delikatnie na jej piersi. – Na zdjęciach hrabiego Ostroroga wyglądasz o wiele, wiele lepiej...

Strąciła go na plecy i usiadła okrakiem na jego brzuchu.

– Nie masz dość? – jęknął.

– Skąd...? – spytała zdumiona. – Skąd ty wiesz o tych zdjęciach? Nigdy ci...

– Oczywiście, nigdy mi nie mówiłaś... Niewiele sobie w tamtym czasie powiedzieliśmy, a i większość z tego, co wypłynęło z naszych ust, to były zwyczajne kłamstwa.

Przypomniała sobie, jak złapała się na myśli, że jest w nim zakochana, i zastanawiała się, czy mogłaby go prawdziwie pokochać, gdyby nie wojna. Mogłaby, taka była wtedy jej odpowiedź, gdyby nie okazał się szpiegiem, nie zdradził Juliana, Caaza oraz jej. Nie dopuszczała zatem tej myśli do własnej świadomości. Nigdy jednak nie zadała sobie pytania, czy Ludvig albo lepiej – Laszlo – kochał ją – Alicję. Uznała za oczywiste, że udawał uczucie, aby osiągnąć cel. Potem przypomniała sobie rysunki, które znalazła w jego willi, tę delikatną kreskę, która narysowała jej twarz, pełne miłości cienie ołówka wokół oczu, i nie wiedziała już, w co ma wierzyć. Może ważne jest tylko to, co tu i teraz, pomyślała.

Złapał ją za biodra i delikatnie odsunął na bok, znów położył się koło niej i przycisnął do siebie. Jego wargi znajdowały się bardzo blisko jej warg, czuła jego oddech na swojej twarzy. Źrenice Ludviga się rozszerzyły.

– Kochałem cię wtedy – powiedział szeptem. – Kocham i teraz. Do szaleństwa. Mówię ci to, bo jest za późno. Na wszystko.

Dotknęła czołem jego czoła. Teraz powinna powiedzieć, że nigdy nie jest za późno. Tyle że wiedziała, że Ludvig Bernstorff ma rację.

– Ile ci zostało, Ludvigu?

Nie odsunął jej od siebie. Przeciwnie, przycisnął mocniej. Jego wargi znajdowały się teraz w pobliżu jej ucha.

– Ty, lekarz, pytasz mnie o takie sprawy?

– Odpowiedz – poprosiła.

– Nie wyraziłem zgody na operację – szepnął jej do ucha. – Lekarz powiedział, że guz płuca nie jest duży, chociaż usytuowany blisko dużych naczyń krwionośnych, ale przy zabiegu mam jakieś szanse. Dwadzieścia procent, tak powiedział. W przeciwnym przypadku daje mi góra rok. To było dwa miesiące temu...

– Dlaczego się nie zgodziłeś? – spytała gwałtownie, podejrzewając, że zna odpowiedź.

– Zgodziłem się. Tyle że wtedy mój człowiek w Paryżu dał mi znak, że pod obserwowany adres przyszedł podejrzany list. Uciekłem niemalże ze stołu operacyjnego. Nie mogłem stracić czasu. Musiałem cię odnaleźć. A nawet gdybym jakoś cudem zdołał powstrzymać to pragnienie, żeby cię znów zobaczyć... Wtedy wpadł Caaz... Przez tyle lat nam się udawało, pracowaliśmy spokojnie, nikt nawet nie podejrzewał... On, pod przykrywką w Polsce, ja niczym gwiazda filmowa robiłem wokół siebie wiele hałasu. Agent Laszlo, najlepszy agent KGB, i jego alter ego, agent Ludvig, który eliminował po kolei swoich rosyjskich kolegów. Byliśmy najlepszymi agentami na rzecz Stanów Zjednoczonych po przeciwnych stronach barykady. I nagle... idiotyczna wpadka... Co miałem robić? Co ty byś zrobiła na moim miejscu?

– Sprawa jest ważniejsza, prawda?

– Powiedz mi, że ty zostawiłabyś i przyjaciela, i sprawę. I nie spróbowałabyś odnaleźć osoby, którą

kochasz od lat do szaleństwa...

– Chciałam wrócić do pracy po urodzeniu Danielle. – Drgnęła. – Pytałam, czy mogę dostać przydział do Polski. Prosiłam o to już w Paryżu, zanim... Prosiłam...

Znów ją objął i przycisnął do siebie. Poczuła na piersiach jego skórę i objęła go ciasno nogami.

– Jestem im wdzięczny, że ci nie pozwolili... Wtedy w Paryżu ocalałaś cudem...

– Oboje mieliśmy szczęście. Uważałam, że powinnam kontynuować misję, że muszę...

– Nie... Jednostka się nie liczy. Nie ma ludzi niezastąpionych. Zobacz, czym jest zimna wojna...

– Przecież wiem, że świat zwariował, a nikt nie może być neutralny – broniła się. – Tylko że... tylko że... Tyle razy chciałam wrócić do Polski, ale... Dopiero teraz... I wcale nie czuję, jakbym była u siebie...

Uniósł się na łokciach.

– Czemu tu przyjechałaś? Mogłaś zniknąć, zabrać córkę... Przecież wiem, do czego jesteś zdolna...

– Mogłam zniknąć, owszem, ale Danielle nie wyciągnęłabym z Bułgarii. No i był jeszcze Caaz, który nie raz uratował mi życie. Caaz, któremu wprawdzie nie można było pomóc, ale miał przecież żonę i córkę.

– I nie byłaś do końca pewna moich intencji, prawda?

– Ludvigu... – powiedziała cicho. – Czy ty sam jesteś pewien swoich intencji? Przecież przyjechałeś tu po to, żeby zabić Caaza...

– Przecież wiesz, że on był trupem w chwili, kiedy dostał się w ich łapy... – W oczach Ludviga zamigotał gniew, który dobrze znała z czasów, kiedy spotkała go w Paryżu. – Wszystko, co mogłem zrobić...

– Caaz by mnie nie wydał. Ani ciebie...

– Myślisz, że gdyby był cień szansy na to, żeby go odbić, zawahałbym się? – spytał zdławionym głosem. – Że nie zaryzykowałbym swojego życia? Zaryzykowałbym nawet twoje! Wbrew wszelkiemu rozsądkowi!

Milczała.

– Myślisz, że by cię nie znaleźli tak czy inaczej? – kontynuował, podnosząc głos. – Twoi ludzie w Szwajcarii... Umieliby cię ochronić? Jesteś ich pewna?

Położyła mu palec na ustach.

– Nigdy się z nimi nie kontaktowałam. Przez dwadzieścia trzy lata nie pracowałam. Mówiłam ci to już. Wiesz dobrze...

– Ja cię znalazłem. Inni też mogli.

– Nie było żadnego powodu, żeby mnie szukać... – zaprzeczyła gwałtownie. – Było tak, jakby... mnie nie było. Jakbym naprawdę umarła, wtedy, w Paryżu.

– Wiem – zgodził się. – Ale tacy ludzie jak my nie giną bez śladu wtedy, kiedy chcą. Gینą wtedy, kiedy chcą tego ich wrogowie.

Przypomniała sobie oko Caaza, kiedy się z nią żegnał.

– Caaz... – rozpląkała się nagle. – Boże, Caaz. On zawsze wiedział, że przyjdzie taki dzień...

– Nie płacz. – Głos Ludviga był stanowczy. – Caaz był najodważniejszym człowiekiem, jakiego

poznałem w życiu. Ciebie zwykle wymieniałem na drugim miejscu. Nigdy nie spotkałem kobiety, która byłaby tak odważna jak ty.

– Teraz już taka nie jestem... Żyłam spokojnie, wychowując córkę. Z Caazem nie skontaktowałam się ani razu. Będę tego żałowała do końca życia.

– Niepotrzebnie. On tego nie chciał. Dobrze wiesz.

Ludvig miał rację. Caaz wiedział, że nie powinna nigdy się z nim spotkać dla swojego dobra i bezpieczeństwa wszystkich, którzy ryzykowali dla niej życie.

– To on mnie zwerbował, wiesz? – powiedział Ludvig. – Miał wykonać wyrok śmierci, ale... To dzięki niemu stałem się tym, kim jestem teraz. Wszystko, co mogę zrobić, to znaleźć tego, kto go wsypał, i rozwalić mu łeb.

Ludvig zaczął kaszleć. Położyła mu rękę na piersi, jakby tym gestem mogła powstrzymać toczący ją nowotwór.

– Tylko w jedno nigdy nie mogłem uwierzyć. Przysięgał na wszystkie świętości, na miłość do ciebie, do córki... że nie wie, gdzie jesteś. Kłamał, prawda?

– Tak, kłamał. – Łzy płynęły jej z oczu wartkim strumieniem. – Wiedział, gdzie mnie szukać.

– Nie płacz, kochanie. – Ludvig pocałował ją w czoło. – Caaz wiedział, że nie ma innego wyjścia. On to wiedział... I nie po to zginął, żebyśmy się teraz rozklejali.

Zasnęła dopiero nad ranem.



ROZDZIAŁ XIV

Kiedy otworzyła oczy, siedział nagi na brzegu łóżka i patrzył na nią.

– Przypominasz tę aktorkę, której dali Oscara za *Rzymskie wakacje*– powiedział.

– Audrey Hepburn? – spytała, wychodząc z pościeli. – Skąd... Nie jestem do niej podobna.

– Nie wyjaśniłaś mi jeszcze zagadki swojego niezmiennego się wyglądu... – Przygarnął ją do siebie i pocałował.

– Nie mam pojęcia – powiedziała szczerze. – Od lat próbuję to zrozumieć. Dlatego pracuję w szpitalu, studiuję budowę ludzkiego mózgu i pewnie będę to robiła do końca życia. Może sprawiły to elektrowstrząsy, którymi „leczono” mnie w Wiedniu... Albo piorun, który uderzył we mnie jeszcze w Kodorowie? Nie wiem...

– Nie starzejesz się... – powiedział z zadumą w głosie. – To nienormalne...

– Diabelskie – oznajmiła, uwalniając się z jego ramion. – Starzeję się, tyle że bardzo wolno. Ma to swoje minusy, bo będę musiała niedługo zmienić tożsamość... I swoje plusy, bo... będę musiała zmienić tożsamość...

– Myślałaś już o szczegółach?

Pokręciła przecząco głową.

– Myślę tylko na kilka godzin naprzód. Nie wymagaj ode mnie, żebym planowała lata... Może zostanę w Polsce, a może nie...

Milczał, patrząc na nią intensywnie.

– Jesteś gotowa? – spytał.

Uśmiechnęła się lekko. Czuała się silna. Przypomniała sobie siebie sprzed paru godzin, niepewną, użalającą się nad sobą, płaczącą. Jeśli to wszystko ma się skończyć, ma ochronić Danielle i rodzinę Caaza, musi być skupiona i gotowa na każdą ewentualność.

– Człowiek nigdy nie jest gotowy na własną śmierć, nie sądzisz?

Nie odwzajemnił uśmiechu.

– Jestem gotowa – oznajmiła. – Omawialiśmy to szczegółowo. Sierioza nie może przejść tym mostem na drugą stronę. Za żadną cenę. W razie wpadki ty go zabijesz, a ciebie... – zawahała się – Zabiję ja.

Na jego twarzy nie poruszył się ani jeden mięsień.

– Tak, Ludvigu – powiedziała, chociaż głos jej się załamał. – Zrobię to dla ciebie. Nie chybię, bez obaw...

Dopiero wtedy pokiwał głową.

– Kto zlikwiduje mnie? – spytała rzeczowo.

– Nie musisz tego wiedzieć. – Spojrzał w bok. – Jest jeszcze coś...

Podszedł do okna i dyskretnie uchylił firankę. Na dole stała wołga, a w niej dwóch funkcjonariuszy,

k którzy im towarzyszyli. Ludvig nie pozwolił im na spanie w pokoju hotelowym, mieli czuwać na zmianę i meldować o ewentualnych trudnościach.

– Być może będę musiał zlikwidować ludzi od ciebie...

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – powiedziała szybko. – Biorę ich na siebie.

Franek mówił jej, że do Polski przyjedzie za nią dwóch ludzi. Nie miała pojęcia, kim będą i jak ją zlokalizują. Poza tym nikt do tej pory się nie ujawnił.

– Jeśli spróbują „odbić” ciebie z moich rąk, to... – nie dokończył.

– Biorę ich na siebie – powiedziała. – Lepiej powiedz mi, jak zaplanowałeś przerzut rodziny Caaza...

– Bardzo dokładnie – odrzekł. – Teresa jest... bardzo cenną agentką. Nie można ich jednak ruszyć z Warszawy, zanim we dwójkę nie wejdziemy na most Glienicke. Inaczej cała akcja spali na panewce i wszyscy zginiemy.

Wyciągnęła rękę. On złapał jej dłonie i uścisnął. Potem przyciągnął ją do siebie.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że cokolwiek się stanie, ja...

Pocałowała go szybko, a potem odsunęła się, kładąc mu palec na wargach. Już dość sentymentów, pomyślała, już dosyć zapewnień.

– Przydałaby się kawa – powiedziała spokojnie, zapinając sweter i sprawdzając broń. Za pasem miała sześciostrzałowiec, na łydce nóż. Nienawidziła noży. Nawet kiedy miała pokroić steki na obiad, widziała w wyobraźni Zafiro, który zabija Majolikę. Na szkoleniu uzyskiwała najslabsze wyniki w rzucaniu nożem do tarczy, czego nie mogli zrozumieć jej przełożeni, zważywszy na to, jak precyzyjnie posługiwała się bronią palną wszelkiego rodzaju.

– Zaraz przyniosę – mruknął Ludvig i odsunął krzesło, którym wcześniej unieruchomił drzwi. Szeptem spytał: – Gotowa?

Ponownie skinęła głową, a następnie wycofała się do łazienki. Usłyszała trzaśnięcie drzwi, a potem poślizgnęła się na kafelkach i uderzyła głową w szafkę. Syknęła z bólu. Dotknęła włosów i spojrzała na rękę. Była cała czerwona. Zachwiała się na nogach, a potem upadła na podłogę i znieruchomiła z szeroko otwartymi oczami. Drzwi rozwarły się po dwóch minutach. W progu stanęło dwóch wysokich mężczyzn. Omiotli leżącą Alicję wzrokiem.

– Zlikwidował ją! – wykrzyknął jeden z nich. – Zlikwidował, kurwa mać!

– Czego się drzesz? – Drugi opuścił pistolet. – Wyręczył nas.

Ukląkł przy Alicji, a ona nie czekając, aż zacznie sprawdzać jej puls, „ożyła”: złapała mężczyznę za kark i zasłoniła siebie jego ciałem. Drugi zdążył strzelić, trafiając kolegę w pierś. Przerażony, spojrzał na swój pistolet, jakby ten go zdradził. Alicja szybko wyjęła nóż i rzuciła. Mężczyzna zachwiał się i runął, rozbijając drzwi. Błyskawicznie wyjęła trupowi z kieszeni dokumenty, zsunęła ciało na bok, wyciągnąwszy nóż z piersi drugiego trupa, potem odkręciła kran i zmyła „krew” z twarzy i głowy. Wypłukała też ostrze i schowała nóż do skórzanej pochwy na łydce. Wciągnęła drugie ciało do łazienki, również przeszukała kieszenie denata, zabrała mu portfel, prawo jazdy, legitymację funkcjonariusza SB, po czym zamknęła drzwi. Wyszła z pokoju, nie rzucając nawet okiem na skołtunioną pościel. Strzał był dość głośny i mógł go usłyszeć ktoś w recepcji albo restauracji, nie mogła ryzykować. Pobiegła korytarzem, potem schodami, mijając jedynie małą dziewczynkę, która skakała ze stopnia na stopień,

skupiona na swojej czynności. Naciągnęła czapkę naoczy i skręciła w dół, do kotłowni. Przebiegła ją i wyszła tylnym wyjściem. Ludvig czekał na nią w czarnej wołdze.

– Gdzie oni są? – spytała.

Pokazał głową na bagażnik.

– A twoi?

– W łazience – powiedziała i czując na sobie wzrok pełen dezaprobaty, mruknęła: – Co miałam z nimi zrobić?... Zabrałam tylko dokumenty. Byli po cywilnemu. To może trochę opóźnić ewentualny pościg.

Ruszył z piskiem opon.

– Nie chciałem zostawiać ciał na widoku – mruknął. – W końcu ci dwaj są umundurowani. Wyrzucimy ich po drodze.

Skręcił gwałtownie w las za Lubaniem. Zatrzymał się w głębi i wyjął ciała milicjantów z bagażnika.

– Oni mieli żony, dzieci... – mówiła, przykrywając ciała darnią.

– I niejednego z żoną i dziećmi na sumieniu – burknął Ludvig. – Zwłaszcza ten z zakolami. – Wskazał na wyższego z oficerów. – Wierz mi, przydzielono go nam, bo jest najlepszy.

W milczeniu dojechali do granicy w Zgorzelcu. Tam Ludvig wysiadł i ignorując kolejkę samochodów, podszedł do wopisty i zagadał do niego po rosyjsku. Mężczyzna wyraźnie się stropił i kalecząc język, próbował odpowiedzieć na jego pytania. Alicja wysiadła z samochodu i podeszła do rozmawiających.

– Czy ja mogłabym w coś pomóc, bo mąż nie mówi po polsku? – spytała w języku Sienkiewicza.

– Poproszę państwa dokumenty – powiedział mężczyzna z wyraźną ulgą.

Ludvig wręczył mu swój paszport. Dokumenty zadrżały w rękach wopisty.

– *Tawariszcz major* – bąknął. – *Izwinitie... Prosim was i waszu żenu...* To znaczy... Bez kolejki prosimy...

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Bardzo pan miły – powiedziała. – Poczekaliibyśmy...

– Ależ nie... nie... – sumitował się chłopak.

Wsiedli do samochodu. Ludvig ruszył powoli. W lusterku wstecznym zauważyła, że mężczyzna wchodzi do dyżurki i zaczyna rozmawiać przez telefon.

– Nie przyspieszaj – powiedziała. – Nawet jeśli kazali mu zatrzymać nas za wszelką cenę... Już na to za późno...

Wopista rzucił słuchawkę i wybiegł z kantorka. Biegł za nimi, zdejmując z ramienia karabin.

– Może nie zaryzykuje strzelaniny... – powiedział spokojnie Ludvig i zatrzymał się przed budką celną Niemców.

– Niemiecka Republika Demokratyczna – oznajmiła Alicja, wysiadając z samochodu.

– Stać! Stać! – wołał za nimi chłopak.

Niemcy wpatrywali się w biegnącego żołnierza straży granicznej ze zdumieniem. Podszedł do nich Ludvig i zniknął wewnątrz budki, ignorując biegnącego. Chłopak dotarł do samochodu i wycelował karabin w kierunku Alicji.

– Stać w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – rzucił zdyszany.

– Odejdź stąd, chłopcze, jeśli ci życie miłe – powiedziała Alicja, patrząc ze współczuciem na drżący karabin w rękach młodego żołnierza. Prawdopodobnie nigdy nie był w niebezpiecznej sytuacji i nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. Było jej go żal.

Ludvig kończył rozmowę z niemieckim celnikiem. Alicja intensywnie wpatrywała się w wopistę z karabinem, który wyglądał dość śmiesznie z uniesioną bronią i niepewną miną.

– Odejdź stąd – powtórzyła z naciskiem. – Już nas przepuściłeś przez granicę... Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

Niemiecki celnik wpatrywał się na przemian to w Ludviga, to w polskiego kolegę. Ludzie stojący w kolejce do odprawy wyglądali z samochodów. Najbardziej ciekawi byli kierowcy ciężarówek, dla których taka akcja stanowiła swoistą rozrywkę. Niemiec oddał Ludvigowi paszport, a sam ruszył w stronę Polaka. Alicja spojrzała na Ludviga. Ten skinął głową, a wtedy ona podeszła do samochodu i wsiadła.

– Co mu powiedziałaś? – spytała.

– Coś ogólnie o naszej misji – odpowiedział, patrząc uważnie na jezdnię, którą pokrywała warstewka śniegu.

Alicja spojrzała w lusterko. Wopista zdążył opuścić karabin i słuchał ze schyloną głową tego, co mówił Niemiec. Prawdopodobnie tłumaczył mu, żeby wrócił do swojej budki i zawiadomił przełożonych, że nic nie mógł zrobić, aby zatrzymać podejrzanych.

– Nie spodziewasz się niemieckiego ogona? – spytała.

– Oczywiście, że się spodziewam – odpowiedział i skręcił w stronę jakiejś wsi, która majaczyła po lewej stronie drogi.

– Mam nadzieję, że opony wytrzymają. – Położyła na chwilę dłoń na jego dłoni opartej o drążek do zmiany biegów.

– Muszą. W końcu to dobre ubeckie auto...



Do Berlina Wschodniego dotarli późnym wieczorem. Wysiedli na przedmieściach i porzucili samochód nie bez żalu w bocznej uliczce. Resztę drogi pokonali pieszo. Był mróz i padał gęsty śnieg. Alicja od czasu do czasu zerknęła za siebie, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Ludvig obejmował ją w pasie. Nic nie mówił, a ona nie pytała, wiedząc, że na szczegółowe wyjaśnienia przyjdzie jeszcze czas. Kluczyli ulicami, zapuszczając się w peryferyjne dzielnice. Wreszcie stanęli przed kilkupiętrowym blokiem z numerem dwadzieścia trzy wymalowanym brązową farbą.

– Dzielnica milicyjna – mruknął Ludvig. – Tu nas raczej nie będą szukać.

– Żebyś się nie pomylił – powątpiewała. – Znajdą twoje stare kontakty.

– Tego nie znajdą – odpowiedział, po czym pchnął drzwi i szybko pobiegł na trzecie piętro. Alicja ruszyła za nim.

Zapukał do drzwi. Chwilę stali nieruchomo, a potem ktoś uchylił wizjer, po czym szybko go zamknął. Ach, te kraje demokratyczne, pomyślała Alicja z przekąsem. Taka wolność tu panuje i szczęśliwość, a barykadują się jak przed złodziejami.

– To dla ochrony przed tymi myślącymi inaczej – powiedział Ludvig po francusku, jakby czytał jej w myślach.

W końcu drzwi się otworzyły i Alicja razem z Ludvigiem weszli do środka. Znaleźli się w wąskim korytarzu wyłożonym na podłodze parkietem. Ściany były obite boazerią pomalowaną bordową bejcą. W głębi stała wysoka, ładna ciemnowłosa kobieta i patrzyła na nich uważnie.

– Kto to jest? – spytała, jakby Alicji wcale z nimi nie było.

– Ona – zwięźle odpowiedział Ludvig.

– Ta, co umarła w czasie wojny w Paryżu? – upewniła się kobieta, unosząc gęste brwi.

– Ta sama – potwierdził Ludvig.

Pociągnął Alicję w głąb mieszkania do niewielkiego pokoju z tapczanem, dywanikiem na podłodze i lampką nocną na stoliku. W kącie stał telewizor na długich drewnianych nóżkach. Alicja spojrzała pytająco na Ludviga.

– Rozgość się – powiedział, a potem zostawił ją w pokoju i wyszedł do gospodyni.

Rozejrzała się, zdjęła kurtkę i usiadła na brzegu tapczanu. Oparła głowę o podłokietnik, walcząc z sennością. Zza drzwi dobiegały ją lekko podniesione głosy. Ludvig uciszał tę kobietę, potem próbował uspokoić. Wy, mężczyźni, pomyślała sennie, uważacie, że można jednej kobiecie przyprowadzić drugą i kazać się nią zajmować, jakby nigdy nic... Wreszcie drzwi się otworzyły i powrócił. Starannie zamknął je za sobą.

– Zgodziła się? – spytała.

– Tak – mruknął. – To porządna kobieta.

– Jesteś pewien, że nikt nie połączy jej z tobą?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Na tyle, na ile mogę być pewien, to jestem – odpowiedział.

– Co ona o mnie wie?

– Tylko to, co powinna. – Popatrzył w bok. – I lepiej, żeby się nie zorientowała, że wczorajszą noc spędziliśmy razem.

– Dzisiejszą spędzisz z nią? – spytała dziwnie zazdrosna o tę wysoką kobietę, która miała uczucie do Ludviga wypisane na przystojnej twarzy.

– Chodź na kolację – powiedział.

Wstała z tapczanu i na dziwnie ciężkich nogach poszła za Ludvigiem do kuchni. Tutaj też panował wzorowy porządek. Na podłodze lśniły czystą szarością płytki PCV, a na ścianach wisiały białe szafki. Na środku stał kwadratowy stół, przykryty ceratą. Na nim leżały masło, pokrojony chleb i gorące parówki. W czajniczku zobaczyła herbatę, obok dzbanek z kawą. Nakryto na trzy osoby. Kobieta wskazała jej miejsce twarzą do wyjścia, w którym ktoś zdjął drzwi z zawiasów, a te pomalował na białą. Ludvig siedział po jej prawej stronie, kobieta po lewej, najbliżej kredensu i lodówki.

– Proszę – powiedziała. – Częstujcie się.

Po czym nałożyła Ludvigowi kilka parówek na talerz i polała sosem pomidorowym. Alicja poczuła zmęczenie. Mieli za sobą ledwo przespaną noc, przeprawę w hotelu, a potem wielogodzinną podróż

rozpoczętą incydentem na granicy. Najchętniej poprosiłaby o jakąś pościel i poszła spać, ale miała świadomość, że nie byłoby to zbyt grzeczne wobec gospodyni. Nałożyła sobie sama jedną najmniejszą parówkę i wzięła kawałek chleba. Kobieta nalała jej do szklanki herbaty, a sobie i Ludwigowi herbatę oraz wódkę do musztardówek. Alicja zdumiała się nieco. Nie miała ochoty na mocny alkohol, ale ten gest był niezrozumiały i niepokojący. Ludvig zdawał się tego nie widzieć.

– To za twoje zdrowie, Marina. – Uniósł kieliszek i wypił.

– Za twoje zdrowie – powiedziała kobieta i wypła potężny haust.

– Dziękuję, Marino, za gościnę – powiedziała Alicja najgrzeczniej, jak potrafiła, popijając herbatę.

Odpowiedział jej ni to uśmiech, ni to grymas. Po kilku kolejkach, podczas których Alicja wciąż zastanawiała się, czemu nikt jej nie częstuje, Marina dała jej wreszcie pościel i Alicja umyła się szybko w łazience, która była bliźniaczo podobna do tej w Lubaniu, także wyłożona czarnymi i białymi kafelkami, i poszła spać odziana we flanelową piżamę Mariny w czerwono-czarną kratkę. Marinie piżama najwyraźniej nie była potrzebna, pomyślała Alicja z przekąsem, kiedy z pokoju obok dobiegły ją jednoznaczne odgłosy.

W nocy Ludvig przyszedł do Alicji i położył się obok.

– Idź... – Odpędziła go ręką.

– Wybacz... – powiedział.

Chciała się roześmiać, ale nie mogła, pewnie z powodu zmęczenia albo świadomości, że zbudzi i rozgniewa gospodynię.

– Nie mam ci czego wybacząć. Można jej ufać?

– Można. To bardzo oddana agentka Stasi...

– Ludvigu...

– Ona mnie kocha, wiem o tym – powiedział uspokajającym tonem. – Wydała dla mnie swojego męża...

Uniosła się na łokciu. Po tylu latach przeróżnych doświadczeń i znajomości ludzkiej natury musiała przyznać, że pewnych spraw nigdy nie zdoła zrozumieć.

– Skąd zatem gwarancja, że nie wyda i mnie? Zrobi to z miłości do ciebie...

Pokręcił głową.

– Zabiłbym ją i ona o tym dobrze wie. Musi jej wystarczyć to, co jej daje. Muszę wracać...

– Czy ona wie, że ty...? – nie dokończyła.

– Że umieram na raka płuc? – wypowiedział te słowa lekko. – Nie wie. Nie ma pojęcia, że paznokcie przypominające szkiełka od zegarka świadczą o śmiertelnej chorobie płuc. Ty się zorientowałaś, bo jesteś lekarzem...

Pochyliła głowę. Czuła dziwny niepokój i chciało się jej płakać.

– Podobnie jak wtedy w celi zorientowałaś się, że umiem zakręcić bębenkiem rewolweru tak, aby kula zgodnie ze środkiem ciężkości spadła do najniższej położonej komory. Wiedziałaś, że się nie zabiję...

Poczuła, jak jego ręce unoszą delikatnie jej głowę. Kciukiem obrysował jej wargi, a potem delikatnie jej pocałował.

– Śpij – powiedział i cicho wyszedł.

Śniła się jej Danielle, szczęśliwa, roześmiana, biegnąca po łące w towarzystwie jej matki. Jej prawdziwej matki. Od razu zorientowała się, że to sen, ale usiłowała zatrzymać te dziwne, nieprawdziwe chwile blisko kobiety, której nigdy nie dane jej było poznać ani zrozumieć.

– Mamo... – jęknęła, kiedy kobieta puściła rękę wnuczki i zaczęła biec w stronę lasu.

Otworzyła oczy. Jeśli wyjdzie z tego żywa, musi wrócić do Kodorowa i zająć się rodzinnym grobem.

– Powinny być na ciebie dobre. – Usłyszała głos Mariny.

Kobieta stała nad nią, trzymając w ręku komplet odzieży. Alicja poczuła się niezręcznie, wiedząc, że Marina obserwowała ją podczas snu.

– Dziękuję – powiedziała i wzięła do ręki ubranie.

Marina wciąż stała. Alicja usiadła na brzegu tapczanu. Czuła się nieco ociężała, w głowie jej szumiało, chociaż nie została poczęstowana wczoraj alkoholem. Nie wiedziała, jak poprosić kobietę, żeby wyszła, nie sprawiając jej przy tym przykrości, ale nie chciała rozbierać się przy niej. Wreszcie wzięła ubranie i poszła w stronę łazienki. Na karku czuła spojrzenie Mariny. Ponownie umyła zęby proszkiem, starając się wyczyścić je palcem jak najstaramiej. W lustrze zobaczyła swoją bladą twarz i podkrążone oczy. Ubrała się we wszystko, łącznie ze sztywnym biustonoszem i barchanowymi majtkami. Swoje rzeczy zostawiła w pokoju. Kiedy wyszła z łazienki i udała się do kuchni, Ludvig i Marina już jedli śniadanie. Przysiadła się do nich bez słowa. Wzięła kromkę chleba, posmarowała cienko masłem i położyła na wierzch kawałek serka topionego. Popiła kawą zbożową, starając się nie okazywać obrzydzenia. Nie cierpiała zapachu cykorii. Kojarzył się jej z wojną i kryzysową kawą podawaną w Paryżu.

– Idźcie, ja sprzątnę – powiedziała w końcu Marina, chociaż Alicja nie dojadła swojej kromki. – I uważajcie na siebie.

Alicja dziwnie się czuła w cudzym ubraniu, zwłaszcza w szarej chustce na głowie zawiązanej pod brodą i okularach w rogowej oprawie. Nie dlatego, że te rzeczy były niewygodne, brzydkie i tak dalece różne od jej eleganckich strojów, ale dlatego, że nie czuła się w nich sobą. Tylko na nogach miała własne buty, bo stopy Mariny były dwa numery mniejsze od jej stóp. Chociaż tyle, pomyślała, zastanawiając się, czy taka maskarada naprawdę była konieczna. Ludvig także był przebrany w skromny garnitur, jak się domyśliła Alicja, po mężu Mariny, który oddał życie za to, żeby Marina mogła być z Ludvigiem. Tyle że jego ofiara nie wygrała ze wspomnieniem Ludviga o niej. Czy wszystkie wschodnie Niemki są takie, czy tylko te, które zakochują się w podwójnych agentach?

Szli blisko muru berlińskiego. Alicja kątem oka obserwowała żołnierzy na wartowniach z gotowymi do strzałów karabinami na wypadek, gdyby jakiś szaleniec zdecydował się przefrunąć nad wysoką i zwieńczoną drutem kolczastym konstrukcją. Koło nich ludzie spieszyli się do pracy i nie zwracali uwagi na sam mur, a nawet na zapalone latarnie mimo wstającego już dnia. Zaczął sypać śnieg. Ludvig, trzymając ją mocno za ramię, skręcił w boczną ulicę, następnie w jeszcze jedną i kolejną. Wszedł do jednej z bram i zamknął za sobą ciężkie metalowe drzwi. Przycisnął ją do ściany, objął ramionami i mocno pocałował. W pierwszej chwili próbowała się wyrwać, uznając, że to nie czas i miejsce na czułości. Ale usłyszała skrzypnięcie drzwi i zobaczyła opatuloną kobietę, która weszła do bramy z siatką pełną zakupów. Przytuliła się więc do niego szybko i wargami objęła jego wargi. Całując się, poczekali, aż kobieta ich minie, potem Ludvig oderwał się od Alicji, wziął ją za rękę i pociągnął w kierunku

wejścia, za którym tamta zniknęła. Alicja posłała mu pytające spojrzenie. Ludvig nie odpowiedział, za to otworzył szeroko drzwi i złapał kobietę za poły płaszcza. Ta błyskawicznie odrzuciła siatkę z zakupami, odwróciła się i kopnęła Ludviga w udo. Ludvig jęknął i się pochylił. Alicja zrobiła krok do przodu, a napastniczka wyprostowała się z triumfującą miną. Tymczasem Ludvig uderzył ją głową w brzuch, odrzucając do tyłu. Trafiła potylicą w rurę, która biegła na klatce schodowej, i znieruchomiła, zamroczone. Przeszukał ją szybko, ale nie miała w kieszeniach żadnych dokumentów.

– Ludvig – syknęła Alicja. – To pewnie jakaś miejscowa bohaterka. Myślała, że ją napadasz, i się broniła... Po co ci to było...

W korytarzu panował półmrok i Alicja niewiele widziała. Ludvig bez słowa odchylił poły płaszcza napastniczki i podniósł bluzkę. Oboje z Alicją zmarszczyli brwi. Zobaczyli umięśniony tors. Ludvig wyjął fiolkę i strzykawkę z kieszeni, sprawnie wbił igłę w żyłę i zrobił zastrzyk.

– Według ciebie tak wygląda zwyczajna miejscowa kobieta? – mruknął. – To powinno zatrzymać ją na kilka godzin, a potem zafundować niepamięć wsteczną – dodał.

Z trudem wziął bezwładne ciało na ręce i zniósł do piwnicy. Alicja szybko otworzyła wytrychem drzwi. Ułożyli napastniczkę na ziemi, na kocu, który ktoś zostawił dla kotów.

– Jesteś pewien, że ona przeżyje? – Spojrzała wymownie na wybitą szybkę w małym oknie.

– Nie rozumiem – mruknął Ludvig. – Chcesz, żeby przeżyła, czy wręcz przeciwnie...

– Nie wiem, czy to nie ten ogon...

Znieruchomieli, z głębi dobiegł ich jakiś dźwięk.

– Raczej miejscowa bohaterka na usługach socjalistycznej władzy. – Ludvig obszedł piwniczne pomieszczenia. – Ogon by się nie panoszył w Berlinie.

– Chyba że byłaby tutejsza – powiedziała. Zza nóg Ludviga wyszedł wyliniały czarny kot i otarł się o jego nogi. Przypomniawszy jej Quasimodo. Miała nadzieję, że nikt go nie skrzywdził.

– Na pewno nikt nie skrzywdził tego twojego paryskiego sierściucha – mruknął Ludvig, jakby znów usłyszał jej myśli. – Był sprytniejszy niż niejeden człowiek.

– I uratował mi życie – powiedziała, kiedy starannie zamykali drzwi, zatraskując zamek kłódki.

Ponownie wyszli na ulicę. Biuro polityczne Partii Demokratycznej Niemiec było tuż za rogiem.



– Chcemy się zobaczyć z panem Ernstem Kirschensteinem – powiedział grzecznie Ludvig, uchylając kapelusza w typie borsalino.

– A w jakiej sprawie? – spytała sucha Niemka, obrzucając ich niechętnym spojrzeniem.

– Towarzyszko... – Ludvig pochylił się i posłał kobiecie jedno ze swoich uwodzicielskich spojrzeń. – Ruszcie dupę i uprzedźcie Ernsta, że przyszliśmy.

Kobieta wstała natychmiast i ciskając gromy, zwróciła się do Ludviga:

– Ja sobie nie pozwolę...!

– Co tu się dzieje, Irino? – Na szczycie schodów Alicja zobaczyła wymoczkowatego mężczyznę chudego jak wiór, z rzadkimi włosami na głowie sterczącymi na wszystkie strony. Wyglądał niczym strach na wróble.

– Towarzyszu – wydyszała kobieta. – Ja nie pozwolę...

– Ladislavus... – zdumiał się mężczyzna, przyjrzawszy się Ludvigowi. – Proszę, proszę... Panno Irino, prosimy o dwie kawy...

Kobieta zastygła z oburzeniem na twarzy, ale tylko westchnęła, poprawiła czerwony krawat i wykręciła numer, wściekle uderzając palcem w dziurki plastikowego cyferblatu telefonu.

– Dwie kawy do pokoju towarzysza Kirschensteina. – Usłyszała jeszcze Alicja, dziwnie pewna, że znów nikt jej nie zamierza poczęstować.

– Co cię tu sprowadza, Ladislavus? – spytał, kiedy wprowadzono ich do gabinetu.

Ludvig zajął miejsce naprzeciwko masywnego biurka, mężczyzna zwany Ernstem siedział naprzeciwko. Jej wskazał krzesło stojące z boku, prawie na końcu pokoju. Pewnie to oznacza, że mam się nie odzywać, pomyślała. Tylko po co mnie tu ciągnął? Po co narażał na ewentualny atak kogoś, kto mógł nas śledzić? Mogłam przyjść dopiero na most Glienicke. Po co takie przedstawienie? Pomyślała, że Ludvig jest osłabiony chorobą. Może potrzebował jej zwyczajnie jako osoby, która w razie potrzeby stanie u jego boku i będzie walczyła, gdyby zostali napadnięci. Widziała, jak podczas walki z tamtą kobietą w bloku wyraźnie słabnie. Biedny Ludvig, pomyślała.

– Napijemy się, Ladislavusie? – spytał Ernst.

– Jesteś na służbie, Ernście – przypomniał mu Ludvig. – A i ja poniekąd także...

Do pokoju weszła Irina z dwiema szklankami kawy. Zgodnie z przewidywaniami Alicji postawiła tacę na biurku swojego szefa, a potem szklankę przed nim oraz Ludvigiem. Jej nawet nie omiotła wzrokiem. Alicja nie żałowała, że nie dostała kawy, patrząc na grubą warstwę mielonych ziaren zalanych wrzątkiem. W Zurychu zaczynała dzień od filiżanki ciemnego, parującego płynu. Od czasu wyjazdu nie wypila nawet łyka, nie licząc zbożowego obrzydliwego napoju zaserwowanego jej przez Marinę.

– Napijemy się, jak załatwimy sprawę – powiedział stanowczo Ludvig.

– Ależ mój drogi... – mruknął Ernst i poprawił grube okulary na nosie. – Jak mam ci załatwić opróżnienie mostu Glienicke i możliwość wymiany? Czy ty sądzisz, że ja mam kontakty z Ambasadą Radziecką?

– Wiem, że je masz, Ernście. – Alicja ledwo słyszała to, co mówi Ludvig. – Posłuchaj... Amerykanie chcą oddać nam jednego z najbardziej zasłużonych radzieckich agentów i ja nie zamierzam im w tym przeszkadzać. Mógłbym sam iść do nich i przedstawić sprawę, ale pomyślałem sobie, że mój stary przyjaciel Ernst tak długo siedzi w tym zakurzonym biurze politycznym. Pewnie mu się już znudziło tropienie nieprawomyślnych, pilnowanie muru... Może chciałby zasiąść w ministerstwie? W końcu... – wypił łyk kawy i wypłuł go z powrotem do szklanki – ...w ministerstwie na pewno podają lepszą kawę, a i sekretarki nie przypominają panny Iriny...

Mogłaby przysiąc, że Ernst łypnął chciwie wzrokiem.

– Naprawdę, drogi Ladislavusie, powiedziałbyś im o mojej roli w tej sprawie?

– Ależ naturalnie, mój drogi... I o innych twoich nieocenionych zasługach także. A wierz mi, że ta sprawa jest niezwyklej wagi... Pomyśl sam. Radziecki agent zostaje przekazany na powrót Rosjanom, a ty organizujesz to spotkanie...

Ernst zatarł ręce.

– Rosjanie wiedzą o takiej możliwości? – spytał. Alicja zrozumiała, że już połknął przynętę.

– Świetnie o niej wiedzą. Nie mają tylko pojęcia, kiedy się nadarzy możliwość. Sierioża wciąż jest... tam. Ale może być tu... w ciągu kilkunastu godzin.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, kto ma być przedmiotem wymiany...

Ludvig rozsiadł się w fotelu. Siedział teraz bokiem do Alicji.

– Drogi Ernście, nie sądzę, żebyś musiał to wiedzieć...

– Spytają mnie o to. Chyba nie sądzisz, by ktoś uwierzył, że Amerykanie w swojej szlachetności przywiozą tu Sieriożę bezinteresownie.

– Amerykanie – Ludvig wszedł mu w słowo – to nie są szlachetni ludzie. Co do tego pełna zgoda. Ani bezinteresowni. Dostaną swojego szpiega. Ja im go przekażę, a ty potwierdzisz jego tożsamość.

Ernst zmarszczył brwi.

– A któż to będzie? – spytał.

– Ja – z prostotą odpowiedział Ludvig. Ernst wstał i strącił szklankę z kawą, a potem zaczął gwałtownie zbierać dokumenty ze stołu, aby nie zniszczyła ich czarna breja.

– Jak oni w to... uwierzą, że ty... ty jesteś...?

– Niech cię o to głowa nie boli. – Ludvig ponownie uniósł szklankę z kawą i natychmiast odstawił ją na bok. – Amerykanie mają mózgi przeżarte coca colą i oparami gumy do żucia. Oficjalnie za Sieriożę wymieniany jest Caaz, ich agent w Polsce. Ty potwierdzisz tę tożsamość.

– Ale oni nie uwierzą, że ja znam tego, no... – Na czole mężczyzny pojawiły się poprzeczne zmarszczki. Kalkulował korzyści względem potencjalnego ryzyka.

– Uwierzą. Zwłaszcza że tożsamość Caaza potwierdzi jeszcze druga osoba.

– Kto? – Zmarszczki się pogłębiły.

Ludvig odwrócił się.

– Ona. – Pokazał palcem na Alicję. – Legendarna Luna, aliancka agentka z czasów drugiej wojny. Pracowała razem z Caazem, a teraz poszła po rozum do głowy i przeszła na naszą stronę...

Mężczyzna schował twarz w dłoniach, a Ludvig uśmiechnął się do Alicji. Siedziała nieruchomo, nie odzywając się, w niemym podziwieniu dla sposobu, w jaki Ludvig rozegrał tę partię.

– Co mam zrobić? – spytał w końcu Ernst.

– Jutro w południe sprowadzisz mi tutaj ambasadora Związku Radzieckiego. I porozmawiamy sobie. Działaj ostrożnie, bo... wróg czuwa. Jeśli z akcji wyjdą nici, to niestety ministerstwo zamknie przed tobą swoje podwoje... A kto wie, co jeszcze zamknie się przed tobą...

– Jak mam cię powiadomić, czy mi się udało? – Na czole Ernsta pojawiły się krople potu.

– Będę wiedział. – Uśmiechnął się Ludvig, a potem wstał i skinął na Alicję, która ukloniła się niezręcznie i wyszła za nim.



– Czemu nie zaofiarowałeś mi po prostu pieniędzy? – spytała Alicja, kiedy wracali.

– Bo on doskonale wie, że pieniądze na nic mu się nie przydadzą w łagrze... Zresztą co by za nie kupił?

Jedynym ich afrodyzjakiem jest władza. Pną się wyżej i wyżej, strącając siebie nawzajem po drodze. Każdy szczebel pełen jest trupów, rodzin wywiezionych na Syberię i dawnych przyjaciół zamykanych w więzieniach.

– Skoro najtrudniej być na szczycie, to czemu się zgodził?

– To akurat jasne. – Uśmiechnął się Ludvig i mocniej docisnął kapelusz. Świętej pamięci mąż Mariny miał najwyraźniej mniejszą głowę. – Władza jest zawsze najcenniejszym towarem. Poza tym oni wszyscy sobie wyobrażają, że to dla nich został stworzony czas ostateczny. I że to inni zostaną strąceni, a oni sami wiecznie będą przebywać na piedestale. Byli świadkami upadku tych, co zajmowali stołki przed nimi. Czasem sami przykładali rękę do ich zguby. A mimo wszystko niczego się nie nauczyli. Ernst jest akurat najobrzydliwszy z nich wszystkich. Swojego poprzednika zadenuncjował tak skutecznie, że skazali go nawet nie na więzienie, tylko na karę śmierci. A poprzednia sekretarka rzuciła się z mostu...

– Dlaczego?

– Ernst jest ślepy jak kret, ale ponoć zauważa ładne kobiety... A sekretarka była bardzo ładna... Tyle że wyobrażała sobie, że będzie zbawiać socjalistyczne Niemcy, a nie wycierać prześcieradła Ernsta. No i najpierw zasłaniała się narzeczoną, ale niestety znaleźli go zabitego przez tak zwanych kapitalistycznych bandytów na progu własnego domu. Ernst pocieszał sekretarkę, ale kiedy i to na nic się nie zdało, powiedział jej o swojej roli w usunięciu narzeczonego, a potem zgwałcił. Nawet nie musiał jej likwidować ani denuncjować, bo sama rzuciła się do rzeki. Uprzejmie z jej strony...

– Skąd wiesz takie rzeczy? – spytała wstrząśnięta.

Słyszała o sprawach rozgrywających się za żelazną kurtyną, znikaniu ludzi, zamykaniu ich w więzieniach, ale sądziła, że to dotyczy takich jak Caaz czy Ludvig, wciąż walczących, albo tych, którzy walczyli o władzę na szczycie.

– Każda władza, droga Alino Charme, to potęga. W tych krajach nawet gospodarz klasy czy dozorca domu uważa, że ma władzę, pilnuje jej i czerpie z niej korzyści. Jeszcze bardziej potężna jest informacja... A już niewspółmiernie bardziej użyteczna. Czyżbyś o tym zapomniała?

Przystanęła i spojrzała mu w oczy.

– Wiele ryzykujesz, wciągając tego człowieka w naszą misję.

Wytrzymał spojrzenie.

– Sam nie mógłbym tego zorganizować. Żeby uwiarygodnić tę wymianę, potrzebuję wielu pośredników. Na każdym szczeblu ktoś musi potwierdzić naszą historijkę.

– Mimo wszystko to za duże ryzyko. – Pokręciła głową. – Lepsze byłoby działanie w tajemnicy. Tak uważam.

– Tajemnica, powiadasz... – westchnął. – Czegoś takiego nie udałoby się zachować w tajemnicy. Można jednak otoczyć tę sprawę nimbem tajemniczości. Stworzyć pozory, że tylko wybrani są do niej dopuszczeni. Zaproponować nagrodę.

Szła szybko przyciśnięta do jego boku, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Coś mimo wszystko się nie zgadzało.

– Czy ty mi wszystko mówisz? – spytała, nie patrząc na niego.

– Jesteś moją partnerką – powiedział. – Od tego, co zrobisz, będzie zależało wszystko. Mniejsza

o moje życie, może mniejsza nawet o twoje. Ale ofiara Caaza? Bez Caaza gnibym teraz w jakimś dole gdzieś w Europie.

Zawsze będę przy tobie, nawet jeśli mnie nie zobaczysz, powiedział wtedy. I był. Trzymał Ludviga z dala od niej, ochraniał. Ludvig miał rację. Muszą wspólnie dokończyć sprawę i pomścić Caaza.

– Bez ryzyka nie ma zabawy – mruknął Ludvig. – Pozwól człowiekowi u progu śmierci zagrać z losem w ostatnią grę.

Miała powiedzieć, że z losem nie należy się bawić, bo z takich zabaw wynikają same komplikacje, ale nie zdążyła. Ludvig zmienił się nagle na twarzy. Kątem oka dostrzegła parę, która zatrzymała się kilka metrów za nimi, wpatrzona w witrynę sklepu zegarmistrza. Porozumieli się bez słów. Pocałowała go w policzek jak starego znajomego, którego spotkała na ulicy, a po pogawędce rozstała się z miłą obietnicą kolejnego wspólnego spotkania, tym razem nieprzypadkowego. Odchodząc, pomachała mu i odwróciła się w lewo, dostrzegając krótką konsternację śledzącej ich pary. W końcu dziewczyna poszła za Alicją, a mężczyzna za Ludvigiem.

Alicja szła szybko, klucząc ulicami między wysokimi szarymi blokami mieszkalnymi. Dziewczyna szła za nią. Zastanawiała się, czy wykonać manewr podobny do tego, który zastosowali z Ludvigiem w drodze do Biura Politycznego. Mogła schować się w klatce schodowej i zaatakować dziewczynę. Wybrała jednak inny sposób, widząc, że dziewczyna jest młoda, zupełnie nie kryje się z tym, że ją śledzi. Oczywiście nie oznaczało to, że śledząca jest niedoświadczona, mogła to być strategia na osłabienie jej czujności. Zaraz się o tym przekonamy, mruknęła do siebie. Weszła gwałtownie za najbliższy budynek i stanęła za wysoką choinką. Dziewczyna, nie zauważywszy, że Alicja skręciła, poszła dalej jeszcze kilkanaście metrów, zatrzymała się i rozejrzała bezradnie. Alicja wyszła zza drzewa, stanęła i założyła ręce na piersi. Dziewczyna zawahała się chwilę, ale w końcu zawróciła w jej stronę. Alicja wpatrywała się w nią w milczeniu, zastanawiając się, czy zaatakować. Stały na ścieżce między dwoma blokami. O tej porze dnia było pusto.

– Czemu za mną idziesz? – spytała, chwilowo rezygnując z ataku.

– Ja... – powiedziała tamta z wyraźnym angielskim akcentem.

A więc to taki ogon wysłali za nią. Niedoświadczoną dziewczynę, która zdradziła się po pięciu minutach próby. Naprawdę tak zamierzali ją chronić? Musi wyeliminować tę dziewczynę, zanim Ludvig ją zabije. Jej towarzysz prawdopodobnie już jest trupem.

– Słuchaj uważnie – zwróciła się do niej po angielsku. Dziewczyna skuliła się nieco. – Wrócisz teraz tam, gdzie mieszkasz, i powiesz swojemu koledze, że mnie zgubiłaś. Naturalnie jeśli on wróci... Nie kontaktuj się z tymi, co cię tu wysłali. A najlepiej znikaj tak szybko, jak możesz. Czy to jasne?

Dziewczyna pokiwała głową. Potem sięgnęła do kieszeni. Alicja napięła się jak struna, gotowa do skoku. Tamta wyciągnęła z kieszeni kopertę i podała ją Alicji. Amatorka, pomyślała Alicja ze złością. Jeśli tak zamierzali ją ochraniać w Berlinie, to lepiej byłoby, żeby pozostawili ją samą. Otworzyła kopertę. W środku był bilet lotniczy na nazwisko Aleksandra Cohen i fałszywy paszport z jej zdjęciem. Zerknęła na datę wylotu. Za trzy dni na lotnisku Tempelhof. Włożyła dokumenty do kieszeni.

– Nie idź za mną więcej, bo cię zabiję – powiedziała.

Odwróciła się i poszła szybko ulicami, odtwarzając w głowie drogę do mieszkania Mariny.



Ludvig już tam był. Siedział z Mariną przy stole i jadł pulpety w sosie pomidorowym. Nie zaczęli na nią, ale nie zdziwiło jej to. Można powiedzieć, że była przyzwyczajona. Weszła do łazienki, umyła ręce, a potem poszła do kuchni, nie licząc na obiad. Na jej widok Marina dźwignęła się ciężko i bez słowa nałożyła jej na talerz małego pulpeta z łyżką sosu oraz dwa ziemniaki. Alicja podziękowała i zaczęła jeść. Na ułamek sekundy zatrzymała wzrok na Ludvigu, który nieznacznie skinął głową. Ona zrobiła to samo. A więc zabił tę drugą osobę. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie dowie się, że ona pozwoliła śledzącej ją dziewczynie odejść wolno. Przez resztę dnia siedziała samotnie w pokoju, wysłuchując przez ścianę rozmowy Mariny i Ludviga, dotyczącej wspólnych planów na przyszłość. Słuchała na wszelki wypadek, gdyby Ludvig miał się z czymś zdradzić, ale nie zauważyła w tej rozmowie niczego istotnego. Ludvig opowiadał jakieś dyrdymały, a Marina w nie wierzyła. Wyraźnie taki mieli rytuał trwający od dłuższego czasu.

W wiadomościach, które obejrzeliby we trójkę w milczeniu, podano między innymi, że na jednym z osiedli odnaleziono ciało niezidentyfikowanego mężczyzny. Pokazano zdjęcie zrobione po śmierci. Marina wzdrygnęła się, bo na szyi mężczyzny wyraźnie widać było cięcie. Ludvig przesłał Alicji pytające spojrzenie. Poprawiła włosy, wysuwając, a potem wsuwając spinki w gęsty kok, który upięła na głowie. Kiedy Marina odwróciła się, powiedziała bezgłośnie, jakby w odpowiedzi na nieme pytanie, gdzie jest ciało śledzącej ją dziewczyny:

– Dobrze je ukryłam.

Ludvig pokiwał głową. Miała nadzieję, że jej uwierzył. Paszport schowała w materacu, który zaszyła starannie, przypominając sobie czasy w Wiedniu, kiedy w ten sam sposób ukrywała książki, z których uczyła się niemieckiego. Miała wystarczająco dużo czasu na zrobienie kryjówki, podczas kiedy Ludvig spędzał kolejną upojną noc z Mariną. Czekala, że może przyjdzie do niej w nocy jak poprzedniego dnia, ale się nie doczekała.

Przy śniadaniu Ludvig był milczący i zerkał z niepokojem na okno. Alicja nie wiedziała, czego tam szuka, jadła posłusznie chleb z margaryną i mortadela, łapiąc niechętnie spojrzenia Mariny. O co jej chodzi?, zastanawiała się. Czy to tylko zazdrość o mężczyznę, czy coś więcej? Ludvig niedługo powinien wychodzić z domu, jeśli chce zdążyć na spotkanie. Nie miała pojęcia, jak zamierzał się dowiedzieć, czy dojdzie ono do skutku. Kilkakrotnie unosiła pytająco brwi, ale on tylko pokazywał na okno, a ona nic nie rozumiała. Wreszcie na parapecie usiadł piękny biały gołąb z pierzastym ogonem. Marina szybko otworzyła okno i delikatnie przeniosła ptaka na kuchenny stół. Ludvig zdjął z jego nóżki zawinięty skrawek papieru. Patrzyła zdumiona. Gołębie pocztowe – jakież to prosty i pewny środek komunikacji. Posłała Ludvigowi uśmiech, ale on go nie odwzajemnił. Bez słowa ani nawet spojrzenia w jej stronę poszedł do przedpokoju, ubrał się i wyszedł. Wyjrzała przez okno, ale nie zobaczyła go na ulicy.

– To był twój gołąb? – zagadnęła Marinę, kiedy zostały same.

Marina wzruszyła ramionami.

– Mojego męża – burknęła po chwili. – Hodował je i wysyłał mi miłosne liściki.

– To musiało być wzruszające. – Starła się usunąć wszelki sarkazm z własnego głosu.

– Bardzo użyteczna droga przekazywania wiadomości – odburknęła. – Bezpieczna. Nikt nie wysledzi

gołębia na niebie.

Energicznie obierała ziemniaki, zapewne na obiad.

– Czy mogłabym ci pomóc? – spytała Alicja.

– Takie jak ty nie obierają ziemniaków – odpowiedziała Marina niegrzecznie.

– Obierają – sprostowała łagodnie Alicja. – Mielą mięso na kotlety i otwierają słoik z kiszonką.

Kobieta łypnęła na nią wzrokiem pełnym nienawiści.

– Nie wiesz, co on lubi – powiedziała w końcu.

– Ty mi powiedz – spróbowała. – Rzeczywiście nie wiem...

Marina zastanowiła się chwilę.

– Lubi mięso posiekane, a nie mielone przez maszynkę. Umiesz posiekać?

– Umiem. – Alicja wstała i przepasała sobie na biodrach fartuch w kratkę, który wisiał na wieszaku nieopodal zlewozmywaka. Potem wzięła do ręki najostrzejszy nóż, jaki miała Marina. Zauważyła, że tamta wyraźnie się zjeżyła. Gdybym chciała cię zabić, moja droga, to wierz mi, po prostu bym to zrobiła, pomyślała. Zaczęła kroić mięso na małe kawałki, a potem sprawnie je siekać. Pracowały w milczeniu. Następnie Marina wzięła od niej miskę i przyprawiła mięso po swojemu. Zmieszała, przykryła miskę talerzem i wstawiła do lodówki.

– Mój mąż lubił, jak dodawałam pietruszkę – powiedziała Alicja.

Marina zastygła.

– Masz męża? – spytała pozornie obojętnym tonem.

– Nie – zaprzeczyła. – Zginął w czasie wojny. A co się stało z twoim mężem?

– Też zginął w czasie wojny – powiedziała bez zmrużenia oka. – Masz dzieci?

– Nie – skłamała Alicja. – A ty?

Marina pokręciła przecząco głową.

– Żałuję, bo... to dobrze dzisiaj mieć dzieci, nie sądzisz? – Pochyliła się nad ziemniakami.

Alicja nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chyba zawsze dobrze mieć dzieci... – odparła ostrożnie. – Chociaż w dzisiejszych czasach...

– Mamy dobrobyt – przerwała jej Marina. – Oczywiście są tacy... Tacy... którzy chcą nam odebrać nasze osiągnięcia, ale my stoimy na straży.

Alicja nadal nie rozumiała nic z tej przemowy, ale sądziła, że Marina wyraża raczej zazdrość o Ludviga, niż analizuje powojenny stan gospodarki wschodnich Niemiec.

– Oczywiście – odparła ugodowo. Zupełnie nie rozumiała tej kobiety.

Marina kroić surowe ziemniaki na małe kawałki i bez końca przepłukiwała je czystą wodą. Wreszcie postawiła garnek na kuchence, przykryła ściereczką i odwróciła się w stronę Alicji.

– On mnie kocha – wyrzuciła z siebie.

– Wiem – odpowiedziała zaskoczona. Niedobrze. Marina wątpiła w oddanie Ludviga. Należało szybko ją przekonać, że nie musi się jej obawiać.

Uśmiechnęła się smutno. Potem wyciągnęła rękę i położyła jej na przedramieniu. Marina strząsnęła jej

dłoni.

– Nie oddam ci go – naciskała.

– To też wiem. – Alicja przepłukała nóż i odłożyła go do szuflady. – Mam nadzieję, że dasz mu szczęście i... dziecko.

– I chociaż nienawidzę cię za to, co mu zrobiłaś w czasie wojny, to... to jestem gotowa ci pomóc.

Alicja zupełnie się pogubiła.

– Co takiego?

– Bierz manatki i wynoś się, póki możesz, a ja mu powiem, że uciekłaś – powiedziała wściekłym głosem.

Stała naprzeciwko, a z jej oczu wзираła czysta nienawiść.

– Słyszysz, przybłądo? Wynocha!

– Nie mogę tego zrobić. – Alicja żałowała, że schowała nóż do szuflady. Z tą kobietą stanowczo było coś nie tak. Może to wina Ludviga, który tak zapętlił się w swoich kłamstwach, że Marina nie dała mu się oszukać, chociaż go kochała. A jeśli Ludvig nigdy nie wyszedł z roli podwójnego agenta i to, co planowali, miało być jedną wielką mistyfikacją? Przecież łatwo było ją po latach uśpienia oszukać i wyprowadzić na manowce. On, Ludvig, ostatecznie miał za sobą wielką karierę i chociaż nie mógł ukryć tego, że umierał na raka, to przecież mógł planować zakończenie życia na swoich warunkach, niekoniecznie w zgodzie ze „sprawą”.

– Nie mogę tego zrobić – powtórzyła. – Ale obiecuję ci, że po wykonaniu misji nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Będiesz mogła wyjechać z Ludvigiem, dokąd tylko będziesz chciała.

Marina odwróciła się do niej plecami.

– Dałam ci szansę. – Jednym ruchem otworzyła słoik z kiszoną kapustą. Od tego zapachu Alicji zrobiło się nieprzyjemnie. Ferment, jaki czuło się w kuchni, przypominał relację między nimi. – Nie skorzystałaś z niej. Będziesz żałowała.

Przy milczącym obiedzie Alicja pomyślała, że jeśli spędzi w tym domu jeszcze jeden dzień, niechybnie wyskoczy przez okno. Ludvig wciąż nie wracał, mimo że od jego wyjścia minęło już siedem godzin, i Alicja zaczynała się niepokoić.

– Coś musiało pójść nie tak... – martwiła się głośno Marina i obrzucała ją co rusz znękanym spojrzeniem.

– On wie, co robi – odpowiadała z nadzieją, ale niepokój narastał.

Wreszcie około ósmej wieczorem rozległo się ciche pukanie do drzwi. Marina uwiesiła się na szyi zmęczonego Ludviga.

– I co, kochany? – Całowała go po twarzy raz za razem.

Alicja pozostała na swoim miejscu, sztywna, wyprostowana, usiłująca z twarzy Ludviga wyczytać, jak poszła mu rozmowa w ambasadzie.

– Przestań, Marina – mruknął, odsuwając ją od siebie.

– Głodny jesteś, kochany? – Marina wciąż trzymała go za rękę. – Wszystko gotowe.

Pociągnęła go w kierunku kuchni i posadziła przy stole jak niegrzecznego chłopca, który próbował

wymigać się od kolacji, podała świeżo usmażony kotlet i cała w uśmiechach zachęcała do jedzenia. Ludvig jadł w milczeniu, nie patrząc ani na Marinę, ani na Alicję.

– Z pietruszką – powiedział w końcu z uznaniem w głosie. – Bardzo dobry. Skąd ten pomysł?

Marina zastygła, a potem wskazała brodą na Alicję.

– Ona tak robiła swojemu mężowi. Powiedziała mi.

Ludvig drgnął i obrzucił Alicję niechętnym spojrzeniem.

– Bardzo dobry – powiedział w końcu i przełknął ostatni kęs. – Napijmy się.

Marina wstała i wyjęła z lodówki butelkę wódki, a z szafki dwa kieliszki, które postawiła przed Ludvigiem i swoim nakryciem. Alicja posłała mu ironiczne spojrzenie. Marina zastygła i skuliła się pod spojrzeniem, jakim z kolei Ludvig obdarzył ją. Przesunęła swój kieliszek w stronę Alicji i wpatrzyła się w ukochanego z psią wiernością w oczach.

– Mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? – spytał ją Ludvig.

– Oczywiście. – Alicja wstała i poszła do łazienki. Spojrzała w lustro na swoją bladą twarz. W ciągu niespełna dwóch tygodni pobytu poza domem wyraźnie się zmieniła. Czowała się zresztą, jakby tamto życie w Zurychu minęło wieki temu. Twarz jej zszarzała, schudła, pod oczami pokazały się ciemne kręgi. Westchnęła i ochlapała policzki zimną wodą. Wróciła do kuchni. Marina wyglądała jak skarcona dziewczynka. Ludvig miał obojętną minę.

– I co? – spytała. Wzięła kieliszek do ręki i uniosła. – Mamy za co pić?

– Mamy. – Pokiwał głową i wychylił wódkę. – Do wymiany dojdzie o szóstej rano na moście. Na zdrowie.

Wypiła mały łyk. Wódka była okropna.

– Do dna. – Ludvig wychylił następny kieliszek.

Zmusiła się do wypicia kolejnych kilku kropel. Korzystając z chwili nieuwagi Ludwiga i Mariny, wylała zawartość do swojej herbaty. Alkohol źle na nią podziałał. Może to wynikało z napięcia i strachu przed misją, ale poczuła się nagle zmęczona i bardzo senna.

– Położę się, jeśli pozwolicie – powiedziała. – Jutro rano wstajemy, chciałabym się wyspać.

Spojrzał na nią uważnie.

– Śpij dobrze – powiedział, po czym przesunął wzrok w kierunku Mariny.

Na chwiejnych nogach poszła do „siebie” i usiadła ciężko na tapczanie. Co się ze mną dzieje, zastanowiła się, przebierając w piżamę niezgrabnymi palcami, czyżbym się tak upiła?



ROZDZIAŁ XV

Pani Micziko była smutna. Alicja głaskała ją po dłoni przycupnięta na dywanie Mariny. Próbowwała przytulić ukochaną małpkę, ale nie mogła się ruszyć. Nienawidziła snów, w których nie mogła swobodnie biec.

Chciała przynajmniej przesunąć palce w kierunku małpki, skoro nie mogła poruszać stopami. Nic z tego nie wychodziło. Małpka popatrzyła smutno i zrobiła krok w tył. Miczi, chciała jej powiedzieć, kochana moja przyjaciółko, Miczi, nie odchodź, ale z ust Alicji wydobył się jedynie jęk. Próbowwała zatrzymać sen, ale Micziko była coraz dalej i dalej, coraz mniej wyraźna, wreszcie zniknęła, a zrezygnowana i smutna Alicja spróbowała otworzyć oczy. Która może być godzina, zastanawiała się, budząc się powoli, i dlaczego mam takie ciężkie powieki? Wydawało jej się, że jest środek nocy. Mimo to spróbowała otworzyć oczy, ale te nie chciały jej słuchać. Dobiegł ją z dala dźwięk. Co to może być?, znów zmusiła znękany umysł do pracy. Myśl, powtórzyła uparcie we własnej głowie, coraz bardziej zaniepokojona snem i zagadkowym dźwiękiem. Skąd mógłby dobiegać ten cichy trzask? Udało się jej poruszyć nogą. Ogromnym wysiłkiem woli zdołała zmusić mięśnie do ruchu. Poczuła ból kolana i głowy, a potem uchyliła nieco powieki. Leżała obok tapczanu, twarzą na cienkim dywaniku. Za oknami było wciąż ciemno, ale ogarnęło ją niejasne poczucie, że musi być późno. Przeraziła się. Co z ich akcją, przecież mieli wstać przed świtem? Czemu zatem Ludvig nie przyszedł po nią? A jeśli nie on, to chociaż Marina? Próbowwała zawołać Marinę albo Ludviga, a wreszcie wstać. Nogi wciąż miała ciężkie, z gardła zaś nie wydobywał się głos. Wódka, pomyślała, coś musiało być w tej wódce. Nagle struchlała. Przypomniała sobie Stambuł i to, jak uspiła Ludviga, żeby nie poszedł z nią do kasyna. Czyżby to samo próbował zrobić z nią? To wyjaśniałoby jej stan, ciężkie, niezdolne do ruchu nogi i powieki, które ledwie się otwierały. Ale dlaczego, przecież miała na moście potwierdzić jego tożsamość jako Caaza, szpiega aliantów, pilnować, żeby wszystko przebiegło pomyślnie... To wciąż sen, pocieszała się, ale ból uderzonej głowy i kolana temu przeczył.

– Ludvig... – wychrypiała.

Ciało wciąż było oporne. Mogła wprawdzie otworzyć powieki, ale wzrok miała stale zamglony.

– Marina... – powtórzyła szeptem. – Gdzie jesteście?

Nikt nie odpowiedział. Skupiła myśli na ocenie tego, co usłyszała chwilę wcześniej. To był dźwięk zatraskiwanych drzwi. Zatem wyszli bez niej. Ludvig i Marina. Ale dlaczego? Ludvig podał jej lek usypiający, żeby pozostała w mieszkaniu. Postąpił z nią tak samo, jak ona postąpiła z nim w Stambule. To było jasne, ale zupełnie pozbawione sensu. Dlaczego nie chciał, aby uczestniczyła w wymianie? Nie chce, żebym uczestniczyła w wymianie, powtarzała w myślach. Zdradził mnie, oboje to zrobili, z Mariną. Musisz iść, nakazała sobie. Wstawaj, Alicjo, i idź! Szarpnęła gwałtownie nogami, zaczynała odzyskiwać w nich władzę. Rękoma złapała brzeg tapczanu i dźwignęła się na kolana. Oddychała miarowo, nie za głęboko, żeby nie zakręciło się jej w głowie jeszcze bardziej. Jakie to szczęście, że nie wypila całego kieliszka wódki. Teraz zapewne byłaby wciąż nieprzytomna. Za oknem coś trzepotało. Spojrzała w tę

stronę. Na balkonie siedział biały gołąb i czekał, aż ktoś go wpuści i odbierze wiadomość. Walcząc ze słabością, podeszła na czworakach do drzwi i uchyliła je. Gołąb wskoczył do środka i poczekał, aż niezgrabnymi palcami odwinie wiadomość. Potem odleciał. Alicja przysięgłaby, że przyglądał się jej z ironią najpierw w jednym, potem w drugim oku. Rozwinęła papiera. Niewiele brakowało, żeby go niechcący podarła, tak grube i ciężkie były jej palce. Początkowo nie mogła odczytać tego, co tam napisano, litery rozmazywały się jej przed oczami. W końcu wysylabizowała: „U-cie-kaj”. Jedno słowo. Tyle miał jej do powiedzenia. Żadnych wyjaśnień ani chociażby zapewnień, że robi to dla jej dobra. Ani jednego ze słów o miłości, których tyle wypowiedział w tamtym hotelu. Zresztą czy by mu uwierzyła? Skup się, nakazała sobie, zastanów się, co masz zrobić. Myśl. Wciąż na kolanach, ale już bardziej skoordynowanymi ruchami wróciła do tapczanu i sięgnęła do materaca. Miejsce, w którym zaszyła paszport i bilet ofiarowany przez tamtą dziewczynę, było odsłonięte. Ktoś, pewnie Marina albo sam Ludvig, znalazł je, rozpruł i wyjął paszport oraz bilet. Jeśli zrobiła to Marina, to z zazdrości i chęci zemsty, jeśli Ludvig, to dlatego, że wiedział, że ta droga ucieczki jest dla niej spalona. Jak jednak miała uciec? Łatwo było napisać „Uciekaj”, a wcześniej pozbawić ją przytomności. Czyż nie pamiętał, jak długo zajęło mu dojście do siebie w Stambule? A przecież Alicja jako lekarz umiała dobrze dobrać dawkę. Ludvig nie był tak biegły w farmakologii jak ona. Uciekaj, dobre sobie. Jak? A jak miałaś uciec z Berlina po wymianie szpiegów?, spytała sama siebie. Miałaś improwizować. Teraz też musisz. Działaj, Alicjo, nie masz czasu. Udało się jej stanąć na nogi. Chwiejnym krokiem poszła do łazienki. Tam raz za razem wypijała dużo wody, a potem wkładała palec w gardło, żeby ją zwymiotować. Lek się już dawno wchłonał, ale wiedziała z doświadczenia, że wypłukanie żołądka pomaga odzyskać przytomność. Zemdliło ją na widok własnych wymiocin. Kwas, który wydostawał się z jej trzewi, był gorzki i piekący. Umyła zęby, potem włożyła głowę pod kran z zimną wodą. Nienawidziła zimna, ale teraz nie miała wyjścia. Ciało jej zeszywniało, potem dostała dreszczy. Ostatni strumień lodowatej wody skierowała na twarz. Czowała, jak jej serce zwalnia pod wpływem podrażnienia nerwu błędnego, ale umysł wreszcie zaczynał jasno pracować. Teraz muszę coś zjeść, postanowiła i poszła do kuchni, gdzie niemalże siłą wcisnęła sobie w usta kawałek chleba. Popiła mocną herbatą z cukrem. Musi dostać się na most Glienicke. Musi zobaczyć, co zamierza zrobić Ludvig. Spojrzała na balkon. Gołąb dawno odleciał. Poczowała żal. Mogła przekazać jakąś wiadomość, choćby własne rozczarowanie, złość, że dała się oszukać jak dziecko. Uwierzyła Ludvigowi, zwłaszcza że przecież umierał. Uwierzyła, że ta ostatnia akcja ma na celu powrót Ludwiga do Amerykanów, zdemaskowanie zdrajcy Caaza i zabicie szpiega Sierioży. Czy zamierzał zrobić cokolwiek z tego, co wcześniej ustalili? Choćby zlikwidować Sieriożę? Gdyby jemu się nie udało, była przecież jeszcze ona. Zabicie Sierioży skończyłoby się dla niej śmiercią, ale tak się przecież umawiali, a ona się na to zgodziła. Nie miała nic do stracenia. Czyżby jednak Ludvig chciał, żeby ocalała? Nie była w stanie jasno myśleć. Lek opuszczał jej organizm, odzyskiwała władzę w mięśniach, ale umysł wciąż pracował bardzo wolno. Próbowwała zebrać fakty. Jako Luna miała albo potwierdzić tożsamość Ludwiga jako Caaza, albo go zabić, gdyby coś poszło nie tak. Dlaczego zatem ją wyeliminował, biorąc na akcję Marinę? Alicja przez krótką chwilę myślała, że może znajdzie kobietę nieżywą w którymś z pokoi, ale nigdzie jej nie było. Musiała zatem pójść z Ludvigiem. Tylko dlaczego? Była wprawdzie agentką Stasi, ale nie władała bronią, nie miała wyszkolenia ani rozeznania w całej sytuacji. W razie wpadki nie umiałyby, mimo najszczerzych chęci, pomóc Ludvigowi.

– Muszę iść na most – wymruczała do swojego odbicia w lustrze. – Tu nic nie wymyślę.

Zdarła z siebie piżamę i włożyła własne ubranie. To też było dziwne. Przecież wczoraj kazali jej wyjść w siermiężnym stroju Mariny, a dziś pozostawili rzeczy, w których przyjechała i w których wyglądała jak obca. Tym lepiej. W barchanach i długiej, utrudniającej ruchy spódnicy czuła się bardzo źle. Zapięła kurtkę, sprawdziła, czy w wewnętrznej, ukrytej głęboko pod podszewką kieszeni jest jej paszport. Marina musiała przeoczyć fakt, że Alicja ma przy sobie prawdziwe dokumenty. Ludvig o tym wiedział, ale nie wyjął paszportu. Może jednak nie chciał jej zdradzić? Wyrzała przez okno. Z każdą chwilą czuła się coraz lepiej. Mięśnie przestały drżeć, zimno, które opanowało jej ciało pod wpływem porannych zabiegów otrzeźwiających, zniknęło. Mogła iść, przy odrobinie wysiłku zdoła nawet pobiec. Przywołała z pamięci siatkę ulic Berlina i natychmiast ułożyła trasę w głowie. Musi się pospieszyć. Zerknęła na ciężki zegar Mariny tykający w przedpokoju. Było wpół do szóstej. Wyszła, zatrzasnąwszy drzwi.

Biegła, nie zastanawiając się, co myślą przechodnie, których od czasu do czasu potraçała. Mięśnie jeszcze pod szczątkowym działaniem leku były odporne, kiedy zmuszała je do wysiłku. Biegnij, Alicjo, biegnij, przemawiała do siebie, pomyśl, że to tylko ćwiczenia, że biegniesz na czas. Masz za zadanie dobiec do mostu w czasie krótszym niż dwadzieścia minut. To nie jest trudne, biegłaś już szybciej, cóż, że wiele lat temu, powtarzała w rytm własnych kroków.

Most widziała z daleka. Imponujące przęsła, sterczące czarne żelbetowe konstrukcje niczym upiorny szkielet. Wyglądał okazale. Dobiegła do jego podstawy. Nie wpuszczą jej na sam most, nie ma mowy, ale może spróbować przedrzeć się jak najbliżej, żeby zobaczyć, co się zdarzy. A na pewno coś ma się zdarzyć, wnioskowała to po kilku czarnych samochodach zaparkowanych po stronie wschodniej. Zachodniej nie widziała.

– Musi pani stąd odejść – powiedziała do niej jakaś przechodząca kobieta. – Może być niebezpiecznie – dodała.

Kobieta najwyraźniej miała zamiar „uratować” Alicję, bo stała koło niej i powtarzała jak mantrę, że ma odejść, bo to bardzo niebezpieczne stać w tym właśnie miejscu, kiedy stoją tu „te” samochody. Alicja zignorowała ją i zaczęła się wspinać po stopniach, mijając ludzi, którzy zostali zawróceni z drogi.

– Proszę odejść. – Żołnierz wymachiwał jej przed nosem karabinem.

– Mam prawo tu być – powiedziała stanowczo i wyjęła z kieszeni papier, który pośrednio poświadczał, że Marina była agentką Stasi. Znalazła go w jednej z szuflad kuchennych, kiedy Marina wyszła do toalety, i schowała. Na szczęście nie tam, gdzie paszport i bilet.

Żołnierz nie spojrzał na papier, ale wyraźnie się zawahał.

– Nie wolno.

– Niech pan prowadzi do dowódcy – powiedziała stanowczo. – Natychmiast.

Znów wahanie.

– Mam do przekazania coś bardzo ważnego! Od tego zależy powodzenie tej operacji!

Żołnierz patrzył na nią, wyraźnie zastanawiając się, co taka kobieta robi w tym miejscu, tuż przed akcją, o której go uprzedzono, że jest być może najważniejsza w jego życiu. Miał za zadanie nie wpuszczać tu żadnego cywila. A może ona nie była cywilem? Spojrzał na jej ubranie.

– Niech pani idzie ze mną – zdecydował w końcu. – Za utrudnianie akcji grozi...

– Za utrudnianie akcji panu grożą poważne konsekwencje – rzuciła, patrząc na żołnierza stanowczym wzrokiem.

Nie odpowiedział, tylko skinął na nią głową. Zerknęła na zegarek. Była 5.50.

– Obywatelu kapitanie – podszedł do dowódcy. – Ta kobieta twierdzi, że... no tego...

Dowódca był zdenerwowany, trzęsły mu się ręce, co było dość dziwne jak na rangę, którą miał na pagonach kapitan. Popatrzył na Alicję, jakby była ptakiem, który dostał się do pokoju i nie może wyfrunąć, a na swojego żołnierza z wyraźną złością.

– Ta obywatelka mówi, że ma bardzo ważne informacje – zaczął żołnierz jeszcze raz.

Kapitan zrobił się purpurowy na twarzy.

– Czy wy sobie żarty urządzacie?! – wrzasnął, a potem obrócił się w jej stronę. – Zaraz cię zastrzelę za próbę nielegalnego przekroczenia granicy.

– Niech pan posłucha, kapitanie – powiedziała szybko. – Zaraz ma tu nastąpić wymiana agentów...

– Zamknij się! – wrzasnął coraz bardziej zdenerwowany.

– Mam informacje – nie ustępowała – od których zależy powodzenie misji. Niech mi pan pozwoli powiedzieć...

– Wynocha!

Alicja nie ustępowała. Po rozbieganych oczach kapitana poznała, że nie został poinformowany o dokładnym przebiegu akcji. Pewnie powiedziano mu tylko, dlaczego ma zabezpieczyć most.

– Zaraz przywiozę tu naszego agenta z osobami, które mają potwierdzić jego tożsamość, prawda? – spytała. – Miał pan zabezpieczyć most...

Wojskowy milczał, wpatrując się w nią intensywnie.

– Tylko ja mogę potwierdzić tożsamość Sierioży – zaryzykowała. – Znam go. Jeśli Amerykanie kłamią i oddamy ich agenta, a nie dostaniemy naszego, koniec z pana karierą.

Znajdowała się teraz między czterema żołnierzami. Gdyby któryś z nich chciał ją zastrzelić, mógł to z łatwością uczynić. Znalazła nawet wzrokiem rów, gdzie jej zwłoki mogły zacheć na koniec akcji.

– Dokumenty! – zażądał oficer.

– Żartuje pan chyba, kapitanie! – wrzasnęła zdenerwowana. – Zostałam prawie wyeliminowana przez człowieka z Zachodu, cudem zdążyłam na most, okradziono mnie ze wszystkiego...

– Skąd mam wiedzieć, kim jesteś? – burknął i skinął na pierwszego żołnierza, który uniósł broń w jej kierunku.

5.58. Kapitan wciąż patrzył na nią z mieszaniną gniewu i niechęci. Podała mu papiery, które ukradła Marinie. Nie miała pojęcia, na ile taki dokument o wykonaniu usługi, bez zdjęcia i nazwiska, tylko z pseudonimem, może jej pomóc dostać się na most, między żołnierzy, ale nie przyszedł jej do głowy inny pomysł. Ludzie na moście zajęli swoje pozycje. Stali teraz na krańcach mostu, ciasno jeden przy drugim. Koło niej i kapitana, oprócz żołnierza, który ją przyprowadził, stało jeszcze trzech uzbrojonych wojskowych. Mężczyzna studiował pomietą kartkę papieru. Wreszcie uniósł wzrok.

– Zostało mi tylko to. Resztę ukradli. Nikt mnie nie zobaczy – powiedziała z naciskiem i nasunęła czapkę na całą twarz tak, że widać było tylko oczy. Podobnie wyglądali żołnierze, którzy zgromadzili się

na moście. – Nikt nie może mnie zobaczyć, dopóki Sierioża się nie zbliży. Rozumie pan?

– Nie masz broni? – spytał i skinął na podwładnego, który opuścił karabin, obszukał ją, a potem kiwnął twierdząco głową.

6.03. Udało się, przynajmniej na razie. Alicja stanęła w szeregu ukryta za dwoma potężnie zbudowanymi żołnierzami. Mimo zimy i czapki nasuniętej na czoło kapitana widziała, jak ze strachu oblewa go zimny pot. Przekleństwo niedoświadczonych w takich akcjach dowódców. Strach przed zrobieniem błędu. Żołnierze działają na rozkaz, mają prawo się mylić. Dowódca mylił się tylko raz.

6.10. Wciąż stali. Wpatrywała poruszenia po stronie zachodniej, ale nic nie widziała. Jak łatwo byłoby tam pobiec i zobaczyć, co się dzieje. To zaledwie kilkadziesiąt metrów. Żołądek zaczynał ją boleć z napięcia i, co tu dużo mówić, strachu. Nigdy w życiu nie czuła jeszcze takiego zagrożenia. Trzeba było posłuchać Ludviga i uciekać, pomyślała. Wrócić do domu, do Zurychu, do Franka i jego rodziny, zadzwonić do Danielle, zadzwonić do Vincenta i powiedzieć, że wróciła. Co ją obchodzą cudze porachunki...

6.15. Żołnierz, który siedział w przeszklonej budce, dał dowódcy znak. Kapitan podszedł i odebrał telefon. Tyle by dała, żeby usłyszeć, o czym rozmawia. Próbowwała wyczytać to z języka ciała dowódcy. To chyba były wiadomości, na które czekał, bo wyraźnie się rozluźnił, potem znów wyprostował ciało, jakby stawał na baczność. Kilkakrotnie pokiwał głową. Na końcu powiedział chyba „tak jest” i wyszedł. Usłyszała samochody przyjeżdżające pod most i odetchnęła z ulgą. Przyjechał Ludvig.

Most nagle zaroił się od żołnierzy z sowiecką gwiazdą na futrzanych czapkach. Uznała to za dobry znak. Wiedziała, że nie obejdzie się bez nich, w końcu to ich człowiek miał być przekazywany przez Amerykanów. To dla niej lepiej, będzie mniej widoczna wśród tłumu wojskowych. Miała nadzieję, że kapitan zapomni o niej i przywoła ją dopiero wtedy, kiedy Sierioża dotrze na ich stronę, ale myliła się. Kapitan znalazł równego sobie rangą Rosjanina i chwilę z nim poszeptał. Rosjanin zawahał się, a potem skinął głową. Zrobił krok w jej stronę. Znów napięła całe ciało. Wtedy zadzwonił telefon. Mężczyzna niechętnie zawrócił i wszedł do budki. Kiedy z niej wyszedł, był wyraźnie poruszony i już na nią nie patrzył. Pewnie uznał, że w razie czego po prostu mnie zastrzeli, pomyślała Alicja.

6.22. Dostrzegła Ludviga. Szedł otoczony żołnierzami radzieckimi. U jego boku, ciasno przytulona, kroczyła Marina niczym panna młoda prowadzona do ślubu. Pod Alicją ugięły się nagle nogi. Założyła, że Ludvig ukrył gdzieś Marinę, tymczasem prowadził ją na most. Popełniła kolejny błąd myślowy, ale było już za późno. Należało zaufać mu i uciekać, tak jak jej kazał, a nie narażać misję na niebezpieczeństwo. Jak mogła okazać się taka głupia? Z drugiej strony zobaczyła Ernsta Kirschensteina. Podszedł do Ludviga, Mariny oraz żołnierzy. Sztywno przywitał się z kapitanami radzieckim i enerdowskim, potem skinął głową Ludvigowi i Marinie. Schowała się za żołnierzy, modląc się, aby nagle zaczęła być niewidzialna.

To dlatego Ludvig przyprowadził ją wtedy do budynku biura politycznego. Chciał, żeby ślepy jak kret Ernst Kirschenstein zobaczył ją w tym dziwnym przebraniu, a potem wziął Marinę za nią. To dlatego spędzał noce z Mariną, kto wie, co jej obiecał, żeby zgodziła się udawać Alicję na moście Glienicke. Prawdopodobnie to, że razem przenikną do struktur amerykańskich, gdzie będą pracowali na chwałę komunistycznej władzy. Zrobił wszystko, żeby Alicja była bezpieczna. Chciał ją wyeliminować, żeby przeżyła. A niech to diabli, przeklinała w duchu. Powinna być teraz daleko stąd, jeśli Marina ją

dostrzeże, już po niej, po Ludvigu i całej akcji. Pewnie to ona wyciągnęła jej paszport. Kto wie, czy nie zdążyła powiadomić policji, że w jej mieszkaniu znajduje się agentka obcego wywiadu. Ludvig nie mógł temu zapobiec, ale przesłał jej ostrzeżenie, a ona przez swoją podejrzliwość nie rozumiała go. Zrobiła wszystko, żeby dotrzeć na most, a teraz odwrotnie – wiele oddałaby za to, żeby jej tu nie było.

Jedyna nadzieja w tym, że Ludvig i Marina jej nie zobaczą. Może niepostrzeżenie podejść za żołnierzami i zejść w dół? Zerknęła za siebie. Schodów pilnowało pięciu uzbrojonych żołnierzy. Nic z tego, zwróciłaby na siebie uwagę. Skok z mostu nie wchodził w grę. Utopiłaby się w zimnej rzece.

6.47. Poruszenie. Kolejny telefon. Tym razem do Rosjanina. Język ciała i tym razem jej pomógł. Znów to samo rozluźnienie, potem postawa na baczność, czyli przyjęcie rozkazu. Amerykanie z Sieriożą musieli być po zachodniej stronie i czekać na znak. Ludvig powiedział coś do enerdowskiego oficera, ten kiwnął głową. Potem wyjął tubę i podszedł kilka metrów do przodu.

– Jesteśmy gotowi – wykrzyknął nieco patetycznie.

– My również – dotarło do niej odległe echo słów.

Przeszła za żołnierzami jak najbliżej środka mostu. Za chwilę kapitan poszuka jej, żeby potwierdziła tożsamość Sierioży, a wtedy kto wie, co się zdarzy.

– Zaczynamy! – krzyknął kapitan do tuby.

Ludvig i Marina oraz Ernst w towarzystwie pięciu żołnierzy ruszyli do przodu.

– Żołnierze pozostają w tyle! – Usłyszała z drugiej strony. – Nieuzbrojeni agenci idą sami!

Silny angielski akcent. Czy naprawdę nie mogli zabrać kogoś, kto mówi dobrze po niemiecku? Ta myśl wydała się jej bardzo śmieszna i zupełnie niestosowna w tej chwili. Może nic straconego? Sieriożę ma zidentyfikować Ludvig, którego tożsamość potwierdzi Ernst. Taka transakcja wiązana. Może wezwą ją dopiero wtedy, kiedy Sierioża będzie po ich stronie. Musi go wtedy wyeliminować, jeśli Ludvig nie zrobi tego wcześniej.

W tamtym hotelu powiedział jej, jak ma zamiar to zrobić. Wtedy uwierzyła, bo to było realne. Strzały na moście nie wchodziły w grę. Agenci nie mogli mieć broni. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wpuściłby uzbrojonego Ludviga na most. Oczywiście Ludvig mógł spróbować ją komuś ukraść już na miejscu, ale było to ryzykowne. Kilkadziesiąt par oczu patrzyło w jego stronę. Otworzyliby ogień natychmiast. Zginąłby, zanim zdążyłby wycelować. Jak zatem zamierzał to zrobić?

– Najprościej na świecie – powiedział jej wtedy. – Będziemy się mijać, zatrzymam go, zamienię z nim kilka słów, potem uścisknę mu rękę.

– Czy on ci poda rękę? Jesteś amerykańskim szpiegiem – powątpiewała. – A jeśli cię pozna jako Laszła?

– To tym bardziej uścisknę mi rękę.

– A jeśli cię zna jako Laszła?

– Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście – odpowiedział. – Widziałem go na zdjęciach.

– On mógł widzieć twoje zdjęcia.

– Owszem, mógł, i dobrze byłoby, żeby myślał, że to ja zdradziłem tych agentów...

– Właśnie, nigdy nie powiedziałaś mi, kto to zrobił. W Zurychu słyszałam, że to ty...

Pokręcił głową.

– Nie wiem, kto to zrobił. Nie znam nawet pseudonimu. Mogę jedynie podejrzewać, że to ktoś, kto zdradził także Caaza.

– Przecież mówiłeś, że to był przypadek.

– Tak to wyglądało, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej sędzę, że ktoś go załatwił z rozmysłem...

Nie umiała wtedy ocenić, na ile ta historia może być wiarygodna. Czy wpadka Caaza była dziełem przypadku, czy nie.

– Oczywiście, ale Amerykanie nie są tacy głupi, żeby mówić Sierioży, kto ma być przedmiotem wymiany – kontynuował Ludvig. – To nie jest ważne, czy on cokolwiek o mnie wie. Może zdziwi się na mój widok, może ucieszy. Nieważne. Sierioża to kawał sukinsyna. Wydał kilku naszych agentów w czasie swojej działalności w Stanach. Dwóch zabił osobiście. Jednego razem z kobietą i dziećmi...

– To czynni agenci mogą mieć żony i dzieci?

– To nie była jego żona i dzieci. Był w sklepie. Kobieta z dwójką maluchów znalazła się w niewłaściwym miejscu i czasie. Zginęła, żeby nie było świadków. Podobnie jak właścicielka sklepu.

– Może to Sierioża jest tym, który zdradził naszych?

Ludvig pokręcił przecząco głową.

– To był ktoś, kto lubi pozostawać w cieniu, kto przez wiele lat pracował w ukryciu. Kret kretów. Cichy i skuteczny. Sierioża kocha zabijać i chwali się tym. Gdyby to on zdemaskował kilku agentów, wszyscy by o tym wiedzieli.

– A może... – aż uniosła się na ramionach – ... wpadka Sierioży jest pułapką? Kto go zgarnął?

Ludvig zmarszczył brwi.

– Myślałem o tym – przyznał. – Jednak nie. Sierioża to typowy Rosjanin. Lubi się napić, a po pijanemu ludzie, nawet doświadczeni, robią się nieostrożni. KGB kilka razy go ostrzegało. Raz nawet zniknął na kilka miesięcy. Wrócił jednak i dalej był taki sam. Pił może mniej, ale pracował jak dawniej. FBI zaczęło go śledzić. Zorientował się, ale zamiast przyczać, uważał, że jest zdolny zagrać im na nosie.

– Skąd u Rosjan taka wiara, że Amerykanie to idioci?

Ludvig wzruszył ramionami.

– Bardziej obawiam się tego, czy Amerykanie nie będą chcieli przeciągnąć go na swoją stronę...

Popatrzyła wtedy na niego uważnie, a po chwili wahania powiedziała:

– To prawda, że wśród agentów są podwójni, a nawet potrójni... Nie muszę ci tego uświadamiać. Sam jednak wiesz, co się dzieje, kiedy przechwycony agent wraca do Moskwy...

– Najczęściej znika – potwierdził Ludvig. – Oni nie mają szacunku dla swoich ludzi. Każdy z nich jest traktowany jak potencjalny zdrajca.

– A Ameryka okazuje wdzięczność swoim pracownikom... Podobnie Anglia...

– To kusi, wiem, ale mimo wszystko nie wierzę, żeby Sierioża był łakomym kąskiem. Oni chcą tych, którzy zdobywają informacje, a nie zabójców. Sto razy chętniej skaptują takiego, który pokaże im, co pierwszy sekretarz ZSRR ma na biurku, niż gościa, który rozwali połowę KGB. Sieriożę trzeba zabić...

– Skoro i tak swoi go wykończą... – Usiłowała jeszcze raz przekalkulować potencjalne ryzyko.

Przypomniała sobie, co zrobił Sierioża. Mordowanie dzieci było bestialstwem. Nie potrafiła usprawiedliwić takiego czynu niczym, ani sprawą, ani potrzebą wyeliminowania świadków.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie wiadomo, co wie...

– To jak zamierzasz go zabić?

Uniósł dłoń do góry. Zrozumiała.

– Pierścień z kolcem z trucizną? – spytała po dłuższym milczeniu.

– Mądra dziewczynka – pochwalił. – Nawet nie poczuje ukłucia przy powitaniu. Zwłaszcza jeśli będzie miał na rękach rękawice. Umrze zatruty po kilku minutach. Powinniśmy zdążyć przejść na tamtą stronę.

– Czy się nabierze na taki numer? To doświadczony agent.

– Już mówiłem, że to ryzyko. Może być tak, że jednak pozna mnie jako Ludviga Bernstorffa, a wtedy... Bo Sierioża może się na mnie, to znaczy na Ludviga, nieco gniewać, ale to takie męskie sprawy, bez żadnego znaczenia.

– Co to za męskie sprawy? – próbowała zrozumieć pokrętne tłumaczenia.

– Nie zrozumiesz. – Machnął ręką. – Nawet nie próbuj.

– Czyli jak zamierzasz go zlikwidować, gdyby ci nie podał ręki?

– Ukłuję go w inne miejsce...

Nie powiedział jej wtedy, co to za męskie sprawy łączyły go z Sieriożą. Ani dlaczego postanowił zabrać na most Marinę, a nie ją. Musiał być pewien, że uda mu się zlikwidować Sieriożę. A jeśli Amerykanie albo Niemcy uznają, że próba przywitania się z Sieriożą jest podejrzana? A jeśli Sierioża przy przejściu nawet się nie zbliży do drugiego wymienianego agenta? Co wtedy zrobisz, Ludvigu, skoro postanowiłeś pozbawić mnie przytomności?

7.02. Teraz szli tylko Ludvig, Marina i Ernst. Żołnierze pozostawali z tyłu z karabinami gotowymi do strzałów. Z daleka widziała, jak Ernstowi trzęsą się nogi. No cóż, zadanie może pana przerosnąć, ale niech pan myśli o nagrodzie, panie Kirschenstein, o tych wszystkich ślicznych sekretarkach, które pan dostanie w ministerstwie.

Była teraz prawie na końcu szeregu żołnierzy. Od wymiany dzieliło ją kilkanaście metrów. Założyła swoje okulary, które szczęśliwie nie ucierpiały ani w polskim więzieniu, ani w mieszkaniu Mariny ukryte w rękawie. Gadżet, który nie raz się jej przydał. Widziała bardzo dobrze z odległości dwudziestu metrów. Okulary były niczym luneta, chociaż z zewnątrz nikt by tego nie powiedział. Zwykłe rogowe oprawki, nieco zbyt grube szkła, chociaż miały jedną zasadniczą wadę. Nie widziała w nich niczego w odległości do pięciu metrów. Chwilowo jednak obserwacja dali była bardziej istotna.

Sierioży towarzyszyło dwóch mężczyzn. Alicja nie widziała ich dobrze. Jeden z nich trzymał tubę w rękę, więc to musiał być ten, który mówił z angielskim akcentem. Drugi pozostawał nieco za Sieriożą. Nie widziała jego twarzy. Skierowała wzrok na szpiega. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, twarz miał prostacką, z dość grubymi rysami, bez zarostu. Nie wyglądał na osobę, która doznała w amerykańskim areście jakiegokolwiek krzywdy czy choćby niewygody. Stał jej przed oczami torturowany Caaz. Znowu skierowała wzrok na Sieriożę, który uśmiechał się, jakby siedł na randkę. Działalność Ludviga w dużym stopniu opierała się na uwodzeniu kobiet, które mogły mu pomóc w wykonaniu misji. Tak przecież było

i z nią, chociaż wtedy w Paryżu nie wiedziała, czy jest tylko jego „zadaniem”, czy chce ją wykorzystać do wypełnienia misji. Mało wiedziała o Sierioży, głównie to, co powiedział jej Ludvig. Jedno było pewne, nie był agentem w żadnym wypadku finezyjnym ani uwodzicielskim. Jeśli pragnął kobiety, brał ją siłą, używał jej nawet wtedy, kiedy kobiety mu się nie opierały. I nie miał skrupułów, żeby zabijać.

Mężczyźni zbliżyli się do siebie na odległość metra. Ludvig szedł, patrząc tylko na Sieriożę. Był do niej odwrócony tyłem, nie widziała zatem rysów jego twarzy, ale mogłaby przysiąc, że twarz zdobił mu serdeczny uśmiech. Za chwilę wyciągnie rękę w kierunku Sierioży. Jeśli ten ją uściśnie, wszystko dobrze się skończy. Ludvig i Marina przejdą na tamtą stronę, Ernst wróci, a kiedy Sierioża upadnie i zacznie umierać, ona wykorzysta zamieszanie i ucieknie. Może będzie musiała przyczaić się kilka dni w Berlinie, aż przestaną jej szukać. Potem znajdzie sposób, żeby przedostać się za granicę. Jeszcze nie wiedziała, czy pojedzie pociągiem, czy polecą samolotem. Zmieni wygląd, ukradnie komuś paszport na dworcu i wydobędzie się z Berlina. Na pewno będzie miała szansę.

Ludvig wyciągnął rękę i powiedział coś do Sierioży. Radziecki szpieg miał dziwny wyraz twarzy. Nie wyciągał swojej prawicy. Wreszcie po kilku sekundach, zobaczyła niczym w filmie na zwolnionych obrotach, że uniósł dłoń, ale nie skierował jej w stronę ręki Ludviga, a tylko prawym sierpowym uderzył go nagle w skroń. Ludvig zatoczył się, zaskoczony. Marina pisnęła. Alicja zeszytywniała. Ludvig szybko się pozbierał i zanim ktoś zdążył zareagować, rzucił się na Sieriożę. Mężczyzna z tubą opuścił ją i patrzył zaskoczony na bijących się. Odwróciła głowę. Żołnierze z karabinami stali nieruchomo, a na twarzach mieli podobne zaskoczenie jak wszyscy pozostali. Obaj kapitanowie postąpili krok do przodu i zatrzymali się jak wryci. Ludvig i Sierioża bili się na serio. Nie umiała powiedzieć, czy Ludvig dosięgnął pierścieniem tamtego. Ten z tubą rzucił ją na ziemię, a sam wskoczył między bijących się i sprawnie ich rozdzielił chwytem judo. Sierioża wyglądał jak dzieciak, którego przyłapano na podwórkowej bójce. Wyrzucał z siebie po rosyjsku przekleństwa, rozumiała co drugie słowo, chociaż *job twoju mać* usłyszała bezbłędnie. Zatrzymany w żelaznym uścisku Amerykanina, szarpał się, gotów ponownie rzucić się na przeciwnika.

– Żebyś szczeł w piekle. – Może się jej zdawało, a może Sierioża powiedział to do Ludviga.

Za chwilę powinni się rozejść. Mężczyzna, który do tej pory pozostawał z tyłu, uniósł głowę osłoniętą do tej pory kapeluszem. Skierowała na niego wzrok i zamarła. Przez kilka sekund długich jak wieczność wpatrywała się w tę twarz, o której zdążyła zapomnieć, zanim dobrze ją zapamiętała.

– To nie jest agentka Luna – powiedział Vincent Lumiere, wskazując Marinę palcem, po czym odepchnął Sieriożę na bok i złapał ją za włosy, i przyciągnął do siebie. Żołnierze, coraz bardziej zdekoncentrowani, postąpili kolejny krok do przodu. Vincent zdarł rękawiczkę z prawej dłoni Mariny i rzucił ją na ziemię.

– Nie ma blizny na ręce i nie rozpoznaję jej jako Luny. Nie będzie przejęcia! – krzyknął.

Ludvig zrobił krok do przodu, podobnie Sierioża. Stali teraz ramię przy ramieniu, patrząc na Vincenta. Między nimi przechodziła umowna linia połowy mostu. Wyglądali na nie mniej zaskoczonych niż cała reszta zebranych na moście.

– Była umowa! – krzyknął Vincent. – Oddajemy jednego waszego agenta za dwóch naszych. Laszła i Lunę! Nie dotrzy maliście umowy! Wycofujemy się!

Vincent nagle odepchnął od siebie struchlałą ze strachu Marinę, potem wyjął pistolet i strzelił jej

między oczy. Kobieta ciężko upadła na ziemię. Czas dla Alicji nieznośnie zwolnił. Czowała się, jakby wyszła ze swojego ciała i patrzyła na to wszystko gdzieś z góry. Obserwowała zastygłe twarze Vincenta, drugiego Amerykanina i żołnierzy, zarówno zachodnich, jak i wschodnich. Każdy miał na niej co innego wypisane. Pomocnik – niedowierzanie, Ludvig – zdumienie, Sierioża – triumf, Ernst – przerażenie, a sam Vincent – okrucieństwo.

Ludvig i Sierioża odwrócili się w swoją stronę i ponownie zwarli w uścisku. Mocowali się ciasno spleceni, jak w zapasach, tyle że od czasu do czasu jeden z nich odrywał rękę i wymierzał ciosy przeciwnikowi. Ciało Mariny leżało wygięte w łuk, płaszcz miał zawinięte poły. Widać było nieładną wełnianą spódnicę i grube rajstopy. Zginęła przeze mnie, przemknęło przez głowę Alicji. Nadal nie mogła się ruszyć, jakby nogi wrosły jej w ziemię.

Vincent. Dobry, miły, nieco niezdarly znajomy Dominique, mężczyzna, którego dziewczynki chciały z nią połączyć. Wdowiec, który stracił żonę, wychowywał córkę mieszkającą, jak sam twierdził, w Berlinie. Nie zwróciła wtedy na to uwagi, sprawdziła go pobieżnie, adres, miejsce pracy, teraz płaciła cenę za swoją głupotę. Uwierzyła, że jest tym, za kogo się podawał. Może dlatego, że w łóżku zachowywał się niczym nastolatek, który uprawia seks z kobietą dla niego niedostępną?

Nagle Ernst z krzykiem uniósł wysoko ręce, a potem odwrócił się i zaczął biegiem wracać na wschodnią stronę. Co robisz, głupcze? Biegnij w drugą stronę, chciała powiedzieć, ale nie zdążyła. Jeden z żołnierzy po wschodniej stronie wyraźnie nie wytrzymał napięcia i bez rozkazu otworzył ogień do „swojego”. Ernst upadł na wznak.

– Nie strzelać! – wrzasnął kapitan radziecki.

Napięcie stawało się nieznośne. Jeśli ktoś jeszcze wpadnie w panikę i odda strzał, konsekwencje mogą być tragiczne. Ona sama była tak zdenerwowana i napięta, że zaczynały boleć ją mięśnie ramion. Żołnierze ponownie zastygli. Skierowała wzrok na radzieckiego, potem enerdowskiego kapitana. Żaden z nich nie wiedział, co ma robić. Wyczytała to bezbłędnie. Sierioża tymczasem przeciągał Ludviga na swoją stronę. Vincent, widziała to wyraźnie w okularach, przeczesywał wzrokiem szeregi żołnierzy, jakby spodziewał się, że tam ją znajdzie. Nie miał szans jej dostrzec, bo stanęła idealnie między dwoma żołnierzami, wyższymi i szerszymi od niej. Była daleko. Jeśli teraz się nie poruszy, może ocaleć. Scena przeciągała się nieznośnie. Agenci, którzy mieli podlegać wymianie, nadal walczyli, dwa trupy leżały po stronie wschodniej, po zachodniej gęstnieeli żołnierze, którzy wolno, ale systematycznie przesuwali się na środek mostu. Co zrobić, żeby nie dopuścić do strzelaniny na moście?, zastanawiała się. Oczami duszy widziała masakrę. Może odwrócić ich uwagę, Vincent zajmie się nią, a Ludvig zdoła w końcu ukłuć Sieriożę pierścieniem z trucizną? Przecież trzeba go wyeliminować za wszelką cenę, nawet za cenę własnego życia. Nagle, ku jej uldze, agent KGB zwiotczał w ramionach Ludviga. Ludvig przesunął się na wschodnią stronę, złapał tamtego za ramiona i przewlókł nie bez wysiłku kilka metrów. Sierioża klęczał, ostatkiem sił trzymając się prosto. Jego ciało drżało. Wreszcie odrzucił głowę do tyłu i osunął się na ziemię. Odetchnęła z ulgą. Zadanie zostało wykonane. Ludvig go dosięgnął. Prawdopodobnie adrenalina, którą wyzwoliło napięcie i walka, pozwoliła Sierioży utrzymać się tyle czasu na nogach. Wreszcie organizm poddał się truciznie. Zaraz będzie koniec. Musi wytrzymać jeszcze chwilę. Kiedy żołnierze ruszą do przodu, ona zacznie uciekać.

Trzy trupy po wschodniej stronie i jeden zataczający się z wysiłku agent, podsumowała. Kiedy

domyśla się, że tamten nie został pokonany w walce, tylko go otruto? I kto się domyśli? Przy odrobinie szczęścia nie dostanie odpowiedzi na swoje pytanie.

– Cofnąć się! – Usłyszała krzyk radzieckiego kapitana. Zapewne już wiedział, że jego kariera właśnie się skończyła, za dzień albo dwa wyjedzie na Syberię na co najmniej dwadzieścia lat, a jeśli przeżyje, nigdy nie wróci ani do Berlina, ani nawet do Moskwy, tylko pozostanie w którymś z północnych miast, klepiąc biedę do końca życia. Może na szczęście jest samotny. Bo jeśli ma żonę i dzieci, to już mogą się pakować i szykować ciepłe ubrania.

– Nie strzelać! – wrzasnął niemiecki kapitan, ale na przekór jego komendzie jeden z żołnierzy uniósł karabin i oddał strzały w powietrze.

Po chwili strzelali już wszyscy po obu stronach. W niebo szły serie „wschodnie i zachodnie”. Vincent nie zwracał uwagi na strzelaninę ani na Ludviga, który siedział teraz na ziemi, ciężko oddychając. Podeszedł do Sierioży. Dotknął chusteczką piany, która wydobywała się z ust tamtego przed śmiercią. Wszystko było jasne. Co teraz zrobi? To zależy od tego, kim jest, odpowiadała sobie sama w myślach. Jeśli rzeczywiście jest Amerykaninem, przeciągnie Ludviga na zachodnią stronę. Ale wówczas dlaczego miałby zabijać Marinę, wiedząc, że ryzykuje zatrzymanie po stronie wschodniej i poddanie torturom? Dlaczego Ludvig nie ucieka na zachodnią stronę, zastanawiała się. Czyżby był w takim szoku po śmierci Mariny i zabiciu Sierioży? A może, przeraziła się, był pod wpływem trucizny? Przecież możliwe, że sam też się ukłuł podczas szamotaniny. Jeśli tak, to koniec. Tylko na filmach na każdą truciznę jest antidotum, które wystarczy łyknąć z przezroczystej fiołki i bohater odżywa, jakby mu nic nie było.

Vincent wyciągnął rękę w stronę swojego pomocnika. Ten podał mu tubę.

– Nie strzelać! – wrzasnął.

Jedni i drudzy żołnierze usłuchali rozkazu. Vincent przycupnął obok Ludviga.

– Zrobimy tak! – krzyknął. – Dokończymy to, po co tu przyszliśmy!

W jego głosie nie było śladu tamtej nieśmiałości, którą tak ją ujął w hotelu podczas ślubu Danielle.

– Luna! – Usłyszała nagle i drgnęła.

Ludvig uniósł głowę i popatrzył na Vincenta z satysfakcją na twarzy. Zapewne myślał, że ona leci właśnie samolotem do Szwajcarii, Wiednia, Paryża albo Nowego Jorku.

– Wiem, że tu jesteś! – Vincent krzyczał do tuby. – Oddajcie nam naszą agentkę Lunę i zatrzymajcie sobie tego tutaj!

Dlaczego Ludvig się nie rusza? Łatwo mógłby rzucić się na Vincenta. Tamten miał wprawdzie broń, ale już ją schował. W jednej ręce trzymał tubę, stał bokiem do niego. No dalej, naciskała w myślach, Ludvig, wstań! Ponownie skierowała wzrok na jego twarz. Była blada jak papier. Popatrzyła niżej. Poły płaszcza Ludviga odchyliły się. Zobaczyła coś czerwonego. Sweter?, mamila sama siebie. Czerwona plama lśniła na tle czarnych wyłogów płaszcza. Wieńczył ją trzonek noża. Kto ci to zrobił, Ludvigu?

Wojna agentów, podwójni, potrójni, a nawet poczwórni agenci gęsto zasiedlający świat od Europy po Azję i obie Ameryki. Oszukujący się nawzajem, zdradzający i intrygujący. Czy ktokolwiek mógłby wygrać takie starcia?

– Luna! – krzyknął Vincent. – Wiem, że tu jesteś! Wyjdź, to nic mu się nie stanie!

Przywołała obraz umierającego Juliana. Opowiadała mu wtedy, że nóż działa jak korek, zmyślała, że

zaraz pojedą do szpitala, a Julian będzie żył długo i szczęśliwie. Teraz scena się powtarzała, ale Ludvig umierał samotnie w przeświadczeniu, że wykonał zadanie. Zabił Sieriozę i ochronił ją. Vincent musiał wiedzieć, że Laszlo podał się za Caaza, ale zapewne nie wiedział, że jest po ich stronie. Tylko dlaczego pozwolił bić się agentom, zginąć jednemu z nich i praktycznie uniemożliwić wymianę? Jeśli był po amerykańskiej stronie, nie mógł tak przeprowadzić akcji, to zupełnie nielogiczne. I po co zadawałby sobie tyle trudu, aby udawać współpracownika Dominique, budować życiorys, żeby ją poznać? Po co miałby uwodzić, częstować ostrygami i wywabiać ze Szwajcarii? Przecież z łatwością mógł ją wtedy zabić i upozorować wypadek. Po co organizować tak skomplikowaną intrygę? Czyżby wierzył, że może ocalić Caaza? Albo ocalić Caaza i wydać Ludviga?

– Liczę do pięciu, a potem strzelam do niego! – krzyknął. – Raz, dwa...

Ludvig siedział z wyrazem satysfakcji na twarzy. Ludvigu, wybac mi, kiedy zaraz mnie tu zobaczysz. Wybacz, że cię nie posłuchałam.

Wyszła zza szeregu wojskowych i wolnym krokiem podeszła do leżącej na ziemi Mariny. Poprawiła połę jej płaszcza.

– Tak lepiej – powiedziała, patrząc na Ludviga.

– Coś ty... – wychrypiał Ludvig.

Spuściła głowę. Ludvig zaczął kaszleć. Podeszła do Vincenta. Wyciągnęła rękę. On ujął ją delikatnie za dłoń i obejrzał bliznę. Uniósł tubę.

– Zabieram naszą agentkę! – krzyknął.

Chwycił ją za ramię już nie tak delikatnie jak za rękę i pociągnął. Nie ruszyła się nawet o milimetr.

– Dalej – wycedził. – Rusz się. Za chwilę tamci się obudzą i cię zastrzelą.

Pokręciła przecząco głową.

– Obiecałeś, że mu pomożesz, jeśli wyjdę – powiedziała tak cicho, żeby tylko Vincent usłyszał.

– Powiedziałem, że go nie zabiję. – Miał zaciśnięte szczęki. – Sierioza go zabił, widziałas to.

– Ty zabiłaś tę kobietę.

– Dublerkę – poprawił. – Naprawdę myśleliście, że to się uda? On się podawał za naszego człowieka, ciebie zastąpiła jakaś żalosna amatorka.

Ludvig kaszlał coraz mocniej.

– Pomóż mu – poprosiła. – Zrobię, co zechcesz...

– I tak zrobisz, co chcę, Luna. – Uśmiechnął się krzywo. – I dobrze wiesz, że nie można mu pomóc.

Usłyszała głos tamtych.

– Nie będzie wymiany! – To enerdowski kapitan, który wpuścił ją na most. – Wracać albo otworzymy ogień!

– Ratuj go! – Alicja przyłgnęła do ramienia Vincenta, popychając go w stronę Ludviga.

Ludvig co chwila zanosił się kaszlem, a jego powieki się zamykały. Widać, że walczył o życie ostatkiem sił. Patrzyła błagalnie.

– Powtarzam! – Znów krzyk Niemca. – Cofnąć się albo otworzymy ogień!

To było do niej. Nie słuchała. Patrzyła błagalnie na Vincenta, jakby mógł jeszcze w czymkolwiek

pomóc Ludvigowi. Starła się, żeby na jej twarzy zobaczył uniesienie, jakie towarzyszyło im w tamten wieczór w hotelu, oraz obietnicę kolejnych. Niech tylko zbliży się do Ludviga.

– Proszę... – powiedziała szeptem.

Wargi wykrzywiły mu się w uśmiechu. Już nie przypominał tamtego nieporadnego mężczyzny z wesela. Dobrze udawał, pomyślała z podziwem. Wciąż trzymał ją za ramię i zasłaniał przed potencjalnym strzałem wschodnich żołnierzy. Sekundy dłużyły się niemiłosiernie. W końcu podeszli do Ludviga. Kiedy dotknęła jego twarzy, otworzył oczy.

– To koniec – powiedziała. – To on...

Vincent, nie zwalniając uścisku, pochylił się w kierunku Ludviga. Wiedziała, co chce zrobić. Chciał wyjąć nóż i patrzeć, jak wypływająca z serca krew zabija go w ciągu kilku sekund. Jeszcze chwilę, myślała, daj mi małą chwilę. Patrzyła błagalnie na Vincenta, mówiła „Proszę, proszę, proszę...”, aż wreszcie uwierzył, że ona naprawdę chciała się poddać, że wierzyła w możliwość ocalenia człowieka z nożem w sercu. Vincent rozluźnił na chwilę ucisk i spojrzał na nią szyderczo.

– Czy ty naprawdę jesteś?... – zaczął.

Błyskawicznie wysunęła się z uścisku Vincenta, przytknęła ampułkostrzykawkę z adrenaliną do klatki piersiowej Ludviga i uwolniła lek. Vincent nie zrozumiał jej gestu. Na twarzy miał znów tę swoją pogardę dla jej działań lekarskich. Niepotrzebnie. Sama wiedziała, że nie zdoła pomóc, ale może uda się jej sprawić, żeby mężczyzna na chwilę odzyskał siły i spróbował wstać.

– Chcesz umrzeć na stojąco? – Usłyszała pytanie Vincenta.

Ludvig nie próbował odpowiedzieć. Spojrzał na nią spokojnie. Jego twarz nie wyrażała już żadnych emocji. Nie było na niej ani żalu, ani ulgi, ani nawet woli walki. Vincent miał rozluźnione ramiona, już jej nie trzymał. Ludvig dźwignął się z wysiłkiem i teraz stał przy krawędzi mostu, Vincent tuż przy nim, ona była oddalona o metr, żołnierze o kilka metrów. Wreszcie po nieznośnych dziesięciu sekundach adrenalina zadziałała. Ludvig ostatkiem sił złapał zaskoczonego Vincenta i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, przechylił się przez barierkę i wypadł do rzeki. Plusk wody otrzeźwił zarówno żołnierzy Wschodu, jak i Zachodu. Dwa plutony rzuciły się w stronę krawędzi mostu, wpatrując się w miejsce, w którym zniknęli obaj mężczyźni.

– Stać! – wrzasnął enerdowski kapitan.

Nie wiedziała, czy mówił to do niej, czy też do tamtego mężczyzny, który jako jedyny z grupki agentów i świadków pozostał przy życiu. Tamten wycofywał się na stronę wschodnią, zbliżając się do kapitana.

– Skakać do wody! – krzyknął dowódca strony zachodniej. – Muszę mieć ich żywych!

Chwilę nasłuchiwała, ale nie usłyszała żadnego plusku, przeciwnie, rozkaz padł jeszcze kilkakrotnie, ale bez wskazania osób, zatem ochotników do penetrowania zimnej wody najwyraźniej nie było. Adrenalina pozwoliła Ludvigowi na jeszcze jeden wysiłek, ale nic poza tym. Była pewna, że Ludvig Bernstorff nie żyje. Miała jedynie nadzieję, że do grobu zabrał ze sobą człowieka podającego się za Vincenta Lumiere'a, najprawdopodobniej zdrajcę podszywającego się pod tożsamość agenta KGB Laszla, odpowiedzialnego za eliminację pięciu agentów amerykańskich i zlecenie kilku zabójstw oraz ścisłą współpracę z agentem KGB Sieriozą, którego „wpadka” była jedynie mistyfikacją. Kim był ich towarzysz uciekający z mostu jak pospolity tchórz, tego dokładnie nie wiedziała. Mogła jedynie przypuszczać, że kolejnym podstawionym agentem, kretem w szeregach zachodnich, który sprzedał swój

kraj za pieniądze albo wolność najbliższych. Tak czy inaczej, zdrajca. Miała też nadzieję, że próba powrotu na wschodnią stronę i rozliczenia się z tego, co nastąpiło w zimowy ranek 1965 roku, nie uda się i agent, którego pseudonimu nigdy nie miała poznać, zginie na Syberii albo w niejasnych okolicznościach, o które to obwini się nieznanymi bandytów albo Zachód.

– Strzelać! – krzyknął nagle wschodni dowódca. – Strzelać do wody!

Ten z Zachodu odkrzyknął, żeby wstrzymać ogień i powtórzył, że chce mieć tych ludzi żywych. Od skoku Ludviga minęło kilka minut. Vincent był ubrany w ciężki płaszcz. Dawno już poszedł na dno. Może nawet Ludvig dla większej pewności zdążył jeszcze skręcić tamtemu kark, zanim sam umarł w lodowatej wodzie. Żołnierze wschodni posłuchali swojego dowódcy. Wyjęli broń i skierowali ją zgodnie w kierunku tafli. Przez około minutę serie z karabinów maszynowych pruły wodę, a żołnierze zachodni stali z lufami skierowanymi w stronę kolegów ze wschodu. Ich dowódca nawoływał do przerwania ognia. Na moście panował chaos. Miała mało czasu. Przesunęła się na wschód, korzystając z tego, że tylko zdrajca śledził ją wzrokiem. Obaj wschodni kapitanowie wrzeszczeli do swoich tub, żołnierze albo kręcili się bezładnie na moście, albo strzelali do wody. Część wschodnich przeszła na stronę przeciwnika, podobnie część zachodnich. Linia graniczna była zdeptana i sprawiała dziwne wrażenie. Zdrajca miał w ręku broń. Krótki pistolet, który trzymał skierowany lufą do góry. Przesunęła się za grupę żołnierzy, ale ją zauważył i zaczął iść w jej stronę. A więc to tak. Nie mogli żywi przejść na tamtą stronę. Ludvig miał zabić Sieriożę, Sierioża Ludviga, Vincent ją. Wywiady miały dostać informację, że wielka wpadka zakończyła się wielką czystką. Cóż za ironia. Trzej agenci nie żyli, została tylko ona i ten męczyzna czający się na nią po wschodniej stronie. Zgubiła go na chwilę, chowając się po raz kolejny za grupę żołnierzy. Nie miała broni, jedynie nóż, ale szansa trafienia z tej odległości przy wielu poruszających się bez planu ludzi była równa zeru. Na szczęście on też nie mógł ryzykować strzału. Odbiegła na zachodnią stronę i znów włożyła przybliżające okulary. Poszukała go wzrokiem, ale nie znalazła. Rozejrzała się w prawo i lewo. Nic. Na karku poczuła zimną stal. To on ją znalazł. Zastygła.

– A teraz grzecznie pójdziesz ze mną. – Usłyszała.

– Dokąd? – spytała. – Na wschód czy na zachód?

– Do piekła – powiedział.

Zaczęła się śmiać.

– Piekło czeka na ciebie – wycedziła.

Popchnął ją w kierunku wschodnim.

– Ratunku! – krzyknęła.

Uderzył ją mocno w kark, pociemniało jej przed oczami, ale nie straciła przytomności. Zdołała też utrzymać się na nogach.

– Nikt cię tu nie usłyszy – powiedział szyderczo.

Kanonada ucichła, a zewsząd rozległy się okrzyki.

– Są! Wypływają!

Mogłaby przysiąc, że jej wróg dałby bardzo wiele, żeby podejść do krawędzi i zobaczyć, czy ciała Ludviga i Vincenta rzeczywiście wypłynęły na powierzchnię. Musiała to wykorzystać.

– Nie! – zaczęła krzyczeć. – Nie! To nie mogą być oni!

Spodziewając się drugiego ciosu, pochyliła się kilka centymetrów do przodu. Uderzył ją, ale trafił w plecy, nie w kark. Mimo wszystko zatoczyła się i upadła na ziemię. Oby tylko nie postanowił uderzyć jej po raz kolejny albo, co gorsza, zastrzelić. Byli jednak po zachodniej stronie, nie mógł ryzykować. Wystarczyły jej dwie sekundy wahania. Tyle razy podczas szkoleń powtarzano jej, że potrzebuje tylko tyle czasu, że w to uwierzyła.

– Potrzebujecie tylko dwóch sekund, żeby wyjść z pułapki – mówił jej mentor, człowieka, którego nazwiska nigdy nie poznała. – Jedna sekunda na sprowokowanie wahania, druga na działanie. Jeśli to dla was za mało, użyjcie jednej sekundy na zdobycie kolejnych dwóch. Pamiętajcie jednak, że nie będziecie mieli więcej. To wszystko, na co możecie liczyć.

Teraz. Złapała obiema rękoma łydki tamtego i pociągnęła. Upadł do tyłu, strzelając w górę. Pojedynczy strzał oderwał kilku żołnierzy od wpatrywania się w wodę. Na szczęście sprowokował też dwóch dowódców, wschodniego i zachodniego, którzy jak na komendę unieśli broń i biegli ku nim, każde ze swojej strony mostu. Ona tymczasem, zyskawszy dwie dodatkowe sekundy, wbiła agentowi w łydkę nóż. Wyrzucił z siebie stek przekleństw. Unosił pistolet ku niej. Przetoczyła się na bok, próbując dosięgnąć ręki z pistoletem. Ponieważ po prawej stronie agenta nie miała dość miejsca, przetoczyła się na lewą, a stąd nie mogła dosięgnąć broni.

– Nie strzelać! – Dwie komendy wykrzyczane po niemiecku przez wrogich sobie Niemców zabrzmiały jej w uszach.

Walczyła. Kolanem nacisnęła szyję tamtego, licząc, że zdoła zgnieść mu krtań, ale zrzucił ją z siebie z łatwością, uderzając mocno w skroń lewą ręką. Upadła zamroczona. Teraz on zyskał dwie sekundy, pomyślała obojętnie. Usłyszała przekleństwo i strzał. Czekwała na ból albo uczucie gorąca, o którym mówili ci, którzy oberwali kulkę, ale nic takiego nie nastąpiło. Odwróciła się. Agent leżał na moście, nad nim stali dwaj dowódcy. Każdy z nich miał wymierzoną w tamtego broń. Nie wiedziała, który strzelił. Obaj przenieśli wzrok na nią.

– Teraz to już koniec – powiedziała, wstając. – Zabierzcie tych wszystkich ludzi z mostu.

Nadal stali, patrząc na nią niepewnie.

– Na co czekacie? – powtórzyła. – Zlikwidowaliście obcych agentów. Wy – wycelowała palcem w pierwszego – amerykańskich, a wy tych z KGB.

– Kim jesteś? – spytał wschodni kapitan. Uniósł też broń.

– Jestem osobą, za którą się podawałam – powiedziała spokojnie. – Miałam zidentyfikować Sieriożę i zrobiłam to.

Spojrzała pod nogi. Stała dokładnie na linii dzielącej most. W ręku miała już wyjętą z rękawa drugą ampułkę adrenaliny. Jakie to szczęście, że zdecydowała się wziąć ze sobą podwójną dawkę leku. Pokazała palcem zwłoki agenta, jednocześnie niepostrzeżenie wbijając sobie ampułkostrzykawkę w udo. Teraz potrzebuje jeszcze dziesięciu sekund, żeby lek zadziałał.

– Który z was go zabierze? – spytała.

Spojrzeli po sobie.

– Istotne jest, z kim pójdiesz ty – powiedział ten ze Wschodu i wrzasnął na swoich żołnierzy.

– Zbiórka!

Podobnie krzyknął ten zachodni. Od jakiegoś czasu wydawali bliźniaczo podobne rozkazy, co ją, nie wiedzieć czemu, rozśmieszyło. Odwróciła się i oparła o przęsło mostu. Była dokładnie po przeciwnej stronie od miejsca, w którym skoczył Ludvig, zabierając ze sobą Vincenta.

– Co robisz? – krzyknął kapitan z NRD. – Gwarantuję ci wszelkie przywileje!

Nie odpowiedziała.

– Gwarantuję ci azyl! – krzyknął ten z RFN.

Nie chciała ani jednego, ani drugiego. Usiadła na barierce i skoczyła.



EPILOG

Danielle zadzwoniła jak zwykle z samego rana.

– Mamo... – zaczęła. – Tak mi przykro. Jak się czujesz?

– Dziwnie – powiedziała Alicja – i tak samo jak co roku, tego właśnie dnia. Po pięćdziesięciu latach od jego śmierci w każdą rocznicę czuję się wciąż tak samo. Przeżywam, że nie mogę pójść na jego grób i zapalić świeczki.

– Poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby się dowiedzieć, gdzie został pochowany...

– Wiem – przerwała córce.

– ...To przecież nie ma takiego znaczenia jak pamięć o nim...

– To prawda. Pamięć ma największe znaczenie...

– Mamo...

Chwilę milczały. Alicja siedziała w wygodnym fotelu. Na jej kolanach leżała mała kotka przywieziona miesiąc temu ze schroniska. Alicja pogłaskała jedwabisty łeppek.

– Mam nowego kota, wiesz? – rzuciła sztucznie wesołym tonem. – Niepodobny do Quasimoda, właściwie to kotka, zupełnie inna niż szylkretowy Quasi.

– Nie pamiętam go – przypomniała jej Danielle.

– Przepraszam, rzeczywiście nie możesz go pamiętać.

– A jak moje rodzeństwo ją przyjęło?

– Najbardziej ucieszył się Franek. Uważa, że Luna to jego własna, osobista koteczka, i muszę pilnować, żeby nie zagłaskał jej na śmierć.

Kiedy wspomniała imię Franka, bolesna rana znów się otworzyła. Nigdy więcej nie zobaczyła swojego małego braciszka żywego. Franek umarł dziesięć lat później, dziwnym trafem w rocznicę tego dnia, w którym zginął Ludvig, a ona skoczyła z mostu Glienicke.

Wypłynęła wtedy cudem. Mimo wstrzykniętej adrenaliny ryzykowny skok prawie przypłaciła życiem. Zimna woda sparaliżowała jej serce, a ciężki strój ciągnął na dno rzeki. Traciła przytomność, ale jakaś siła desperacko pchała ją ku powierzchni, ku życiu. Wyczołgała się po zachodniej stronie, bliska omdlenia i tak zmęczona, że prawie dała się złapać. Resztkami sił wstała, przeszła kilka kroków i byłaby upadła, gdyby nie zobaczyła, jak jakiś mężczyzna podjeżdża samochodem i parkuje w niedozwolonym miejscu, po czym znika w pobliskim sklepie z gazetami i tytoniem. Szybko podeszła bliżej. W stacyjce tkwił kluczyk, widać właściciel samochodu wysiadł tylko na chwilę. Wsiadła i natychmiast odjechała, zanim mężczyzna wyszedł ze sklepu. Dobrze знаła drogę. Potrzebowała zaledwie piętnastu minut, aby dojechać do ulicy, przy której mieszkała Ursula, wnuczka Kajetana i Ofelii. To u niej gościła z Danielle tamtego lata, kiedy wykonała fatalne zdjęcie. Nikt poza Frankiem i Danielle nie wiedział o istnieniu Ursuli. Spędziła u niej dwa miesiące, nie wychodząc nawet na krok z mieszkania. Ursula o nic nie pytała.

W tamtym czasie nie zadawano zresztą wielu pytań. Kiedy sprawa ucichła, a Alicję uznano za zmarłą i „pochowano” w Zurychu, pojechała do Polski i tam zaczęła kolejne nowe życie. Myślała, że nie znajdzie wystarczająco dużo siły, ale to nie było aż tak trudne, jak się jej wydawało. Nie musiała nawet kończyć po raz trzeci Akademii Medycznej. Przybrała nowe imię i nazwisko, wymyśliła sobie zupełnie nową tożsamość. Po latach spotkała kogoś miłego i chociaż rany po stracie Daniela i Ludwiga nigdy się nie zabiły, postanowiła jeszcze jeden raz spróbować szczęścia przy boku mężczyzny. Wiodła zwyczajne życie, wypełnione pracą, spotkaniami z przyjaciółmi. Patrzyła, jak dorastają jej kolejne dzieci. Tak, miała nawet dzieci.

– Mamo... – Usłyszała znów głos Danielle. – Jesteś tam, mamo?

W końcu Alicja przerwała niezręczną ciszę.

– Jestem, Danielle... Ja po prostu coraz mniej umiem się z tym wszystkim pogodzić. Czuję się zmęczona.

– I dlatego napisałaś książkę o... nich wszystkich?

– To książka nie tylko o nich – odpowiedziała szybko. – Także o tym, co się wtedy stało. W Kodorowie, Wiedniu, Paryżu, nawet w Bułgarii i... tutaj.

Danielle znów zamilkła na chwilę. Potem się odezwała:

– Gdybyś mogła pójść na ich groby, byłabyś spokojniejsza...

– Nie wiem.. – zawahała się. – Byłam na grobie Franka, ale mnie to nie uspokoiło.

– Mam na myśli groby moich dziadków, Juliana, Daniela, Ludwiga, to znaczy mojego ojca...

– Julian ma grób – przypomniała jej. – Ta jego hrabina od Duce zabrała go do Włoch i pochowała Bóg wie gdzie.

– Właśnie, tylko Bóg jeden wie, gdzie oni wszyscy leżą...

Rozmowy o bliskich były dla niej trudne, ale jednocześnie czerpała pociechę z faktu, że po latach mogła wreszcie opowiedzieć Danielle swoją historię.

– Mamo, jesteś tam?

– Musiałam to zrobić, kochanie – powiedziała z wysiłkiem. – Przecież wiesz o tym. Nadejdzie taki czas, kiedy nikt nie będzie pamiętał.

Teraz Danielle milczała.

– Chciałabym powiedzieć, że ja bym pamiętała, ale... będę pamiętała krócej niż ty. Rozumiem, masz rację. Przemyślałaś jednak wszystko? A jeśli ktoś uwierzy?

Alicja zastanawiała się tylko przez chwilę. Wreszcie uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami tak, jakby Danielle mogła ją zobaczyć.

– Nikt nie uwierzy – powiedziała bardziej do siebie niż do córki. – Powiedzą, że poniosła mnie wyobraźnia.